

AGATA PRZYBYŁEK

Nie zmienił się tylko blond

Copyright © Agata Przybyłek, 2015

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Redaktor prowadząca: Magdalena Genow

Redakcja: Kinga Gaska

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Barbara Adamczyk

Projekt okładki: Design Partners ([www.designpartners.pl](http://www.designpartners.pl))

Fotografia na okładce: [www.depositphotos.com/redstar.in.ua](http://www.depositphotos.com/redstar.in.ua)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-7976-281-1

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

Pewien mędrzec powiedział kiedyś,

że w każdym człowieku tkwi materiał na jedną powieść.

Wystarczy tylko go odnaleźć.

*Mam 37 lat*, jestem farbowaną blondynką i zaczynam nowe życie. Czy to dobre zdanie, żeby rozpocząć nim książkę? Cóż, z ciężkim sercem, ale muszę wam wyznać, że zawsze miałam z tym problem. I oczywiście siedzę teraz i zastanawiam się, czy gramatycznie wszystko jest OK, czy powinno zaczynać się takie dzieło zdaniem współrzędnie złożonym, równoważnikiem, czy też może zdaniem złożonym wielokrotnie. Psiakrew. Nie obchodzi mnie to, bo mam 37 lat, jestem farbowaną blondynką i rozpoczynam nowe życie. Może to nie najlepszy wiek, nie najlepszy kolor włosów, ale stan wręcz idealny.

I tu pojawia się następny problem. Powinnam zdradzić czytelnikowi wszystko na początku książki czy też ujawniać informacje stopniowo? Budować napięcie powoli czy też walnąć czytającego pałą w łeb porządną informacją na samym wstępie? Musicie mi wierzyć, wcale to nie takie proste, na jakie wygląda...

No, ale cóż. Nie mam wyjścia, więc nad tym też nie będę się zastanawiać, bo szlag mnie trafia, kiedy zdenerwowana wyciągam z szafy zestaw walizek, który (dzięki Bogu) kupiłam na nasz

wakacyjny wyjazd do Chorwacji (Łukaszek tak bardzo chciał zobaczyć dalmatyńskie wybrzeże), a który idealnie przyda się, aby w ciągu 24h spakować mnie, czwórkę dzieci, dwa psy (muszę dodać, że całkiem niesforne), jednego kota i x kociąt, i wynieść się stąd na drugi koniec Polski. Dlaczego? Dlatego, że prowadzenie przez męża rentownego sklepu z damską bielizną, i to w dodatku w samiusieńkim centrum miasta, wcale nie jest czymś, na co kochana, wspaniała, tolerująca zachcianki żonka powinna się zgadzać. Bo mąż może okazać się bawidamkiem, przez MOMENCIK zapomnieć o „...i że cię nie opuszczę” i iść w tango z biuściastą panią Adelką, która zawsze miała skłonność do frywolnych koronek, a nie do ciepłych, dwuczęściowych piżamek jak kochająca, gotująca obiady żonka. I tyle w tym temacie. (Nie będę płakać, nie będę płakać!)

Dlatego ja, szanowana oraz szanująca siebie pisarka, która zamiast kontrolować mężusia, przez 18 lat małżeństwa zajmowała się domem i dziećmi (dziećmi przez 9 miesięcy mniej), nie zamierzam łkać łez, robić awantur, lecz po honorowym strzeleniu go w nieogolony policzek, serii wyzwisk, kiedy to (z klasą!) opuszczał mieszkanie i wychodził na klatkę schodową (sąsiedzi wydawali się całkiem zainteresowani całą sytuacją, ale przecież nie robiłam tego pod publikę), i ostentacyjnym trzaśnięciu drzwiami, postanowiłam, że zachowam twarz i to ja wyniosę się z naszego, jakże to pięknie brzmi, NASZEGO, wspólnego do tej pory, gniazdka.

No dobrze. Gniazdko nie było znów takie do końca moje, a przynajmniej formalnie, bo bawidamek upierał się przed ślubem przy tej swojej intercyzie jak głupi, a mnie, wierzącej w to, że miłość jest na zawsze, romantycze, było wszystko jedno. Finalnie, kilka dni przed ślubem zawarłam więc cyrograf z diabłem, podpisując ten piekielny dokument zupełnie zaślepiona dozgonną miłością, która, jak widać na załączonym obrazku, okazała się nie taka wcale dozgonna.

Jak tak teraz na to spojrzeć, to powinnam winić za to wszystko moją kochaną mamusię, która z uporem maniaczki szeptała mi wtedy, że przecież ich wielki dom komuś trzeba zapisać i czarowała mnie tym swoim upierdliwym wdziękiem jak prawdziwa dobra wróżka. Wprowadziłam się więc do kochanego mężusia, a raczej jego mieszkania, które, podkreślam, jest JEGO, o czym nie zapomniał mi w odpowiednim czasie przypomnieć, i wiodłam szczęśliwe życie, o intercyzie zapominając. No bo niby skąd miałam wiedzieć, że przyjdzie mi kiedyś słono za tę naiwność zapłacić? No skąd?!

Tak. W skrócie to właśnie dlatego kolejne szafki opróżniane są przeze mnie w błyskawicznym tempie, żeby, kiedy ten cholerny bawidamek wróci, miał, choroba jasna, do kogo i czego, czyli wszechobecnej pustki. A niech mnie! Garnki, które sprezentował mi na osiemnąstą rocznicę ślubu też zabiorę. Niech bawidamek posmakuje, co to jest przymieranie głodem, kiedy kochana żonka nie ugotuje obiadku. Niech biuściasta przywiezie swoje razem z koronkową piżamką, ot co!

Tylko zaraz, dokąd ja właściwie z całym tym barłogiem, czytaj: czworo dzieci, dwa psy, jeden kot, właściwie kotka, i x kociąt, się wyniosę?

Swoją drogą, dlaczego nie mogłam pomyśleć o tym, kiedy z nie lada opanowaniem wygrażałam się, że mój prawnik pozbawi go wszystkiego i nie musi się o nic martwić, bo do jutra mieszkanie zostanie zupełnie puste? Jak to dokąd? Zawsze dobrze, ale w domu najlepiej, nie ma jak rodzina, wal jak w dym i tak dalej... Chyba nie za bardzo mam wybór...

– Mamusiu... – wydusiłam po dwóch sygnałach, chlipiąc przy tym niemiłosiernie i niemalże dusząc się łzami.

– Iwonka, kochanie, co się stało?

– Bawidamek, to znaczy Grzegorz, który okazał się bawidamkiem, on teraz, z Adelą...

Mówiłaś, tak, mówiłaś, że ten sklep to nie jest dobry pomysł... my teraz. Nie wiem, mamuś...

– Córeczko, mówże jaśniej! W nerwach dostajesz strasznego słowotoku. Henryk, Iwonka dzwoni, chodź, dam na głośnik!

– Mamuś, bo on... wyrzucił mnie z domu. I dzieci. I psy. I naszą ciężarną Fełę. Gdzie mamy się podziąć, pomyślałam... Mój Boże, jak nie wy, to chyba dworzec...

– Zabiję gnoja! Od samego początku mi się nie podobał, niech ja go... – tatuś.

– Iwonka, kochanie, oczywiście. Pakuj dzieciaki w pociąg i przyjeżdżajcie. Tata wyjedzie na dworzec. Tylko kiedy kochanie? – mamusia.

– Jutro. Będziemy nocnym... – rzuciłam bez zastanowienia. – Nie, wróc. Szkoła, dzieci mają szkołę. W weekend mamuś, w weekend.

– Niech ja, choroba jasna, znajdę tę siekierę, już ja mu nogi... – tatuś.

– Ale jak to? – mamusia.

– Tak to mamuś. Zostawił mnie. Kazał się wynosić – pociągnięcie nosem. – Sama rozumiesz, że w tej sytuacji...

– Iwonka, niczym się nie przejmuj. Ja tu wam górę przyszykuję, jakoś się zmieścicie.

Przecież wiesz, że na nas zawsze możesz liczyć. Pakuj się córunia. Nie siedź tam i nie zadręczaj się... matko, chciałabym cię teraz przytulić. Jesteś na pewno taka samotna...

(Ja błagam, niech mama się tylko nie rozczula. To wcale do niej niepodobne. Potrzebuję teraz autorytetu! Niech się mama ogarnie wewnątrznie, to ja tu jestem ta rozchwiana!!!)

– Mamusiu, ja wiem, że to problem... – dwa pociągnięcia nosem.

– Córcia, pakuj dzieciaki. I nie wyj no tam. Niech wiedzą, że mają silną matkę. Masz tam gdzieś Antosia? Chciałam mu powiedzieć, że ta gra...

– W szkole. Dzieciaki w szkole... – zaszlochałam kolejny raz do słuchawki.

– No tak. W takim razie pakujcie się! Tatuś po was jutro wyjedzie. Tylko jak wy te zwierzaki pociągiem przewiezicie, córcia? Jakies opłaty, czy coś... jak trzeba pieniędzy, to my z ojcem...

– Przepraszam mamuś – pociągnięcie nosem – ale muszę kończyć, bo ktoś do drzwi dzwoni. Będziemy rano. Kocham was i dziękuję.

– Halina, znalazłem tę siekierę. Jadę tam, niech mnie kule biją, wsiadam w samochód i... – tatuś.

– Pa córunia, czekamy! Kochanie, odłóż tę siekierę... – i się rozłączyła.

Odkładając komórkę na blat i ocierając łzy (swoją drogą, tusz to już mi pewnie zupełnie spłynął, bo bawidamek głosił chwalebne hasło: oszczędzamy i musiałam ostatnio kupić jakiś podrzędny... jeden plus z tego będzie, znaczy, z całego tego rozwodu oczywiście), otworzyłam drzwi. I już sama nie wiem, kto gorzej wyglądał. Łukasz, z przerażoną miną, zapłakana Magda czy ja z rozmazanym tuszem do rzęs.

– Dzień dobry – wydusiła Magda, wchodząc za Łukaszem do środka. Plecak mojego pierworodnego, który w tym roku skończył 17 lat (pierworodny, nie plecak, tak gwoli wyjaśnienia), błyskawicznie znalazł się na drugim końcu korytarza. Naszego byłego, można powiedzieć, korytarza.

– Chodź mamo, musimy poważnie porozmawiać – powiedział pierworodny jakimś dziwnym tonem i już nie wiem, co było bardziej dziwne, ten jego jakiś taki zamglony głos czy ich wygląd.

Posłusznie poszłam za moją młodzieżą do kuchni, zamykając drzwi za gówniarstwem, które widać już przywykło do tego, że matka wszystko za nich robi. I tak jak bawidamek, nic nie uszanują...

– Siadaj, Magda. – Łukasz władczym ruchem odsunął jej krzesło, a ona ze spuszczoną głową posłusznie usiadła. – I ty mamo też lepiej siadaj.

Nic nie powiem, ale ja już krzesło musiałam odsunąć sobie sama!

Nie mogąc wydusić z siebie słowa, usiadłam. Czyżby już o wszystkim wiedzieli? Ale skąd?! Czyżby matka zaraz zadzwoniła do Łukaszka, żeby zapytać, jak to znoszę i wypaplała wszystko tym swoim długim jęzorem? Biedna ta Madzia, chociaż rok od Łukaszka starsza, już ją nawet polubiłam. Taka sympatyczna... i zwykle staje po mojej stronie.

Zaraz! Może ja powinnam tu napisać, że stawała, bo jeśli ten związek i tak wisi na włosku... Pewnie boją się, że będą musieli się rozstać. No tak, przecież to drugi kraniec Polski, co ja im powiem? Wiedzą? Nie wiedzą? Tak mi głupio. Stanę na drodze ich miłości. Do końca życia będę się czuła winna, będę dręczona przez wyrzuty sumienia. Właściwie... Stop, stop, stop. Bawidamek stanie, nie ja. Ja tu jestem niewinna, żeby nie powiedzieć, że padłam ofiarą sklepiku w centrum i koronkowej bielizny Adeli. O jej biuście, w rozmiarze D, oczywiście nie wspominając!

– Chodzi o to... – zaczął Łukasz niepewnym tonem, ściskając Magdę za rękę.

– Synku – weszłam mu w słowo. Niech się pierworodny nie kłopotczy, ja zaraz mu wyjaśnię.  
– To wszystko da się jakoś załatwić. Mamy pieniądze, nic nie jest stracone. Ty jesteś młody, Magda młoda, świat przed wami. Trzeba będzie jakoś wam pomóc. Oczywiście, na początku będzie ciężko, ale przecież jesteśmy jak rodzina...

– Mamo, o czym ty... ty już wiesz? – Łukaszek zrobił nagle podejrzenie wielkie oczy.  
Co wiem? Chyba wiem, że wiedzą.

– Łukasz – ścisnęłam go przez stół za rękę. – Zrobię wszystko dla waszego dobra! – zapewniłam go, zerkając na zdenerwowaną Magdę, której oczy mało co z gałek nie wyskoczyły.

– Mamo, ale jak to, ty tak po prostu? Przecież zabieg kosztuje. Zresztą my z Magdą jeszcze nie braliśmy pod uwagę tej opcji. To przecież może się nie udać, jest niebezpieczne. Trzeba by adresu poszukać, kogoś sprawdzonego i w ogóle.

Stop.

– Zaraz. Jaki zabieg? Magda jest chora? Ja myślałam, że wy o ojcu, o tym, że nas z domu wyrzucił. O przeprowadzce. Zaraz, zaraz. O czym rozmawiamy? – zaczęłam potrząsać głową jak nawiedzona.

– No jak to, o czym. O tym, że Magda jest w ciąży. Mieliliśmy Ci razem powiedzieć, ale skoro już wiesz i zgadzasz się nam pomóc... Ja wiem, jestem nieletni, Magda co prawda już skończyła 18 lat, ale przecież nie masz nic przeciwko niej... Tylko jeszcze o aborcji nie rozmawialiśmy, ale skoro mówisz, że nam pomożesz. I jeszcze jedno...

Jakiej, choroba jasna, CIAŻY!?

– Słucham? – Gdybym miała coś w ustach, to chyba bym się tym zachłysnęła.

– Ojciec ją z domu wyrzucił. W tej sytuacji nie mamy wyjścia. Magda zostaje u nas. W tym stanie nie możemy jej zostawić samej. Cieszę się mammo, że nas rozumiesz – dodał, a na twarzy dziewczyny pojawiło się pytanie.

– Naturalnie, nie zostawilibyśmy, gdybyśmy sami nie musieli się stąd wynieść.

– Jak to wynieść? Mamo?!

– Łukasz, czy ty słuchasz, co ja do ciebie mówię? Ojciec wyrzucił nas z domu. Jedziemy do dziadków do Sosenek na jakiś czas. Myślałam, że wiecie, dlatego tak o tej pomocy...

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że...

– Że ojciec zaliczył skok w bok z piękną Adelą. To właśnie chcę powiedzieć – wyrzuciłam to z siebie, nawiasem mówiąc, chyba trochę zbyt bezpośrednio. Ale co tam. Nie ma co się rozczulać. Prawda jest bolesna!

Przerwał mi moje wywody przeraźliwy szloch Magdy.

– Spokojnie Madziu. – Łukasz otoczył ją męskim ramieniem, a ona posłusznie oparła kręconą, rudą głowę o jego najlepszą koszulę, którą prasowałam cały ranek. – Pojedziesz z nami. Nie zostawię cię z tym wszystkim samej, to nasza wspólna sprawa. Prawda mammo?

Ba, że wspólna. Do tego tanga trzeba przecież dwojga! Już ja im dam wykład, na ten temat! Spuścić gówniarstwo z oczu na kilka chwil i katastrofa gotowa!

– Oczywiście, że pojedzie z nami – to moje słowa?! Bój się Boga! Moja świadomość weszła w jakiś nadzwyczajny stan czy co? Ziemia do Iwonki! Wracamy do normalności, natychmiast!

– Dziękuję pani bardzo, jest pani jak najlepsza na świecie druga matka... a gdzie tam, pani jest milion razy lepsza od mojej matki! – I już miałam na ramieniu jej zapłakaną, wdzięczną twarz, a za jej plecami dziękujący uśmiech pierworodnego.

A to się narobiło! Chyba powinnam zacząć moją książkę zdaniem: Mam 37 lat, jestem farbowaną blondynką, a od dziś także babcią i zaczynam nowe życie. Całkiem młodą babcią, dodam, dla lepszego samopoczucia. Lepszego dnia na zwierzenia moja młodzież sobie wybrać nie mogła, ale co tam. Będę najmłodszą babcią w okolicy! Ot co.

– Słuchaj mamuś... – ponownie wybrałam numer telefonu matki.

– Iwonka? Coś się stało?!

– Przygotuj jeden pokój więcej. Wiem, to kłopot, ale dasz radę? Może być dodatkowe łóżko w pokoju dla Łukasza – a co tam, pomyślałam, gorzej już być nie może, niech się młodzież sobą nacieszy! Mogę sobie pozwolić przecież na bycie nowoczesną matką. I tak już mi wszystko

jedno...

– A co, z kolegą będzie?

– No, coś w tym rodzaju. – Tłumaczenie mojej matce przez telefon, że zostanie prababcią nie wydało mi się najstosowniejsze. Wyjaśnię im wszystko na miejscu. A tymczasem wracam do walizek. Będzie czym zająć myśli. Właściwie... nie wiem, czy to możliwe, bo stoję przecież w obliczu tylu zmian, tylu... Nie! Nie będzie tu żadnego rozczulania się. To przecież zupełnie nie w moim stylu.

Niestety, nie udało mi się obyć bez rozczulania, kiedy moja komórka zabuczała kolejny raz, wyświetlając przy tym zdjęcie Grzegorza, a raczej jego wymalowanej przez dzieciaki twarzy podczas zeszłorocznych przygotowań do balu karnawałowego. Westchnęłam tylko, gdy pierwsza z łez spłynęła po mojej twarzy, wytyczając krętą strugę w moim niezbyt profesjonalnym makijażu, a raczej tym, co po nim zostało.

– Czego chcesz? – warknęłam do telefonu, gdy po raz trzeci ciszę w salonie przebił dźwięk wibracji spotykających się z twardym blatem stolika do kawy.

– Kiedy chcesz się wyprowadzić? – zapytał ot tak Grzegorz, a jego głos NADAL brzmiał zbyt seksownie i pociągająco. Pomimo mojej nienawiści u dołu mojego brzucha pojawiły się złowrogie motylki. No masz ci los. Teraz? Czy ON, BAWIDAMEK, musi działać na mnie w ten sposób nawet teraz, kiedy nasze życie legło w gruzach, a raczej, zaraz do tego dojdzie?

– Chciałam jechać do rodziców jeszcze dziś, ale dzieci powinny chodzić do szkoły chociaż do końca tego tygodnia. To, że jestem na ciebie wściekła, nie znaczy jeszcze, że stałam się nagle skrajnie nieodpowiedzialna. – Od razu po tych słowach zganiłam siebie w myślach za to, że staram się mu jeszcze tłumaczyć, na co wcale a wcale nie zasłużył.

– Masz rację, trzeba pomyśleć o dzieciakach. Nie myśl sobie, że one w tym wszystkim nie są dla mnie ważne...

– No chyba sobie żartujesz! – parsknęłam do telefonu, pomimo ciekących po policzkach łez. – Teraz masz zamiar myśleć o dzieciach? Trzeba było to zrobić, zanim wpakowałeś swoją dupę do łóżka biuściastej pani Adeli z miseczką w rozmiarze D! Nie zgrywaj teraz dobrego ojca, bo na wyrzuty sumienia to jest już raczej za późno!

– Nie będę z tobą rozmawiał w ten sposób.

– I świetnie! Bo ja nie mam ochoty rozmawiać z tobą w sposób jakikolwiek!

– Dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć, że przez najbliższy czas pomieszkam u Adeli. A ty ogarnij się jakoś i nie rób z siebie pośmiewiska. – No dobre sobie! Ja czy on robi z siebie pośmiewisko?! – Daj znać, jak już wyjedziecie.

– Daruj sobie. Może jeszcze życzysz nam miłej podróży i udanego nowego startu? – rzuciłam do słuchawki zachrypniętym głosem i niemalże zaczęłam dławić się łzami.

– Iwona uspokój się, po prostu nam nie wyszło, a ty robisz z tego tragedię.

– Ach tak. No przecież. Po prostu nam nie wyszło, a kilkanaście lat małżeństwa szlag trafił, ale przecież nic wielkiego się nie stało.

– Mam się czuć winny czy czego ty ode mnie oczekujesz? – uniósł głos Grzegorz.

– Już niczego – odpowiedziałam po chwili ciszy do słuchawki, rozłączyłam się i padłam na kanapę jak długi, zalewając się łzami.

Co ja teraz mam zrobić z tym wszystkim? NIC SIĘ NIE STAŁO. No pewnie, łatwo przecież zacząć życie od nowa. Pojadę do rodziców i tyle, żaden lepszy pomysł na tę chwilę do głowy mi nie przychodził. Oczywiście mogłabym zostać tutaj i unieść się honorem, że skoro to on zaliczył majestatyczny skok w bok, to niech on teraz martwi się o siebie, ale perspektywa dalszego spania w naszym, ach, jak to pięknie brzmi, niegdyś wspólnym łóżku i brania kąpieli w naszej wspólnej wannie...

Chlip. Po policzku poleciała kolejna gorąca łza. Nie ma się co łudzić, nowy start w TYM mieszkaniu po prostu się nie uda...

I tak, błędząc myślami zawieszona gdzieś między przeszłością, teraźniejszością a przyszłością, która malowała się co najmniej czarno, musiałam zasnąć, zanosząc się łzami na kanapie w salonie, bo obudziło mnie dopiero pukanie do salonowych drzwi, kiedy za oknami było

już ciemno.

– Proszę – rzuciłam nieprzytomnie i uniosłam głowę, zerkając na drzwi, przez które weszła do środka Katarzyna, moja najlepsza przyjaciółka. Chwilę to potrwało, zanim moje źrenice wyostriły obraz, gdy zapaliła światło i podeszła do mnie do kanapy. Z jej twarzy wyczytałam, że wie już, co tu się stało i przyjechała z pomocą.

– Iwonka, kochanie, tak mi przykro... – szepnęła mi do ucha, kiedy wtuliłam w jej ramię zasmarkany nos i mokrą, zapuchniętą od płaczu resztę twarzy.

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, podczas gdy ona gładziła mnie ręką po plecach.

– Jak on mógł – wydusiłam między łzami, dygocząc, gdy moim ciałem wstrząsał szloch.

– To nie twoja wina Iwonka, nie twoja wina – mówiła delikatnym głosem Katarzyna, ale jej słowa odbijały się od moich uszu i nie chciały wdrzeć się do środka. Prawda była taka, że gdybym to ja była lepszą żoną i pilnowała majątek swojego męża, to żadna zdzira by ich z niego nie zdjęła. A ja, zajęta codziennym życiem, nawet nie zauważyłam, że podczas gdy przerzuciłam się na ciepłe skarpety, mój mąż nadal był w stanie zdobywać damskie serca. I to, jak widać na załączonym obrazku, nadal skutecznie.

Nie mam pojęcia, ile czasu wisałam na Katarzynie i wylałam jej w rękaw, ale kiedy oderwałam się od niego, przez moją myśl przemknęła tylko jedna myśl: DZIECI, co z dziećmi?

– Spokojnie, Agata zadzwoniła do mnie z godzinę temu, a ja od razu zebrałam się, żeby przyjechać z odsieczą. Bliźniaki już śpią, z tego co zdołałam się dowiedzieć Magda z Łukaszem też, a Agata... nie wiem, co robi teraz, ale pewnie siedzi i płacze w kuchni do telefonu, że rozpada jej się rodzina – zrelacjonowała Katarzyna, kiedy udało mi się zwerbalizować i wypowiedzieć na głos tę moją odkrywczą myśl.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się do niej przez łzy.

– Od tego są przyjaciółki – odpowiedziała mi tym samym. – Potrzebujesz czegoś?

– Może tabletkę przeciwbólową, bo czuję się tak, jakbym imprezowała zeszłej nocy do samego rana.

– Metafen może być? Tylko to mam w torebce.

– Pewnie – jęknęłam.

– Przyniosę ci wodę – powiedziała Katarzyna i wstała z kanapy, a ja usiadłam w końcu i oparłam głowę o zagłówek. Ciężyła mi niemiłosiernie, ale może to i dobrze, bo ból głowy zagłuszał ból myśli. I trzask życia, które rozbijało się właśnie w drobny mak.

– Proszę. – Katarzyna wręczyła mi szklankę wody, a ja łyknęłam i popiłam tabletkę. – Co teraz zamierzasz? – zapytała po chwili.

– Nie mam pojęcia... – wyznałam. – Zabiorę dzieci do rodziców, a tam zacznę zastanawiać się, co dalej. Jest dopiero początek czerwca, ale mam nadzieję, że uda mi się usprawiedliwić nieobecność dzieciaków w szkole. Maluchom wszystko jakoś wytłumaczę, a starszyzna... no, oni już wiedzą, czego twoja obecność tutaj jest najlepszym dowodem – popatrzyłam na Katarzynę bezradnie.

– Będziesz potrzebowała pomocy przy pakowaniu. Zostanę z tobą tu do tego czasu, a potem oddam cię w ręce twojej mamy. Chociaż będę miała pewność, że nie zrobisz w tym amoku niczego głupiego.

– Nie denerwuj mnie nawet. Czy ja wyglądam na kogoś, kto byłby w stanie zrobić coś głupiego? Jestem matką, mam na głowie czwórkę dzieci. No, teraz to nawet piątkę. I wnuka...

– Jak to?! Nie powiesz mi chyba, że Agata... – wykrztusiła zszokowana Katarzyna, patrząc na mnie wielkimi oczami.

– Nie, nie! Nie Agata. Łukasz. W dodatku rodzice Magdy wyrzucili ją z domu. Ja wiedziałam, że u nich się nie przelewa i ta jej rodzina to raczej jest toksyczna niż wspierająca i szczęśliwa, ale... w każdym razie, raczej nie mam wyjścia. Zadeklarowałam, że im pomogę. I zamierzam dotrzymać słowa. Chociaż nie mam pojęcia, jak tego dokonam bez pracy, pieniędzy i dachu nad głową – rozkleiłam się na nowo.

– Jeśli chodzi o pożyczkę to zawsze możesz...

– Nie trzeba – weszłam w słowo Katarzynie. Co jak co, ale tak nisko jeszcze nie upadłam i swój honor mam. Pieniądzy od nikogo pożyczać nie będę. Sprężę się z pisaniem i jakoś to pójdzie. Wydawca pewnie nawet się ucieszy, bo od kilku miesięcy praktycznie stoi nade mną z biczem i przypomina o nowej powieści, którą ja odkładałam i odkładałam. Pisanie będzie terapią na złamane serce, więc może w końcu coś z tego wyjdzie.

Po moim policzku spłynęła kolejna łza. Myśl, że utrata męża może jakkolwiek dodatkowo wpłynąć na moje pisanie, wcale nie podziałała na mnie kojąco. Wręcz przeciwnie... Gdybym nadal miała męża, w ogóle nie musiałabym się o to martwić.

– Chcesz się położyć? – zapytała Katarzyna, gdy ja chowałam się w myślach, a w pokoju zapanowała cisza.

– Tak, myślę, że sen pomoże mi się uspokoić. Nie mogę pokazać się dzieciom w tym stanie. Wstanę rano i wszystko będzie dobrze.

– Chcesz się wykąpać? Przygotować ci coś?

– Nie, nie. Dzięki za troskę. Będę spała tu, a prysznic brałam rano.

Nie mam teraz ochoty patrzeć na swoją sypialnię – naszą sypialnię, dodałam w myślach, ale nie chciałam mówić tego na głos. Obecność Katarzyny miała służyć pozbieraniu się, a nie rozklejaniu jeszcze bardziej. Na siłę starałam się więc wypierać z głowy wszelkie związane z bawidamkiem myśli, co wcale nie było takie łatwe. Zdawało się, że nawracają z istic zdwojoną siłą.

– W takim razie ja prześpię się w twojej sypialni, okej?

– Pewnie, nie krępuj się. Czyste ręczniki są...

– Poradzę sobie, a ty śpij – przerwała mi Katarzyna i pogładziła mnie po głowie, po czym wyszła z pokoju, gasząc przy tym światło.

Położyłam się na kanapie i tym razem nakryłam kocem, darując sobie rozpacz i szloch. Nie mam pojęcia, kiedy zasnęłam. Wiem tylko, że z kuchni dobiegły mnie jeszcze głosy rozmawiającej z Agatą Katarzyny. A potem... przywitało mnie wschodzące słońce i piski wyprawianych do szkoły bliźniaków, którymi wielkodusznie zaopiekowała się Katarzyna, darując mi wolny poranek, za co byłam jej niezmiernie wdzięczna.

*Mimo że* obudziłam się z samego rana, nie czułam się na siłach wstać z łóżka jeszcze przez dobre trzy godziny i dopiero kiedy to odwlekanie osiągnęło punkt kulminacyjny, musiałam wstać. Psy przecież trzeba wyprowadzać, a Katarzyna zaznaczyła, że wpadnie z pomocą, owszem, ale po pracy. Mając więc nad sobą groźbę zmywania psich sików, która nieuchronnie malowała mi się przed oczami, skorzystałam z ciepłego prysznica, po którym od razu poczułam się lepiej. Po odprężających zabiegach pielęgnacyjnych wciągnęłam na nogi znoszony domowy dres, po czym zabrałam z szuflady psie smycze i zesłam na dół z yorkshire terrierami, które pędziły po schodach, jak gdyby naprawdę były już na granicy wytrzymałości. Postanowiłam iść z nimi po bliźniaki do przedszkola, mimo że dzisiejszy dzień był deszczowy i chłodny, jak na początek czerwca. Takie dwa w jednym.

Szłam powoli, delektując się samotnością i spacerem, który, ostatni raz, odbyłam sama chyba jeszcze w młodości. Oczywiście wolałabym, żeby miał on miejsce w dużo ładniejszej okolicy, na przykład w jakimś lesie, kiedy to pod nogami pałętają się szyszki, a powietrze pachnie jak odświeżacz, ale nie ma co wybrzydzać. Nawet przechadzka w mieście może oczyścić umysł, a ja potrzebowałam tego bardzo. Może taki spacer chociaż trochę pomoże?

Szłam więc z wielkim, czarnym parasolem rozłożonym nad głową, a osiem psich łap tonęło w wodzie i rozchlapywało ją dookoła. Na palcach jednej ręki mogłabym policzyć mijanych przechodniów. Udało mi się jednak nie rozkleić nawet pomimo faktu, że i pogoda postanowiła odzwierciedlić mój przykry stan emocjonalny, któremu nie miałam nawet siły poświęcić zbyt wiele czasu.

Matki nie mogą się załamywać. To matki muszą być twarde, kiedy dzieciom dach leci na głowę. To one mają stać murem i podtrzymywać stropy, kiedy te nie wytrzymują swojego ciężaru.



Im nie wolno się rozklejać i użalać nad sobą, nawet wtedy, kiedy po osiemnastu latach małżeństwa przeżywają zawód miłosny i wchodzą w dorosłe życie. Zabawne. Jak gdyby po osiemnastu latach ponownie zaczynać życie od nowa, z tym małym wyjątkiem, że z kulą u nogi. Jednak można.

Smagana po twarzy chłodnymi podmuchami wiatru, znalazłam się w końcu przed budynkiem przedszkola, do którego od pewnego czasu z zapalem (mniejszym bądź większym, a zwykle tym pierwszym) uczęszczały bliźniaki. Ku mojemu zaskoczeniu, na parkingu przed budynkiem kłębiła się masa dorosłych ludzi, tamujących przejście, a w oddali dostrzegłam nawet poustawiane równo gromadki dzieci. Pewnie jakieś zabawy na dworze. Ale zaraz? W taką pogodę i w towarzystwie rodziców? Aaa, może oni po prostu jadą na wycieczkę. Maluchy przyniosły ostatnio jakieś kartki, na których ich pani wychowawczyni informowała o grupowym wyjeździe do kina czy teatru, a które ja musiałam zignorować, ponieważ uprzedni miesiąc był dla naszej rodziny dość słaby pod względem finansowym.

Układając to wszystko w głowie, zaczęłam przepychać się więc między rodzicami, którzy nieskorzy byli się odsuwać, a drogę torowałam sobie pochylonym do przodu czarnym parasolem, wykrzykując tylko głośno:

– Przepraszam! – I parłam do przodu, by jak najszybciej odebrać dzieci.

I kiedy irytowałam się już, że ci ludzie wcale nie chcą się odsuwać i byłam na skraju wybuchu złości, który skierować chciałam na chudziutką, młodą blondynkę, wyglądającą na taką, co nie jednego męża już komuś odbiła, złapał mnie za nadgarstek jakiś wysoki pan i wrzasnął prosto do ucha:

– Czego się pani tak pcha?!

– Czego się pcham? Po dzieci idę, gburze jeden, puść mnie pan. – Wyszarpnęłam mu ramię z dłoni i posłałam lodowate, żmijowate spojrzenie. – Nie dość, że stoją, palą i drogę torują, to jeszcze jakiś problem! – dorzuciłam, bo mój cięty język aż domagał się tego, żebym dała upust kłębiącym się od wczoraj negatywnym emocjom.

– Ćwiczenia pożarowe mają! Nie słyszy pani, jak wyje?! I tak pani nie wejdzie! – wtrąciła się do dyskusji jakaś ruda mamuska, stojąca obok faceta, który raczył mnie zaczepić.

– Co? – krzyknęłam i dopiero teraz zorientowałam się, że drę się tak samo jak oni, starając się przekrzyczeć wyjący wniebogłosy alarm. No tak, to wyjaśniałoby, dlaczego rodzice stoją na zewnątrz, a dzieci poustawiane są parami w równe rzędeczki. To wszystko przez te ostatnie stresy. Jestem zmęczona i nie kontaktuję – tłumaczyłam się przed samą sobą. No dobrze, ale żeby alarmu nie słyszeć?!

– Przepraszam – burknęłam tylko do rodziców, którzy gotowi byli zaraz mnie tu zlinczować za wywoływanie chaosu. Posłusznie stanęłam niedaleko innej grupki, chowając się pod parasol i przyciągając do siebie szczęśliwe psy, które zajmowały się właśnie obwąchiwaniem nogawek towarzyszy niedoli, tak jak my czekających na swoje dzieci.

– Przepraszam, nie wie pani, jak długo to jeszcze potrwa? – zapytałam po piętnastu minutach jakąś pampusną blondynkę w zielonym żakiecie, która stała niedaleko mnie.

– Podobno do trzynastej – odpowiedziała mi, jakoś tak ponuro. Zerknęłam na zegarek. Jeszcze 8 minut i będę mogła zabrać dzieci do domu, a potem na nowo zacząć składać wszystko do kupy. TYLKO SIĘ NIE ROZKLEJAJ W MIEJSCU PUBLICZNYM, W DODATKU PRZED DZIEĆMI. – Wryłam sobie w głowie wielkimi literami, kiedy do oczu ponownie zaczęły napływać mi łzy.

– Przecież jestem twarda – powiedziałam pod nosem i razem z rodzicami, którzy zaczęli już kierować się do drzwi przedszkola, ruszyłam po moje maluchy.

Na korytarzu zrobił się ogromny tłok, kiedy jak na komendę wszyscy rzucili się, żeby odebrać dzieci, które zmokły na dworze, ćwicząc ewakuację. Stanęłam więc niedaleko drzwi i czekałam cierpliwie, aż tłum się zmniejszy, co nastąpiło dopiero po upływie kolejnych dziesięciu minut. I kiedy już szczęśliwa, że zaraz przestanę być uczestniczką tego bałaganu, ruszyłam do klasy po dzieci, znów musiałam się rozplakać, co wcale nie było trudne, a do czego przyczyniła się wychowawczyni moich dzieci, informując mnie, że już ktoś je odebrał.

– Jak to już je ktoś odebrał? Niby kto?! Ktoś mi zabrał dzieci, a pani stoi tutaj i mówi to do

mnie spokojnym głosem, jak gdyby nigdy nic? – wrzeszczałam na biedną nauczycielkę, zalewając się łzami.

– Pani Iwonko, ale czy ja mówię, że ktoś je ukradł? Pani córka wpadła z pół godziny temu i bliźniaki odebrała. Obcym bym ich nie dała, za kogo pani mnie ma? – zaczęła się usprawiedliwiać, a na jej twarzy pojawiła się mina niewiniątka. Wystudiowana!

– Pani jest chyba niepoważna! – lamentowałam dalej, nie słuchając, co do mnie mówi.

– Pani Iwono, ależ niech się pani opanuje. Coś się stało? Ma pani jakiś problem? – wtrąciła się, kiedy straszylam ją kuratorium i dyrektorem, zupełnie ignorując fakt, że moje dzieci są całe i zdrowe i z pewnością siedzą teraz w mieszkaniu pod czujnym okiem swojej starszej siostry.

– Słucham? – przerwałam swój słowotok i spojrzałam na wychowawczynię spode łba. – Skąd ten pomysł?

– Strasznie dziś pani nerwowa, podczas gdy zawsze jest pani oazą spokoju – powiedziała tamta i przyjrzała mi się badawczo.

O, co to, to nie! Kadrze pedagogicznej i całemu miastu to ja się nie mam co chwalić tym, że przez osiemnaście lat siedziałam w jednym gnieździe z puszczałskim gawronem.

Zabrałam swój tyłek spod przedszkola i starając się opanować po drodze do mieszkania, szłam schowana pod czarnym parasolem razem z psami, które mokre i brudne wesoło obszczekiwały mijanych przechodniów.

Właściwie, to dobrze się stało, że mogłam wykrzyzczyć się przed tą nauczycielką. Wszystko mi jedno, co ona sobie o mnie pomyśli, ale mi zrobiło się lepiej. Zawsze to pomaga, gdy człowiek odkręci kranik swoich emocji i da im upust, a po co robić to w towarzystwie biednych, Bogu ducha winnych dzieci, które właśnie co zostały półsierotami? No po co?

Westchnęłam. Kolejny raz wyszłam przed kimś obcym na osobę totalnie nieźrównoważoną...

No cóż. Zostało mi teraz tylko uspokoić się i zabrać za pakowanie maluchów, bo starszyzna da sobie z tym radę sama. W domu, czyli u rodziców w Sosenkach, wszystko się przecież poukłada – pomyślałam i objęłam się ramionami, żeby dodać sobie otuchy.

Może i jestem porzuconą kobietą, ale nie chcę się rozklejać. Jeden wieczór płaczu za tym dupiastym bawidamkiem wystarczy.

– Chcę być twarda. Chcę być twarda – powtarzałam, wchodząc po schodach do mieszkania, żeby zacząć się pakować. – Chcę być twarda i będę twarda. Postanowione – dodałam, pociągając nosem. Aha. Już to widzę.

– **Mamo**, moje oczy nic nie widzą – lamentował zaspanym głosikiem Antoś, powłócząc nogami kurczowo uczepiony mojej spódnicy.

Dobrze, że nie waży więcej, bo ściągnąłby mi ją na oczach tłumu!

– Już niedługo kochanie, zaraz przyjedzie nasz pociąg.

– Mamo, dokąd tak właściwie jedziemy? – zapytała niewyraźnie Antonina, niemalże lustrzane odbicie Antosia, tyle że w sukience, trzymając się mojej spódnicy z drugiej strony.

– Do babci kochanie. Dziadkowie bardzo się za wami stęsknili i musimy ich odwiedzić.

– Tak w nocy? – Antoś ziewnął przeciągle, otwierając szeroko usta.

– Synku, ile razy mówiłam, zasłaniaj usta? Odpowiadając na twoje pytanie, tak, w nocy, ponieważ w nocy lepiej się podróżuje. – Staralam się, aby zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco.

– A tatuś?

No i masz. A było tak pięknie aż do tego momentu.

– Tatuś musiał zostać w pracy, syneczku.

– Ale przyjedzie do nas?

– W to nie wątpię. A teraz cichutko kochanie, podjeżdża nasz pociąg. No, dajcie łapki Agatce – powiedziałam do bliźniaków, łapiąc za uchwyt największej walizki.

Agatka to moje średnie dziecko. Piętnastoletnia blondynka, za którą szaleje płęć przeciwna.

I to szaleje dosłownie. Kręcą się wokół niej ci napaleni nastolatki, więc to o nią zwykle się martwiłam. Widać, można się pomylić, nawet będąc obdarzoną czymś tak wspaniałym jak kobieca intuicja. No, ale wracając do tematu: Agata z całą pewnością nie wdała się w matkę, czytaj: mnie, czyli kudłacza w rozmiarze 40, który jedynie na obcasach przybiera godny uwagi wzrost. Agatka to wynik jakże namiętnej nocy w tureckim hotelu z czasów, gdy takie jeszcze z bawidamkiem miewaliśmy. Cóż, czy nawet własne dzieci muszą mi przypominać o największym błędzie mojego życia, czytaj: nieudanym związku z ich ojcem? Nie mówicie nic. Nawet ja widzę, jak żałośnie brzmi to zdanie.

– No, wsiadamy. Łukasz! Magda! Możecie pomóc mi z torbami? – Na odzew nie trzeba było czekać. Moje młode gołąbeczki niemalże na skrzydłach poderwały się, żeby mi pomóc. Dla własnego dobra psychicznego nie wspomnę, co jest tego powodem, bo rola babci w wieku 37 lat nie jest raczej marzeniem żadnej kobiety. Chociaż właściwie, czemu nie?

– Przepraszam bardzo, czy w tej torbie są zwierzęta? Przykro mi bardzo, ale nie można w wagonach przewozić zwierząt. – Bardzo miły konduktor podszedł, zaglądając do Agatkowej torby, którą trzymała w rękach, a w której cudem zmieściły się dwa psy i ciężarna kotka.

– Drogi panie. – Moja córka zamrugnęła rzęsami w ten swój onieśmielający dla płci przeciwnej sposób, a ja stwierdziłam, że przez moment pozostanę obserwatorem akcji i wkroczę do niej jedynie w razie wyższej konieczności. – Widzi pan te dzieci? – Agatkowy wzrok padł na Antosia i Antoninę. – Od dzisiejszego ranka zostały sierotami. To ich najukochańsze zwierzęta. Chce pan pozabawić dwie właśnie osierocone kruszynki jedynej radości w życiu? Jestem ich ciotką, jeśli chce pan wiedzieć, odwożę je właśnie – ściszyła głos Agatka, nachylając się do konduktora. – Wie pan gdzie? Czy chociaż w tej, jakże trudnej dla nich, ostatniej podróży, zanim zostaną zamknięte za kratami, nie mogą być szczęśliwe? – Dramatyzm wypowiedzi Agatki niemalże mnie powalił.

– Ale w domach dziecka nie ma krat. – Konduktor popatrzył na Agatkę, również ścisząc głos.

Moja pociecha zatrzepotała rzęsami.

– I co z tego? Myśli pan, że one to wiedzą? – Agatka spojrzała na niego, jakby to było co najmniej oczywiste, a ja musiałam mocno zacisnąć zęby, żeby nie zacząć się śmiać.

Gdzie ona nauczyła się tak pięknie grać! Moja krew! Chociaż raz nie żałuję tych godzin spędzonych w aucie, czekając, aż ta guzdrała wyjdzie z sali koła teatralnego!

Konduktor odchrząknął. Spojrzał w prawo, w lewo, aż w końcu jego wzrok utknął w błękitnych oczach Agatki.

– Ma pani rację, nie jestem potworem, przecież tylko zapytałem – brzmiał tak, jak skarcone dziecko na szkolnym korytarzu. – Proszę dbać o dzieciaki podczas podróży. W razie problemów jestem do usług. – I uwaga, nie uwierzycie! Konduktor wziął torbę z rąk Agaty i osobiście zaniósł ją do przedziału, w którym mieliśmy zamiar siedzieć. Chyba nie doceniałam mojej córki. Z całą pewnością należy jej się podwyżka kieszonkowego. W końcu to dzięki niej uniknęłam kary za nieregularny przewóz zwierząt. Pomijając fakt, iż moja córka łągała na moich oczach, a bliźniaki, nieświadome niczego, robiły te swoje słodkie, niewyspane minki. Moje czterolatki!

Niemalże rozpluwając się z zachwytu nad moimi wybitnymi, utalentowanymi dziećmi, w końcu razem z całym dziecięcym-młodzieżowym-zwierzęcym towarzystwem zajęłam miejsce w przedziale. Oczywiście nie obyło się bez awantur, kto powinien usiąść przy oknie. Czy Agatka, która perfekcyjnie uratowała nam wszystkim skórę, czy też ciężarna matka dziecka mojego syna, czytaj: Magda, która z wypiekami na twarzy i wzrokiem wbitym w Łukaszka wydawała się szczęśliwa, że w końcu znalazła dom, czy też zaspany Antoś, który usilnie chciał przytulić się do jakiejś ściany.

Swoją drogą, myśląc o Madzi, czułam się niemalże jak wybawczyni, która właśnie uratowała sierotę przed pójściem na stracenie. Po kim ja mam tak dobre serce? No po kim?

Tak oto rozmyślając, jednym uchem przysłuchiwałam się dyskusji moich dzieci, które nie zwracając uwagi na otaczających ich w przejściu między przedziałami ludzi, w najlepsze zaczęły wspominać czasy dzieciństwa (oczywiście robiła to starsza część, gdyż bliźniaki, czując, że

nadchodzi pora spania, wzięły swoje ukochane jaśki i rozplęły się w błogim śnie. Ach, żebyście wiedzieli, jak bardzo im tej nieświadomości zazdrościsz! Swoją drogą, czy na starość nie robię się za bardzo sentymentalna?) W tym momencie usłyszałam gromki wybuch śmiechu moich nastoletnich pociech. Pokładająca się ze śmiechu Agatka, która w końcu dała się przekonać, że gdyby przystojny konduktor postanowił odbyć przechadzkę po pociągu, powinna siedzieć od przejścia, a nie od okna, niemalże miała łzy w oczach.

– Aga, co tobie? – zapytałam, i już za chwilę gorzko tego pożałowałam.

Agatka, skrzecząc wniebogłosy zaczęła tłumaczyć mi, że właśnie zaczęli sobie wspominać nasz pamiętny wyjazd do Jastarni, kiedy to ojciec zgubił bliźniaczy wózek dziecięcy razem z zawartością, czyli bliźniakami, gdy zafrapowany starał się wyjaśnić jakiemuś młodemu Rumunowi, którzy na Gdańsk. Bliźniaki razem z wózkiem stoczyły się więc w dół ulicy, która do najbardziej płaskich nie należała, i zatrzymały się na parkingu ku uciesze biegnącego za nimi z wywalonym jęzorem bawidamka. 200 złotych diabli wzięli, bo za wgniecioną maskę jakiegoś fiata trzeba było zapłacić, ale cóż to jest w porównaniu z ceną za życie dwóch maleńkich duszyczek pozostawionych na pastwę losu przez nieodpowiedzialnego ojca?

Sami widzicie. Wspominając takie historie, po prostu nie można być poważnym, więc moją powagę szlag trafił i już po paru minutach sama rechotałam z zaciętą młodzieżą, która plotła trzy po trzy, nie zastanawiając się, co pomyślą nasi współtowarzysze podróży, którzy z przerażeniem spoglądali w naszą stronę.

– A pamiętacie – przerwał nasze salwy śmiechu Łukasz – jak Agata rozpowiadała wszystkim, że mama zamyka ją w lodówce? Ha, ha, ha – zanosił się ze śmiechu Łukaszek, z trudem łapiąc powietrze. – Sąsiadka miała taką przerażoną minę, jak pokazywała jej stworzone przeze mnie, na potrzebę chwili, odmrożenia, że gotowa była od razu dzwonić na policję.

– Pamiętam. Nieźle się musiałam wtedy tłumaczyć, że Aga ma tylko tak bujną wyobraźnię, a przekonać pani Genia dała się dopiero wtedy, jak na własne oczy zobaczyła, jakiej wielkości jest nasza lodówka. Dzięki Bogu, że była to mała chłodziarkozamrażarka, w dodatku z niewyjmowanymi półkami, bo biedna kobieta prawie rzuciła się na mnie z pazurami w obronie mojego własnego dziecka.

– Ładnie matkę załatwiłaś Aga. Chyba cały nasz blok będzie wspominał, jak chodziłaś od drzwi do drzwi, opowiadając tę historię...

Ciągnęlibyśmy temat dalej, gdyby rozmowy nie przerwał nam przeraźliwy pisk. Pierwsza moja myśl była taka, że pociąg się zepsuł, stoczył z torów i zaraz wybuchnie. Już widziałam w myślach porozrzucane dookoła kończyny, a w środku moje bliźniaki podnoszące poodrywane części ciała i głucho wołające: mama. A co, element groteski musi być. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to nie żadne hamulce tak piszczą, ale miauczy nasza Fela, która do tej pory grzeczniutko spała w torbie tuż pod nogami Agaty.

– Aga, co ona tak się drze?

– A bo ja wiem, może się obudziła i odczuwa klaustrofobię ze wzmożoną siłą?

Kolejne przerażające miauknięcie.

– Pani, co tam się dzieje, spać nie można! – zawołał jakiś starszy pan, zaglądając do naszego przedziału.

– Agata, sprawdź, co temu kotu, proszę cię, bo zaraz nawet konduktor nie pomoże, jak pasażerowie zlinczują nas za zakłócanie ciszy nocnej. Gotów się odbyć tu zaraz jakiś średniowieczny sąd nad czarownicami...

– Mamo, na moje oko to Fela rodzi – powiedziała, przeprosząc, wykrzyczała moja córka, podnosząc głowę znad torby.

– Jak to rodzi? W pociągu? Dziecko drogie, nie strój sobie żartów ze starej matki, tylko ucisz tego kota!

– Mamo, jak nie rodzi, jak rodzi...

– Koci poród w pociągu, a to dopiero! – Łukaszowi tylko w to graj.

– Łukasz, chorobo, wiemy, że ciebie wszystko bawi, ale myśl, co teraz robić. Myślałam, że ten poród odbędzie się w przytulnej stodole dziadków, na sianku, w otoczeniu myszek, a nie

w brudnym pociągu. Zaraz, ja w życiu nie odbierałam kocich porodów. Gdzie ręczniki, mleczko...

Głośny monolog przerwał mi kolejny koci wrzask.

– Agatka, leć po konduktora. Mówił przecież, że w razie problemów można go wołać.

– Ale mammo, na pewno nie miał na myśli kociego porodu... – zaprotestowała głośno moja córka.

– Agatka! Rób co mówię. I to migiem, bo się Fela zamiauczy na śmierć, i tyle będzie po kociakach!

Przerażona Agatka mało się nie przewróciła, podrywając się z miejsca i już za kilka chwil stał przy nas zestresowany konduktor z miską wody i ściereczką, a do tego jakimś starym swetrem. Kocia służba zdrowia zrodzona na potrzeby chwili!

– Pani, ja się znam na kotach. Moja matka ich ze siedem miała, to i przy kociakach się pomagało...

– Niech pan nie gada, panie Wojtku, tylko powie, co robić! – Agatka stuknęła go w łokieć, a on natychmiast pochylił się do wydającej pełne bólu jęki Feli. – Na moje oko, to zaraz będą. Pani zabierze stąd te pieski. Będą tylko przeszkadzać... – powiedział i sprawnym ruchem wyciągnął oba yorkshire terriery naraz, kładąc je Magdzie na kolana. Przerażone mordki nie wiedziały, co się dzieje.

– Patrzta no, zoo sobie w pociągu urządzają! – Starszy pan siedzący w przedziale za nami nie wytrzymał, wyciągając zza drzwi głowę w naszą stronę tak, że przez chwilę bałam się, że sobie coś zrobi.

– Jak się panu nie podoba, proszę wysiąść! – Konduktor przejął się nie na żarty, mamrocząc pod nosem, że chamstwo się szerzy i w narodzie zero współczucia.

Widać Agatkowe uroki całkiem na niego podziały. A może swoje zrobiła ponadczasowa miłość do zwierząt wyniesiona z domu rodzinnego? Nieważne. Teraz liczyło się tylko to, że mieliśmy o jedną parę rąk więcej do odbierania kociego porodu. Niech policzę, ile to ich już będzie? Dwa, cztery... siedem par rąk. Plus osiem psich łapek!

– Panie Wojtku kochany, czy ona musi tak cierpieć? – Przejęta Agatka wbiła w konduktora smutne oczka, kiedy powietrze przeszył kolejny jęk wijącej się z bólu Feli.

– Takie prawa natury. Niech się panienska nie martwi. Góra 10 minut, mówię pani, i kociaki będą jak ta lala.

Tak też się stało. Za piętnaście minut wszystkie kociaki, obmyte wilgotną ściereczką, leżały na starym swetrze, który pan Wojtek wytrzasnął nie wiadomo skąd, razem z Felą, której najwidoczniej bez różnicy było, w jakich rodzi warunkach, i słodko wtulały się w jej puszystą sierść. My zaś, wdzięczni za pomoc, ściskaliśmy ręce panu Wojtkowi, który chcąc nie chcąc po części został kocim ojcem.

– Niech panie tych psów tylko tam nie wsadzają do tej torby. Kotka będzie teraz trochę drażliwa. Jakby ktoś się czepiał, to proszę wołać, ja wyjaśnię co i jak. Miłej podróży życzę! – dodał na odchodne, zostawiając mnie z czwórką dzieci, matką mojego wnuka, dwójką psów, jedną kotką, która właśnie przestała być ciężarna, i piątką słodko śpiących kociąt (już nie liczbą x!).

**Do miasta** dotarliśmy pociągiem punktualnie o tej godzinie, na którą zaplanowany był przyjazd. Z wielkim trudem wyciągnęliśmy z pociągu wszystkie tobołki, a także dwójkę psów na smyczach (co oczywiście nie przeszło obojętnie wśród pasażerów i trochę nasłuchaliśmy się przy wysiadaniu) oraz torbę z Felą, której niestraszne były znoje podróży, bo całą swoją uwagę poświęcała kociakom, wylizując ich maleńkie pyszczki.

Po całym zamieszaniu związanym z wypelzaniem z pociągu (można tak powiedzieć, gdyż Antos został z niego wyciągnięty siłą, drąc się, ile sił w płucach, że on się w piżamie nie pokaże, bo musicie wiedzieć, że dla Antosia wszystko, w czym akurat zasnął, od razu było piżamą) zaczęliśmy okupywać jedną z ławeczek niedaleko parkingu i wypatrywać dziadka, który według zapewnień babci już po nas wyjechał i zaraz powinien być na miejscu.

Minuty mijały, a dziadka jak nie było, tak nie było. Zmęczone bliźniaki, które po porodzie

Feli były tak pobudzone, że nie zmrzyły oka przez resztę drogi, wpakowały się na kolana Magdy i Agatki i za nic w świecie nie chciały ich opuścić. Łukasz natomiast, przejęty ciężką Magdy (która była już w drugim miesiącu, jak się dowiedziałam!), co chwila dopytywał, czy nic jej nie potrzeba, a ja, popalając elektronicznego papierosa, wypatrywałam niebieskiej mazdy, która miała całą naszą szóstkę bezproblemowo zmieścić.

Czas upływał, a ojca wciąż nie było. Nasza ławka tymczasem zmieniała się w prawdziwe obozowisko. Wyciągnięta została już torba z jedzeniem, bo bliźniaki zaczęły domagać się kanapeczek z dżemem, i to natychmiast, oraz pomarańczowego soczku, który odkąd dzieciaki zaczęły wybrzydzać, nieodłącznie stał się elementem wyposażenia każdej torby podróży. Dlaczego? Pewnego razu Antonina opluła jakiegoś przechodnia, płacząc, że mama wlewa w nią sok jabłkowy, którego ona wręcz nienawidzi!

Po czterdziestu minutach czekania na ojca zaczęłam się denerwować. Po krótkim telefonie do mamy, która zapewniała mnie, że ojciec na pewno już jest i powinnam lepiej wypatrywać (dla uspokojenia mamusia dokładnie opisała mi jego wygląd, bo przez pół roku, odkąd widzieliśmy się ostatni raz, mogłam przecież zapomnieć i w moim wieku można już mieć problemy z pamięcią), w końcu się znaleźliśmy. Tatusz szedł niczym młody bóg, z gracją powłócząc nogami i gdy tylko wpadł w oko bliźniakom, przyspieszył kroku, by jak najprędzej przytulić ukochane wnuczka.

– Dziadzioooo! – Antosia zerwała się i nie zwracając uwagi na moje krzyki: „Uważaj, samochody!”, pognęła prosto przez parking.

– Jestem, jestem. – Tatusz jakby nie zauważył, że czekamy tu ponad godzinę i z uśmiechem ruszył ku mnie. Po wymianie krótkich buziaczków w policzki zabraliśmy się do zbierania kłopotów do walizek.

– Nie uwierzycie, jaki miałem problem ze znalezieniem miejsca dla samochodu. Musiałem ze trzy razy objechać cały parking, a nawet sąsiednie ulice. Udało mi się zaparkować dopiero dwie przecznice stąd. Daj Iwonka – widać, po kim mam skłonność do wpadania w słowotoki – wezmę tę największą walizę, bo to jednak kawałek drogi.

I w ten oto sposób, luźno sobie konwersując, ruszyliśmy całą naszą procesją ku niebieskiej maździe taty.

– Dałbym sobie głowę uciąć, że zostawiłem auto dokładnie tu! – stwierdził ojciec po dwudziestu minutach chodzenia po zatłoczonych ulicach, drapiąc się w głowę i wbijając wzrok w puste miejsce parkingowe znajdujące się tuż przed nami.

– Na pewno? Tato, może jednak kawałek dalej...

– Iwonka, wiem, że mam swoje lata, ale jeszcze pamiętam, gdzie parkuję! Na litość boską, nie denerwuj się tak – powiedział cały się trzęsąc, jak gdybym to ja się denerwowała!

– Łukasz, przejdź no się jeszcze tam i z powrotem, może mazda stoi gdzieś dalej – wydałam rozkaz synowi, ścisząc nieco głos i odsuwając się od zamyślnego taty.

Gdy Łukasz wrócił po kilku minutach, ogłaszając, że jego poszukiwania nie przyniosły pożądanego efektu, ojciec wszem i wobec ogłosił:

– Iwonka, dzwoniemy na policję. No jak nic nam mazdę ukradli! – powiedział z rozpaczą.

Wyjęłam więc telefon z torebki, wystukałam alarmowy numer i opowiedziałam wszystko miłemu policjantowi, który zaoferował pomoc. Na szczęście natychmiastową, ponieważ dzieciaki nieźle mi się już pokładały.

I w ten oto sposób znów zalegliśmy na ławce, tym razem nieco szerszej i w napięciu wyczekiwaliśmy przyjazdu policji, oddając się rozmyślaniom, kto i dlaczego chciałby naszą, a właściwie dziadkową, mazdę podwędzić. Oczywiście najlepsze pomysły w tej sprawie przychodziły do głowy młodzieży, której po paru minutach dyskusji kazałam się zamknąć, bo przecież kradzież samochodu to jednak poważna sprawa i nie należy się teraz śmiać, a raczej płakać.

Nie, żebym powiedziała to w złą godzinę, bo zaraz po okolicy rozchodził się płacz Antosia, który skaleczył się o leżące na chodniku szkło. Mimo moich upomnień zawzięcie szorował po nim na kolanach, bawiąc się ukochanym samochodzikiem. I masz! Przekop tu babo wszystkie walizy i torby w poszukiwaniu plastra!

Policja przyjechała po dziesięciu minutach, kiedy to Agatki, Magdy i Łukasza już nie było, ponieważ postanowili odbyć wycieczkę krajoznawczą (nie będą tu przecież tkwić jak kołki), a torby zostały już pootwierane, bo musiałam przecież zakleić tę krwawiącą ranę. Na środku siedziały zaś dwa psy, przywiązane smyczami do ławki, a obok nich torba z Felą i kociakami. Te to mają spokojne życie.

– Dzień dobry. Aspirant Nowacki się kłania. To państwo zgłaszali kradzież samochodu? – powiedział policjant wystudiowane uprzejmym głosem, który przez chwilę wydał mi się wręcz nadnaturalnie miły.

– Tak, to ja. – Tata postanowił sam załatwić sprawę. Usiadłam więc na ławce obok bliźniaków i kolejny raz zostałam obserwatorem, obiecując sobie w duchu, że wtrącę się, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Proszę opisać samochód. Wyślemy wiadomość do patrolów w całym mieście i obstawimy trasy wylotowe. Policjanci już się tam ustawiają.

Z dumą, a zarazem żalem po utraconej maździe patrzyłam, jak tatuś wyjaśnia wszystko policjantom i podpisuje jakieś dokumenty. I kiedy wszystko wydawało się już stracone, a policja zostawiła nas samych, obiecując pomoc w razie potrzeby i pocieszając, że gdy tylko samochód się znajdzie, od razu zostaniemy o tym powiadomieni, dostrzegłam Łukasza, który pędził w naszą stronę dziwnie szczęśliwy.

– Znaleźliśmy! – krzyczał do nas już z daleka, machając chaotycznie rękami.

– Co znaleźliście? – odkrzyknęłam do niego i już za chwilę zostałam zmiażdżona wzrokiem przez jakiegoś niemiłego przechodnia.

– Jak to co, mazdę znaleźliśmy!

– Gdzie? Kto? Nic wam nie jest? Co ze złodziejami? Łukasz... – Zaczęłam panikować, jak na matkę przystało.

– Mamo, ona stoi sobie na parkingu ulicę dalej. – Zziąjany Łukasz robił wszystko, aby tylko się nie roześmiać. – Tak jak mówił dziadek, zaparkował przy latarni, ale na następnej ulicy.

– Alleluja! Bierzmy te torby i chodźmy tam, zanim zgubimy ją kolejny raz! – Podzielając entuzjazm mojego spostrzegawczego pierworodnego, chwyciłam torbę i walizę, której uczepliły się bliźniaki wraz z psami na smyczach i razem z dziadkiem ruszyliśmy za Łukaszem.

Tak jak mówił, mazda stała sobie niczego nieświadoma na parkingu, a przy niej dwie hostessy w postaci Agatki i Magdy opychające się lodami.

– No, pakujemy wszystko! – zarządził tatuś i po upchnięciu bagażów do bagażnika, zamknięciu go (co prawda z trudem, ale jednak zamknięciu) zapakowaliśmy się do auta. Nawet nie wiecie, jak fantastycznie było czuć na zmęczonych, rozgrzanych do czerwoności policzkach chłodny powiew klimatyzacji.

– Mamy 15 czerwca, termometr za oknem wskazuje 28 stopni. Idealna pogoda, by udać się z rodziną na wieś lub poopalać w ogródku! – informował entuzjastycznie spiker w telewizji. Jego nastrój udzielił się także mnie, bo przez całe to zamieszanie zapomniałam o problemach, których nabawiłam się dzięki bawidamkowi i w końcu, siedząc wygodnie w fotelu, mogłam odetchnąć i trochę odpocząć po zarwanej nocy.

Podróż mijała nam spokojnie i bez większych niespodzianek. Z racji tego, że do Sosenek mieliśmy jakieś 60 km, bliźniaki padły w fotelach, tak samo jak zmęczona Magda, której zdecydowanie należała się chwila odpoczynku, zwłaszcza w tym stanie. Kiedy tylko dojedziemy, muszę koniecznie zorganizować jej jakąś kąpiel, a później wieczór w hamaku w ogrodzie rodziców. Jest przecież matką mojego wnuka! No, ewentualnie wnuczki!

– Co jest? – głos dziadka i pikanie kierunkowskazu wyrwały mnie z błógiego nastroju. Zjeżdżamy?

– O, policja! – Łukasz uniósł się z fotela i z zainteresowaniem wytknął głowę przez okno.

– Witam, sierżant Grzelczyk. Proszę wyłączyć silnik i nie wysiadać z pojazdu. Auto jest kradzione. Proszę o okazanie dokumentów.

W błyskawicznym tempie nasze auto zostało otoczone przez policjantów. Jak to kradzione? Zaraz, zaraz... Pełną napięcia ciszę przerwał wybuch śmiechu Łukasza.

– Żartujecie sobie. Mamo, nie zadzwoniłaś na policję powiedzieć, że mazda się znalazła? – Zdezorientowana patrzyłam, jak mój pierworodny pokłada się ze śmiechu na tylnym siedzeniu i szturcha Magdę, żeby powiedzieć jej, o co chodzi.

No tak, głupia ja. Powinnaś przecież zadzwonić. Jak ja teraz tym panom wytłumaczę...

– Proszę o ciszę! – ryknął sierżant Grzelczyk, widząc niedotknięty komizmem całej sytuacji. – Co tam się dzieje?!

– Panie sierżancie, przepraszam, ale zaszło tu wielkie nieporozumienie. To my zgłaszaliśmy kradzież auta jakąś godzinę temu. Z tej radości, że samochód się znalazł zapomniałam państwa poinformować...

– Oczywiście paniusiu. A ja dam się na to wszystko nabrać.

– Niech pan spojrzy w dokumenty, wszystko się zgadza. Imię, nazwisko... – wszedł mi w słowo tatuś.

– Zaraz to sprawdzimy. Czy mogę prosić o nazwisko kolegi, który przyjmował od państwa zgłoszenie o kradzieży? Tak będzie najłatwiej to wszystko wyjaśnić.

– Nowacki? Nowicki. Jakoś tak.

– Ach, Piotruś. Przepraszam na momencik, zaraz do niego zadzwonię. – Sierżant nie fatygował się nawet, aby oddalić się od nas i wyjął komórkę, wystukując numer tuż obok nas.

– Piotrek? Tu Karol. Słuchaj, czy ty przyjmowałeś zgłoszenie o kradzieży auta? Tak. Tak. Mam tu dokumenty. Już podaję nazwisko... Tak. Cała gromada ludzi w samochodzie. Tak, mają mnóstwo walizek, psy i kota... Mówisz, że jak wyglądają dziwnie, to oni? Ha, ha, ha. A to się złożyło. Tak, tak. No. Pogadamy. Pa.

– Mogą państwo jechać. Oddaję dokumenty – zwrócił się rozbawiony do tatusia, który z nerwów był jednocześnie czerwony i blady.

– Następnym razem – zwrócił się teraz do mnie – proszę odwoływać alarm, jeśli znajdą państwo samochód. Albo jeszcze lepiej, sprawdzić na wszelki wypadek okoliczne parkingi, zanim zadzwonią państwo na policję. Do widzenia! – kiwnął głową i odszedł w siną dal.

A my, paląc się ze wstydu, ruszyliśmy w dalszą podróż, która przebiegała w wyjątkowej atmosferze aż do Sosenek. Dzieci zdecydowanie ożywiły się przygodą z policją i na nic zdało się moje uciszanie, ponieważ po prostu nie mogły usiedzieć w miejscu z wrażenia. No proszę, takie z nas złodziejzki!

**Po niecałej** godzinie dotarliśmy na miejsce. Oszczędzę opisu, jak to mój tatuś przed laty dorobił się pieniędzy i rodziców stać teraz było na posiadanie wielkiej willi z ogrodem, oddalonej o kilkadziesiąt metrów od wsi. To wcale nie jest istotne.

Ważny jest jednak fakt, że posiadłość rodziców została otoczona „żelazną kurtyną”. Nazywaliśmy tak wysoki płot odcinający reszcie świata widok na ogród oraz kilka alarmów, które wyją za każdym razem, gdy po podwórzu przebiegnie chociażby maleńka myszka. Wszystko to miało co prawda gwarantować nam poczucie prywatności, ale nadal nie mogę wybaczyć ojcu, że te jego pomysły swego czasu odstraszały moich przyjaciół. Wcale nie miał na to wpływu fakt, że alarm włączał się za każdym razem, gdy odprowadzałam ich do bramy po godzinie dwudziestej drugiej, ani narzekania mojego taty, że musi co wieczór odwoływać alarm, dzwoniąc do agencji ochrony.

Ale dosyć o domku rodziców. Ważne, że jest to prawdziwy dom, w którym zawsze pachnie obiadem i który stoi dla mnie otworem niezależnie od sytuacji. Ta myśl trzymała mnie teraz przy życiu.

Gdy tylko otworzyliśmy drzwi błyszczącej w słońcu mazdy, powitała nas pędząca w naszą stronę mama, która w biegu zaplątała się w dopiero zdjęty fartuszek.

– Iwonka, kochanie! Chodź no tu. – Mało nie przewróciła mnie przy tych uściskach. – Poczekaj no, jeszcze drań tego pożałuje! Żebyś ty musiała dzieciaki przez pół Polski ciągnąć przez jego skoki w bok? Niedoczekanie jego. Już rozmawiałam z prawnikiem, nie martw się – ja nawet o tym nie pomyślałam!



– No, gdzie te kochane wnuczusie? Chodźcie no do babci... – Jak typowa babcia zostawiła mnie samą i rzuciła się w stronę rozespanych bliźniaków, które niewyraźnym wzrokiem rozglądały się dookoła, zapewne próbując ustalić, gdzie właściwie się znajdują.

– Babcia! – pisk Agatki przeszył mnie na wskroś, gdy moja blond piękność niczym dwuletnie dziecko poddawała się wylewnym uściskom.

– Agatka! Kochanie. Aleś ty mi wyrosła przez te pół roku. Pewnie niejednemu już serce łamiesz, ty moja blond piękności. No, a gdzie ten twój wyrodny brat? Łukasz, chodź no do babci! – I już Łukaszek wzięty w obroty szczerzył się jak mysz do sera. Przez 37 lat nie udało mi się zgłębić tajemnicy uroku i energicznej atmosfery, którą rozsiewała wokół siebie moja matka. Zdecydowanie kochała chaos, kiedy ja rozpływałam się na samą myśl o ciszy i spokoju.

– O, a to kto? – Babciny zapał osłabł nieco na widok rozgrzanej Magdy, wysiadającej z mazdy.

– To Madzia, babciu. Zostanie u was razem z nami.

– Pannica jak się patrzy, masz Łukaszek gust, nie da się zaprzeczyć. – Babcia z uśmiezkiem lustrowała biedną Magdę.

– Dzięki babciu. – Mój pierworodny się zaczerwienił.

– Zaraz – zwróciła się do mnie matka, wyraźnie zbита z tropu. Zaraz się zacznie, pomyślałam.

No i zaczęło się...

– To dla niej kazałaś przygotować łóżko w Łukaszowym pokoju? Ja wiem, może nie jestem za nowoczesna i, Boże broń, nie chcę wtrącać się w wychowanie twoich dzieci, kochanie, przecież nigdy tego nie robiłam! – No pewnie, pomijając te wszystkie krzyki i awantury, że jestem fatalną matką, dodałam sobie w duchu. – Ale żeby tak ostentacyjnie? – kontynuowała zawzięcie matka. – No ja rozumiem, hormony im buzują, chcą przebywać razem jak najwięcej, tylko żeby z tego problemu nie było. Nie zrozum mnie źle córeczko, ale myślę...

– Za późno – wycedził Łukasz, ratując mnie z opresji, gdy dostrzegł moje coraz bardziej przerażone spojrzenie.

– Słucham? – Babcia najwidoczniej pomyślała, że się przesłyszała.

– No tak – westchnął Łukasz, szykując się na najgorsze. – Chciałbym ci babciu powiedzieć, że będę ojcem. Znaczy... – przerwał widocznie zakłopotany. – Magda jest w ciąży. Będziesz prababcią.

Wszyscy zebrani na podwórku niemalże dech wstrzymali, czekając na wybuch emocji babci Haliny. W myślach słyszałam już, jak wygraża się, że ona ich pod dach nie wpuści, że co ze mnie za matka i tak dalej. Dobrze, że Łukasz poszedł na pierwszy ogień i mi dostanie się dopiero w drugiej kolejności... Babcia postanowiła jednak zszokować wszystkich i zamiast się awanturować, wyrzuciła ręce w powietrze i rzuciła się ku zmieszanej Magdzie.

– Tak się cieszę. Witaj w rodzinie, Magdo! A to dopiero niespodzianka! Gdybyście wcześniej powiedzieli, to bym jakąś ucztę przyszykowała, a nie... tak mi wstyd! No, ale nadrobimy to! Henryku, jedźmy do sklepu, trzeba upichcić coś na tę okazję! W końcu nie co dzień dowiaduję się, że będę miała prawnuka! – wykrzyknęła w końcu, ekscytując się jakby wygrała w totolotka.

Patrząc uważnie na te jej pełne energii wygibasy, nie mogłam ukryć radości. Kamień z serca. Jednak moja matka nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać!

– No kochana, widzę, że nie dość, że rozwódka z ciebie, to jeszcze i babcia, w dodatku w sile wieku! – Matka z głową w chmurach poklepała mnie po ramieniu.

– Jeszcze nie rozwódka, mammo!

– Ale już niedługo, już niedługo – popatrzyła na mnie, nie przestając się cieszyć. – Rozmawiałam z adwokatem, właściwie gospodyni na plebanii rozmawiała z księdzem, którego bratanek jest adwokatem...

Że słucham? O mojej katastrofie życiowej, o której nie zdążyłam jeszcze dobrze pomyśleć, wie już cała wieś?!

– Mammo...

– Iwonka, ty się nie obraż, ale ja muszę z ojcem na zakupy jechać, bo rozumiesz, trzeba

uczcić jakoś tę nowinę. Lecę się przebrać. Pokoje przyszykowane. W łazienkach u góry czyste ręczniki, jakbyście chcieli się odświeżyć... – dodała w biegu i tyle ją widziano.

Świetnie. Będziemy świętować, że niepełnoletni Łukaszek zostanie ojcem. Zmęczona tym całym powitaniem rozparcelowałam bagaże po towarzystwie, a sama, zabierając ze sobą bliźniaki, ruszyłam ku domowi rodziców. Musiałam odświeżyć siebie i dzieci, bo po ich mokrych główkach niemalże się łało, a w ubraniach znaleźć można było wszystko: od gum do żucia (przeżutych), po chipsy i pojedyncze nogi lalek Barbie, i to w dodatku w kieszeni Antosia! I nie uwierzycie, co spotkało mnie, gdy tylko otworzyłam drzwi do mojego rodzinnego domu. Właściwie nie co, ale kto. GOSPOSIA!

– Witam. – Na moje oko pięćdziesięcioletnia kobieta ukłoniła się z serdecznym uśmiechem.

– Pomóc panience z bagażami?

– Nie, dziękuję – powiedziałam odruchowo. Przecież to mój dom, moje bagaże i żadna obca baba mi się tu wtrącać nie będzie. Nic mi też nie wiadomo o tym, że status społeczny moich rodziców podniósł się aż tak, żeby stać ich było na prywatną pomoc domową, ale o tym to ja sobie jeszcze z mamą porozmawiam. Chociaż, dlaczego właściwie z mamą? – Hm... – dodałam po chwili. – Jeśli się pani tak upiera, to właściwie dlaczego nie. Może mi pani towarzyszyć w drodze do mojego pokoju. Muszę panią o coś zapytać. Właściwie, przepraszam, bo ja się nawet nie przedstawiłam. – Puściłam walizkę, która zachwiała się lekko, ale się nie przewróciła, i podałam gosposi rękę. – Iwona, tak proszę się do mnie zwracać. A pani?

Gosposia chyba od razu zapałała do mnie najczystsza miłością.

– Michalina. – Potrząsnęła moją dłońią nieco zbyt energicznie. – Da pani tę torbę – powiedziała. – Albo chociaż dzieciaka wezmę. – Wskazała na Antosię, która wtuliła się właśnie w moje ramię. – Zapraszam za mną. Pokój gotowy...

Przecież, kurczę blade, pamiętam jeszcze, jak dojsć do mojego pokoju! Nie czekając na Michalinę, ruszyłam ku mahoniowym drzwiom, które niegdyś prowadziły do mojej krainy zapomnienia. No właśnie, jak się okazało, niegdyś.

– A gdzie pani? – Zdumiona Michalina, gdyby mogła, to z pewnością zagroziłaby mi w tym momencie drogę. – Toć to mój pokój.

– Słucham?

– No, starsi państwo zorganizowali mi tutaj pokoik, żeby dojeżdżać nie musiała, bo jednak mam kawał drogi.

– A my gdzie? – zapytałam pozbawionym entuzjazmu głosem.

Zabrali mi ostatnią radość w tym domu!

– A Iwonka z dziećkami na górze. Znaczy, bliźniaki osobno, jeśli Iwonka o to pyta. Zaprowadzę... – I tak oto panosząca się w moim domu Michalina zaciągnęła nas do pokoiów gościnnych, czyli na specjalnie zaaranżowaną dla rodziny górę, która zdawała się niemalże czekać na przyjazd tak licznej grupy ludzi.

Kiedy już znaleźliśmy się na „salonach”, najpierw wepchnęłam pod prysznic bliźniaki, a kiedy bliźniaki, sprysznicowane do granic możliwości i ubrane w czyste ciuszki (stare natychmiast zarekwirowała Michalina i od razu wrzuciła je do pralki), pobiegły wraz z trajkoczącą Agatką na podwórze, w końcu ja sama się sprysznicowałam (przyjemnie ciepłą wodą), natarłam olejkami i kremem przeciwzmarszczkowym (ot tak, dla polepszenia własnego samopoczucia), bo w końcu zostałam sama z moim zaczynającym się na nowo życiem.

Wypakowując wielką walizę, w którą upchnęłam rzeczy i moje, i bliźniaków, w końcu pomyślałam o sprawach prywatnych, czytaj: o bawidamku. Dopiero dotarło do mnie, że rozwód jest nieunikniony. Załamana usiadłam na łóżku i kątem oka dostrzegłam, że ugięło się lekko pod moim ciężarem. No i masz, nie dość, że będę rozwódką, to jeszcze grubą. Nawet łóżko wpędza mnie w kompleksy!

Ocierając łzy, zastanowiłam się nad przyszłością. Moje dzieci skazane będą na tułaczkę między domem matki i ojca, bo bawidamek dba o pociechy, tego mu zarzucić nie można. Rozdarte między dwoma środowiskami. Nękanie ciągłymi awanturami i wzajemnymi oskarżeniami, bo jak znam bawidamka, to on komentarzy na mój temat sobie nie oszczędzi. Tak naprawdę bezdomne, bo

co to za dom? Raz u jednego, raz u drugiego.

Tak sobie myśląc, zupełnie się rozkleiłam nad losem tych biednych sierot, kiedy do pokoju wsunął głowę Łukasz. Oczywiście bez pukania. Nie dość, że sierota, to jeszcze niewychowana!

– Mamo, jesteś? – zapytał jakoś łagodnie.

Odpowiedziało mu moje pociągnięcie nosem, co zaowocowało tym, że w efekcie siedział teraz obok mnie, obejmował tym swoim męskim ramieniem i dopytywał, o co chodzi.

– Widzisz Łukaszek, bo to nie takie proste – pociągnięcie nosem.

– Ale co mamuś? Smutno ci, że ojciec okazał się takim sku...

– Synek!

– No co mammo, mówię jak jest. Żeby wywinąć taki numer, to trzeba być, no nie wiem... chyba tylko ojcem naszym, bo inaczej tego wytłumaczyć nie umiem.

– Wiem, tylko tak mi was teraz szkoda, synuś. Wpadniecie mi w jakieś złe towarzystwo, bliźniaki rozdarte między dwoma domami, bo ojciec oczywiście uwije gniazdko z Adelą. Przeraza mnie jakoś ta wizja przyszłości...

– Mamo, słuchaj, jedną rzecz ci powiem. Ty się nie maź! Ojciec to niezłe ziółko i jeśli myśli, że ktokolwiek pozwoli mu z tobą pogrywać, to się grubo myli. Jesteś najwspanialszą matką na świecie i żaden, powtarzam, żaden facet cię tego nie pozbawi. – Łukaszek objął mnie mocniej, a ja muszę przyznać, że tak jakoś miło mi się zrobiło, gdy to powiedział. Prawdziwy mężczyzna z tego mojego chłoptasia, nie ma co.

**Po tej** spontanicznej rozmowie z Łukaszem jakoś tak lżej mi się zrobiło i spokojnie mogłam zabrać się do dalszego rozpakowywania, tym razem rzeczy bliźniaków. Ich pokoić połączony był drzwiami bezpośrednio z moją sypialnią, żebym mogła mieć na nich oko przez cały czas. Jak to się dzieje, że moi rodzice myślą o wszystkim?

Podśpiewując sobie, wyrzucałam z torby wszystko jak leci i generalnie wszystko jak leci zaraz wrzucałam do kosza na pranie, ponieważ pakując się w biegu, zupełnie nie zwracałam uwagi na to, czy wrzucam do torby czyste, czy brudne. Reszta rodziny gdzieś przepadła, to znaczy:

1. Rodzice na zakupach przed uroczystą obiadową kolacją, którą chcieli uczcić poczęcie ich pierwszego prawnuka.

2. Agatka, trąkocząc przez telefon z jakimś fagasem, którego imienia nawet nie pamiętam, zajmowała się biegającymi (wśród idealnie poprzycinanych krzewinek mojej mamy) bliźniakami.

3. Łukasz i Magda poinformowali mnie, że idą zwiedzić okolicę, bo Magda i dziecko potrzebują dotlenić się po podróży najpierw pozbawionym dopływem powietrza pociągiem, a później mazdą. Ale obiecali wrócić za parę minut.

4. Michalina przepadła gdzieś w domu po zabraniu sterty brudów do prania. Oczywiście dodała tylko, że w życiu nie widziała tyle ubrań do prania, ale to bardzo dobrze, bo ona uwielbia dla państwa starszych prac, a pranie dla nas będzie prawie taką samą przyjemnością.

Tym właśnie sposobem zostałam w posiadłości rodziców sama. Szczęśliwa. Wolna i bezproblemowa. A przynajmniej wmawiałam sobie, że tak właśnie się czuję, bo do wolności było mi daleko, a i na liczbę problemów narzekać nie mogłam.

Po mniej więcej godzinie odkryłam, że się nudzę, co okazało się uczuciem ponad moje siły. Mogłam co najwyżej pooglądać telewizję, chociaż naprawdę tego nie cierpię. Od razu mi się ciśnienie podnosi, kiedy widzę te dyskusje w serialach albo, jeszcze lepiej, w rządzie.

Wynudzona do granic możliwości postanowiłam, po tym, jak pomyśl z oglądaniem telewizji upadł, odciążyć Agatkę i zabrać bliźniaki na plac zabaw znajdujący się niedaleko, czyli na boisku przy szkole podstawowej w Sosenkach. Zapakowałam do torby picie i jakieś drobne łakocie, chwyciłam bliźniaki za rękę i ruszyliśmy.

Bardzo przyjemnie by się nam spacerowało, gdyby nie fakt, że moje dzieci były zupełnie nieprzystosowane do wiejskich widoków. Spędziły około piętnastu minut na łące, na której pasły się krowki, a następnie sterczały przy płocie jakiegoś domostwa, bo po podwórku chodziły kury! Ja w tym czasie pogawędziłam sobie przez telefon z koleżanką, która koniecznie musiała opowiedzieć

mi o tym, jak zeszłego wieczoru wylała drinka na spodnie jakiegoś faceta, a on zamiast zrobić awanturę, dał jej numer telefonu. Tak się jednak fatalnie złożyło, że kiedy tylko zapytała, co u mnie, musiała (niestety) już kończyć.

Na wsi było dziwnie pusto, co nie zmartwiło mnie za bardzo. Szczerze mówiąc, nie miałam jeszcze ochoty na pogawędkę ze starymi znajomymi, których nie widziałam od lat, a już na pewno nie czułam potrzeby tłumaczenia im, że od wczoraj jestem szczęśliwą singielką z czwórką dzieci plus synowa (można Magdę do tego określenia przecież podciągnąć). Wywołałoby to ich współczujące, pełne litości spojrzenia i ponownie zrobiłoby mi się przykro, a tego przecież wybitnie nie chciałam. Jak to jednak w życiu bywa, moja radość nie trwała zbyt długo, bo kiedy tylko dotarliśmy na plac zabaw, a bliźniaki zniknęły w grupie biegających, huśtających się i skaczących dzieci, okazało się, że wszystkie kobiety w moim wieku właśnie o tej porze spotykały się na poobiednich ploteczkach.

– No oczom nie wierzę, Iwonka! – wykrzyknęła tęga blondynka w różowej bluzce, która wydała mi się znajoma dopiero wtedy, gdy stanęłam z nią twarzą w twarz.

– We własnej osobie – uśmiechnęłam się, mam nadzieję, że wcale niesztucznie i już po chwili i ja żyłam ploteczkami ze wsi. Kto, z kim, dlaczego, jak. Dowiedziałam się, że Sołtysiakowa, kimkolwiek by była, zaszła w kolejną nieplanowaną ciążę, a do proboszcza przyjechała zbuntowana kuzynka, która za nic w świecie nie daje się socjalizować. Słuchając tych wszystkich nowinek, modliłam się tylko, żeby nie nastąpiło pytanie, co u mnie.

Wiedziałam jednak, że jest to nieuniknione.

– No, my tu gadu-gadu, a ty odwiedzasz nas, przyjeżdżając z wielkiego świata na wieś Iwonko – zwróciła się do mnie chuda jak patyk brunetka. O ile dobrze pamiętam, miała na imię Kaśka. – Opowiadaj, jak ci się tam wiedzie. Jak przystojny mąż? Co z pracą?

Od natłoku myśli zaczęło kręcić mi się w głowie. Co powinnam im powiedzieć? Ile one same wiedzą, bo o ile znam życie, wiedzą o wszystkim po wyprawie mojej matki do sklepu po świeże bułeczki. Moją odpowiedź na moment odwlekło pojawienie się u mojej nogi Antoniny i lekkie szturchnięcie mnie w udo jej chudziutkim, kościstym łokciem kłującym jak szpileczka.

– Co tam kochanie? – Pochyliłam się do małej, poprawiając jej przy tym sukieneczkę.

– Taki chłopiec nie chce dać Antosiowi pobujać się na huśtawce!

– To powiedz Antosiowi, niech go grzecznie poprosi.

– Dobrze! – rzuciła tym swoim uroczym głosikiem i już jej nie było. Ja tymczasem znów zostałam sama ze stadem wygłodniałych wilków, które tylko czekały na informacje z pierwszej ręki.

– A, wiecie jak to jest... – zaczęłam niepewnie. – Na nic nie ma czasu. Tu dom, tu dzieci, tu wyjazdy, spotkania w wydawnictwie...

– W wydawnictwie? A co z przedszkolem? Nie pracujesz już w zawodzie? – zapytała z ożywieniem myszowata Romka, z którą chodziłam do podstawówki. Czy ktoś kiedyś powiedział jej, że brwi można regulować?

– No, tak wyszło. Mąż zarabiał, tfu, zarabia tyle, że nie musiałam zniknąć z domu na całe dnie, tym bardziej, kiedy urodziły się bliźniaki, więc ograniczyłam się, jeśli pisanie można nazwać ograniczeniem – chichot kobiet – jedynie do przyjemności, skoro praca w przedszkolu nie była konieczna. Zresztą wiecie, w wielkim mieście to nie tak, jak tutaj. Tam nie pracuje się od 8 do 13, ale praktycznie całodobowo, bo to dyżury na świetlicy, to...

Przerwał mi kuksaniec w udo.

– Tak kochanie?

– Mamusiu, bo ten chłopiec nadal nie chce dać Antosiowi tej huśtawki, chociaż Antoś go ładnie poprosił.

– Skarbie, to powiedz Antosiowi, niech powie temu chłopcu, że plac zabaw jest dla wszystkich i bujajcie się na kolejki, dobrze?

– Dobrze.

– O czym to ja? – zapytałam, podnosząc się z kolan i wracając do dyskusji.

– No, wspominałaś o tym, że piszesz. Wydają cię? Czemu nic o tym nie wiemy? Można cię

kupić? Znaczą książkę twoją, oczywiście.

– Mogę wam załatwić parę egzemplarzy, nie ma problemu, jeśli tylko jesteście zainteresowane.

– Ależ naturalnie, jesteśmy, jesteśmy! – Ich wdzięczność wydała mi się co najmniej sztuczna.

– A jak dzieciaki? Ile te twoje starsze już mają? Chłopak to już z 18 ma, co?

– Łukasz, nie, jeszcze nie. Dopiero za parę miesięcy kończy. A Agatka...

Kolejny kuksaniec.

– Mamo, minęła już kolejka, a ten chłopiec Antosiowi nie dał!

– Tosiu, to powiedz temu chłopcu, że to nieładnie i że mamusia zaraz tam się do niego pofatyguje, jeśli Antkowi nie ustąpi – powiedziałam, udając, że ciągłe problemy Tośki wcale mnie nie drażnią.

– Dobrze – rzuciła tamta i już jej nie było.

– A Agatka ma 15 lat – dokończyłam.

– Porosły te dzieci, nie wiadomo kiedy – powiedziała dziewczyna, która w dzieciństwie miała wyjątkowo zadarty nos, o ile dobrze pamiętam.

– Ba, wasze też porosły – odpowiedziałam jej dość mało elokwentnie.

– Nie narzekaj, Iwonka – ja, narzekam?! – Ty masz chociaż te maluchy, to po tobie wieku nie widać. Zresztą spójrz na siebie, a na nas – faktycznie. Przy moich ubraniach z „miastowych” sklepów, nie dodam, że większość z nich pochodziła jednak z promocji, wypadały nieco blado.

Kuksaniec. CO ZNOWU?! No zaraz osobiście pójde do tego dzieciaka i go z tej huśtawki zwale! Porozmawiać przez chwilę w spokoju nie można!

– Tak kochanie? – Pochyliłam się ze stoickim spokojem na twarzy.

– Chodzi o to mamusiu, że ten chłopiec...

– Tak kochanie, już tam idziemy i zaraz z nim porozmawiam, Antoś będzie mógł się pohuścić.

– Mamusiu, ale nie o to chodzi – upierała się Antonina, szarpiąc mnie za nogawkę spodni, o mały włos ich ze mnie nie ściągając.

– To o co, kochanie?

– Bo Antoś powiedział, że musi sobie radzić sam, no i poradził – Antosia niemalże z dumą ogłosiła mi tę radosną nowinę.

– No widzisz. To leć się bawić, kochanie.

– Ale widzisz mamo, bo ja chciałam, żebyś ty powiedziała mamie tego chłopca, żeby tam poszła, bo on teraz płacze...

– Jak to płacze? Kochanie, co Antoś mu zrobił?

– No, powiedział, że nie będzie na ciebie czekał i sobie poradził...

– Tak kochanie, rozumiem, ale chodzi mi o to, JAK on sobie poradził.

– No, zrzucił go...

– Jak to zrzucił? Antoś go zrzucił?

– No tak. I kopnął w buzię. I powiedział: a masz, jeśli myślisz, że możesz ze mną zadzierać, to się mylisz, bo ja jestem mężczyzną!

I tak oto wizyta na placu dobiegła końca, a ja wraz z synem kryminalistą i współczującymi spojrzeniami matek, które doszły do wniosku, że na mojego Antosia miasto tak wpłynęło i wyzwoliło w nim agresywne zachowania, wróciłam do domu w sam raz na obiadową kolację upichconą przez mamę. Byłam jednak zadowolona, że temat bawidamki nie został przez moje koleżanki poruszony. Załapałam się na nakrywanie do stołu, głośne wołanie młodzieży i jej dziadka, toast na cześć prawnuka i pyszne jedzonko w roli głównej. Jak nic przytyło mi się ze dwa kilo od samego zapachu. A po kolacji już tylko usnąć bliźniaki, uprzedzić młodzież, że o 22 włącza się alarm i spać.

Ależ ja tego snu potrzebowałam...

**Obudziło** mnie rano pukanie do drzwi, po którym, zanim zdążyłam wymamrotać zaspane proszę, weszła do pokoju moja matka, a za nią, posłusznie jak zawsze, tatuś, ubrany w kraciatą piżamkę.

– Kochanie, pomyśleliśmy, że wpadniemy do ciebie z ojcem, zanim dzieciaki się obudzą, bo wczoraj, przez Łukasza i Madzię, nie zdążyliśmy wcale porozmawiać o tobie i o tym, co dalej będzie... – mama zrobiła znaczącą przerwę.

– Mama chciała powiedzieć, że martwimy się o ciebie – wszedł jej w słowo tatuś, za co zaraz został zmiażdżony lodowatym spojrzeniem.

– Chyba lepiej wiem, co chciałam powiedzieć, tak? – wycedziła mama i usiadła na moim łóżku, z dezaprobatą kręcąc głową.

– Mamo, czy moglibyście się nie kłócić? – zapytałam, siadając na łóżku i podkładając sobie poduszkę pod plecy. Musiałam źle spać, bo kark bolał mnie przy najmniejszym nawet ruchu. A może to napięcie spowodowane przedłużającym się stresem i brakiem perspektyw?

– Jasne córuniu, nie denerwuj się – mama zmieniła ton na przymiłny i posłała mi ciepły uśmiech.

– Powiedz nam, jak to z tym sukinsynem było? – zapytał bez ogródek tatuś, a ja poczułam szczypiące łzy pod powiekami.

– Jak było tatuś, tak było. – Staralam się grać twardą. – Ważne jest, że już nijak nie będzie, a ja nie wiem, co mam robić dalej.

– Jak to co, córciu, możesz tutaj sobie u nas siedzieć, ile chcesz, my ci we wszystkim pomożemy.

– Mamo, ja wiem, że mogę na was liczyć, ale jak ty to sobie wszystko wyobrażasz, że razem z taką bandą ludzi przejdziemy na wasze utrzymanie? Przecież to wszystko to jakiś horror – rozplakałam się i schowałam twarz w dłoniach. Mama westchnęła, a tata zaklął, nadal targany nienawiścią do bawidamka.

– Jakoś ci pomożemy kochanie, nie martw się. Staniesz na nogi i to raz dwa! – Mama starała się mnie pocieszyć, ale ja dobrze wiedziałam, że moja przyszłość maluje się co najmniej źle.

– Jak stanę, mamo? Nie mam pieniędzy, nie mam mieszkania, mam za to pięć głów, a ja to szosta, do utrzymania i cały zwierzyniec. Tamten naśle na mnie zaraz pewnie jakiś sąd i jeszcze będzie starał się odwrócić wszystko przeciwko mnie, co próbował zrobić ostatnio przez telefon. Dlaczego ja jestem wszystkiemu winna mamus, no dlaczego? Co ja im wszystkim zrobiłam? – chlupałam, nie mogąc się uspokoić. Czułam się jak mała dziewczynka, która nagle straciła grunt pod nogami.

– Słuchaj córuś, nie martw się. Daj sobie trochę czasu, żeby się pozbierać, a ja rozpuszczę wici i popytam w okolicy, może ktoś ma jakąś pracę albo jakieś mieszkanie. Pomieszkaj trochę z dzieciakami u nas, stań na nogi, czy chociaż doprowadź się do stanu używalności. Zabierzemy dziś z ojcem dzieciaki nad jezioro, pogoda robi się ładna, weźmiemy ich na żaglówkę, a ty wyśpij się, popisz... Nie wiem, co cię odstresowuje, ale dojdź do siebie, bo małżeństwo ci się zawaliło, ale masz jeszcze dzieci, którym sypie się rodzina i potrzebują wsparcia, a matka w kawałkach na nic im się nie przyda. Gorsze rzeczy dzieją się na świecie i ludzie sobie jakoś z tym radzą.

– Wszystko się poukłada córuś. – Tata poklepał mnie po ramieniu. – Daj sobie tylko trochę pomóc, a kiedy staniesz na nogi, jakoś nam się odwdzięczysz, skoro tak ci śpieszno do niezależności. Stoi? – zapytał, a ja rozchlipałam się na nowo.

– Co ja bym bez was zrobiła – wydukałam, po czym na nowo zaczęłam szlochać.

– Pośpij sobie jeszcze. Michalina robi ci jakieś śniadanie, a ja doprowadzę dzieci do porządku i zaraz wyjeżdżamy. Niech lepiej nie widzą matki w takim stanie – dodała na odchodne moja matka i wyszli z pokoju, zostawiając mnie rozchwianą emocjonalnie.

Naprawdę nie wiem, co ja bym bez nich zrobiła. Westchnęłam tylko i zsunęłam się na łóżko, nakrywając twarz kołdrą. Płócienna pościel zaszeleściła, kiedy starałam się pod nią umościć, a łóżko zaskrzypiało cicho, sygnalizując tym samym, że moja waga już nie ta, co kiedyś.

Zniknij zły świecie. Chcę obudzić się wtedy, kiedy wszystko będzie dobrze. Błagam.

**Kilka kolejnych** dni w Sosenkach upłynęły mi na dochodzeniu do siebie, co z dnia na dzień zaczęło wychodzić mi coraz lepiej. Dzieciaki, ku mojej radości, zaaklimatyzowały się u dziadków naprawdę dobrze, a maluchy z entuzjazmem przyjęły fakt, że zabrałam je tu na wakacje. Moja młodzież, jak koty, zaczęła chodzić swoimi drogami, a ja pierwszy raz od dawna mogłam swobodnie im na to pozwalać, bo co złego mogłoby stać im się tu, na wsi? Mogłam więc darować sobie moralizatorskie rozmowy o chodzeniu samemu w ciemne i puste miejsca, wsiadaniu do samochodów nieznanym, bo tutaj nieznanym praktycznie nie było, a jeśli nawet, to ktoś i tak ich znał, więc moje dzieci mogły być naprawdę bezpieczne.

Po tygodniu pobytu w Sosenkach skończyły się moje przeplakane popołudnia i wieczory, co pozwoliło mi na nowo zacząć pisać. Denna książkę o miłości, którą, ze względu na swój nastrój, postanowiłam totalnie przeorganizować, bo sama myśl o tym, że miałabym opisywać romantyczne schadzki i czule słówka, przygnębiała mnie, a w porywach nawet złościła.

Zewnętrznie jako tako się trzymałam, ale w środku nadal przypominałam roztrzęsioną galaretę. Chadzałam więc z bliźniakami na plac zabaw i pomagałam Michałinie w pracach domowych, żeby mieć jakieś zajęcie. Zaczęłam nawet doceniać obecność moich rodziców, którzy z wszystkich sił starali się pomóc mi z dziećmi, za co byłam im naprawdę wdzięczna.

Moje powolne, a nawet rozpaczliwe stawanie na nogi zepsuł jednak e-mail, który dostałam od Grzegorza pewnego czerwcowego popołudnia, kiedy to, jak co dzień, sprawdzałam swoją skrzynkę mailową. Jego wiadomość przestraszyła mnie nie na żarty.

@ Grzegorz do Iwony  
15.45

Nie będę się pieścił w żadne zwroty grzecznościowe. Zabrałaś mi dzieci i gorzko tego pożałujesz. Myślałem, że wywieziesz je na weekend, czy coś, a ty wyjechałaś bez pożegnania. Tęsknię za nimi, a ty nie miałaś prawa mi ich zabrać. Upprzedzam, że jeszcze ci się za to dostanie i to dość boleśnie. Składam pozew o rozwód z orzekaniem o winie. Jeszcze mi za to wszystko zapłacisz. Ludzie gadają na mnie, że rozbiłem rodzinę, ale to ty ją rozbiłaś tą swoją głupotą i nicnierobieniem. Jesteś samotną matką bez pracy, w dodatku nie dbasz o nasze dzieci. Każdy sąd mi je odda. Szykuj się na najgorsze, bo nie masz już nawet ich.

Grzegorz

Nie mam pojęcia dlaczego, ale kiedy tylko doczytałam wiadomość, odruchowo zrzuciłam laptop z kolan i pędem zbiegłam na dół, trzęsąc się ze strachu. Myśli kotłowały mi się w głowie jak szalone, a nogi ugiwały się pod mną złowieszczo. Wpadłam do kuchni, w której rodzice pili herbatę i zaczęłam płakać, mimo że rano kolejny raz spojrzałam w lustro i obiecałam sobie być twarda.

Tylko jak można być twardą w takich warunkach?!

– Matko kochana, Iwonka, co się stało? – Matka podbiegła do mnie i zaraz wzięła mnie w ramiona. Jej bluzka stała się mokra od łez w zaledwie kilka sekund.

– Henryk, znajdź no coś na uspokojenie w apteczce! – rzuciła do ojca, kiedy nawet w jej objęciach nie potrafiłam stłumić histerycznego szlochu. – Co się stało, kochanie? – próbowała wydusić ze mnie cokolwiek, a ja ryczałam, podczas gdy ona głaskała mnie po plecach.

– Grzegorz... on... mi... grozi... dzieci... chce... zabrać... dzieci... – wydukałam, płacząc jeszcze bardziej, a na moje nieszczęście do kuchni weszła Madzia, żeby odnieść talerz do zlewu. Stała w drzwiach jak wryta i obrzuciła mnie wystraszonym spojrzeniem.

– Co chciałas Madziu? – zapytał tata, odrywając jej zainteresowanie ode mnie.

– Coś się stało, pani Iwono?

– Nie, nie. Takie tam kłopoty, jak to mówią, nasza specjalność. – Tata próbował się

uśmiechnąć, ale mu nie wyszło.

– Aha. To może ja lepiej przyjdę później. – Madzia wycofała się z taktem, a ja odsunęłam się od mamy, łapiąc w końcu powietrze.

– Usiądź kochanie, weź te proszki. – Mama odsunęła mi krzesło i niemalże posadziła na nim, wciskając do ręki kubek z wodą. Kiedy połknęłam tabletki i popiłam, zaczęłam w końcu tłumaczyć im, o co chodzi. Zaowocowało to skokiem ciśnienia u taty i przerażeniem mamy.

Moim natomiast kompletnym załamaniem.

– Ale jak to jesteś złą matką?! To chyba trzeba Boga w sercu nie mieć, żeby takie głupoty gadać! – krzyczała mama, stojąc nad stołem i waląc w niego pięścią ze złości. – Sam się puszcza na prawo i lewo, dzieci ma w dupie, a jak co do czego, zgrywa niewiniątko, cholera jasna. Niech no ja go Iwonka dorwę, to nóg nie będzie miał i innej części ciała też nie! Dzwonię do księdza, niech no da mi namiary na prawnika, bo ostatnio tę kartkę gdzieś wsadziłam i nie wiem gdzie. A ty Henryk siedź tu i jej pilnuj, żeby nic głupiego nie zrobiła. Będziemy walczyć! – zarządziła mama i zniknęła w pokoju.

Ojciec wbił we mnie swój smętny wzrok. Czułam, że martwi się tym wszystkim o wiele bardziej niż pokazuje na zewnątrz. A ja schowałam twarz w dłoniach i starałam się nie rozkleić kolejny raz.

Zaczęłam w myślach liczyć od 1 do 10 i tak kilka razy. Czytałam gdzieś kiedyś, że to uspokaja. I chyba rzeczywiście tak się stało albo to te proszki zaczęły działać, bo kiedy mama wróciła do kuchni po dwudziestu minutach, nie miałam już nawet czym płakać.

– Ksiądz przyjedzie jutro z panem Staszkiem i postanowimy razem, co robić. Znajdziemy ci córcia jakąś pracę i mieszkanie. Napiszesz jakąś książkę, my ci z ojcem pieniędzy pożyczymy. Zanim on tu ludzi z sądu naśle, jakoś wszystko ci pomożemy poukładać, a po rozwodzie wrócisz do nas i będziecie u nas z dziećmiakami mieszkać. Postanowione – powiedziała mama, po czym wstawiła wodę i zaczęła miksować ciasto na podwieczorek. Od lat nic nie uspokajało jej bardziej niż gotowanie.

– Chcecie kawy? – zapytał tata, wstając od stołu, gdy czajnik zaczął żywo gwizdać, podskakując na kuchni gazowej.

– Ja dziękuję, w moim wieku picie kawy o tej porze nie jest już wskazane. Nie będę mogła później spać pół nocy – odpowiedziała znad miski z ciastem mama, teraz zawzięcie coś w niej mieszając.

– Ja poproszę – szepnęłam, a raczej wychrypiałam.

– Wiesz co, Henryk, zamiast kawy zaproponowałbyś lepiej coś mocniejszego – powiedziała mama swoim pretensjonalnym głosem, wycierając ręce w czerwony, kraciasty fartuszek, który zakładała zwykle, gdy zabierała się za pieczenie.

– No a coś mocniejszego to jest w twoim wieku wskazane, co? – rzucił jej ironicznie tata, po czym otworzył jedną z szafek i wyjął z niej dwa kieliszki.

– Iwonka? – spojrzał pytająco w moją stronę.

– W mojej sytuacji, lepiej, żebym zachowała trzeźwość umysłu. Tego by brakowało, żeby Grzegorz zrobił ze mnie alkoholiczkę...

– Święte słowa, córuś – skwitował moje zdanie tata i nalał im po kieliszku czerwonego wina. – Co jak co, ale teraz musisz o takie rzeczy dbać.

– **Iwona**, wiem, że może szybko, ale zaczęłam szukać ci mieszkania, a raczej tobie i dzieciakom, i znalazłam dwa interesujące. Myślę, że i tak nic nie znajdziesz, ale żebyś nie wytykała mi później, że ci nie pomogłam!

Popatrzyłam na moją mamuszkę spode łba, zastanawiając się, co ona kombinuje.

– No ba, że szybko mam! Ze trzy dni temu o tym rozmawialiśmy, a ty przechodzisz już do działania! Że ty z tym swoim pośpiechem nie dorobiłaś się wrzodów na żołądku, to cud!

A tam wrzodów! – dodałam sobie w myślach. – Dlaczego jakiejś superfirmy nie otworzyłaś i nie zaczęłaś robić na tym kasy, naprawdę jestem zaniepokojona – mruknęłam sama do siebie



w myślach i przygotowałam się na słowotok, który zaraz miał nastąpić.

– Jedno należy do kuzynki mojej koleżanki z koła gospodyń wiejskich. Chce wynająć dwa pokoje i kuchnię w swoim domu, bo odkąd jej syn wyprowadził się na studia, a mąż odszedł, to jej dom stanowczo jest dla niej za duży, a zawsze to lepiej dzielić się z kimś rachunkami. Umówiłam się z nią, że jutro po południu wpadniemy do niej i obejrzymy – poinformowała mnie mama. Co prawda nieprzyjemny e-mail Grzegorza okazał się na razie jedynie groźbą bez pokrycia, ale lepiej przygotować się z awansu.

– Jeno mamuś, no to jest świetna wiadomość – odpowiedziałam jej, zakładając na Antosiową pupę spodenki w kratkę. – A ta druga opcja?

– A to znalazłam ogłoszenie, a raczej numer telefonu, jak byłam na zakupach z Michaliną. W bloku na Ogrodowej ktoś chce wynająć jakieś mieszkanie. Nie wiem nic więcej, ale spisałam numer, to zaraz możemy zadzwonić i też się umówić na zwiedzanie – dodała roztargniona, patrząc, jak ubieram teraz Antoninę.

– Pewnie, skończę ubierać bliźniaki i mogę zadzwonić. W tym tygodniu powinny wpłynąć pieniądze z wydawnictwa za ostatni miesiąc, więc starczyłoby mi na wynajem czegoś na jakiś czas. Albo przynajmniej na pierwszą ratę i kaucję... – powiedziałam, wciągając Antosi przez głowę żółtą sukienkę, co ta postanowiła skwitować niezadowoloną miną.

– Nie obraż się Iwona, ale jakoś tak na odwal te dzieci ubierasz, muszę ci powiedzieć.

– Mamo, nie będą ich stroić, skoro i tak będą się bawiły tylko na podwórku, no bój się Boga!

– Nigdy nie wiadomo, kto w odwiedziny przyjdzie, a to, że Ty o siebie nie dbasz, nie znaczy, że o dzieci też nie musisz – odcięła mi się i założyła rękę na rękę, wbijając we mnie swoje pełne wyrzutu spojrzenie. Kochałam swoją mamę, ale jej charakter, pełen władzy i dominacji ze skłonnością do pokazywania swojej wyższości na każdym możliwym kroku, po pewnym czasie obcowania razem zaczynał działać mi na nerwy i przypominać, dlaczego dzieci w pewnym wieku osiągają suwerenność i opuszczają rodzinne gniazdko.

– Czyją ty właściwie trzymasz stronę, co? – rzuciłam jej pretensjonalne pytanie.

– Nie rozumiem, o co ci teraz chodzi.

– Że może powinnaś stanąć po stronie Grzegorza i zabrać mi dzieci, skoro jestem taką złą matką i nie potrafię ich nawet ubrać!

– Oj Iwona, nie wiem, o co ci chodzi. Zamiast się denerwować i boczyć na mnie, weź lepiej ten numer i umów nas na spotkanie z właścicielem tego mieszkania, a nie oskarżaj mnie o jakieś głupoty z samego rana. I szykuj się, oczywiście pojedę z tobą do tej mojej koleżanki. Może wtedy nam zejdziesz z ceny! – rzuciła ostatnie słowo mama i wycofała się dumnie z pokoju.

Cała ona. Najpierw prowokuje, a potem ciebie oskarża o wszczynanie kłótni. Dzięki Bogu po tylu latach życia pod jednym dachem nauczyłam się już ignorować te jej zaczepki, bo kiedyś rozpoczynały wielogodzinne awantury, a teraz proszę – kilka jadowitych zdań i koniec. Cóż, widać do wszystkiego człowiek może przywyknąć. Nawet do zaczepki matki.

Zostawiając bawiące się wesoło bliźniaki w pokoju, ruszyłam z karteczką w ręce do sypialni i umówiłam się z właścicielem mieszkania, który, notabene, przez telefon brzmiał bardzo młodo, na siedemnastą. Dowiedziałam się przy okazji, że to mieszkanie to całkiem spore M-2, co niestety nie za bardzo mnie urządzało, ale jak to mówią, lepszy rydz niż nic. Najwyżej ja zamieszkać w łazience, Magda z Łukaszem w jednym pokoju, a Agata z bliźniakami w drugim. Nie wiem, co zrobimy ze zwierzętami. Im zostawię korytarz. Tak chyba byłoby najrozsądniej.

Po wykonaniu tego telefonu zrobiło mi się jakoś lżej na sercu. Pierwszy raz od rozstania z bawidamkiem ujrzałam w końcu światło w tunelu. No, może nie było to jakieś nie wiadomo jakie znów światło, ale tłący się knot jakiejś miniświeczki. Nawet promienie popołudniowego, czerwcowego słońca, wpadające do sypialni przez uchylone okno, wydawały mi się w tamtym momencie wyjątkowo jasne i ciepłe. Coś jest w tym odzwierciedlaniu stanów emocjonalnych przez naturę. No dobra, albo raczej w sile autosugestii. Jak zwał, tak zwał.

Na poobiednie zwiedzanie mieszkań postanowiłam zabrać ze sobą Agatę, bo Magda cierpiała tego dnia na poranne mdłości, które u niej nie były do końca takie znów poranne, i mamę,

która właściwie upierała się, żeby ze mną jechać o wiele bardziej niż ja sama miałam na to ochotę. Argument, że to ona załatwiła nam te mieszkania okazał się jednak nie do zbiccia i musiałam zgodzić się na jej towarzystwo, co, wiedziałam już od samego początku, nie mogło zwiastować w tej sytuacji niczego dobrego. Moja mama, jak mogliście się już przekonać, potrafi mieć nadzwyczaj cięty język, czego nie omieszkała przypomnieć nam już w momencie, kiedy razem z Agatą wysiadłyśmy z samochodu przed domem jej koleżanki.

– Takie błoto na podjeździe? No przecież to śmieszne, żeby człowiek nie mógł kostki brukowej chociaż sobie położyć. Całe buty zafajdane! – grymasiła mama, przedzierając się przez błoto.

– Nie narzekaj, babciu. Rano trochę pokropiło i powstało tu bagno. Zresztą, co to przeszkadza? My i tak nie mamy samochodu, prawda, mamo?

– Przypominaj mi o tym częściej! – odcięłam się Agatce, starając się nie ubrudzić bardziej brązowych sandałków na obcasach, w których postanowiłam wybrać się na zwiedzanie.

– Witam, witam! – rozległo się wesołe pokrzykiwanie starszej pani z kwiecistą chustką na głowie, która stojąc w progu domu, energicznie machała do nas. – Zapraszam, tędy, tędy. – Wskazała na cieniuchny chodnik wzdłuż domu. – Jak pada, to u nas takie błoto, że głowa mała!

– Nie da się nie zauważyć – burknęła mama i pierwsza wgramoliła się po schodkach.

– To co, herbaty zrobić? – zaproponowała starsza pani, gdy wszystkie trzy znalazłyśmy się na ganku.

– Dziękujemy kochana, dziękujemy, ale przejdźmy od razu do rzeczy, a raczej tych twoich pokojów, bo my tu mamy dziś niejedno oglądanie i trochę nam się śpieszy! – wtrąciła się bez ogródek mama i bez pytania weszła do środka domu. Pokręciłam głową z dezaprobatą, ale starsza pani w kwiecistej chustce pozostała niewzruszona. Może w ich czasach bezpośredniość była w cenie, bo dziś raczej potrzebny jest dobry takt, którego moja matka, jak widać, nie posiadała.

– Prowadź kochaniutka, prowadź – pohukiwała mamusia, a my z Agatą posłusznie poszłyśmy za panią Elą, która z zapalem wchodziła po schodach na górę.

– No, to to żem chciała wynająć – powiedziała dumnie, kiedy znalazłyśmy się na niewykończonym pięttrze, które składało się z potężnego przechodniego pokoju, małej łazieneczki i jednej sypialni. Zdecydowanie za małej powierzchni, żeby pomieścić tu nas wszystkich. Niestety.

– Powiem ci kochana, że apartament to to nie jest... – wypaliła matka, rozglądając się dookoła, za co została spiorunowana moim wzrokiem i wzrokiem Agaty.

– Bardzo ładnie pani tu ma, pani Elu – postanowiłam ocieplić nasz wizerunek w oczach starszej pani, którą słowa mamy zbiły z tropu. – Tylko że nas jest cała gromada i raczej się tu nie zmieścimy – dodałam, zaglądając do klaustrofobicznej łazieneczki.

– A ile tam was jest? – zapytała pani Ela, która widocznie liczyła na szczęśliwy finał oglądania.

– Sześć osób i zwierzęta – odpowiedziałam jej, uśmiechając się przyjemnie.

– No to może data jakoś radę, co?

– Wątpię. Bardzo mi przykro, ale niestety, pani poddasze jest dla nas za małe.

Pani Ela smutno spuściła głowę, licząc pewnie na pierwsze zyski od lokatorów. Może, gdybym miała o dwójkę dzieci mniej, to zgodziłabym się na te warunki, tym bardziej że cena, którą nam proponowała, naprawdę nie była wysoka.

– Chodź babciu, wychodzimy! – Agatka złapała pod rękę moją matkę, która z zapalem krytyka sztuki rozglądała się jeszcze po poddaszu.

– Ja ci powiem kochana – rzuciła na odchodne matka do biednej pani Eli – że ty z takim grzybem na ścianach to tego mieszkania szybko nikomu nie opędzłujesz. Wiesz, jakie to niezdrowe na płuca? Ściągnij może kogo, niech to oczyści.

– Mamo!

– Babciu! – krzyknęłyśmy naraz i ja, i Agatka, po czym moja młodsza wepchnęła babcię do samochodu.

– No co, niech kobiecina wie, co sprzedaje. Może nie dopatrzyła, trzeba jej uczciwie

powiedzieć, że penthouse to z jej poddasza żaden. I to błoto na podjeździe... – lamentowała matka w drodze pod jedyny w Sosenkach blok, w którym miałyśmy obejrzeć następne mieszkanie. Mam nadzieję, bardziej skutecznie.

– Może zostawimy babcię w samochodzie, co? – szepnęła mi na ucho Agatka, kiedy parkowałam.

– Córcia, też to rozważałam, ale w taki upał to chyba nie do końca humanitarne – odpowiedziałam jej równie cicho i spojrzałam na tylne siedzenie dziadkowego auta, na którym mamusia zapisywała coś w swoim czerwonym notesiku.

Może robiła notatki z naszej podróży? A może... spisywała już nachalne pytania, które zada właścicielowi mieszkania? Biedny. Oby nie była dla niego tak niemila jak dla pani Eli, która przecież nie zawiniła, że bawidamek splotził czwórkę dzieci. A ja byłam na tyle głupia, żeby dać się w wychowywanie tej gromady wrobić.

Drugie mieszkanie okazało się całkiem sporym M-2 z kuchnią i przytulną łazienką. Było słoneczne i świeżo wyremontowane, a do pełnego wyposażenia brakowało mu niewielu mebli, bez których ostatecznie moglibyśmy się obyć. Przyznam, że oczami wyobraźni widziałam już, jak wstawiam do kuchni tapczan dla siebie, a dzieciaki kłócą się o to, kto ma skorzystać pierwszy z łazienki. Wielkim plusem był też balkon, który teraz, letnią porą, mógłby robić za suszarnię, a zmieściłby się na nim nawet basen dla dzieci. Choć one, jak znam życie, i tak wolałyby spędzać każdą wolną chwilę u dziadków.

Niestety, moja matka znalazła powód, dla którego mieszkanie miało się dla nas nie nadawać. Jego właściciel był gejem – co mamusia od razu zauważyła.

– Przepraszam bardzo, a czy pan tutaj mieszkał, czy tylko wynajmuje? – zapytała niezbyt uprzejmym głosem.

– Przyznam pani, że mieszkaliśmy tutaj z partnerem kilka miesięcy, ale ciągnie nas do większego miasta. On dostał pracę, a ja chyba za bardzo go kocham, żeby pozwolić mu odejść, więc zdecydowaliśmy, że podnajmiemy na razie mieszkanie, a potem... a potem to się zobaczy – odpowiedział jej wyczerpująco właściciel ubrany w kraciastą koszulkę.

– Ach tak... wybaczy pan, ale czy wy tutaj... robiliście razem jakieś jednoznaczne rzeczy? – drażyła dalej matka.

– Mamo!

– No co, pytam, czy uprawiali tutaj ten swój gejowski seks. Mam chyba prawo wiedzieć, prawda?!

– Co ma pani na myśli? – oburzył się chłopak.

– Pytam, czy jest pan gejem homoseksualnym.

Agata parsknęła śmiechem.

– A to można być hetero?

Mamusia posłała mi pytające spojrzenie.

– Nie, nie. Nic, nic – musiałam wkroczyć do akcji, zanim i tego biednego chłopaka zrównały z ziemią, tak samo jak panią Elę. – Mamusia chciała powiedzieć, że bardzo podoba nam się mieszkanie.

– No co ty Iwona gadasz! – oburzyła się matka. – Oni tu robili Bóg wie co, a ty chcesz tu moje dzieci sprowadzić? Po moim trupie! – rzuciła na cały głos i oburzona wymaszerowała z mieszkania, w którym, jak zadeklarowała, jej noga nigdy więcej nie postanie, żeby nie zarazić się jakimś HIV-em. Starając się udobruchać jakoś rozwścieczonego chłopaka, który przecież nie był winny, że moja matka nie jest kobietą tolerancyjną, razem z Agatą opuściliśmy nasze niedoszłe gniazdko.

– Chyba nie powinnyśmy były zabierać dziś babci, mamo – szepnęła do mnie rozczarowana Agata, zapinając pas w dziadkowym aucie.

– Oj, jak ja się z tobą córeczko zgadzam. – Wygląda na to, że i w Sosenkach nie wychodzi nam nowy start. I dzięki mojej mamusi raczej nie wyjdzie!

Załamana wróciłam więc do domu i jak długa padłam na łóżko, starając się uniknąć kolejnego załamania, które miało nadejść o wiele szybciej, niż mogłabym się tego spodziewać.

Widać, jak się wali, to wszystko naraz.

– **Mamo**, czy ja mogę cię o coś zapytać? – Antoś pociągnął mnie za rękę, gdy, jak co dzień, szłam z bliźniakami na plac zabaw, żeby straciły tam trochę energii, nim nastanie wieczór i pora usypiania, która w czasie wakacji potrafiła dłużyć się w nieskończoność.

Słońce grzało dziś niemiłosiernie, potwierdzając tym samym słowa przeraźliwie chudej pogodynki, która od kilku dni trąbiła, że nastaną upały.

– Słucham cię syneczku – nachyliłam się do niego i zamieniłam w słuch, poprawiając okulary przeciwsłoneczne na nosie.

– Czy ty mogłabyś urodzić mi braciszka? – zapytał i wbił we mnie swoje wielkie, błagalne ślepka.

– Braciszka? Teraz? Chyba nie muszę wam tłumaczyć, jak bardzo, w obecnej sytuacji, to pytanie było nie na miejscu.

– Ale na co ci ten braciszek kochanie? Masz już przecież rodzeństwo – i to całkiem sporą gromadę tego rodzeństwa, dopowiedziałam sobie w myślach.

– No wiem – zawahał się mały – ale to nie to samo. Mógłbym z nim grać w piłkę i się bawić samochodami. Bo Tosia to za bardzo nie chce – wydał usta Antek, po czym uroczo wypiął do przodu swój okrągły brzuszeczek.

– W piłkę możesz pograć z Łukaszem, a dzidziusia urodzi niedługo Madzia – spróbowałam jakoś go pocieszyć.

– No tak. Czyli Madzia urodzi mi braciszka?! – rozpromienił się w trymiga.

– Właściwie... to tak – odpowiedziałam mu, nie chcąc wdawać się w za bardzo zaawansowaną dyskusję. – Ale wiesz, że mamusie nie mają za bardzo wpływu na to, czy urodzi się dziewczynka, czy chłopiec? Co będzie, jak Madzia urodzi dziewczynkę?

Antek zamyślił się na chwilę, widać zbity z tropu moją sugestią. Niemalże fizycznie widać było, jak myśli, a jego szare komórki grzeją się od nadmiaru produkowanej energii.

– Nie martw się Antek – wtrąciła się do dyskusji Antonina, przysłuchująca się do tej pory biernie naszej rozmowie. – Jak Magda urodzi dziewczynkę, to spróbujemy jeszcze raz! – wykrzyknęła radośnie i razem z bratem pobiegli na plac zabaw.

Muszę chyba porozmawiać z Magdą o płci dziecka. Jak na tę chwilę wolałabym jednak chłopca. Żeby nie trzeba było PRÓBOWAĆ jeszcze raz!

**Przyspieszone** wakacje właściwie dopiero się zaczynały, a moje dzieci zdążyły już całkiem nieźle zaaklimatyzować się u dziadków i powoli doprowadzały do szaleństwa moją, pomimo wszystko o słabych nerwach, matkę, nadrabiającą charakterem. Żeby uniknąć wakacyjnej awantury i poprawić sobie humor po nieudolnym poszukiwaniu własnego kąta i odrobiny niezależności, chociaż mieszkaniowej, postanowiłam zabrać dzieciaki na wycieczkę do lasu. Tatuś chętnie pożyczył nam auto. Widocznie i jego kości wyczuwały w powietrzu kłębiącą się awanturę.

Zapakowaliśmy się więc wszyscy do samochodu, zabierając przy tym psy, które też chciały w końcu porządnie się wybiegać, i ruszyliśmy na spotkanie leśnych przygód. W przeszłości bardzo rzadko zdarzały nam się rodzinne wypadki na łono natury, dlatego postanowiłam się cieszyć nim pomimo wszystko. Właściwie nie było to trudne, gdyż bliźniaki aż rwały się do zwiedzania lasu, biegania po zielonych mchach i między skrzącymi się w słońcu pajęczynami.

– Mamo, mamo, wyczuwajka! – krzyknął Antoś, machając w moją stronę potężnym kijem, który ledwo utrzymywał w ręku.

– Co synku? – zapytałam zainteresowana, co też takiego wymyślił.

– Wyczuwajka! Pomoże nam znaleźć grzyby! – oznajmił mi wielkodusznie synek i zaczął biec przed siebie z wyciągniętym do przodu patykiem.

– Ja też, ja też! – zawtórowała mu Antonina i wyrwała się Agacie, po czym złapała kij i wyciągnęła go przed siebie.

– Nazbieramy cały koszyk! – krzyczał wesoło Antek, ganiając między drzewami, doprowadzając mnie tym samym do szybszego bicia serca. A jak się przewróci i na ten badył nadzieje?!

– Chyba nie będziemy im mówić, że o tej porze roku nie ma grzybów, co? – zaśmiał się do mnie Łukasz, nie puszczać ręki Magdy, której, notabene, to leśne powietrze naprawdę dobrze zrobi. Niech się dziewczyna dotlenia!

Spacerowaliśmy sobie w najlepsze, rozkoszując się pięknem dzikiej, nieskażonej ręką człowieka przyrody. Muszę przyznać, że towarzystwo mojego narybka bardzo dobrze wpływało na mój obolały rozum i wrastające w niego problemy. Dzięki fikającemu na mchu koziołki Łukaszowi, roześmianej Agacie i tylko raz wymiotującej Magdzie oraz bliźniakom, wyszukującym grzyby, udało mi się co najmniej zrelaksować. No, przynajmniej do momentu, w którym nie rozległo się w lesie głośne:

– Maamo! – w wykonaniu Antoniny.

– Co się stało? – Ruszyłam pędem w odpowiedzi na pisk małej i dobiegłam do kucającego na trawie Antosia. – Wszystko dobrze? – zapytałam przejęta i klękłam obok niego, rzucając wzrokiem na wszystkie możliwe części drobnego ciała, szukając śladów zderzenia z kijem.

– Wszystko dobrze! – odpowiedziała radośnie Tosia. – Popatrz, grzyb! – piszczała rozemocjonowana, wskazując swoim kijem na muchomora.

– Mamy grzyb! – zawtórował jej braciszek, dumnie podnosząc w górę swój kij, który niemalże nie pociągnął go za sobą do tyłu. – To dzięki wyczuwajce! – rozpromienił się i posłał mi podekscytowane spojrzenie, na widok którego mój puls znacznie zwolnił. Byli cali i zdrowi, i nic im się nie stało. Nie zdążyłam jednak porządnie odetchnąć z ulgą, bo nagle poczułam, że coś chodzi mi po nodze, a następnie drobne ukłucie, a za nim następne i następne. Co jest?

– Mrowisko! – jęknęłam i gwałtownie zerwałam się na równe nogi, pociągając za sobą niczego nieświadomego Antosia, którego insekty też zdążyły już obleźć. Natychmiast zabrałam się za odganianie mrówek z jego nóżek, narażając się tym samym na kolejne ukłucia w swoje łydki, które zaczynały już piec.

Antoś, nadal nie do końca wiedząc, o co mi chodzi, zaczął szarpać się i wrywać do wspólnie z siostrą znalezionej grzyba i krzyczeć, że go biję. Jak na komendę znalazły się obok mnie starsze dzieciaki, którym, na szczęście, udało się zamknąć buzię małemu krzykaczowi i uświadomić mu, że mama wcale go nie biła, ale otrząpywała dla jego własnego dobra, ponieważ mnie zupełnie nie chciał słuchać.

Zrezygnowana i wyprowadzona z równowagi płaczami i krzykami Antoniego, przypomniałam sobie, dlaczego nieczęsto wybieraliśmy się razem spędzać czas na łonie natury, po czym zarządziłam powrót. Niepocieszone bliźniaki rozpoczęły więc wycie na dwa głosy, obwieszczając całemu światu, że one bez wyczuwajek nigdzie nie jadą. Po groźbach i błaganiach przyjął ten argument i pozwoliłam im zabrać do auta gałęzie. No dobrze, trochę to trwało, bo okazało się, że Łukasz, fikając koziołki przed Magdą, zgubił gdzieś w lesie kluczyki do samochodu, których poszukiwanie również chwilę nam zajęło.

Do domu wróciłam więc nie wypoczęta, ale jeszcze bardziej zmęczona. Cała ta wycieczka wyszła jednak na dobre mojej mamie, która, najwidoczniej, zdążyła sobie trochę od nas odpocząć, gdyż po powrocie wybrała się z bliźniakami i ich towarzyszkami podróży do ogrodu na poszukiwanie grzybów. Że też jej się chciało latać cały wieczór z patykiem i krzyczeć „wyczuwajka”, to ja nie wiem.

– **Dwa kilo** mąki tortowej jeszcze poproszę – powiedziałam do sprzedawczynie w niebieskim fartuszkach, która wybijała na kasie kolejno jajka, cukier i wodę.

– Jakieś ciasto się szykuje? – zapytała, nie podnosząc wzroku znad kasy fiskalnej. Było kolejne, gorące czerwcowe popołudnie, a pot ciekł po naszych czołach jak szalony.

– Mama coś tam ma zamiar upiec, właściwie to nie wiem sama, jakie.

– No tak, skoro taką gromadę teraz wykarmia, to i ciasta napiec musi więcej. Ale jej się to

pewnie podoba, bo ciasta pani Haliny słynne są na całą okolicę. Coś jeszcze podać? – zapytała, odkładając na bok dwa kilo mąki, o które prosiłam.

– Dwie tabliczki mlecznej czekolady, bez żadnego nadzienia poproszę.

– Słyszałam, że szuka pani jakiegoś kąta dla siebie, bo się z mamusią zgodzić razem nie możecie. Prawda to? – kontynuowała swój wywiad sprzedawczyni, sięgając z szafki smakołyki.

– I tak, i nie. Z rodzicami źle nie jest, ale to zawsze lepiej mieć swój dach nad głową, a nie zwałać się starszym rodzicom z taką gromadą dzieci.

– Dzieciaki pewnie zachwycone, co? W takiej posesji jak wasza to każdy by wakacje chciał spędzać.

– Nie rozumiem.

– No, mówię tylko, że wy takie luksusy macie. Michalina mi tu na zakupach wczoraj opowiadała, że dzieciaki szaleją na podwórku i takie tam.

– Ach tak – westchnęłam. – Poproszę jeszcze dżem, wiśniowy, jak pani ma.

– A będzie kochaniutka, będzie. A tak swoją drogą, jak ty usilnie mieszkania szukasz, to moja siostra ma domek na Mazurach. Podobno ruina wielka to nie jest, a ona drogo za to nie weźmie, bo tylko kulą u nogi jej ten dom. Jak chcesz, to podpytam, co i jak. Tobie się przyda, w Sosenkach to zbyt wielu perspektyw człowiek z twoim doświadczeniem nie ma, bo szkolnictwo zapchane od lat tą samą kadrą. Może gdzieś dalej powinnaś poszukać, a do rodziców na weekendy wpadać, jak za czasów studenckich.

Ekspedientka wbiła na kasę dżem i zapatrzyła się na mnie.

– Właściwie czemu nie. A ona drogo by za ten dom chciała?

– A to już nie mnie pytać, kochaniutka. Jak chcesz, to ja do niej zadzwonię, nawet i teraz – zaoferowała.

– Nie, nie. Bardzo dziękuję, ale muszę się z tym przespać. Ale numerem kontaktowym nie pogardzę. Na kupno domu mnie teraz nie stać, ale zawsze może się przydać.

– No jak już chcesz. Stare toto i puste stoi, to lepiej, żeby kto pomieszkał, bo siostra się telepie, że jej się rozpadnie zaraz, jak dłużej będzie tak często używany.

– Dziękuję pani bardzo. Przedzwonię do pani siostry. A teraz przejdźmy może do płacenia. Ile to wyszło? – zapytałam, zapisując w telefonie numer siostry ekspedientki. Dom na Mazurach nie wydał mi się dobrym pomysłem. Nie dość, że pewnie jest w oplakany stan, to pieniędzy jak nie było, tak nie ma. Przelew z wydawnictwa wprawdzie przyszedł, ale tyle tego, że kot więcej by napłakał.

Niepocieszona tym, że muszę obejść się smakiem, a nie nowym lokum, wróciłam z zakupami do domu. Spocona i padnięta, bo upał na zewnątrz był niesamowity, weszłam do środka, gdzie, jak się okazało, od pół godziny czekała już na mnie cała rodzina. I, jak to można się było spodziewać, od razu wylała mi kubek zimnej wody na głowę.

– Mamo, nie uwierzysz – jęknęła zmartwiona Agata, wstając od stołu w oranżerii.

– Co się stało? Co to za miny? – zapytałam, obrzucając ich twarze pytającym spojrzeniem.

– Była tu właśnie jakaś kobieta z opieki społecznej i przyniosła mi i Agacie to – powiedział Łukasz, wręczając mi kilka zszytych kartek papieru.

– Co to jest? – zapytałam, biorąc je do ręki.

– Formularz Niebieska Karta B, dla ofiar przemocy domowej. Podobno ojciec złożył do nich skargę, że nas bijesz.

– Co?! – jęknęłam i osunęłam się na kanapę. – Ale jak to?

– Tak to mamuś, katujesz mnie, Agatę i bliźniaki ile wlezie. Mamy się stawić w przyszłym tygodniu na jakąś komisję. A raczej ty masz się stawić i my. Będzie tam policja i ta baba. Chcą to wszystko wyjaśnić, ale ta kobieta wyglądała raczej na taką, co to łatwo przekonać się nie da.

Westchnęłam tylko w odpowiedzi. Grzegorz nie rzucał jednak słów na wiatr i postanowił się mścić. Zakręciło mi się w głowie. Ale jak to, ja i przemoc? Przecież...

– Nie martw się mamo – zaczęła ratować mój stan ducha Agata, która usiadła obok mnie i objęła mnie ramieniem. – Nikt w te głupoty przecież nie uwierzy. Mści się ojciec, że nas wywiozłaś i tyle. Wyjaśnimy tym ludziom wszystko. Przecież prawda prędzej czy później zawsze

wychodzi na jaw?

– Święte słowa Agatko – ryknęła matka, wstając od stołu. – Dupek to dupek, swoje pogada i nikt mu nie uwierzy. A ty się Iwona nie martw. Daj mi te zakupy, coś je przyniosła. Pójdę się odstresować i wezmę za to ciasto, bo już mi ciśnienie podniósł. Ja od razu mówiłam, ty Iwona za niego nie wychodź, ale jak żeś była mądrzejsza, tak teraz masz – skwitowała mama i wzięła ze sobą zakupy do kuchni, żeby za chwilę mogło rozlec się stamtąd ciche podśpiewywanie i szum miksera.

– Nie słuchaj babci mamó. Kto mógł wiedzieć, że tata taki cyrk wywinie – starała się pocieszyć mnie Agatka.

– Kiedy ta komisja? – jęknęłam ponownie, zerkając na plik kartek.

– Dziewiętnastego. W przyszły wtorek – odpowiedział konkretnie Łukasz.

– Może jakoś to wszystko uda się jeszcze odkręcić – uśmiechnęłam się blado do dzieci, chociaż sama za bardzo nie mogłam w to uwierzyć.

Ten kretyń, składając to zawiadomienie, nie pomyślał oczywiście o tym, jakie pociągnie za sobą lawinowe konsekwencje dla mnie jako matki. Cotygodniowe wizyty policji i nadzór opieki społecznej. Westchnęłam. Jeśli wcześniej myślałam o tym, że gorzej być nie może, to widocznie bardzo się myliłam. Jak się okazało, mogło być o wiele, wiele gorzej. A o ile znam Grzegorza, to dopiero początek.

Zmarnowana starałam się uspokoić jeszcze rozemocjonowane dzieci. Dla ukojenia nerwów zabrałam bliźniaki na późnopołudniowy wypad na plac zabaw, a potem spędziłam wieczór na werandzie, napawając się widokiem zachodzącego słońca, w samotności sącząc wodę z miętą i cytryną. Byłam samotną matką, obie próby znalezienia mieszkania skończyły się fiaskiem, matka zaczynała działać mi na nerwy, a do tego okazałam się nie tylko wyrodną żoną, ale w oczach bawidamka także agresywną matką. Na domiar złego, z dnia na dzień sprawy zaczynały komplikować się coraz bardziej.

Ach, gdybym tylko wiedziała, jak to wszystko poskładać na nowo i wyprostować. W duchu modliłam się o jakiś mały znak i wtedy, jak grom z jasnego nieba, wypadł mi z kieszeni telefon, który, uderzając o podłogę werandy, roztrzaskał się na małe kawałeczki. Dom na Mazurach. Numer, który dostałam dziś od ekspedientki.

– Jak nie teraz, to kiedy? – powiedziałam pod nosem i podniosłam obudowę telefonu, zabierając się do składania go z powrotem w jedną całość. – Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma – dodałam, po czym włączyłam telefon i odszukałam zapisany dzisiejszego popołudnia numer. Raz się żyje.

Nie zastanawiając się za długo, wcisnęłam zieloną słuchawkę.

– **Jak to** dom na Mazurach? Czyś ty na głowę upadła? Policja i opieka społeczna nad tobą wiszą, a ty domy na Mazurach sobie wymyślasz? – ryknęła moja matka, kiedy na drugi dzień rano opowiedziałam jej o szczegółach wczorajszej wieczornej rozmowy z przesympatyczną panią Tereską. – Trzymaj mnie Henryk, bo zaraz nie wytrzymam i jej coś zrobię. Czy ty słyszysz, co ona za głupoty gada?! – lamentowała matka, pretensjonalnie machając rękami w kierunku Bogu ducha winnego ojca.

– Kochanie, ja właściwie uważam, że to wcale nie jest taki zły pomysł, jak tobie się wydaje. Pytanie tylko, w jakim ten dom jest stanie – odpowiedział tata, robiąc krok w tył, żeby przypadkiem nie dostać od owładniętej szałem matki.

– Nie bądź śmieszny. Oczywiście, niech ona wywiezie dzieciaki do jakiejś walącej się nory i tam spokojnie poczeka, aż Grzegorz jej je zabierze, bo u nas tak źle jej i niedobrze.

– Mamo, to nie jest tak, że u was mi źle, bo mi tu dobrze aż za bardzo.

– Guzik prawda, jakby ci było dobrze, to nie chciałybyś mi wnuków zabierać! – uderzyła w płacz matka i uwiesiła się na wychudzonym ramieniu ojca, który uśmiechnął się do mnie ze zrozumieniem znad jej głowy.

– Nie płacz Halina, przecież to nie byłby koniec świata – starał się uspokoić ją ojciec. – Nawet gdyby pomysł z domem wypalił, to przecież maluchy i tak spędzą u nas wakacje i to całe,

nie musisz z tego powodu płakać.

– Ty jak zawsze musisz ją bronić – wysmarkała mama, trzęsąc się w szlochu jeszcze bardziej.

– Mamo nie wygłupiaj się! Jeszcze nie podjęłam żadnej decyzji, umówiłam się z panią Tereską, że pojedę tam i po prostu go obejrzę, a ty od razu urządzasz jakieś niepotrzebne cyrki. Dom i tak wymaga remontu, więc to jeszcze nic pewnego.

– No właśnie kochanie – przytaknął mi tata. – Może jeszcze nic straconego, Halinko – cmoknął ją w głowę.

– Liczyłam na to, że pożyczycie mi auta, żebym na dniach mogła się tam wybrać. To podobno tylko czterdzieści minut stąd, tak że w jeden dzień spokojnie pojedę i wrócę. A nawet i w pół dnia!

– Nie ma sprawy, pożyczę ci auto, powiedz tylko, kiedy. – Tata się uśmiechnął.

– Masz rację, stawaj po jej stronie i wspieraj w tych wszystkich nienormalnych pomysłach! Może jeszcze sam ją tam zawieź albo jedźcie razem i zacznijcie wspólny remoncik, pozbawiając mnie dzieci! – ryknęła matka, gwałtownie odsuwając się od ojca i smarkając wyszła na dwór, manifestując tym samym swoją dezaprobatę wobec mojego pomysłu.

– A co ty myślisz, tylko szczerze, tato? – zapytałam, gdy mama znajdowała się już poza zasięgiem naszych głosów.

– Nie wiem, Iwonka. Najrozsądniej będzie jechać tam, obejrzeć i przekonać się, jak to wszystko wygląda. Z matką na co dzień ciężko jest wytrzymać. Masz możliwość się stąd wyrwać, to za długo nie czekaj. Sama widzisz jak jest. – Uśmiechnął się zadziornie i wyszedł, żeby udobruchać swoją małżonkę.

Ach tatku, ciebie to powinni normalnie ozłocić za to, że ty przez tyle lat z nią wytrzymałeś. Bo ja na dłuższą metę po prostu nie dam rady.

– *Szerokiej* drogi mamo! – Agatka cmoknęła mnie w policzek, wsuwając głowę do samochodu przez otwarte okno. – My się tu wszystkim zajmiemy, a ty obejrzyj ten dom i wracaj tu jak najszybciej z dobrymi wiadomościami w komplecie! Może bez babci jakoś ci się uda znaleźć dla nas kąt – szepnęła, kątem oka zerkając w kierunku trzymającej na rękach Antoninę babci.

– Dzięki kochanie. Miej oko na maluchy – powiedziałam, uśmiechając się do niej i zapaliłam silnik.

Był sobotni poranek, a pogoda dopisywała w najlepsze. Kiedy wyjeżdżałam z posesji w Sosenkach, na twarzy czułam rozgrzewające promienie czerwcowego słońca, a dusza aż rwała mi się do podróży. Świetnie było siedzieć w domu u rodziców, ale na dłuższą metę życie w jednym miejscu już mnie nie satysfakcjonowało, tym bardziej że nie miałam tu na tę chwilę żadnych przyjaciół ani do kogo uciec, kiedy matka szalała, działając mi na nerwy. Podróż na Mazury, mimo napięcia, które odczuwałam na samą myśl o samodzielnej jeździe samochodem, wydawała mi się świetnym pomysłem.

– Ahoj przygodo! – krzyczała moja głowa, kiedy wsunęłam na nos przeciwsłoneczne okulary.

Sprawnym ruchem włączyłam radio. Dziennikarz opowiadał właśnie o tym, że jedna z supergwiazdek show-biznesu nie radzi sobie ze spłatą kredytu. Innym razem natychmiast przełączyłabym stację. Teraz jednak cieszyłam się za bardzo pierwszą od dawna chwilą dla samej siebie. Choć po głowie nadal kołatały mi przykre myśli, że nie sprawdziłam się jako żona, starałam się widzieć jasne strony tej sytuacji. Zawsze chciałam wyjechać na Mazury, a mało tego, mieć tam dom. Może zaczęłabym w końcu więcej pisać i utrzymywać się tylko z tego, patrząc, jak jesienne liście, a potem płatki śniegu wirują za oknem. W mojej głowie w końcu pojawił się jakiś jasny płomyczek, który był już na wyciągnięcie ręki.

Zerknęłam kątem oka na leżące na desce rozdzielczej klucze, które wczorajszego ranka wręczyła mi pani Tereska, żebym mogła na spokojnie jechać i obejrzeć posesję. Na zdjęciach wyglądała wspaniale. Pełna zapału wcisnęłam mocniej pedał gazu. Och dzieci, ale miałybyście



frajdę, gdybyśmy zamieszkali wszyscy razem na Mazurach. Wasz ojciec mógłby natomiast zesrać się z zazdrości, kisząc się w ciasnym mieszkanku z Adelą i jej wielkim biustem. Ona, z tymi swoimi nader rozbudowanymi płucami musi zużywać przecież o wiele więcej tlenu niż cała nasza piątka razem wzięta!

Podróż do małej miejscowości na Mazurach trwała godzinę dłużej, niż początkowo planowałam, bo wraz z moim niesamowitym szczęściem najechałam na jakiś wypadek, ale mimo to nie odczuwałam frustracji. Nie musiałam nigdzie się spieszyć. Dzieci były pod dobrą opieką, a ja zamierzałam wykorzystać w pełni czas, którym obdarzył mnie los, abym odpoczęła od matki i myśli o tym, że Grzegorz ma zamiar odebrać mi dzieci. Jakby nie odebrał mi już najbardziej entuzjastycznej części mnie, którą przez ostatnie kilkanaście lat starałam się dzielić razem z nim.

Droga polna, prowadząca na posesję pani Tereski, była niezwykle wąska. Właściwie, to była wąska do tego stopnia, że gdyby spotkały się na niej dwa samochody, jeden z nich musiałby cofnąć się aż do głównej drogi, żeby ten drugi mógł wyjechać. Jechałam i jechałam, a domu jak nie było widać, tak nie było i powoli zaczynałam się denerwować, czy moja nawigacja nie zwariowała i nie wywiodła mnie w pole.

W pewnym momencie wąska dróżka odbiła w bok i skończyły się kocie łby, którymi była wyłożona. Auto, podskakując na nierównej nawierzchni, sunęło teraz wśród wysokich traw, a ja co i rusz z niepokojem zerkałam w boczne lusterko. Zaniepokojona błędziłam wzrokiem przed sobą, ale gdy zaczęłam tracić nadzieję, moim oczom ukazał się całkiem solidny dom, który zapamiętałam ze zdjęć pani Tereski. Mogłam odetchnąć z ulgą i zaparkować w końcu auto. Ze spokojem stwierdziłam, że znalazłam się właśnie w najbardziej urokliwym miejscu na całym Bożym świecie.

– Halo, mama? – powiedziałam głośno do telefonu, gdy tylko wysiadłam z auta. – Tak, jestem już na miejscu.

– I co, dom stoi?

– Stoi – potaknęłam, rozglądając się po malowniczej okolicy.

– Pewnie ruina jakaś. Obejrzałaś już? No to wracaj! – odpowiedziała bez entuzjazmu matka.

– No właśnie jak na pierwszy rzut oka, to żadna ruina. Dom stoi i wygląda dość solidnie.

W dodatku to jedno z piękniejszych miejsc, jakie widziałam, dodałam sobie w duchu. Matka nie znosiła romantycznej części mnie, a lwa się nie drażni. Tym bardziej przed podwieczorkiem.

– Czyli jednak! – Mamusia załamała się i, jak ją znam, rozłożyła bezradnie wolną rękę. – Zabierzesz mi ich... – głos jej się załamał. Z jej zdolnościami przechodzenia z nastroju w nastrój mogłaby zacząć grywać w filmach i pewnie trzaskałaby z tego niezłą kasę.

– Mamo, na litość boską, nie siej paniki! Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie do końca potrafię zrozumieć, jak za tak śmieszne pieniądze pani Tereska chce sprzedać tak duże siedlisko, a ty od razu dostajesz paranoi. Wszystko wygląda bardzo ładnie, przynajmniej na zewnątrz. No dobrze, może podwórko jest zaniedbane, ale mamo, widok na jezioro... własny pomost...

– Pomost, sromost. Jeszcze ci się dzieci potopią i tyle z tego domu będziesz miała! – zakończyła rozmowę matka i z tupetem rozłączyła się, zostawiając mnie samą.

Cała ona. Westchnęłam tylko i włożyłam telefon do kieszeni spodenek. Czas zajrzeć do środka!

Nie burząc niesamowitego spokoju, którym aż promieniowała posesja nad jeziorem, wyjęłam z samochodu klucze i skierowałam się do wejściowych drzwi częściowo porośniętych ciemnozielonym bluszczem. Zamek zaskrzypiał, gdy przekręcałam klucz, a drzwi zachrobotyły, kiedy pchnęłam je do wewnątrz.

Pełna nadziei zajrzałam do środka i mało ducha nie wyzionęłam, gdy deska pode mną zapiszczała i zarwała się, a ja utknęłam jedną nogą w dziurze, opierając się na rękach, którymi zamortyzowałam upadek do przodu. No tego to ja się nie spodziewałam. Wielkie wejście!

Niestety, dalsze zwiedzanie pięknego, starego domu obnażyło przede mną ogrom jego wad, który, na moje nieszczęście, przesłaniał niesamowite wrażenie, jakie domostwo robiło na pierwszy rzut oka. Rury zardzewiały, w kranach nie było bieżącej wody. Pominę fakt, że łazienka, a raczej wychodek, znajdowała się na zewnątrz, na ściany wdarła się pleśń, a kilka desek, już mniej majestatycznie, a bardziej złowieszczo skrzypiało pod moimi krokami. Meble też pozostawiały

wiele do życzenia. Kuchnia i salon, które pamiętały pewnie jeszcze czasy wojny, może nadawały wnętrzą sentymentalny charakter, ale nie były za grosz praktyczne.

Z dezaprobatą kręciłam tylko głową, chodząc od miejsca do miejsca. Oczami wyobraźni widziałam co prawda śmiejące się dzieci, biegające w piżamach po ogromnym salonie, który niegdyś musiał być bawialnią, i wspólne posiłki jedzone przy długim stole w jadalni.

Robiło mi się coraz bardziej smutno. Każde kolejne rodzinne wyobrażenie powodowało, że łzy napływały do oczu i napływały. Dlaczego chociaż to nie mogłoby mi się udać? Nie zabrałam nawet matki! Czy ja naprawdę o tak wiele proszę?!

Zrezygnowana wyszłam z domu na zewnątrz i usiadłam na progu, pochylając się do przodu i zanurzając twarz w dłoniach. Już prawie zaczynałam płakać, kiedy rozdzwoniła się komórka. Na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie Agatki.

– Słucham? – jęknęłam do słuchawki i otarłam oczy.

– I jak mam? Babcia jakaś zła po rozmowie z tobą, nie chciała nam nic powiedzieć, a my wszyscy czekamy i czekamy na jakieś informacje!

– Oj Agatka, co ja mam ci powiedzieć, tu jest naprawdę pięknie... – odpowiedziałam mojej nastolatce rozmarzonym głosem. – Dom jest położony na uboczu wsi, nad samym jeziorem. Z ganku widać skrzący się w słońcu las i zakotwiczoną do mostka łódkę, która kołysze się na wodzie. Podwórko jest spore, chociaż zaniedbane, a dom...

– To wspaniale mam! – krzyknęła do telefonu Agata, nie dając mi dokończyć.

– Wspaniale – szepnęłam. – Szkoda tylko, że dom jest raczej w opłakanym stanie i tak jak na samo jego kupno, za śmieszne pieniądze, byłoby nas jeszcze stać, przy drobnym wsparciu finansowym dziadków, tak z remontem nijak sobie nie poradzimy.

– Mam, nie mów tak.

– Kiedy to prawda Agatko. Widać takie rzeczy dzieją się tylko w książkach albo na filmach. Nas, przynajmniej na tę chwilę, nie stać, żeby wyrwać się spod władzy babci i zacząć życie od nowa...

– Jakoś damy radę. Pójdziemy do pracy, wiesz, ty, ja i Łukasz. Magda to nie, ale... – zaczęła trąkotać Aga.

– Agatko, chyba tracę zasięg. Zadzwoń, jak będę wracać. Miej oko na resztę domowników, ściskam – weszłam jej w słowo, zanim zaczęła snuć zbyt dalekosiężne wizje. Jeszcze raz obrzuciłam wzrokiem niesamowity widok, który rozpościerał się przede mną i ponownie westchnęłam, opierając głowę o zamknięte drzwi za moimi plecami. Znowu zrobiło mi się przykro. Może powinnam się już do tego przyzwyczaić?

Cześć, to ja, Iwonka. Mam 37 lat, jestem blondynką i życie ostatnio mi nie wychodzi.

Posiedziałam na progu jeszcze kilkanaście minut i ociągając się, ruszyłam ponownie do samochodu. Nie będę ukrywać, że ciężko było rozstać mi się z drewnianymi okiennicami i białym budynkiem, porośniętym w dużej mierze bluszczem. Od dziecka marzyłam o tym, żeby zamieszkać w klimatycznym miejscu oddalonym od ludzi, a teraz brakowało mi nowego życiowego celu.

Zaraz! A gdyby tak... matka co prawda padłaby na zawał, a może nawet mnie wyklęła, ale czemu nie? Może uda mi się jakimś cudem uzbierać pieniądze na to miejsce? Może to ma być mój nowy cel?

Myśli tłukły się w mojej głowie, a ja uśmiechnęłam się szeroko, rozglądając się dookoła i rozkoszując klimatem siedliska. Wiatr miarowo poruszał gałęziami drzew, a ptaki śpiewały wesoło, bawiąc się w berka. Całe to miejsce wciągało mnie w siebie coraz bardziej i pochłaniało. Wdychając wilgotne powietrze, czułam, jak powoli wypełnia moje płuca i wnika do krwiobiegu. Nasiąkałam tym miejscem. Przenikało mnie.

Tak. Postanowiłam w jednym momencie. To właśnie to. Siedlisko będzie moim nowym celem. Postanowione.

– Ach, niedobrze – westchnęłam jednak głośno, mając na uwadze jego aktualny stan i wsiadłam do auta, po czym, wielokrotnie oglądając się za siebie, ruszyłam w drogę powrotną do domu.

Siedlisko to mój nowy cel, wspaniale. Mam po co żyć! Tylko skąd wziąć na nie pieniądze?

Jak znaleźć pracę? Jak przekonać matkę, by wypuściła nas ze złotej klatki? Wracałam do domu rodziców, bijąc się z myślami.

Wszystko było nie tak.

*W domu* powitano mnie gorąco. Dosłownie i w przenośni. Dosłownie, gdyż dziadek, który rozpałił wczoraj w piecu na ciepłą wodę, niechcący odkręcił też wodę na kaloryfery i mimo wietrzenia temperatura nadal nie była znośna. W przenośni, gdyż moje dzieci zachowywały się tak, jakby nie było mnie w domu co najmniej tydzień! Jakie miłe to z ich strony, że tak ściskają starą matkę. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko jakiegoś powiewu wewnętrznego optymizmu, który ostatnio, niestety, omijał mnie szerokim łukiem.

– Mamo, witaj w domu! – powitał mnie Łukasz, a zaraz za nim uściśnęła mnie Magda z rumieńcami na twarzy.

– Witajcie! – wykrzyknęłam, odpowiadając na ich uściski. – Gdzie Agatka? – zapytałam, bo brakowało mi jej blond głowy w całym tym powitalnym komitecie.

– A nie wiem – ruda Magda pośpieszyła mi z pomocą. – Rano jęczała, że się nudzi, więc zaproponowałam jej film, ale z racji tego, że nic nie było w telewizji, pomysł upadł. Agatka zapytała więc, czy nie mam czegoś do czytania. Niestety, nie wzięłam nic specjalnego, tylko jakieś nudy, ale powiedziała, że bierze wszystko. Wzięła i przepadła.

– Aaa... Agatka lubi nieraz zaszyć się z książką. Znajdzie się.

Kiedy już zostałam przez wszystkich powitana i znalazłam się w sypialni, przypominającej teraz saunę mimo otwartych okien, wyrzuciłam wszystkie ubrania z kosza na pranie, którymi od razu pieczołowicie zajęła się Michalina, a sama otworzyłam laptopa i sprawdziłam pocztę. Kilka reklam od razu trafiło do kosza, maile z wydawnictwa zostały przeczytane, jednak nie znalazłam w nich nic specjalnego, poza rozliczeniem i informacją, że pierwszy nakład ostatniej powieści sprzedał się niemal w całości i będzie dodruk. Bez odpowiedzi nie pozostał jednak e-mail od Kaśki, mojej koleżanki z pracy.

@ Katarzyna do Iwony

10.16

Iwonko!

Znikasz bez słowa, nie odzywasz się od niemalże miesiąca i zostawiasz mnie tu z tym wszystkim samą. Co ja mam odpowiadać, kiedy dziewczyny pytają, czy cała ta ucieczka to prawda? Jeśli masz jeszcze trochę serca, to odezwij się do starej koleżanki. Mnie też zżera ciekawość. To prawda z tym rozwodem z orzekaniem o winie?

Kasia

@ Iwona do Katarzyny

11.34

Kasieńko, niestety, plotki to prawda.

Bawidamek zabawiał się w najlepsze z Adelą, a co najgorsze, to że mnie robi tę złą. Nie wiem, jak sobie z tym radzę, mam wrażenie, że wciąż staram się odbić od dna, co niestety wychodzi mi tragicznie. Na pytania dziewczyn odpowiadaj na razie wymijająco albo wcale, bo jeszcze sama nie wiem co dalej. Muszę najpierw skontaktować się z prawnikiem, ale rozwód to tylko formalność, bo nawet gdyby błagał mnie na kolanach, nie wrócę. Obiecuję zadzwonić do Ciebie w najbliższym czasie, ale takie tu urwanie głowy, że nie mam na to czasu. Ściskam!

Iwona

PS Mówiłaś, że szukasz kota. Fela mi się okociła.  
Przygarniesz jedną sierotkę?

Kiedy tylko zdążyłam wysłać maila i zamknąć laptopa, rozległo się z dołu głośnie Iwoooooooooonkaaaaaaaaaa! I musiałam zejść na dół.

– Polecony do ciebie.

– Do mnie? – Ruszyłam ku matce, obok której stał listonosz.

– Z sądu. Może być nieciekawie.

– Gdzie tam nieciekawie. Z sądu to tylko w jednej sprawie.

Stwierdziłam, podpisałam pokwitowanie i przesłałam do rozpakowywania listu.

– A nie mówiłam.

– Rozwód... – westchnęła moja matka. – No i pozamiatane.

Rozwód z orzekaniem o winie. Tak, jak się tego spodziewałam. To ja w jego oczach jestem złą i wyrodną matką, a on odszedł ode mnie, bo nie mógł już tego wytrzymać.

– Chce mi odebrać dzieci... – jęknęłam, doczytując pismo sądowe do końca i niemalże zatoczyłam się do tyłu. To wszystko po prostu nie mieściło mi się w głowie. Dramat narastał, a ja tonęłam w tym szambie coraz bardziej.

– Dzwonię do pana Staszka. Wiesz, tego prawnika – zadyrgowała mama.

– Jasne... – potaknęłam tylko, gdyż w dyskusje z moją matką lepiej nie wchodzić, a poza tym nie miałam na to nawet siły. Nie dość, że ta cała Niebieska Karta, to jeszcze i to. Przecież jestem dobrą matką. Byłam. Będę. To on mnie zostawił, wykorzystał i zrujnował fizycznie, psychicznie i na każdy sposób. Czym ja sobie na to zasłużyłam, no czym?!

Prawnik zjawił się w naszym domu koło piętnastej razem z księdzem proboszczem, który potrzebny był jak piąte koło u wozu! Jak sądziłam, rozmowa z prawnikiem była tylko formalnością. Pan Staszek zgodził się mnie reprezentować i zapewnił, że nie da zabrać bawidamkowi całego majątku, oprócz tego, co mu się prawnie należy z racji naszej intercyzy. Choć według mnie powinien zabrać tylko swój sklep, bo w domu zamiast być tylko bywał w przerwach w pracy. A mój wkład finansowy w remonty i meble?! Ale co tam, sklep jest jego. Nie będę żałować tych wszystkich biuściastych klientek. Niech się Adela teraz martwi! Ja umyłam od tego ręce, swoje wycierpiałam!

Gorzej wyglądała jednak sprawa z dziećmi, skoro interesuje się nami opieka społeczna i policja. Pan Staszek zapewniał mnie, że zrobi wszystko co w jego mocy, żeby dzieci zostały przy mnie. Tłumaczył mi co prawda, że przecież to ja byłam wielokrotnie zdradzana, na co na pewno znajdziemy wielu świadków i dowody. Choćby Grzegorz dwoił się i troił, i tak nic nie wygra. Jego słowa nie były w stanie mnie jednak przekonać.

Cóż. Racjonalnie rzecz ujmując, Pan Staszek może i miał rację. W moim odczuciu i tak nie wyglądało to jednak dobrze. Grzegorz to Grzegorz. Wielokrotnie udowodnił mi, że jest nieobliczalny, a sąd to sąd. Tam nigdy nic nie wiadomo. Dla mnie nie wyglądało to więc tak dobrze, jak naświetlił to prawnik i od razu obiecałam sobie w duchu przynajmniej starać się, żeby nic złego więcej się w naszej rodzinie nie wydarzyło. Może i obcy ludzie widzieli we mnie dobrą matkę. Ba! Może i ja sama ją w sobie widziałam i rzeczywiście nią byłam. Jak widać jednak, nie w oczach każdego.

Nie wiem, co pan Staszek jeszcze do mnie mówił, bo używał jakiegoś dziwnego, prawniczego żargonu, którego nawet nie będę cytowała, bo szkoda nerwów. W każdym razie obiecał się zająć wszystkimi formalnościami, a ja mam swojej ślicznej blond główki nie zawracać sobie niczym, poza odstresowaniem się.

Tylko jak ja mam do cholery jasnej to zrobić, kiedy nie jestem samodzielna finansowo, według bawidamka biję swoje dzieci i w ogóle to nie ma gorszej kobiety ode mnie?! Łatwo powiedzieć. Nawalam na każdej linii i nie ma co udawać, że jest inaczej. W oczach sądu to ja będę tą złą. I tak jestem już taka w oczach policji, opieki społecznej i sąsiadów. Czy może być gorzej?

Kiedy skończyliśmy rozmowę, do której pod koniec dołączyli także Łukasz i Magda, postanowiłam, że muszę w końcu zorganizować nastolatkom wyjazd na koniec roku i po odbiór

świadectw! Niech świat wie, że przynajmniej o ich edukację dbam jak należy, skoro nic innego nie potrafię. Wzdychając, zastanawiałam się, co mogłabym w tej sprawie zrobić i jak grom z jasnego nieba spadła mi dziś ta Kaśka, bo niby gdzie ja się z nimi zatrzymam? U bawidamka?! Wolałabym od razu rzucić się pod pociąg i oszczędzić światu dalszej możliwości przebywania ze mną.

– Halo? Kaśka, tu Iwonka.

– Iwonka, wiedziałam, że zadzwonisz. Jak ty się trzymasz?

– Dzięki, w porządku.

– A już się bałam, że skrajnie się załamiesz... rozmawiałam nawet z Danką, wiesz, tą, co jest psychologiem. Jakbyś potrzebowała...

– Dziękuję Kasieńko za troskę, ale dzwonię w innej sprawie.

– No mów, co tam.

Powoli i wyraźnie wytłumaczyłam Kasieńce, o co chodzi, co tylko ją rozradowało.

Oczywiście chętnie przenocuje mnie i moje dzieciaki, jeśli zajdzie taka konieczność i dzieciaki beze mnie też przenocuje, nie muszę się martwić.

Jeszcze chwilę potrajkotałyśmy o jakichś głupotach, w stylu: Justyna zrobiła sobie piersi, a mąż Sandry wyjechał na miesiąc do Norwegii, ciekawe, czy wróci sam czy z kobietą (śmiech), i musiałam się rozłączyć, gdyż mój wzrok padł na ledwie trzymającą się na nogach Agatkę.

– Matko Święta, co ci się stało?! – Podbiegłam w jej stronę, odkładając słuchawkę. – Agata, co tobie? Pomóc ci usiąść?

– Nie dotykaj mammo! – wydusiła ze łzami w oczach Agata. – Piecze!

Moja córka stała przede mną czerwona jak burak. A nawet gorzej. Wyglądała, jakby wszystkie jej naczynka krwionośne nagle odmówiły posłuszeństwa!

– Co się stało?! – pytałam przerażona, kompletnie nie wiedząc, co robić.

– Wzięłam od Magdy tę durną książkę. Rzeczywiście była przeraźliwie nudna, więc zasnęłam na słońcu.

Spała na słońcu od jakiejś trzynastej do... zaraz, którą mamy? 20! siedem godzin. Matko, przecież ona jest poparzona! Co mam robić, co mam robić? Nie mam nawet samochodu, żeby ją na pogotowie zabrać, bo tatuś w fabryce... Trzeba dzwonić na pogotowie, jak nic!

Pędem rzuciłam się do torebki, żeby już po chwili dzwonić na pogotowie i spanikowanym głosem tłumaczyć, że nie mam jak dowieźć cierpiącego dziecka do lekarza, a ono potrzebuje natychmiastowej pomocy a ja, samotna matka, nie jestem w stanie Agatce tego zapewnić.

Karetka pojawiła się pod naszym domem w niecałe piętnaście minut. Panowie w czerwonych skafandrach nie oszczędzili sobie komentarzy na mój temat, w stylu: nieodpowiedzialna, zaniedbująca dziecko i wiele innych. O cholera. Niebieska Karta jak nic. A jak to się wszystko wyda? Co teraz ze mną będzie?! Sparaliżowana napływem czarnych wizji, w których kurator zabiera mi dzieci i przekazuje je bawidamkowi, zrozumiałam jedynie, że Agatka ma liczne oparzenia słoneczne, w dodatku dosyć zaawansowane, a do tego jest odwodniona. Co ze mnie za matka?!

Czy chcę zostawić dziecko w szpitalu? Byłoby to wskazane! Ja wiem, że byłoby to wskazane, ale czy równie dobrze nie może poleżeć i nawodnić się w domu? Ja nie mam tam czym dojeżdżać, tatuś w robocie, samochodu nie mam. To wszystko rysowało się coraz czarniej. Przecież jako odpowiedzialna matka powinnam posłać dziecko do szpitala i zostawić pod fachową opieką. Ta pani z domu opieki na pewno nie omieszka zanotować w swoim magicznym notesiku, że nie dbam o dzieci i stronię od opieki medycznej. Przecież to śmieszne... Niemalże bolało mnie fizycznie, kiedy tłumaczyłam panu z pogotowia, że ja mimo wszystko zostawiam moją sierotę w domu i koniec, i kropka! Jestem wyrodną i złą matką. A to wszystko wina bawidamka!!! Rozumiecie?! To nie ja jestem tą złą!!!

Oczywiście po odjeździe rozwścieczonych moją decyzją panów z pogotowia oddelegowałam moją starszyznę, czytaj: Magdę i Łukasza, do apteki, a ci po wykupieniu odpowiednich maści i płynów z elektrolitami wrócili do domu i zabrali maluchy do ogrodu.

Agata natomiast trafiła do pokoju, gdzie w spokoju mogła leczyć swoje posłoneczne rany w łóżku i tylko co chwilę któryś z domowników kontrolnie wpadał zapytać, jak nasza spalona blond

piękność się czuje, tak że nie wiem, co jej z tego odpoczywania wyszło.

A ja, sprawdzając jeszcze, czy nikomu nic więcej nie potrzeba, zaszyłam się w swojej sypialni, żeby w spokoju się załamać. To wszystko nie wpływało na moją korzyść, a nawet gorzej. Przecież w sądzie nikt nie będzie patrzył na to, czy ja twierdzę, że się staram, ale na to, co realnie się dzieje. I mimo że obiecałam sobie wcale się nie załamywać, po prostu nie mogłam tego wieczoru się nie rozpłakać. Nie dość, że nie wyszło mi dziś z domem, to jeszcze okazałam się fatalną matką. Kolejny raz miałam wrażenie, że wszystko jest nie tak, a świat zwraca się przeciwko mnie.

Gorzej. Im bardziej się starałam, tym bardziej wszystko wychodziło nie tak, jak chciałam. Coraz bardziej zaczynałam się bać o swoją przyszłość.

– *Cóż* pani Iwono, nie będę ukrywała, że pani ostatnie zachowanie muszę odnotować w aktach – powiedziała baba z opieki społecznej, którą, po wydarzeniach związanych z Niebieską Kartą, przydzielono nam do nadzoru, a raczej jej nadzór nad nami.

Nerwowo przełknęłam ślinę. Czyń swoją powinność, mruknęłam sama do siebie w myślach. Opisz mnie tam, najczarniej jak umiesz!

– Nie uważa pani, że to skrajnie nieodpowiedzialne zostawiać dzieci i nagle sobie wyjeżdżać, w dodatku w tak trudnym okresie? – zapytała i spojrzała na mnie w końcu znad okularów, które bezładnie spoczywały na jej sterczącym nosie. Zadrżałam pod jej lodowatym wzrokiem. Nie wydawała mi się osobą, z którą można by wejść w jakąś negocjację i wszystko wyjaśnić, a chociaż spróbować.

– Mam tego świadomość – odpowiedziałam bezpłciowo i skuliłam się bardziej, gdy ta wróciła do wypisywania jakiegoś swojego formularza.

– Więc zostawiła pani swoje dzieci tylko pod opieką starych, niedołącznych rodziców, tak?

Pokiwałam głową twierdząco, chociaż oni wcale nie byli jacyś wielce niedołączni! Ma baba szczęście, że nie słyszała jej moja mamuśka, bo już zarobiłaby czymś w ten swój mądry łeb!

– I potem odmówiła pani propozycji hospitalizacji dziecka, chociaż była ona wskazana, tak?

– To nie tak, jak pani myśli... – zaczęłam protestować. No bo ile można?!

– Pani Iwono – weszła mi w słowo tonem, który nie znosił sprzeciwu. – To nie ja tu jestem od myślenia, ale będzie od niego sąd, jeśli ktoś złoży pozew. Ja muszę trzymać się faktów, a fakty są takie, że pani dzieci są ofiarami przemocy domowej. Proszę tu podpisać. – Podsunęła mi pod nos plik wypełnionych czarnym długopisem kart i wręczyła długopis.

Robiąc parafkę czułam się, jakbym podpisywała na siebie wyrok.

– Rozejrzę się jeszcze po domu i porozmawiam z dziećmi. Nie ma pani nic przeciwko? – zapytała, składając kartki i chowając je do czerwonej teczki.

– Ależ skąd – mruknęłam i nawet nie wstałam.

I tak moja wola nie ma tu najmniejszego znaczenia, dodałam sobie w duchu. No ale nie mogłam przecież przewidzieć tego wszystkiego, tak? Normalnie takie rzeczy się nie dzieją, dziadkowie pilnują wnuków, a te nie dostają obrażeń słonecznych! Moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Bardzo zimny dreszcz.

Zaczynałam tonąć, a każdy mój ruch powodował, że zapadałam się w czarną otchłań jeszcze bardziej.

I siedząc tak, czekając na wyrok, zaczęłam rozmyślać nad całym tym nieudanym małżeństwem. No dobrze, może rzeczywiście nie byłam dobrą żoną, bo skupiałam się ostatnio właściwie na dzieciach, a nie na Grzegorz... ale po takim stażu to chyba normalne, że nie trzeba wpatrywać się w siebie jak w obrazek.

Okej, właściwie ostatnio nie poświęcałam mu zbyt dużo czasu, bo ciągle byłam rozdarta między gotowaniem, odrabianiem lekcji a zakupami, ale czy to powód, żeby zamiast porozmawiać, poszukać sobie nowej, bardziej atrakcyjnej kobiety?

Westchnęłam. To chyba pierwszy moment od kilku tygodni, w którym te myśli, owszem, bolały, ale nie pociągały za sobą lawiny łez. Może mimo wszystko jakoś to będzie?

**Jednego** z następnych czerwcowych dni obudziłam się rano, to znaczy około 11!!! Nie wiem, jak to się stało, bo normalnie byłam na nogach już od 6 z minutami, a mój budzik dzwonił dopiero, kiedy przyszykowałam dla wszystkich śniadanie. Właściwie nie wiem, dlaczego w ogóle go nastawiałam. Chyba po prostu bałam się, że kiedyś zaśpię, co według mojej rodziny było wręcz nierealne. Teraz obudziłam się o tej 11 i powitała mnie przeraźliwa cisza. I choć w pierwszym odruchu zachwyciła mnie ta sielanka, zaraz ocknęłam się przerażona – co z moimi dziećmi?!

Zrywając się z łóżka, rzuciłam się w stronę pokoiku bliźniaków i z przerażeniem stwierdziłam, że dzieci już w nim nie ma. Z przyzwyczajenia wyjrzałam przez okno i był to strzał w dziesiątkę, ponieważ moje dwie nastolatki (chyba mogę Magdę nazywać moją, prawda?) leżały w cieniu między sosnami, a bliźniaki męczyły biedne psy i Felę, która dziś pierwszy raz została wyniesiona, razem z kociakami oczywiście, na słońce. Swoją drogą coś Feli to macierzyństwo nie służy. Od wczoraj wyglądała na markotną. Cały czas tylko leżała przy kociakach.

Uszczęśliwiona tym, że nie muszę martwić się sprzątaniami, obiadem i humorami dzieci, sprawdziłam pocztę. Na szczęście poza reklamami nie znalazłam żadnych nowych wiadomości. Odziałam się więc w czyste ubrania i w stanie nadającym się do pokazania światu zeszałam na dół, gdzie na stole czekało pyszne śniadanko przygotowane specjalnie dla mnie przez Michalinę. Życie nie umierać!

Zaczynam być wdzięczna bawidamkowi za całą tę aferę, bo nie dość, że się wyśpię, to i zjem dobrze, a zmywaniem to wcale się martwić nie muszę! Widać udzielił mi się dziś optymizm, pomimo nieszczęść, które ostatnio spadały z każdej strony. Ale jak tu się nie cieszyć, kiedy za oknem świeci słońce i nigdzie nie słychać żadnego: Mamooooo?!

No dobrze. Może to jeszcze nie taki optymizm, ale chociaż brak depresji.

Po śniadanku miałam ochotę wykorzystać okazję i spędzić chwilę z dziećmi na powietrzu, ale niestety nie było mi to dane. Kiedy tylko wyszłam do przedpokoju, żeby założyć buty, wdepnęłam w mokrą, brązową, śmierdzącą okropnie plamę, która na moje oko wyglądała jak kocia kupa.

– O, Iwonka też? Magda z samego rana też wdepnęła, a i w kuchni była plama. Jak Iwonka myśli, co to? – odezwała się zza moich pleców Michalina, która wycierała właśnie szafkę pod lustrem.

– Kupa, co innego. Obstawiam, że Felki.

– Tak? A to niedobrze – pokręciła głową. – Jak nie przejdzie, to do weterynarza będzie trzeba jechać, co? Ale najbliższy to ze trzy wsie dalej...

– Jak będzie trzeba, to się pojedzie, Michalino. A tymczasem przepraszam, bo zaraz nie wytrzymam i, przepraszam za określenie, zwymiotuję od tego zapachu. Muszę do łazienki jak najszybciej zmyć to paskudztwo – powiedziałam, zatykając nos.

– Leć, leć Iwonka. Się nie martw, ja tu zaraz sprzątnę.

Skarb z tej Michaliny, istny skarb! W naszym domu, to znaczy w moim byłym mieszkaniu, do którego nie wrócę za nic w świecie, chyba że po resztę rzeczy, to bawidamek się tym zajmował, bo mi zawsze cofało się na myśl o zanurzeniu rąk w kociej kupie. Pierwszy raz od przyjazdu, nie licząc śniadania rzecz jasna, doceniłam fakt, iż moi rodzice zatrudnili gosposię.

Kiedy noga już była czysta, pachnąca i doprowadzona do stanu używalności, postanowiłam wrócić do mojego pierwotnego założenia i wyjść do ogrodu chociaż przywitać się z dziećmi. Ponownie skierowałam się w stronę korytarza, w którym śladu już nie było po kupie, jednak kiedy tylko zbliżyłam się na metr do drzwi, otworzyły się one gwałtownie, a do środka wpadła energicznym krokiem moja matka, a za nią jakiś, cóż, no całkiem przystojny mężczyzna. Zaraz, zaraz, czy to nie Jarek z równoległej klasy w moim gimnazjum? No jak nie, jak tak! Jaruś, Chuderlak!

– Chodź Iwonka, musimy porozmawiać. – Matka złapała mnie za przedramię i pociągnęła za sobą do kuchni. Widać moje dzieci nie zobaczą matki przed południem!

– Mamo, ale ja chciałam w końcu iść do dzieciaków...

– Dzieciaki nie zając, a Jaruś tu ma poważny problem! Pamiętasz Jarusia, prawda? –

zapytała, właściwie informując mnie, że go pamiętam, nie zwracając sobie głowy nawet tym, żeby nawiązać ze mną kontakt wzrokowy.

– Pamiętam – uśmiechnęłam się do niego w locie, bo matka pędziła jak szalona. Jaruś w odpowiedzi wyszczerzył śnieżnobiałe zęby, co miało znaczyć, że on też mnie pamięta, a przynajmniej takie odniosłam wrażenie.

Kiedy w końcu znaleźliśmy się w salonie, który na szczęście nie mieścił się na drugim końcu domu, bo tego moje biedne ramię by nie przeżyło, całą trójką zasiedliśmy przy stole. Zatraskana mina matki i przestraszona mina Jarusia nie wyglądały milutko, więc zaczęłam obawiać się, czy czasem czegoś nie przeskrobałam, bo w czasach mojej młodości awantury zwykle zaczynały się przy stole...

– Michalina! – wrzasnęła moja matka. – Przynieś nam serniczka i herbatki, nie będziemy o suchych pyskach rozmawiać!

– Mamo!

– Tak? – zapytała, jakby wyrwana ze swojego własnego świata.

– A nic, nic... – przecież nie powiem, że w jej wieku już nie wypada tak się wyrażać, zwłaszcza w obecności gościa.

Na stół wkroczyła taca z pulchniutkim serniczkiem skąpanym w sosie malinowym i aromatyczna esencja w połączonych filiżankach. Bogini ta Michalina. Jeśli to smakuje jak wygląda... pochylałam się, aby nałożyć sobie kawałeczek.

– Iwona! – zganiła mnie matka. – Jak ty możesz myśleć o jedzeniu w takiej chwili?

– W jakiej chwili mamo? Stoi, to wezmę... – zawałam się zdezorientowana.

– Na stare lata tak mi się dziecko odpląca – lamentowała matka, patrząc na mnie spode łba.

O co jej właściwie chodzi? I na co jej przy tej rozmowie potrzebny ten cały Jaruś, w dodatku w naszym salonie? Zbesztana chciałam odłożyć ten pyszniutki kawałek serniczka, co spotkało się z jeszcze większą naganą z ust matki.

– Dobrze, niech mama mówi o co chodzi, a sernik poczeka – poddałam się i zamieniłam w słuch, jednym okiem zerkając na rozbawionego Jarusia.

– Dobrze, to ja zacznę – rozpoczęła matka. Swatać mnie chce czy co? – Jarusia pamiętasz, to już ustaliliśmy. Otóż Jaruś ma problem, Iwonko... – O, no proszę, nie wygląda na problemowego. – Jutro przyjeżdżają jego rodzice! – ogłosiła matka, czekając na moją reakcję, której tak naprawdę się nie doczekała, bo informacja ta nie powiedziała mi nic a nic.

– Aha... – wymruczałam, patrząc to na nią, to na Jarusia.

– I w związku z tym... – kontynuowała matka, jednak w słowo wszedł jej widocznie zniecierpliwiony Jaruś, który nie miał ochoty na pogawędkę.

– Słuchaj Iwona, sprawa wygląda tak. Moi rodzice dobre dziesięć lat są w Szwecji. Mają tam domek i tak dalej, no i po paru latach zachciało im się wrócić do ojczyzny. Nie na długo, trzy dni może.

Pokiwałam twierdząco głową w celu podtrzymania rozmowy. Funkcja fatyczna.

– Długo ich nie było, właściwie zacząłem myśleć, że nigdy już nie wrócą. Matka ciągle mi truła głowę, że może bym o rodzinie pomyślał, bo sam tu zostałem. Tak truła, truła, aż wytruła, no i masz, powiedziałem jej kiedyś dla świętego spokoju, że się żenię. I się ożeniłem.

– Ojej, fantastycznie. Gratuluję! – wykrzyknęłam z nieukrywanym entuzjazmem i zaraz zostałam zgaszona złowrogim spojrzeniem matki. Ona ma dziś coś ze wzrokiem, czy co?

– Tylko widzisz, jest problem, bo ja powiedziałem jej to, żeby mi dała spokój, a żony jak nie było, tak nie ma.

– No tak, to nieciekawie... – Swoją drogą, czy takie rzeczy dzieją się w realnym świecie? Od kiedy?!

– Ba, że nieciekawie. A żeby było ciekawiej, oni tu jutro przyjeżdżają do mnie i do żony!

– Której nie masz – wykazałam się dedukcją.

– W rzeczy samej, której nie mam.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego przychodzisz z tym do mojej matki i dlaczego moja matka każe mi tego słuchać? – zapytałam, wyczekując odpowiedzi.



– Iwona! Czy ty naprawdę jesteś taka głupia?! – naskoczyła na mnie moja matka, powstrzymana spokojnym gestem dłoni przez Jarusia. – Powiedz jej Jarek, bo ja z tą niedorozwiniętą córką to kiedyś nie wytrzymam!

Przed okresem jest ta moja matka czy co?!

– Widzisz Iwona, chodzi mi o to, że na gwałt potrzebuję żony. Znaczący nie na gwałt, ja jej nic nie zamierzam gwałcić, tylko... jak by ci to. Bo miałbym prośbę...

Westchnęłam. Chyba zaczęłam się domyślać, o co mu chodzi.

– Czy ty nie mogłabyś zostać moją żoną na te trzy dni? Właściwie dwa, bo jeden dzień to oni do ciotki jadą.

– Ja... – zamurowało mnie. Czy on mi się właśnie oświadczył? Ratujcie mnie, bo zacznę się śmiać i matka mnie tu jeszcze pobije! Niedoszła rozwódka z piątką dzieci i wnukiem w drodze, bez dachu nad głową i pracy. Idealna pora na ponowne zamążpójście. Jakbym swoich problemów miała mało.

– Iwona, zgadzasz się czy nie?! – ryknęła moja matka, no i w tej sytuacji zostałam bez wyjścia.

– No zgadzam się mamo, zgadzam. Ale jak wy to sobie wyobrażacie? Że na dwa dni zostawię dzieciaki i pójdę mieszkać do Jarka udawać jego fantastyczną żonę?

– Tak, dokładnie tak to sobie wyobrażamy!

Żartują. Żartują, prawda? Przecież to obcy chłop. I pomyśleć, że na ten pomysł wpadła moja genialna matka! Właściwie to nie wiem, czy ona, bo przedstawił mi go on, ale ten pomysł był taki w stylu mojej mamusi...

– Świetnie. To ja lecę teraz sprzątać, bo z mamusi niezła pedantka. To spakuj się Iwonka, tam porozrzucamy twoje rzeczy, żeby było bardziej wiarygodnie i dobrze będzie. No, wpadnę jutro koło siedemnastej, bo rodzice na siódmą będą, ale wiesz, muszę ci pokazać gdzie co, bo przecież jesteś panią domu.

– Jasne – wydusiłam, siląc się na uśmiech.

No i proszę, do czego doszło: właśnie ponownie zostałam mężatką! Chociaż nie, nie mogę nią zostać ponownie, bo nie mam rozwodu z bawidamkiem. To znaczy, że to poligamia. O matko, mam dwóch mężów! A to ci komedia! Z uśmiechem na twarzy zabrałam się w końcu za mój serniczek, który był tak dobry, na jaki wyglądał. Koniecznie muszę nauczyć się od Michaliny piec. Tylko moment, co na ten mój poroniony związek powiedzą dzieci?!

Czy w tej rodzinie ludzie nauczyli się reagować zupełnie inaczej, niż by człowiek się tego spodziewał?

– Ależ to fantastycznie! – wykrzyknęła Agata, gdy tylko powiedziałam jej, o co chodzi, a Magda zaraz poszła w jej ślady.

– Ale Agatka, gdzie wykład o tym, że kłamstwo jest niemoralne. Myślałam, że będę mogła na was liczyć i jakoś wybijecie babci z głowy ten pomysł. To chore...

– Mamo, co ty gadasz? Rozerwiesz się, z domu wyjdiesz! Po całej akcji z tatusiem potrzebujesz trochę rozrywki. Swoją drogą, nawet przystojny ten Jaruś, co nie, Magda? – Agata z szelmowskim uśmiechem zwróciła się do Magdaleny i jej burzy ognistorudych loków.

– Ba. Przystojniak, jak się patrzy!

– No widzisz, nie ma co się strachać mamo. Dwa dni tu bez ciebie wytrzymamy, nie martw się o nas. Bliźniaki same zasną, a jak będziesz miała jak, to przez okno w nocy Jarusiowi pryśniesz i do domu przylecisz, żaden problem! Poza tym nie musisz z nimi siedzieć całe dni. Jak będziesz miała chwilkę, to myk i już jesteś w domu. Babcia mówiła, że ten Jaruś całkiem niedaleko mieszka. A i domek podobno niczego sobie...

No i tyle pociechy z tych moich dzieci. Nieźle mi się te dziewczyny dobrały. Nie ma co! Moje rodzone dziecko i moje przyszywane dziecko, czyli matka mojego wnuka, popychają mnie ku małżeństwu z facetem, o którym wiem tylko, jak ma na imię. Co z tego, że to małżeństwo na niby?!

*No i proszę*, cała wczorajsza sytuacja z Jarusiem zaowocowała tym, że znalazłam się na

naszym podjeździe o siedemnastej, ubrana w białą, zwiewną sukienkę, w której wyglądałam całkiem niczego sobie i w której wcale nie było widać, że jestem matką czwórki dzieci, w tym bliźniaków, patrząc, jak Jarus (właściwie czemu nazywam go ciągle zdrobnieniem?) pakuje moją małą torbę z podręcznymi rzeczami do swojego auta, w którym już po chwili się znaleźliśmy.

Razem z obcym facetem (to, że znam go, odkąd byliśmy młodzi, wcale się nie liczy) w samochodzie, on za kierownicą... No jak nic, wywiezie mnie gdzieś, zrobi co nie trzeba, a dla zatarcia śladów zakopie pod starą choinką w lesie i słuch po Iwonce zaginie. Co ja wyprawiam?!

Ruszyliśmy. Jarus nie szarżował za kierownicą, a moja sympatia do niego wzrosła, kiedy włączył klimatyzację i radio. Jak pamiętałam, mieszka w sąsiedniej wsi, więc mieliśmy do pokonania jednak parę kilometrów.

Ku mojemu zdumieniu, a może pozytywnemu zaskoczeniu, Jarus okazał się całkiem w porządku, zupełnie tak, jak w młodości. Może powinnam skończyć nazywać go obcym facetem, bo jednak przyjaźniliśmy się kiedyś i to całkiem długo. Nie zapomnę tej pamiętnej wycieczki w góry, na której działo się, oj działo, a przecież tam był Jarus, ciekawe, czy on to pamięta... Trzeba będzie powspominać, jak tylko nadarzy się ku temu okazja.

Ale okazji chwilowo nie było, ponieważ znaleźliśmy się na podwórku Jarusia i jego kwadratowego domku, z którego rozciągał się malowniczy widok na rzekę płynącą przez nieduży brzozy zagajnik. Czyżby z naszego Jarusia był romantyk?

– Pięknie tu... – wyrwało mi się rozmarzonym głosem.

– Też mi się tak zdaje – rzucił Jarus, wyjmując z auta moją torbę. Dżentelmen jak się patrzy.

– Nie wspominałeś nigdy, że się tu pobudowałeś. Przychodziliśmy tu przecież jak byliśmy dziećmi. O jeny, czy tam wciąż jest ten pomost, z którego wpychaliśmy się do wody albo na którym obżeraliśmy się niedojrzałymi czereśniami z sadu moich rodziców? – zaświeciły mi się oczy.

– Jasne, że jest.

– Ale tu się zmieniło... nie pomyślałabym nigdy, że to trafi w ręce kogoś znajomego i jeszcze kiedyś tam posiedzimy.

– Posiedzimy. Tylko chodź Iwonka, zajmijmy się najpierw tym, co konieczne, a na spacer wybierzemy się wieczorem, po kolacji. Będzie okazja sobie pogadać. W końcu ile to minęło lat od tych naszych pamiętnych wygłupów!

I tak oto, wyrwana ze wspomnieniowego nastroju, posłusznie potuptałam za Jarusiem do jego domku, który z zewnątrz prezentował się całkiem, całkiem, a i w środku był niczego sobie. Przytulne pomieszczenia, ciepłe barwy... Muszę przyznać, że nie tak wyobrażałam sobie dom samotnego faceta.

– Na lewo jest kuchnia, prosto łazienka, tu mamy salon, a tam taki pokój, z którego właściwie nie korzystam i zrobiłem z niego schowek. Gdybyś czegoś nie mogła znaleźć, to z pewnością znajdziesz to właśnie tam. – Odbiłam szybki kurs z rozmieszczenia pomieszczeń w Jarkowym domu. – Schodami na poddasze do sypialni, sypialnie są dwie, jedna, jakkolwiek to zabrzmiało, jest nasza, a druga dla gości, w tym wypadku rodziców. No i u góry jest też jeszcze jedna łazienka. Więcej pomieszczeń w moim domu nie przewidziano.

– Rozumiem – pokiwałam głową. Podobał mi się ten domek. Naprawdę mi się podobał. Sympatycznie tu. A jak czysto! Biedny Jarus pewnie całą noc sprzątał, żeby matka pedantka do niczego się nie przyczepiła.

– To co, zaniosę ci torbę na górę i pokażę, co gdzie znajdziesz, przede wszystkim w kuchni, żebyś nie czuła się zagubiona.

I zniknął, a ja na parę minut zostałam sama i zagubiona w domu, w którym chwilowo, cóż, no mieszkam. Zajrzałam więc do wspomnianej przez mojego tymczasowego małżonka kuchni, w której aż chciało się gotować. Biała tapeta w zielone kiwi od razu podbiła moje serce, a jasne kafelki na idealnie wyczyszczonej podłodze odbijały wpadające do pomieszczenia promienie słoneczne.

Kiedy Jarus wrócił, w ekspresie już bulgotała kawa, a ja przynajmniej pobieżnie rozeznałam się w tym, co gdzie trzyma.

– No, widzę, że nieźle sobie radzisz w mojej kuchni. – Nakrył mnie, gdy właśnie

wyjmowałam łyżeczki z szufladki.

– Nie narzekam – roześmiałam się.

– No, to w takim razie zapraszam cię na taras razem z tą pyszną kawą, która, mam nadzieję, zaparzona jest także dla mnie?

– Nie, jestem egoistką...

– Twój dowcip chyba się wyostrzył. – Rzucił mi wyzywające spojrzenie, a ja zamiast podjąć tę grę, zajęłam się ekspressem i już za moment mogliśmy siedzieć na tarasie owiewani przez przyjemny wietrzyk i delektować się kawą.

– To co, może opowiesz mi coś o sobie, żebym mógł wykazać przynajmniej najmniejszą wiedzę na twój temat przed moim rodzicami – zagadnął Jaruś, lustrując mnie wzrokiem. Czarus z tego Jarusia, nie ma co.

– Cóż, nie mam wiele do opowiadania. Chyba że o dzieciach, ale tych mam nadzieję nie mamy, prawda? – bo nie mamy!

– Naturalnie. Staraliśmy się, nie wyszło, więc żyjemy samotnie na łonie natury – no, mam nadzieję. Chociaż tu Czarus Jaruś mnie nie zagnie.

– No. I to mi się podoba – siorbnięcie kawy.

– Co robisz w życiu? Pytam o życie zawodowe, bo to akurat może rodziców interesować.

– Cóż... jestem pisarką. – Od zawsze delektuję się, wymawiając te dwa słowa. Są jak miód w moich ustach.

– Żartujesz.

– Ani trochę. Kiedy wzięłam ślub i urodziły się dzieci, mój niedoszły eksmąż zarabiał tyle, że nie musiałam pracować, tylko zajmować się domem. Zaczęłam pisać po prostu dla przyjemności. I tak wyszło, że któregoś dnia ktoś zechciał mnie wydać. Spełniło się moje marzenie jeszcze z czasów licealnych...

– No tak, pamiętam. Purystka Iwonka poprawi każdego!

– Żebyś wiedział! – roześmiałam się. Brakowało mi ostatnio kogoś do pogadania, kto nie byłby o epokę młodszy lub starszy.

– A ty? Czym się zajmujesz? – zapytałam po chwili refleksji, żywo zainteresowana.

– Jestem policjantem. Ale nie tutaj. Dojeżdżam do pracy jakieś 40 kilometrów.

– Sporo.

Siorbnięcie kawy.

– Ale lubię moją pracę, więc to już nie problem. Poza tym nie mam do kogo się spieszyć i nieraz między służbami nocuję na komendzie.

– Praca cię pochłania.

– Można tak powiedzieć. Ale to coś, co od zawsze chciałem robić. Wczoraj na przykład dostałem wezwanie na interwencję na wieś. Chłopy siedziały pod sklepem i zaczęli zaczepiać ludzi, więc wiesz, służba nie drużba, trzeba było ruszyć tyłek i jechać. Był ze mną taki Mariusz, całkiem w porządku chłopak. Dojeżdżamy, a tam czterech ledwie stojących na nogach chleje na umór, nie kłopotząc się nawet tym, żeby schować butelki na nasz widok.

– Nieźle – starałam się być bierna podczas rozmowy.

– No, ale czekaj. Dalej będzie ciekawiej. – Jaruś upił tyk kawy, a ja złapałam się na tym, że przyglądałam się temu, jak układają się jego usta, kiedy mówi. Hej, hej. Iwonko, nie zapominaj się kochanie! – Więc wysiadamy z Mariuszem i wiesz, nieskorzy byliśmy, żeby ich wszystkich ładować do służbowego auta, więc wysiadamy do nich z pouczeniem. Wiesz, picie pod sklepem zabronione, mogliby iść już do domów i nam problemów zaoszczędzić. Standardowa gadka. A oni nic. Więc Mariusz pocisnął im nieco ostrzej, co poskutkowało tym, że dwóch poszło do domu wzajemnie się odprowadzając, a przy tej okazji witając także ze słupem wysokiego napięcia stojącym parę metrów dalej, a trzeci na naszych oczach rzucił butelkę i wsiada za kierownicę samochodu.

Wybuchnęłam śmiechem. Jaruś podjął przerwana opowieść:

– No więc Mariusz idzie do tego pana Mietka, bo tak się nazywał i zwraca mu uwagę, że w tym stanie nie powinien prowadzić samochodu. Pan Miecio, jak na grzecznego pijaka przystało,

wysiadł z auta, więc my spokojnie odjeżdżamy. A pan Miecio za nami! Zatrzymujemy więc radiowóz. Pukamy do szybki pana Mietka, który ujechał tyle co my, ale widząc zaniepokoił się i zatrzymał auto, kiedy i my stanęliśmy. No jak nic trzeba gościowi wytłumaczyć to dokładniej. Więc Mariuszek załatwił sprawę, właściwie załatwiłby ją inaczej, gdyby pan Miecio nie zaczął się do niego rzucać i tym sposobem skończyliśmy z pijakiem na tylnym siedzeniu. Przejeżdżamy kawałek dalej, a tam pozostali dwaj, którzy mieli wrócić do domu, piją w najlepsze pod następnym sklepem. No choroba jasna, przecież ich wszystkich nie zamknę! Bach, zatrzymujemy radiowóz, wysiadam do nich, bo Mariuszek musiał przecież zająć się panem Mieciami, żeby nie dał nogi, zwracam im kolejną uwagę, dwoję się i troję, żeby było grzecznie, bo jak przywiozę trzech na komendę, to już mi komendant da, a zza moich pleców Mariuszek krzyczy: nie patrz w lewo, nie patrz w lewo, a tam kolejny kolega jedzie na rowerze. Oczywiście jedzie to pojęcie względne. Kurczę, spojrzeliśmy po sobie z Mariuszkiem z takim przerażeniem pod tytułem: gdzie my jesteśmy i jak najszybciej, jak najdalej stamtąd, bo się bałem, że oni mi się do radiowozu nie pomieszczą! I opuściliśmy z Mariuszkiem tę pozał się Boże wieś, bo musiałbym ich chyba w bagażniku upchnąć, gdyby pojawił się jeszcze jeden!

– Ciekawą masz pracę – wydusiłam tylko, skręcając się ze śmiechu tak, że zaczął mnie boleć brzuch. No proszę, a to ci dopiero dzień pracy w życiu takiego niepozornego Jarusia.

– Zazwyczaj mam pełne ręce roboty, nie powiem. – Jaruś się uśmiechnął.

– A myślałam, że tylko w moim życiu tyle się dzieje.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, koty, aktualnie sześć, psy sztuk dwie, dwoje bliźniaków w wieku lat czterech, dwoje nastolatków i ich buzujące hormony nieźle dające w kość. Już parę razy szukałam kluczyków do samochodu po śmietnikach, po tym jak Antoś z Antoniną bawili się w brum brum.

– Dzieci... – westchnął z uśmiechem Jaruś.

– Przepraszam, że pytam, ale jak to się stało, że taki facet jak ty nie ma żony ani dzieci? Oczywiście, jeśli jestem za wścibska, nie musisz odpowiadać.

– Daj spokój, żadna tajemnica. Spotykałam się kiedyś z taką Lidką, ale dała nogę sprzed ołtarza, bo nagle przypomniało jej się, że jest po uszy zakochana w swoim poprzednim chłopaku. No to dałam sobie spokój. Nie masz pojęcia, jak to jest zostać wystawionym i to na oczach wszystkich ślubnych gości. Ale co, przecież gonić jej nie miałem zamiaru i trzeba jakoś żyć dalej...

– Po części cię rozumiem. – Posłałam Jarusiowi pełne zrozumienia, nie, nie litości, w żadnym wypadku nie litości, spojrzenie.

– Jak to?

– Moja mama nie wspominała ci, dlaczego tu jestem?

– Nie, raczej zaaferowała się tym, żeby przekonać cię, że powinnaś zgodzić się mi pomóc.

Właściwie, kiedy poszedłem do was do domu, nie wiedziałem nawet, że cię zastanę. Długo nie przyjeżdżałaś.

– Faktycznie, ostatnio tyle się działo...

– Więc dlaczego tu jesteś? – wrócił do pytania, pociągając łyk kawy.

– Jakby ci to powiedzieć najdelikatniej... mój mąż parę dni temu kopnął mnie w dupę i poszedł do swojej stałej klientki Adeli, która podobno bardziej go rozumie niż ja, a ja sama wyrzuciłam się razem z dziećmi i zwierzyńcem z mieszkania i pierwszą moją myślą w tej kryzysowej sytuacji były Sosenki, więc jestem. W dodatku nasyła na mnie opiekę społeczną, zakłada jakieś Niebieskie Karty, a wszelkie moje próby wyrwania się od rodziców kończą się fiaskiem. Więc... jestem.

– Więc jesteś – potaknął Jaruś. Nawet nie wiecie, jaka byłam mu wdzięczna za to, że obyło się bez żadnych „o jak mi przykro”, „jak się trzymasz” itd.

– No, to wszystko jasne...

– Przepraszam, że zalewam cię ogromem wszystkich tych informacji – powiedziałam, a mój głos nieco posmutniał. – Ale po prostu, mimo całego tego rodzinnego szaleństwa, czuję, że jestem sama jak palec. Nie mam tu nikogo, komu mogłabym się wygadać, a wiesz jak to mówią... wypłacz się, będzie ci lżej.

– Powiedzmy, że znam to uczucie, kiedy tkwisz w świecie sam jak palec.

– Wiesz, chciałabym wyrwać się z domu, od matki, która chce ustawiać mnie pod własne dyktando i odstawia szopkę, kiedy tylko wspomnę o tym, że nie chcę im siedzieć na głowie. Na dodatek ten dom na Mazurach... coś wspaniałego – powiedziałam, po czym zawiesiłam głos i najzwyczajniej w świecie zaczęłam płakać.

– Jaki dom? Hej, nie płacz. Może po prostu wszystko mi opowiesz?

– Znasz to uczucie, kiedy znajdujesz swoje miejsce w świecie po serii nieprzerwanych nieszczęść? – zapytałam, chlipiąc i ocierając łzy rękawem.

– Umieję je sobie wyobrazić.

– Siostra sklepikarki z Sosenek ma na Mazurach stary dom, na który nijak mnie nie stać. Ja wiem, głupia jestem i narobiłam sobie nadziei, a z tego nic nie ma. Ale to nawet nie chodzi o sam dom, bo mieszkanie tu w bloku też mi matka sabotowała. A ja już psychicznie siadam, kiedy słucham jej płaczu i lamentu, że chcę ją rodziny pozbawić. Zresztą, niedawno sam widziałeś, ile ja mam do powiedzenia w jakiegokolwiek sprawie. Jej nie przegadasz, a dzieci... super, Sosenki są świetnym pomysłem na wakacje, ale nie chcę, żeby wychowywały się u dziadków. Nie sprawdzam się jako żona, jako matka. Nikt mnie nie chce, wszyscy kierują moim życiem za mnie, a ja mam wrażenie, że ono coraz bardziej rozgrywa się gdzieś poza moją kontrolą.

– Jak to? – wtrącił Jaruś.

– Przepraszam, to wszystko brzmi głupio. Tylko narzekam, a to wcale nie tak. Po prostu chciałabym coś robić, a nie po kilkudziesięciu latach po odcięciu pępownicy do niej wracać – kolejne chlipnięcie. – Wybacz, że się rozkleiłam. To już chyba wszystko – dodałam, gdy posiedzieliśmy kilka chwil w milczeniu.

– Nie jestem zbyt dobry w pocieszaniu – podsumował Jaruś – ale wiesz, właściwie to nie wszystko. Chyba powinniśmy ustalić jeszcze kilka szczegółów między sobą. Wiesz, gdzie wzięliśmy ślub, kiedy. Co z miesiącem miodowym i tym podobne.

– Nie chciałabym walać jakiejś gafy przy twoich rodzicach – dodałam, pociągając nosem, zadowolona, że wyrzuciłam z siebie to wszystko.

– No jasne. – Jaruś się uśmiechnął.

– Więc gdzie wzięliśmy ślub?

– W Grecji.

– Dlaczego w Grecji? Nie wolisz tradycyjnie w kościółku niedaleko?

– Nie, bo to rodzice łatwo sprawdzą. Wiesz, mama od razu wyczuje, że coś kręcę i jeszcze jej strzeli do głowy to sprawdzić. Do Grecji przecież nie pojedzie.

– No tak. Więc miesiąc miodowy też w Grecji?

– No jasne. Nasze skwierzące ciała bezładnie przewracające się na jednej z zaludnionych plaż. Wymarzony miesiąc miodowy.

– Jak dla kogo...

– Nie podoba ci się?

– No wiesz, kobieta wolałaby raczej spacer księżycową porą po jakichś opuszczonych ruinach greckiego zamku, ale jeśli dla ciebie to zbyt wiele...

– Dobra, dobra. Nie obrażaj mi się tu. Za dnia plaża, wieczorami ruiny. A aparat nam ukradli w drodze powrotnej i ach, co za pech, zdjęć nie mamy.

Chyba nie doceniałam tego Jariusia, muszę to przyznać. Nie dość, że przystojny, to jeszcze zadbany, a w dodatku z poczuciem humoru i błyskotliwy. Chociaż nie będę się z nim nudzić przez te dwa dni, bo pleść jęzorem to ja potrafię, a i podroczyć się nieraz fajnie. A jeszcze przyjemniej oderwać się od rodzinnych dramatów, chociaż w stu procentach głowy od tego wszystkiego oderwać się nie da... Ach, gdyby to wszystko zaczęło się w końcu jakoś układać...

I tak mówiąc językami, czytając, gadając, bo to rzeczywiście może zabrzmieć dwuznacznie, minęły nam dwie godziny. I punkt dziewiętnasta na Jariusiowym parkingu pojawiło się auto jego rodziców, z którego najpierw wyłonił się niski pan w szykowej marynarce, a następnie pampuśna pani w ciemnych okularach. Z daleka widać było, że te okulary kosztowały tyle co mój cały strój. Nieźle się ci Jariusiowi rodzice musieli urządzać w tej Szwecji. Że też głupia ja zapomniałam go o to

zapytać!

**Rodzice** Jarusia okazali się całkiem w porządku. Nie maglowali nas niepotrzebnie, nie zadręczali niepotrzebnymi szczegółami, więc już po paru minutach wspólnego siedzenia przy stole zapalałam do nich sympatią. Szczególnie do starszego pana, który żywo zainteresował się moim pisarstwem, gdyż, jak się okazało, ma znajomego w jakimś szwedzkim wydawnictwie i jeśli się uda, to możemy pomyśleć o przekładzie kilku moich powieści. Nie obyło się bez strofowania Jarusia, że też wcześniej ojcu o tym nie powiedział, bo jego żonka mogłaby już dawno być szczęśliwą posiadaczką kariery nie tylko krajowej, ale i zagranicznej, jeśli w ogóle można mówić o posiadaniu kariery, czego nie omieszkała dodać starsza pani.

Kolacja nie trwała długo, nie wiem, czy stety czy niestety, bo rodzice Jarusia stwierdzili, że są wykończeni podróżą i chętnie się odświeżą, a następnie pójdą spać. Mnie więc przypadła chwalebna funkcja pokazania im łazienki i sypialni, w której na całe szczęście położyłam (nie, wcale nie zrobił tego Jaruś myślący o wszystkim!) czyste ręczniki, i powiedzenie rodzicom dobranoc.

Powłócząc nogami, zesłam do kuchni, gdzie Jaruś pakował wszystkie naczynia do zmywarki i jak na panią domu przystało, wyręczyłam go z tego damskiego obowiązku. Bawidamek nawet nie zająknąłby się o talerzach!

– I co, nie było tak źle – zagadnął Jaruś, który tak samo jak ja, a może nawet i bardziej, zmęczony był tym całym udawaniem.

– Całkiem sympatyczni ci twoi rodzice, szczególnie tata.

– No nie mów, że kupił cię tymi przekładami książek.

– Wiesz, jednak międzynarodowa kariera... – zawstydziłam się.

– Żartowałem, żartowałem. Najwyżej zostanę mężem artystki, żadna dla mnie różnica. – Jaruś znów błysnął idealnym uśmiechem. – To co, piwo na pomoście? Uważam, że nam się należy, a ty?

– Właściwie, czemu nie. Chciałabym tylko sprawdzić pocztę, bo Agatka obiecała zreferować mi, co dzieje się w domu pod moją nieobecność.

– Laptop jest w sypialni.

– Dziękuję – powiedziałam, oddalając się na górę i zostawiając Jarusia w kuchni.

Laptop znalazłam bez większego problemu. Spoczywał sobie bezwładnie na etażerze przy naszym małżeńskim łożu. Zaczynam przyzwyczajać się do określenia „nasze”. Laptop, jak się okazało, już był włączony, na tapecie widniała wielka latarnia morska, idealnie dopełniająca obraz Jarusia Romantyka, który zrodził się dziś po południu w mojej głowie. Bez problemów weszłam na moją skrzynkę mailową.

@ Agatka do Mamy

21.47

Mamo! Żyjemy.

Michalina wepchnęła w nas obfitą kolację, po której bliźniaki jakoś się rozbudziły, bo były strasznie wymęczone po hasaniu na dworze. Dziadek powiedział, że trzeba zapewnić im więcej rozrywki, i jutro, zamiast jechać do firmy, postanowił popracować w ogrodzie nad jakimiś huśtawkami, żeby maluchy nie musiały chodzić na plac zabaw, na którym, odkąd Antosia nazwano zabijaką, nikt nie pała do nich sympatią. Biedne te bliźniaki mamo. Chociaż czy ja wiem, czy takie biedne! Już nas wszystkich zdążyły wyprowadzić z równowagi. Może po prostu Ci to opowiem.

Siadamy sobie z Magdą i dzieckiem na łożku w pokoju Łukasza, znaczy Magdy i Łukasza, Łukasz z nami. Włączamy film od kilku dni zapowiadany w telewizji. Wiesz, ten dramat psychologiczny, na który nie zdążyłyśmy pójść do kina. Więc wsadziłyśmy z Magdą bliźniaki do wanny przed filmem, wyszorowałyśmy, ubrałyśmy w piżamki zanim film się zaczął i położyłyśmy spać. Film się zaczyna, siedzimy wszyscy razem. Magda muska Łukasza po włosach, ja opycham

się popcornem. Wchodzi Antoś.

– Nie umyliśmy z Tosią zębów. – Wychyla się zza drzwi jego kudłata główka.

– Nie musicie dzisiaj myć, mamy nie ma – rzuca Łukasz.

– Ale ja nie mogę iść spać z brudnymi ząbkami... – tłumaczy Antoś płaczącym tonem.

Sprawa przegrana. Idę z bliźniakami myć zęby. Zajmuje im to chwilę, więc wymykam się do sypialni młodych, siadam na łóżku i oglądamy film. Sytuacja jest napięta, okazuje się już, że jeden z bohaterów jest psychopatą.

– Aga, coś długo oni myją te zęby. Może by sprawdzić? – pyta po kilku minutach Magda.

– Cicho, Madzia! – strofuje ją Łukasz. – Pewnie umyli i poszli spać.

Magda idzie sprawdzić. Bliźniaki nie umyły jeszcze zębów, ale wlały wody do umywalki i bawią się swoimi kaczkami, statkami i resztą gumowych zabawek. Film leci dalej. Zaczyna nas wciągać, ale do pokoju wsuwa się tym razem łeppek Antoniny.

– Agatka, pić mi się chce!

– Nie masz nic w pokoju? – rzucam jej pytanie, nawet na nią nie zerkając.

– Nie!

Cisza.

– Agatka, pić mi się chce!

Musiałam się podnieść i zejść z Tochą do kuchni po coś do picia. Jako mądra siostra wzięłam jeszcze zapas soku na górę, żeby więcej nie budzić dziadków, których chrapanie słychać już na schodach. W tym samym czasie Magda siedziała z Antosiem w łazience, bo zachciało mu się kupę. Dzieci oporządzone, wracamy do filmu. Oczywiście Łukaszowi nie chce się tłumaczyć, co działo się pod naszą nieobecność, więc mamy już braki w fabule.

– Agatka, muszę siku! – rozlega się głosik Tosi, kiedy znów pochłonał mnie film. No tak, daj dziecku pić, a za chwilę musi do łazienki.

Lekko zdenerwowana podnoszę się i prowadzę małą do łazienki. Po sprawie. Bliźniaki w pokoju, wracam na film. Magda przysypia na ramieniu Łukasza. Widać w jej stanie nie potrzebuje już ekscesów w stylu psychologicznych dramatów.

– Agatka! – dochodzi mnie przeraźliwy pisk z pokoju obok. Antonina!

Zrywam się, pędzę jej na pomoc, a ta siedzi na łóżeczku, patrząc jak Antoś zanosi się od płaczu. Orientuję się szybko, że mały chciał napić się soku, który im przyniosłam, jednak zrobił to trochę nieporadnie, w efekcie ucierpiała jego piżama oraz dywan.

Przebranego, uspokojonego Antosia sadzam na łóżku, utulam i przymykam drzwi do dziecięcego pokoju. Wracam do Magdy i Łukasza. Siadam na łóżku w momencie, kiedy zaczynają się końcowe napisy. No niech to szlag, mam! Nie wiem nawet, kto zabił!

– Fajny film, nie, Aga?! – pyta podekscytowany Łukasz, który nawet nie zauważył, że połowy nie oglądałam. – To co, przełączamy na coś innego?

Przełączajcie, ja jestem wykończona i idę spać – wydukałam padnięta.

I tym sposobem znalazłam się we własnym pokoju z laptopem na kolanach i opisuję Ci cały ten ekscytujący wieczór. Mam nadzieję, że kolacja z rodzicami pana Jarka się udała. Ściskam i całuję, a przede wszystkim czekam na relację z wieczoru!

Agatka

PS Fela nadal wszędzie robi kupy. Jak obsrała Madzi koszulkę, wkurzyłam się, dałam jej STOPERAN i przeszło. Zobaczmy na jak długo.

@

@ Iwona do Agaty

22.03

Córeczko!

Bliźniaki zachowują się tak co wieczór, nie dziw się więc, że nie chodzę spać tak jak wy, to znaczy nad ranem, ale jestem wykończona już o dziesiątej.

Nie wiem, czy dobrze zrobiłaś, że dałaś Feli STOPERAN. A jak jej to zaszkodzi? Chyba będziemy musieli jechać do tego weterynarza, jak tylko wrócę, bo ona nadal karmi kociaki!

U mnie wszystko w porządku. Kolacja się udała, rodzice Jarusia są sympatyczni i już śpią sobie słodko w jednej sypialni. Jaruś też okazał się niczego sobie i udało nam się znaleźć wspólne tematy, więc przestaję nazywać go obcym facetem. Napisz mi jutro, co u was.

Ściskam i całuję,

mama @

Po dawce informacji z domu, uspokojona tym, że bliźniaki tak samo jak moje starsze dzieci zachowują się normalnie, zeszłam na dół do Jarusia, który z dwiema butelkami piwa już siedział na pomoście. Szybkim krokiem podreptałam w jego kierunku i już za chwilę moczyliśmy stopy w brudnej, zimnej rzece, co po tak pełnym wrażeń dniu było uczuciem niezwykle przyjemnym.

– Trochę się zmieniło, odkąd siedzieliśmy tu ostatnim razem – rzucił mimochodem Jaruś, jakimś takim refleksyjnym tonem.

– O tak. Jestem czwórkę dzieci, jedną synową i wnuka dalej...

– Masz wnuka? Żartujesz – zdziwił się.

– Właściwie, to dopiero jest w drodze. Sama wiem od niedawna. Ciężko przestawić mi się na to, że w sumie jestem już babcią.

– Gratulacje! – Jaruś ścisnął mi dłoń. Bardzo delikatny ma ten uścisk, muszę przyznać.

– Starość – zaśmiałam się.

– Ty i starość? Proszę cię. Przecież jesteś matką czterolatków, w żadnym razie nie wyglądasz na babcię. Poza tym, jesteś bardzo młodą babcią. Nie masz nawet czterdziestki.

– Powiedział ten, który w wieku 37 lat jest wiecznym dzieckiem.

– Wypraszam sobie! Urażasz moją męską dumę Iwonko! Jestem stuprocentowym facetem!

– No, w to nie wątpię. Ale nie musisz mi tego udowadniać – zaśmiałam się, czując jakąś dziwną więź z Jariusiem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz siedziałam sam na sam z facetem i było mi tak przyjemnie.

– Tęsknię czasem za naszą paczką, a ty?

– Też. W końcu nie każda dziewczyna może pochwalić się przynależnością do grupy z szóstką chłopców. Pamiętasz te wszystkie osiemnastki, na których byłam jedyną dziewczyną? Wszystkie mi wtedy zazdrościły!

– Od zawsze wiedziałaś, jak się ustawić.

– Ba... Żeby teraz jeszcze umiała.

– Ułoży się. – Spojrzał na mnie tymi łagodnymi oczami i wydało mi się, że naprawdę wie, co mówi. Popijając piwo, zapatrzyłam się na zapalone w kuchni światło.

– Kiedyś wszystko było takie proste. Zero problemów.

– Hej, hej. Zero? A pamiętasz, jakie mieliśmy problemy na wycieczce w górach, kiedy to Hubert w magiczny sposób pojawił się w pokoju? Całą noc wtedy przewyłaś za „czwórkę”.

Roześmiałam się. No tak. Jaruś odwołał się do pamiętnej wycieczki w góry, na której działo się, oj działo. Byłam wtedy z przyjaciółką w pokoju, a chłopcy mieli pokój naprzeciwko.

Wieczorami zwykle przesiadywaliśmy u nich i Ola, bo tak miała ta dziewczyna na imię, razem z Felkiem wyszła na dach, żeby tam pogadać. Pech chciał, że na tym dachu zobaczyła ich jedna z recepcjonistek, która po swojej zmianie szła do domu, i zadzwoniła do naszej wychowawczynie.

Ja tej sytuacji dobrze nie pamiętam, bo z Kubą, z którym wtedy chodziłam, sami chcieliśmy uciec od tłumu i zaszyliśmy się w wolnym pokoju, żeby pogadać. Wychowawczynie tymczasem biegiem przyleciała do naszych pokoi. Zajrzała najpierw do pomieszczenia chłopców, w którym



nikogo nie było, bo towarzystwo przeniosło się zapobiegawczo do nas, to jest do pokoju dziewczyn. Wychowawczyni, kiedy zobaczyła całą zgraję młodzieży siedzącą w jednym pokoju, zajrzała z powrotem do chłopców, gdzie z kolei ujrzała Huberta, który w magiczny sposób pojawił się w pokoju.

– Hubert! Co ty tu robisz?! Byłeś na dachu?!

– Nie sorko, wypadł mi ręcznik na balkon i byłem tylko go podnieść.

– W takim razie kto był na dachu?! – zapytała pozostałych, którzy wylegli na korytarz, chcąc być na bieżąco z wydarzeniami.

– Nikt nie był na dachu! – zaprzeczyli wszyscy razem.

– Gdzie Iwona i Kuba?! Nie pójdę, dopóki się nie dowiem, gdzie są. Są na dachu?!

Biedny Felek musiał zadzwonić do nas, żebyśmy wyszli z naszej zacisznej czwórki.

Trafiliśmy w sam środek awantury, a do tego z kieszeni Kuby wystawał pasek, który zdjął, bo było mu jakoś niewygodnie. Chyba nie muszę mówić, jak dwuznacznie wyglądała cała ta sytuacja.

Oczywiście nie obyło się bez tłumaczeń i mojego płaczu tamtego wieczoru.

– Rzeczywiście – roześmiałam się na samo wspomnienie tej sytuacji. – To był problem – powiedziałam tylko do Jarusia, który popatrzył na mnie uśmiechając się i zapadła między nami cisza.

– No, powinniśmy chyba wracać. Zaczynają ciąć komary – przerwał ją po chwili Jarus.

– Chyba masz rację... – potaknęłam mu, odpędzając się od szkodników.

– Śpisz w sypialni, ja przemorduję się na kanapie. Rodzice nie są zwolennikami wczesnego śniadania. Zanim wstaną, już dawno będziemy na nogach.

– Jasne – odpowiedziałam mu uśmiechem i udałam się do sypialni.

Nawet nie wiecie, jak dobrze spało mi się z myślą, że spędziłam dzień z dala od dzieci, Grzegorza, braku pracy i ogólnej depresji. Tak jakoś... spokojnie. Myślę, że to ze względu na te wszystkie wspomnienia. Ach, ile ja bym dała, żeby wrócić do czasów, kiedy nie deptała mi po piętach opieka społeczna i mściwy były mąż. A wtedy... nie doceniało się tego, co się miało. Bez troski i łapania chwil, których teraz tak bardzo było brak.

Przereklamowana dorosłość.

*Następny* dzień minął spokojnie, aż do kolacji. Umówiłam się z Jarusiem, że koło piętnastej podrzuci mnie trochę do dzieciaków, których od niepamiętnych czasów nie zostawiałam na tak długo samych. Ogólnie było mi z Jarkiem jakoś tak miło. Cały mój przedrozwodowy stres gdzieś się ulotnił i mogłam spokojnie skupić się na prowadzeniu życia na wsi.

Poranek spędziłam z Jarkiem na podwórzu, gdzie pomogłam mu ogarnąć ogródek, któremu, jak na moje oko, brakowało kobiecej ręki. Obiad zjedliśmy z rodzicami mojego nowego niby-męża. Po nim moi niby-teściowie ulotnili się na wieś do jakichś starych znajomych, z którymi umówili się na spacer z kijkami i kawę. W tej sytuacji Jarus wraz ze mną udał się do Sosenek, gdzie na spokój i ciszę z Jarkowego domu nie było miejsca.

Kiedy tylko przekroczyliśmy furtkę, natychmiast obskoczyły nas psy, następnie bliźniaki, później moja mama, dla której przez tę jedną noc jakoś strasznie schudłam. Młodzież do obskakiwania się nie rwała, gdyż, jak się później dowiedziałam, udała się na plac zabaw, który był aktualnie centrum życia wsi.

Miały iść same dziewczyny, jak zrelacjonowała mi mama, ale Łukasz w żadnym wypadku nie chciał puścić Magdy samej (bo gdyby jej się coś stało?!), a i Agatce, jak powiedział, przyda się starszy brat, który odpędzi tłumy kochasiów. Do naszej blond piękności zalotnicy walili drzwiami i oknami, co oczywiście było moją winą, bo ja tak córkę wychowałam. Nie wdawałam się z matką w dyskusję, bo przecież to moja wina, że Agatka wygląda jak wygląda i jest w wieku jakim jest.

Bez słowa zaczęłam okupować leżak nad basenikiem o średnicy metr pięćdziesiąt dwa, który mój tatuś przywiózł dla bliźniaków razem z huśtawkami i zabawkami do piaskownicy. Antos musiał się w nim natychmiast wykąpać, bo była to kwestia życia i śmierci.

Pocziwy Jarus natomiast postanowił odciążyć mojego tatę od prac fizycznych i zabrał się

do wieszania huśtawki na gałęzi jednego z drzew. A miał w czym wybierać, bo ogród był wprost ogromny. Wielokolorowe rabaty kwiatów i oryginalne połączenia krzewinek to chluba mojej matki, o czym nie zapomniała wspomnieć każdemu człowiekowi, którego kiedykolwiek w życiu spotkała.

Mój błogi odpoczynek nie trwał długo. Okazało się, że musimy jechać na zakupy. Jedyne buty, które przywiozłam Antoninie zostały pożarte przez psa, a basen szlag trafił! Jak się można domyślać, tym rewelacjom towarzyszyło wycie bliźniaków. Jak nic sąsiadka wezwie policję, bo uzna, że dopuszczamy się przemocy domowej, w dodatku z udziałem osób trzecich, to jest Jarusia.

Jak do tego doszło?

Kiedy ja beztrwosko pochrapywałam sobie na leżaku, Jaruś kończył montowanie kolejnej huśtawki, ponieważ jedna dla całej hołoty to stanowczo za mało. Nasze yorkshire terriery postanowiły pohasać sobie z moimi bliźniakami, a po paru minutach i bliźniaki z terrierami. Wyglądało to w ten sposób, że moje dzieci biegały po całym podwórku, nie omijając wbiegania zabłoconymi stópkami do basenu, a psy za nimi. Kiedy basen był w strzępkach, Tosia darła się wniebogłosy z powodu siniaka na kolanie, a ja skończyłam z mokrym, zanoszącym się od płaczu dzieckiem na leżaku. Wtedy jeden z piesków postanowił wykorzystać okazję i aby całej sytuacji dodać nieco pikanterii, doszczętnie zniszczył Tosiowy but (za który, choroba jasna, dałam całkiem sporą sumkę pieniędzy, bo but miał być na całe lato!).

Z pomocą przyszedł nam rycerski tym razem Jaruś, który zaproponował wycieczkę z bliźniakami do pobliskiego miasteczka. W grę wchodziły oczywiście sklepy obuwnicze, sportowe oraz karuzela w wesołym miasteczku. Po doprowadzeniu bliźniaków do stanu używalności, zapakowaniu ich do auta i zapewnieniu mojej matki, że dzieci zdążą wrócić na kolację, ruszyliśmy w drogę.

Z racji tego, że sprawą priorytetową było kupno butów dla bosej Antoniny, udaliśmy się do sklepu obuwniczego. Bose dziecko od razu zaczęło wyrywać się do ślicznych bucików, które jedynie mogłyby zdeformować jej stopę i w najgorszym wypadku (odpukać!) spowodować u niej jakieś skrzywienie, kręgosłupa oczywiście. Po nieudolnych próbach przekonania, prośbach, aż w końcu zastosowaniu groźby, Antonina zgodziła się na granatowe sandały z usztywnianą piętą i dobrze wyprofilowaną podeszwą. W sportowym poszło nam zdecydowanie szybciej, ponieważ Jaruś zaoferował, że poczeka z dziećmi przed sklepem i obyło się bez całego zakupowego szau, w który bliźniaki wpadały na samo hasło: sklep.

Kiedy więc basen trafił do bagażnika samochodu, przejechaliśmy na parking przy miejskim parku, ponieważ tam stacjonowało wesołe miasteczko.

– No, wysiadamy – łagodnym tonem zachęcił dzieciaki Jaruś. Jakie szczęście, że nie musiałam na nie grzmieć i robić sobie wstydu jak zwykle, kiedy zabierałam je ze sobą na zakupy. Maluchy, jakby oczarowane barwą Jarusiowego głosu, posłusznie wysiadły z auta i popędziły ku dmuchanym atrakcjom. Po zapłaceniu za wstęp, kiedy bliźniaki ze świecącymi oczkami zjeżdżały z góry na dół po dmuchanej zjeżdżalni, razem z Jariusiem usiedliśmy na stojącej niedaleko ławce.

– Słodkie te maluchy – zachwycił się Jaruś.

– Gdybyś musiał spędzać z nimi tyle czasu co ja, nie byłbyś tego zdania. Oczywiście kocham je nad życie, są wspaniałe, urocze i co nie tylko, ale nieźle dają popalić.

– Nie wierzę.

– Uwierzysz, jak zobaczysz – zapewniłam Jariusia i długo nie musiał czekać aż moje kochane maluchy pokażą, na co je stać.

Kiedy tylko wysiedliśmy z samochodu na podwórku rodziców, bliźniaki natychmiast zaczęły domagać się rozłożenia nowego basenu. Na szczęście do domu wróciła już młodzież, więc dziewczyny zajęły się dziećmi, a ja spokojnie napompowałam basen i rozstawiłam go niemalże na tym samym miejscu, gdzie stał stary. Zadowolona zaproponowałam Jariusiowi coś do picia, na co on chętnie się zgodził i gdy tylko usiedliśmy pod altanką, dobiegł nas przeraźliwy krzyk Antoniny. Jak nie moje dziecko topi się w basenie!

Przerażona, pędem ruszyłam na tył ogrodu, gdzie urzędowały dzieci. Pochłonięta przez swoje czarne wizje, zatrzymałam się dopiero wtedy, kiedy ujrzałam, że Tosia cała i zdrowa stoi przed Agatą, jednak drze się wniebogłosy.

– Agata, coście jej zrobili! – wrzasnęłam na Bogu ducha winną blondynkę, która patrząc na mnie, zamrużyła tylko oczami.

– To nie Aga mamo, tylko ja – odezwał się siedzący obok Łukasz, którego oderwałam od Magdy.

– Dziecko, nic ci nie jest? – Rzuciłam się ku Antoninie, która nie przestawała płakać. – Łukasz! – ryknęłam na pierworodnego, a on chcąc uniknąć awantury, zaczął się tłumaczyć.

– Zapytała mnie, czy fajne ma te nowe buty, to jej odpowiedziałem, że fajne i jak byłem mały, to sam miałem podobne. Na to ona w pisk, że kupiłaś jej chłopięce buty i ona już ich nie chce.

I w ten oto sposób Jaruś docenił święty spokój, który miał w domu, gdyż uspokajanie Antoniny, że Łukasz tylko żartował, potrwało dobre pół godziny.

Po ucałowaniu maluchów na dobranoc udaliśmy się z Jariusiem w drogę powrotną do jego domu, gdzie czekali na nas jego rodzice. Bardzo poddenerwowani rodzice. Czyżby coś się stało?

– Kochani, musimy porozmawiać! – zaczęła złowrogo jego matka, gdy tylko przekroczyliśmy próg domu.

Posłusznie zasiedliśmy za stołem naprzeciwko Jarkowych rodziców.

– O co chodzi? – zapytał Jaruś, a ja zrobiłam tylko wielkie oczy.

– Chodzi o was! – obwieścił ojciec Jarka, odchylając się do tyłu na krześle.

– Jak to o nas? O co o nas?

– Otóż byliśmy u naszych znajomych i oni byli wręcz zszokowani informacją, że nasz syn prowadzi szczęśliwe życie z żoną u boku.

– A wyglądamy na nieszczęśliwych? – zapytał Jaruś, a ja kopnęłam go pod stołem.

Odpowiedział mi szelmowskim uśmiechem. W głębi duszy wiedziałam, że gotowy był na tę rozmowę i postanowiłam się nie wtrącać. Niech to Jaruś rozegra, jak chce.

– To ja może zaparzę herbaty... – chciałam wstać od stołu, ale spojrzenie ojca Jarusia nieco mnie powstrzymało – ...po tej rozmowie. Wtedy ją zaparzę. – Speszyłam się i usiadłam.

– Ty się Jarek głupio nie śmiej, tylko mi wszystko wytłumacz. Gdzie twoja obrączka?!

Gdzie jego obrączka?! Jak dobrze, że ja jeszcze swojej ze ślubu z bawidamkiem nie zdjęłam. Obracając ją palcami drugiej ręki, ruszyłam na pomoc Jariusiowi, którego nagle zrobiło mi się żal.

– Jarka obrączka jest u złotnika. Zrobiła się za mała, więc parę dni temu ją oddaliśmy. Myśleliśmy, że zdążymy ją odebrać przed powrotem rodziców, ale złotnik wyjechał do sanatorium, więc będzie dopiero za kilka tygodni... – Ta wiadomość zbiła z tropu Jarkowych rodziców.

– Nie zachowujecie się jak para. Wczoraj przy kolacji nawet się do siebie nie dotknęliście. Poza tym, dlaczego nie zostaliśmy zasypani zdjęciami z waszego ślubu, miesiąca miodowego czy czegokolwiek? Gdzie ten ślub w ogóle był?!

– W Grecji – odparł Jarek spokojnie, ale pewnie.

– Ślub w Grecji? A gdzie tradycja, gdzie jakiegokolwiek wartości...

– Chcieliśmy romantycznie... – wydusiłam.

– A zdjęcia naturalnie chcielibyśmy wam pokazać...

– Nie musicie. Poza tym nie mamy na to czasu. Trzeba jeszcze dziś się spakować, bo jutro jedziemy do ciotki do Sieradza, tam też długo nas nie było. Ale, no, macie szczęście. – Przez moment naprawdę byłam wystraszona tym gadaniem Celiny. Opowiadała mi, że kręcicie, że Jarusia każdy zna, bo policjant, i że poza pracą na nic nie ma czasu...

– Jak dla mnie, na wszystko znajdzie czas. – Pochyliłam się i ucałowałam Jarusia w ten gładki policzek, o który zadbał dziś rano, ściskając „męża” przy tym pod stołem za rękę.

– No. I to mi się podoba – ogłosił tatuś Jarusia, widocznie zadowolony, że w relacjach między nami wszystko jest OK. Pocałunek musiał wyglądać bardzo wiarygodnie i o to chodziło.

– To może ja zrobię tę herbatę... – Oddelegowałam się do kuchni, żeby w końcu zmienić temat.

**Po wypiciu** „rodzinnej” herbatki rodzice Jarusia udali się na górę, przebąkując pod nosem, że pakowanie nie zajmuje im już tyle czasu co nam, poza tym młodzi, to jest ja i Jarek, chcą pewnie trochę побыć sami. Właściwie to nawet chcieliśmy. Przynajmniej ja chciałam, nie wiem, jak Jaruś, ale jakoś tak... sympatycznie mi dziś z nim było. Na zakupach, w parku i u moich rodziców. Czułam, że jest mi jakiś bliższy. Pewnie ten spokój tutaj tak na mnie wpływa. Jak jest za dużo ciszy, to i człowiek staje się bardziej refleksyjny. Ja jestem przyzwyczajona do życia w biegu, awantur, korków, klaksonów, a tutaj szum wiatru i szmer płynącej rzeki. Jeszcze kilka dni i się przyzwyczaję!

– Dzięki, że pomogłaś mi z rodzicami. Sam nie wpadłbym na ten pomysł z obrączką. Można powiedzieć, że twoje byłe małżeństwo uratowało mi skórę... – Usłyszałam za sobą miękki głos i poczułam, jak na moich ramionach pojawia się Jarusiowa bluza. – Pomyślałam, że może być ci chłodno – odpowiedział na moje pytające spojrzenie.

Fakt. Siedząc na pomoście i myśląc, nawet nie zauważyłam, że robi się chłodno. Poza tym trochę ciągnęło od rzeki.

– Mogę? – zapytał, a ja zrobiłam mu miejsce bez słowa. – Jakaś milcząca się zrobiłaś.

– Tak mi się zebrało na refleksje.

– Jakbyś chciała pogadać, to jestem.

– Wiem, wiem. Tylko to nie takie łatwe... Czeka mnie teraz rozwód, starcie z bawidamkiem... przepraszam, z moim eksmężem. Już sama nie wiem, czy nastawiać się na awantury czy nie. Powinnam rozejrzeć się za jakimś porządnym prawnikiem.

– O ile mi wiadomo, twoja mama już się tym zajęła. A pan Staszek naprawdę jest znany w okolicy, więc nie powinnaś za bardzo się tym martwić.

– Znasz moją mamę. Ona musi wszystko zorganizować i już. Tata za to najchętniej udusiłby każdego faceta, który się do mnie zbliża. Takiego co mi krzywdę zrobił, to chyba mógłby zamordować. I wcale tu nie dramatyzuję, tylko stwierdzam fakty.

– Ciężka sprawa. Jeszcze ta Niebieska Karta. Nie obraż się, ale robię w tym zawodzie już kilka lat i na niejedynej rozprawie sądowej zeznawałam. Niebieska Karta to już coś poważnego. Cała procedura wszczęta. Machiny nie zatrzymasz, a sąd trzyma się papierków.

– Wiem, ostatnio naprawdę się tym martwię. Świat zaczyna kręcić się poza mną, sam zresztą wiesz. Nie mogłam powstrzymać się od załamania, nawet w twoim towarzystwie – uśmiechnęłam się sama do siebie, na myśl o tym, jaką żalostną płaczką się zrobiłam. – Poza tym zostają dzieci...

– Całkiem sympatyczne dzieci.

– Myślałam, że po popisie wrzasków i pisków zmienisz zdanie – uśmiechnęłam się.

– Może i bym zmienił, gdybym miał własne dzieci. Jak przebywam z cudzymi od czasu do czasu, to nawet ten aspekt mnie nie zraża...

– Szkoda, że ci z tą Lidką nie wyszło...

– Ja tam nie żałuję. Staram się o tym nie myśleć. Popatrz, gdybym miał żonę i dzieci, to nie siedziałbym tu teraz z tobą i nie gadał, co mi ślina na język przyniesie.

– Racja – roześmiałam się. – Mogę się o ciebie oprzeć? – ja to mówię? Hej, hej. To moje słowa?

– Jasne. – Jaruś podsunął mi ramię, a moja głowa w błyskawicznym tempie się na nim znalazła.

– Chyba się starzeję, bo zaczynam doceniać ciszę i spokój.

– W takim razie zapraszam częściej. – Nie widziałam, ale czułam, jak się uśmiecha. Ach ten Czarus, czy jak go tam zwą. – Dla mnie za to miłą odmianą było popołudniowe szaleństwo. Jeśli będziesz potrzebowała kiedyś niańki do bliźniaków, wal jak w dym.

– Zapamiętam. Czasem mam ich tak serdecznie dosyć. Szczególnie, gdy na obiad muszą być codziennie dwie zupełnie różne zupy, bo Antoś kocha pomidorową, a Antonina rosół.

– Ale powiedz, nie czujesz się wtedy potrzebna?

Chwila ciszy.

– Czuję, czuję. Ale przez ostatnie lata miałam wrażenie, że moje życie ogranicza się do

gotowania obiadków i parowania skarpet w najróżniejszych rozmiarach. Myślałam, że jestem dobrą żoną i matką... No, matką może i jestem, żoną najwidoczniej nie byłam. Żebyś ty widział tę jego minę, ten triumf w oczach, kiedy mi mówi, że woli inną. No jak nic myślałam, że podejść i dam mu w pysk.

– Trzeba było dać.

– W końcu nie wytrzymałam i mu przywaliłam.

Jaruś roześmiał się gardłowo.

– No co? Należało mu się, a ja byłam w prawdziwym szoku i dałam się ponieść emocjom.

Sąsiedzi pewnie do tej pory plotkują o tym spektakularnym wydarzeniu.

– Aż tak?

– Nie pytaj. Po prostu przyjmij, że nie byłam wtedy oazą spokoju.

– Ciężko mi w to uwierzyć. – Jaruś się zaśmiał.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz...

– Hej, wiem na przykład, że twoja głowa wcale nie jest ciężka i że kiedy twoje dziecko cię potrzebuje, nie patrzysz na to, komu właśnie depczesz po nogach.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne.

– A co dalej? Co zamierzasz po rozwodzie? Zostać tutaj, wrócić do miasta? Dzieci przecież się uczą...

– Szczerze mówiąc, nie myślałam o tym jeszcze. Dopiero u ciebie mam chwilę, żeby usiąść spokojnie, więc dla mnie to nie takie oczywiste. Ale pewnie już tam nie wrócę. Mam jakieś pieniądze na koncie, bo ostatnia powieść dopiero trafiła na rynek, ale na siedlisko, jak ci mówiłam, to zdecydowanie za mało. Rodzice z domu mnie nie wyrzucą, a dzieciaki mają wakacje. Cóż. Będę musiała pewnie rozejrzeć się za jakąś robotą, bo z pisania wyżyć się nie da...

– Rozumiem – pokiwał tylko głową.

– Przyjechałam tu z nastawieniem, że zaczynam nowe życie.

– No, to na co jeszcze czekasz? Jak cię znam, to już masz jakieś szalone pomysły.

– Rozczaruję cię – odpowiedziałam z uśmiechem. – Aktualnie nie mam żadnego.

– A nowe życie?

– Chyba właśnie je zaczęłam.

– Co ty nie powiesz.

– Hej, mój pierwszy przyjaciel w nowym życiu, a już taki pyskawy?

– Wielkie nieba, ze statusu obcego faceta wskoczyłem na przyjaciela zaledwie w kilka dni?

Dobry jestem – odpowiedział z ironiczną dumą. Podobał mi się ten ton.

– Nie wpadnij mi tu w samozachwyty, bo nie wiem, jak twoje rozbuchane ego zmieści się w drzwiach.

– No. I wróciła Iwonka, którą znam. Brakuje nam tu jeszcze piątki chłopca i ramienia Kuby zamiast mojego.

– Nie narzekam, twoje też jest wygodne.

– Tylko twoja głowa trochę zaczyna mi ciążyć...

– Serio? – uniosłam głowę, zerkając mu w oczy.

Śmiał się, paskuda jedna. Śmiał się tymi oczami!

– Nie, ale skoro już się podniosłaś, to możemy iść do domu. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale zrobiło się ciemno.

– Twoja kanapa czeka – rzuciłam szelmowsko, podnosząc się.

– Jeszcze zobaczymy – mrugnął do mnie.

– E, koleś. Nawet na to nie licz, nie wpuszczę cię do sypialni...

– Drocę się tylko, ale ta nutka niepewności w twoim głosie...

I w takiej oto atmosferze minął mi drugi, a zarazem ostatni wieczór z Jariusiem, który okazał się całkiem w porządku facetem. Z samego rana pożegnaliśmy Jariusiowych rodziców, zjedliśmy skromne śniadanko i z pewnym bólem serca, a zarazem radością, opuściłam Jariusiowe domostwo. Z żalem, bo naprawdę je polubiłam (nie mam tu wcale na myśli właściciela! No... może trochę...), a z radością, bo stęskniłam się za tą komedią, w której rolę główną grały moje nastolatki, maluchy,

a ostatnio rodzice, którzy przebijali obie wymienione wcześniej grupy. Niestety...

**Kilka kolejnych** lipcowych dni upłynęło nam raczej spokojnie. Sama łąpię się na tym, że to zdanie dziwnie brzmi, ale faktycznie tak właśnie było. Dzieciaki zebrały się i po moich wielu nakazach i zakazach pojechały na rowerach nad jezioro do sąsiedniej miejscowości, tak że nie było ich cały ranek.

Ja tymczasem zajęłam się bliźniakami, bo w duchu obwinałam się, że poświęcam im tu na wsi za mało uwagi, zwłaszcza ostatnimi dniami, więc nadrobiliśmy to biegając po łąkach, łąpiąc motylki i malując farbami.

– Mamusiu? – zagadnął mnie Antoś, gdy siedzieliśmy przy stole w jadalni, który z chwili na chwilę, za sprawą moich kreatywnych pociech, stawał się coraz bardziej kolorowy.

– Słucham kochanie?

– Czemu tatuś do nas nie przyjeżdża? – Antek wbił we mnie swoje wielkie, pytające ślepie. Na domiar złego zawtórowała mu Antosia.

Odchrząknęłam.

No to jest bardzo dobre pytanie, trzeba mu było przyznać. Chociaż najchętniej wydrapałabym ślepie temu fałszywemu gawronowi, to za dziećmi mógłby się w końcu stęsknić, a nie namiętnie wyczyniać dzikie harce w naszym mieszkaniu z półmagimi blond pięknościami.

Okej, okej. Nie wiem, czy właśnie tak robił. Ale domyślam się. Kota nie ma, a myszy harcują. Zwłaszcza ta mysz, która od zawsze śmiała się do młodszych kobiet jak głupi do sera! Możecie mi wierzyć, za długo i za dobrze go znałam, żeby teraz nie być tego pewna.

– Cóż... – zaczęłam niepewnie, patrząc na pochylone w moją stronę bliźniaki. – Tatuś ma dużo pracy kochanie. Nie może ciągle was odwiedzać...

– Ale on nie odwiedza nas wcale. Przecież nie pracuje ciągle – zauważył słusznie mój synek.

– A ty wcale do niego nie dzwonicz – dorzuciła swoje pięć groszy córeczka.

Spuszczając wzrok na bardzo mnie w tym momencie interesujące paznokcie, zaczęłam bić się z myślami. Za kim oni byli tak dociekliwi? Może poszli w babcię?!

– No dobrze, dobrze. Widzicie kochani... – przełknęłam głośno ślinę. – Nieraz zdarza się tak, że mamusia z tatusiem nie chcą już ze sobą mieszkać.

– I wtedy dzieci wyprowadzają się z mamą do babci?

– Tak. No... – zawahałam się. – Jak się tak nad tym zastanowić, to w gruncie rzeczy tak.

– A tatuś gdzie wtedy mieszka? – Antonina chciała wiedzieć.

Ze swoją przyszłą niedoszlą, cholera jasna, mieszka! No, ale tego dzieciom nie mogłam raczej powiedzieć.

– A tatuś nadal mieszka wtedy w domku – uśmiechnęłam się więc ciepło, chociaż krew we mnie wrzała.

– I będziemy go odwiedzać? Bo tam zostały nasze zabawki.

– Właśnie! – ożywiła się Antonina. – Moje ulubione puzzle tam zostały. I Benek. Może tatuś przywiezie nam jutro Benka?

– Tak... hm... no, może tak – popatrzyłam niepewnie na Antoninę. Powinni przeprowadzać specjalne kursy dla rodziców, jak rozmawiać o takich rzeczach z dziećmi, bo jak na razie marnie mi szło. Oj marnie.

– Zadzwońmy do niego? – Antosia spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Może lepiej nie teraz.

– Mamo! Zadzwońmy. Proszę. Chcę porozmawiać z tatą i powiedzieć mu o Benku!

– Kochani – stanowczo położyłam dłonie na stole. – Porozmawiamy o tym później, bo muszę teraz natychmiast iść siku. Nie chcecie przecież, żebym zrobiła je tutaj, prawda? – zrobiłam głupiotką minę i zerwałam się od stołu, chcąc uciąć tę rozmowę najszybciej, jak się da. Oczywiście chciałam maluchom to wszystko wyjaśnić, ale kurczę... powinnam się najpierw doszkolić w tym temacie, bo znając siebie, to zaraz się w tych tłumaczeniach zaplączę i guzik z tego wyjdzie. To, że

z wykształcenia jestem pedagogiem, a z wieloletniej praktyki pełnoetatową matką, nie musiało świadczyć o tym, że byłam na tę rozmowę przygotowana.

Zresztą, co ja będę ukrywać. No nie byłam. Biję się w piersi. Nie byłam!

– Widzisz! Mówiłam ci! – Antonina szturchnęła Antosia, gdy wychodziłam z jadalni i nachyliła się do niego konspiracyjnie. – Rozwodzą się. Tak, jak tłumaczyła nam Agatka.

– Super! – Antek klasnął w upačkane farbą ręce i uśmiechnął się radośnie.

– Będziemy dostawać dwa prezenty. A urodziny niedługo!

– Ja poproszę mamę o nowego Benka. Agatka mówiła, że będziemy czasem jeździć do tatusia, to jeden będzie mieszkał tu, a drugi tam.

Stojąc pod drzwiami, najpierw potwornie się zdziwiłam, a zaraz potem odetchnęłam z ulgą. W końcu jakiś pożytek z tych starszych dzieci. Skoro Agatka odwaliła za mnie czarną robotę i wzięła na siebie uświadamianie bliźniaków, powinnam być z niej dumna. Ten dzień od razu stał się po stokroć piękniejszy. Powiem wam, że wspaniała ta moja starsza córka. Po prostu wdała się we mnie. Jak nic! Muszę rozważyć podniesienie jej kieszonkowego, za to, że odebrała mi w tym momencie chwalebny rolę matki.

Czyżby moja średnia pociecha była bardziej dojrzała niż ja?

Dobra, dobra. Stop. Nieistotne.

Tryskając radością, poszłam w końcu do tej łazienki, a potem zabrałam się za kopanie w ogródku. Nie mogłam nie zużytkować tej energii na coś konstruktywnego.

Po południu, gdy słońce przestało prażyć i zaczęło świecić mniej agresywnie, zadzwonił Jaruś i powiedział, że jest już wolny. Nie czekając długo, ubrałam więc stosownie bliźniaki, spryskałam je antykleszczowym i antykomarowym sprayem (bo na wsi nigdy nic nie wiadomo, a do mieszczańskich ciał podobno robactwo klei się bardziej) i odbyliśmy rowerową wycieczkę do lasu.

To znaczy ja i Jaruś odbyliśmy, bo rola bliźniaków ograniczyła się do siedzenia w fotelikach za naszymi plecami i wpychania do ust kolejnych czekoladowych chrupek, za co ja, matka, na pewno odpokutuję podczas kolejnej wizyty u dentysty. Ale czego nie robi się dla zagłuszenia sumienia?

Następnego dnia postanowiłam trochę popracować, ponieważ zaczęta jeszcze w bloku powieść leżała odłogiem przez te kilkanaście dni, z czego, tak samo jak z zaniedbywania bliźniaków, wcale nie byłam dumna. Czytając kolejne akapity napisanych przeze mnie wycieczek, zastanawiałam się nad ciągiem dalszym i kiedy już zaczęłam stukać w klawiaturę, do sypialni zajrzał Łukasz.

– Mamo, tak tylko informuję cię, że wychodzę kosić trawę.

Wyrzesałam za okno.

– Chmurzy się, nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Daj spokój, mamus. Zanim lunie, przynajmniej część podwórka będzie idealnie przycięta.

– No, jak uważasz synku...

– A tak à propos, babcia woła cię na kawę w oranżerii.

No i masz... nie popracowałam. Bo boję się odmówić własnej matce! Może to robota dla specjalisty? Jakies ukryte lęki czy coś w tym stylu. Kaśka wcale niegłupio zrobiła, wspominając mi ostatnio o tym psychologu...

Powłócząc nogami, zeszałam na dół, gdzie czekała już na mnie moja matka z dwiema filiżankami parującej esencji. Posłusznie usiadłam obok i już za parę chwil znałam najnowsze ploteczki z okolicy. I jak w tych warunkach mam nie mieć blokady twórczej?! Właściwie, zreflektowałam się po chwili, to nie chodzi o blokadę, bo gdybym miała chwilkę, to może i bym coś napisała!

Wyrzesałam przez okno. Łukasz wyciągnął kosiarkę i gdy tylko pociągnął za linkę, żeby odpalić, zaczęło padać. Łukaszek pomachał nam tylko, a ja z miną pod tytułem „a nie mówiłam” posesałam mu triumfujące spojrzenie. Kosiarka wróciła do garażu, a Łukaszek do domu.

– To może poczekam, aż przestanie padać – rzucił, najwidoczniej rozbawiony, i przysiadł się do stołu. Michalina od razu pospieszyła z dodatkową filiżanką.

- Niegłupi pomysł synku.
- Bardzo śmieszne, no bardzo śmieszne!

Naszą wybitnie inteligentną dyskusję przerwało pojawienie się w oranżerii Agatki i Magdy. Oraz oczywiście telefonu, bez którego moja blond piękność nie może żyć, a który co chwilę wydaje z siebie te głupie dźwięki!

- Agatka, prosiłam cię tyle razy, wyłącz to, kiedy siadasz przy stole.
- Kiedy mam, nie mogę! Po prostu nie mogę! To sprawa życia i śmierci!
- Jakiego znów życia i śmierci? Odłóżysz to na parę minut, oderwiesz się, a świat się nie zawali.

– Kiedy właśnie tłumaczę ci mam, kolejny raz! Że owszem, mój świat się wtedy zawali! Chcesz, żeby twoje dziecko zostało wykluczone społecznie?

- Na pewno wykluczenie społeczne nie ma nic wspólnego z pisaniem SMS-ów...

Dźwięk przychodzącej wiadomości!

- A właśnie, że ma! – odpowiedziała Agata już coś tam stukając na telefonie.

– To proszę, wytłumacz to starej matce, bo najwidoczniej mój starczy umysł nie jest już w stanie tego pojąć!

– Po pierwsze... – okazała łaskę moja córka – kiedy odłożę telefon, wypadnę z obiegu, przegapię z całą pewnością coś dla mnie ważnego i wtedy będę towarzysko do tyłu. Będę musiała wydać pieniądze na telefon do znajomych, żeby dowiedzieć się wszystkiego, bo akcja w tym czasie się rozwinie, więc kiedy odłożę telefon, tylko na tym stracę. Właściwie ty stracisz... przynajmniej piątkę na doładowanie mi konta.

- Aha. – Najwidoczniej się starzeję, bo dla mnie to ŻADEN powód!

– Po drugie, to jest rodzaj nałogu mamusi. Wiesz, jak ciężko odzwyczaić się od palenia? Tak samo ciężko odzwyczaić się od komórki. A to chociaż nikomu nie szkodzi. Wołałabyś, żebym zamiast SMS-ów paliła?

- No nie...

– No widzisz. Więc po problemie – zakończyła triumfująco, oddalając się od stołu razem z towarzyszącym jej dźwiękiem przychodzącej wiadomości.

- To ja może pójde kosić... – powiedział Łukasz i przystąpił do zakładania skarpetek.
- Nie wiem, czy warto, bo już kropi.
- Gdzie tam kropi! Zaraz przestanie...

I kiedy tylko mój syn założył obie skarpetki i zrobił krok do drzwi, zaczęło bębnić w szyby i parapety.

– No niech to szlag! – zaklął pod nosem. Skarpety wróciły na poprzednie miejsce, a Łukasz z Magdą oddelegowali się na górę. Bo przecież ta pogoda wykończy ich nerwowo!

Mnie za to nerwowo nie wykończy, bo przezornie przywiozłam bliźniakom kilka ich ulubionych kreskówek na DVD i moje pociechy siedziały grzecznie przed telewizorem, wyglądając z daleka jak zahipnotyzowane. Z bliska już może nie, bo Antoś ślinił się jak popadnie, a Antonina męczyła biedną Felę, której widocznie znudziło się już pilnowanie potomstwa. Właśnie! Powinnam jechać z kotem do weterynarza, bo długo to ona na tym STOPERANIE nie pociągnie... Kilka dni czuje się dobrze, a potem znowu znajdujemy w domu śmierdzące niespodzianki. A może wychodzi na dwór i je jakieś myszy? W końcu do tej pory była domowym kotem chowanym tylko na suchej karmie. Metamorfoza z mieszcucha na stałego wiejskiego bywalca nie wszystkim musi przychodzić łatwo. Muszę ją przypilnować.

Po tych rozmyślaniach nad stanem kociego żołądka wróciłam do laptopa, zadowolona, że pada i będę mogła w spokoju popracować. Kiedy tylko usiadłam, zadzwoniła Katarzyna, która nieco wybiła mnie z natchnienia i finalnie nic z mojego pisania nie wyszło. Z miną męczennicy zamknęłam więc laptop, zabrałam stojący przy łóżku kubek i zesłam na dół, żeby zrobić sobie kawę. Kiedy aromatyczny napój parował w moim kubku, wzięłam z kuchni jakąś gazetę i zasiadłam na ratanowym fotelu w oranżerii.

– Idę kosić! – oznajmił mi po paru minutach Łukasz. Założył swoje skarpety, kontrolnie spojrzął przez okno, czy nie pada (nie padało) i wyszedł na dwór. Ciekawe, co mu z tego koszenia



wyjdzie.

Odłożyłam więc krzyżówki i podeszłam do okna. Już za moment mignęła przede mną sylwetka Łukasza. Pociągnięcie za sznurek... i cisza. Jeszcze jedno. Znowu nic. Łukasz pochylił się do kosiarki i już za parę minut maszyna znowu stała w garażu.

– Co się stało? – zapytałam, kiedy tylko wszedł do domu.

– Jak to co, nie ma paliwa! – popatrzył na mnie złowrogo i wyrzucił w górę rękę.

– No, to nici z tego koszenia syneczku – zaśmiałam się pod nosem.

W odpowiedzi burknął coś tam, a ja wróciłam do krzyżówek. Zaczęło padać!

*Siapilo* do wieczora. Właściwie sama nie wiem, na czym ten dzień mi upłynął. Michalina za żadne skarby świata nie dała mi się zabrać za cokolwiek. Nie przemawiały do niej moje prośby, że to dla zabicia czasu. Jak się uparła, to nic jej nie przekonało. Chyba że ziemia by się zatrzęsała. Ale na to niestety w naszym położeniu geograficznym raczej nie ma szans. Snułam się więc po domu niczym biała dama. Właściwie niedaleko mi było, bo moje blond włosy, którym przydałoby się już malowanie, nieźle straszły.

Moja rola tego dnia ograniczała się jedynie do przełączania bajek bliźniakom, a finalnie do ich wyłączenia, wepchnięcia w małe dzióbki kolacji, wykąpania całych bliźniaków, w szczególności dzióbków (kiedy one przestaną tak brudzić się przy jedzeniu?) i utulenia ich do snu. Ku mojej uciechu, obyło się bez wstawania, wędrowania góra dół i płaczu.

Kiedy bliźniaki grzecznie zasnęły, zajrzałam do mojej młodzieży, która na ten deszczowy czas zaległa w pokoju Magdy i Łukasza. Nie chcąc im przeszkadzać, wetknęłam tylko głowę przez drzwi i mało nie wybuchnęłam śmiechem. Mój syn, niczym królewicz rozłożył się na łóżku. Obok niego, po jednej i drugiej stronie leżały jego siostra i dziewczyna, która, muszę przyznać, nieco już się zaokrągliła w znaczącym miejscu. Łukasz, rozplywając się w błogim uśmiechu, głaskany był przez Magdę po głowie, a Agatka trzymała mu szklaneczkę, z której jaśnie królewicz pociągał co i rusz łyk jakiegoś napoju. No jak nic powinnam ich nagrać!

Nie chcąc jednak przeszkadzać w tej jakże miłej dla oczu sielance, idylli, czy bukolice (jak zwał, tak zwał), sama zaległam przed telewizorem, obejrzałam jakiś mdły film o miłości, w którym chodziło od początku do końca tylko o pieniądze. I jak tu wierzyć w prawdziwą miłość, zwłaszcza w mojej sytuacji?

Kiedy tylko film się skończył, wykapałam się i poszłam spać. I to był z mojej strony błąd, bo długo sobie nie pospałam. Mniej więcej za półtorej godziny, to jest po dwudziestej trzeciej, obudziło mnie szarpanie Agatki.

– Mamo, włamanie!

Jak to włamanie? Matko kochana, gdzie włamanie, co włamanie? Kto strzela?

Wyskoczyłam z łóżka jak poparzona i pobiegłam na dół, gdzie zebrani już byli wszyscy domownicy, poza Magdą, Łukaszem i bliźniakami, którzy spali w bardziej odległym skrzydle domu, z pewnością niczego nieświadomi.

– Co się stało? – zapytałam, mrużąc oczy i przekrzykując wyjący wniebogłosy alarm.

– Włamanie!

– To już wiem, ale co więcej?

– Ja pani wyjaśnię – zaoferowała się z bijącym sercem Michalina, która wystraszona była nie na żarty.

– Dziękuję.

– Śpię sobie spokojnie, wie pani, w moim pokoju przy drzwiach – a gdzie by indziej miała spać?! – a tu nagle włącza się ten cały alarm! Jak toto wyc zaczęło, jeszcze tuż pod moim oknem. Więc zrywam się z łóżka, bo nieczęsto się zdarza, cała jestem przestraszona, a tu nagle jak nic ktoś mi okno wybija. Jak nie wrzasnęłam! Nawet światła w tych nerwach nie zdążyłam zapalić. I wskakuje mi do pokoju jakiś obcy facet! Niech pani sobie wyobrazi, jak mi serce stanęło! Ze dwa razy wyższy ode mnie, z czymś w ręku. Pewnie worek miał, bo to tak wyglądało, chociaż nie wiem, bo ciemno... z moim wzrokiem to już tak się wszystkiego nie zobaczy. Nie przywykłam do takich

sytuacji! A tamten mi do drzwi! Jak go nie złapałam, jak mu lampką nie przyłożyłam w głowę! No i padł.

– Matko kochana. I co z nim?

– No i leży w tym moim pokoju. Na moje oko trochę poleży. Bo jak padł...

– Ale to trzeba policję, pani kochana... – Rzuciłam się ku telefonowi i wybrałam prędko numer Jarusia. Skąd on mi się znalazł w pamięci, to ja nie wiem. Może w szoku cyfry się same przed oczy rzuciły, czy co...

– Jarek? Tak, wiem, która jest godzina.... Stało! Włamanie mamy... prawdziwe!... alarm wyje, pobudzeni wszyscy. Przyjeżdżaj, ja cię proszę, bo my tu nie wiemy, co robić.... jak to na policję? Ty jesteś policja!...

– Przyjedzie! – obwieściłam zebrany, uraczona od razu wiadomością, że policja też przyjedzie, bo pani Michalina pierwsze co, kiedy włamywacza w pokoju zamknęła, to zadzwoniła na policję.

Pierwsza przyjechała policja, a za nimi zaraz Jaruś. Widocznie panowie w mundurach już byli w drodze, kiedy ja ściągałam tu Jarusia, który właśnie wchodził do domu w jakimś zielonym sweterku. Wyciągnęłam biedaka z łóżka, jak nic.

– No dobrze, co się stało? – zapytał w końcu policjant, wyjmując jakiś niewyglądny kajecik i długopis.

– Panie kochany, ale tu nie trzeba pisać! – moja matka rzuciła się ku niemu. – Tu trzeba przestępcę zamknąć, zanim coś się stanie. A to wiadomo? Może on niebezpieczny...

Policjant, który zorientował się chyba, że jest na przegranej pozycji, uległ mojej matce.

– No dobrze. Niech państwo wyjaśnią mi szybko, co się stało! O Jarek, ty tutaj? – Podał rękę Jarkowi, jak gdyby nasz włamywacz był mniej ważny od jego kolegi z pracy!

Po wysłuchaniu całej historii z ust czterech osób naraz, bo ja z Jarkiem do rozmowy się nie wrywaliśmy, policjant zawyrokował.

– Proszę się odsunąć od drzwi. Wchodzimy.

I sprawnym ruchem popchnął drzwi do środka. Wszyscy zebrani od razu nachylili się, żeby zobaczyć, czy pani Michalina mówi prawdę. No i mówiła. Leży na podłodze jakiś chłopak, jak na moje oko to całkiem młody. Mało nam się szyje nie powyrywały od tego wyciągania w stronę drzwi.

– Mówiłam... – wyrwało się Michalinie.

Ale zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, po schodach zbiegła wystraszona Magda.

– A co tu takie zbiorowisko? Łukasz wrócił?

Wszystkie spojrzenia powędrowały na Magdę.

– Jak to wrócił? A to był gdzieś?

– Matko kochana, a jak ten włamywacz coś Łukaszowi zrobił?

– No do sklepu wyszedł z półtora godziny temu. Miał wrócić przed alarmem.

– Jak nic ten oto mu coś zrobił... – lamentowała moja matka.

– Po co on, do choroby, po nocy do sklepu wychodził?

Magda spieszyła się nieco.

– Po ogórki dla mnie, bo mnie taka ochota naszła, a pani Michalina już spała... a co tu się właściwie dzieje?

– Włamanie! – odpowiedział jej chór głosów.

– Jak to włamanie?

– Tak to. Tam leży włamywacz, panowie policjanci nad nim stoją...

– Jak na moje oko, to trzeba do niego karetkę, bo się nie budzi – wszedł mi w słowo policjant. – Nieźle go pani potraktowała tą lampką. Ale na co mu ogórki w siatce? Ja nie wiem...

– Matko kochana, Łukasz! – krzyknęła Magda i wyrwała się ku Łukaszowi, który został przez nas okrzyknięty włamywaczem.

– Proszę się nie zbliżać. – Policjant starał się ją zatrzymać, ale ta się nie dała. Swoją drogą co on myślał, że da radę kobiecie i to w dodatku ciężarnej, której ukochany leży właśnie nieprzytomny na podłodze?

Poleciałam zaraz za Magdą. W końcu to mój syn, zamiast napadać został napadnięty!

Magda raz dwa Łukasza ocuciła, Agatka pospieszyła policjantom całą pomyłkę wyjaśniać, a mnie pozostało sprzątnięcie ogórków, które niestety nie przeżyły spotkania z panią Michaliną. Gosposię natomiast matka wzięła do kuchni, żeby dać jakieś ziółka na uspokojenie. Łukasz tymczasem nie za bardzo wiedział, co się stało.

– Poszedłem dla Magdy po ogórki, bo pani Michalina już spała i nie chciałem jej budzić. Ale w tym waszym sklepie to nic nie ma, więc musiałem iść do drugiej wioski. Kiedy w końcu dostałem ogórki, bo tam też nie mieli, ale sprzedawczyni przyniosła mi z własnej piwnicy, bo jej wytłumaczyłem, na co mi one, zorientowałem się, że już po dziesiątej i alarm został włączony. Co miałem robić? Wlazłem oknem. Myślałem, że wszystko pani Michalinie wytłumaczę, ale coś mi chyba spadło na głowę, bo nic nie pamiętam...

– Łukaszek kochany... – Magda tuliła go do siebie. – Bardzo boli?

– Nie boli. – Nasz niedoszły włamywacz uśmiechnął się czule. – Tylko mi szkoda tych ogórków, bo tak się starałem, żeby ci je przynieść...

– Już mi się Łukaszku tych ogórków odechciało. Ważne, że tobie nic się w starciu z lampką pani Michasi nie stało. Chodź lepiej na górę...

I tak oto zostałam sama z Jarusiem i policjantami, bo Agatka podążyła z Łukaszem i Magdą na górę.

Kiedy ogórki zostały sprzątnięte, szkło wyzbierane, a podłoga umyta, zaproponowałam policjantom i Jarusiewi kawę. Policjanci, rozbawieni widać całą sytuacją, niestety odmówili, gdyż są na służbie i nie przystoi.

– Ja też będę już uciekał, rano idę do pracy i powinienem się zdrzemnąć. – Jarek pożegnał się po całej aferze, a my, czytaj: wyrwani ze snu domownicy, wróciliśmy do łóżek.

Idąc do sypialni, nie miałam nawet siły myśleć o tym, jak to całe włamanie wpłynie na postawę sądu wobec mnie jako matki oraz na opinię nadgorliwej baby z opieki społecznej, która za parę dni znów do nas zapuka.

I choć natłok ostatnich wydarzeń coraz bardziej utwierdzał mnie tylko w przekonaniu, że coraz łatwiej żyje mi się terazniejszością, to była kolejna noc, której nie umiałam przespać spokojnie. W końcu to już prawie 1,5 miesiąca, odkąd przeprowadziliśmy się do Sosenek. Myślałam, że dużo szybciej przyjdzie mi odbić się od dna, a tu proszę. Mimo wszystko nadal trwam w zawieszaniu. Może by pomyśleć w końcu o jakiejś pracy, skoro to miejsce, głównie za sprawą nadopiekuńczej matki, wisi nade mną jak fatum?

**Po tych** drastycznych wydarzeniach doszliśmy do wniosku, że wszystkim nam przyda się odrobina odpoczynku. Spakowaliśmy prowiant, koce, psy i zapakowaliśmy się do dwóch samochodów, to jest do mazdy rodziców i autka Jarusia, ponieważ nasza liczebność nie pozwala już przemieszczać się w żaden inny sposób.

Pojechaliśmy nad jezioro. Droga minęła nam całkiem sprawnie. Jak zwykle już, liczba postojów mieściła się w przedziale 2-5, do czego jednak zdążyliśmy już przywyknąć. Taki urok wożenia ze sobą małych dzieci i nic się na to nie poradzi.

Zgubiliśmy się tylko raz, co też jest normą, jeśli za kierownicą zasiada mój ojciec. Kojarzyło mu się, że zawsze na plażę wjeżdżał przez alejkę obsadzoną kwiatami po obu stronach, a alejek przez ostatnie lata się namnożyło, więc wjeżdżaliśmy i wyjeżdżaliśmy kilka razy, aż w końcu zdenerwowani i czerwoni z gorąca, ponieważ klimatyzacja odmówiła posłuszeństwa, zaprotestowaliśmy i wypakowaliśmy klamoty na plaży, która ojcu nie pasowała, bo to nie ta alejka, ale trudno. Mamy demokrację i już.

Każdy chwycił więc to, co miał pod ręką i szurając klapczkami po piasku, ruszyliśmy ku plaży.

– Mamo, czy to ocean?

– Nie kochanie, to nie ocean.

– Morze?

- Niestety, morze też nie.
- To co?
- Jezioro kochanie.
- Jezioro jest większe od morza?
- Przykro mi, nie jest.
- A od oceanu?
- Tym bardziej Antosiu, dlaczego pytasz?
- Tak po prostu, żeby wiedzieć.

Nie nadążę za tymi dziećmi. Ale muszę przyznać, że pytania mają coraz bardziej inteligentne, to trzeba im przyznać!

Rozbiliśmy się na plaży praktycznie nad samym brzegiem jeziora. Ludzie dopiero zaczęli się gromadzić, ponieważ wyjechaliśmy z domu wyjątkowo wcześniej. Być może zawdzięczamy to mojej mamie, która wzięła na siebie budzenie wszystkich, gdyż jak już wielokrotnie wspominałam, z babcią Haliną nikt nie śmie nawet dyskutować.

– Do wody! Do wody! – krzyczały rozentuzjasmowane bliźniaki, podczas gdy reszta szarpała się z kocami, namiotem i koszykami z jedzeniem. Kiedy wszystko zostało wypakowane i ustawione na swoim miejscu, rozpoczęło się wielkie nacieranie kremem z filtrem, który niestety nieprzewidziany był na taką liczbę osób i trzeba było wysłać kogoś do auta, gdzie znajdował się zapasowy.

- Łukasz, weź od dziadka kluczyki, włożyłam krem z boku przy siedzeniu pasażera.
- Jasne.
- Mamo, mammo! Możemy się kąpać?
- Nie możecie, dopóki nie nasmarujemy was kremem.
- Możemy chociaż coś zjeść?
- Jak zjecie, nie będziecie przez pół godziny mogli wejść do wody!
- Do wody, do wody!

I gdzie ten Łukasz? Bliźniaki zaraz wykończą mnie nerwowo, a on sobie spacerki urządza!

- Nie ma kremu!
- Jak to nie ma?! Przecież przed wyjazdem wkładałam.
- Do mnie wkładałaś, Iwonka, przecież jechaliśmy moim! – krzyknął Jaruś wyłaniając się znad pontonu, który własną pierś pompował dla moich dzieci. Czyż to nie piękne?

– Łukasz, no co tak stoisz? Weź klucz od Jarka i idź po ten krem, bo się dzieci spałą jak ostatnio Agata...

Coś tam marudząc, mój pierworodny wziął od Jarusia kluczyki i ruszył do auta.

- Już? Możemy się kąpać?
- Nie możecie, Antosiu, siedź spokojnie.
- Kiedy ja chcę do wody!
- Dlaczego chcesz do wody?
- Sikuuuuu....

Masz ci los, też mi wychowani.

– Ja z nimi pójdę. – Magda, która przysłuchiwała się całej rozmowie, usłudźnie zaproponowała. Jej brzuszek rósł ostatnio w zadziwiającym tempie. Okazały ten mój wnuczuś, czy tam wnuczka. Oj okazały...

– Nie mogę tego kremu znaleźć – ogłosił Łukasz, kiedy bliźniaki z powrotem znalazły się na kocyku.

- No jak nie możesz! Przecież go tam wkładałam!
- To może ja pójdę...

Co ja bym bez tej Magdy zrobiła?

- Idź Madzia, nie ma to jak chłopa puścić...

I już za moment Magda wróciła z kremem.

- Tak ciężko było poszukać?
- Oj dobra... – Łukasz okręcił się na pięcie i ruszył pomóc Jarkowi, który właśnie wodował

ponton.

– Mamo, daj bliźniaki! Płyniemy! – krzyknął już z pontonu.

– Nie ma mowy! Płyńcie sobie sami. Weź Magdę i jak chcesz, to utop własne dziecko! Moje będą pluskały się przy brzegu!

Widać rozśmieszyłam tym tekstem wszystkich dookoła, bo stałam się nagle obiektem rozbawionych spojrzeń plażowiczów.

– No co... – szepnęłam do taty. – Już wolę stać z nimi na brzegu cały dzień, niż dać ich na pożarcie Łukaszowi, który nie zna umiaru!

– Pewnie, pewnie.

– No co było w tym takiego śmiesznego?!

Bliźniaki pluskały się pół godziny, bo więcej nie chciało mi się stać. Pomimo jęków wyciągnęłam je na brzeg, gdzie po założeniu koszulek zostały odprawione z łopatkami i wiaderkami do zabawy w piasku.

Nie zdążyłam jednak nawet dobrze usiąść, ponieważ za chwileczkę przybiegła Agatka, obwieszczając wszystkim:

– Mamo, ile tam jest łabędzi!

– Tylko do nich nie podchodźcie, bo one są raczej agresywne... – ostrzegł Jaruś, jednak chyba za późno, ponieważ łabędzie już szturmowały plażę, a plażowicze szturmowali łabędzie.

Bojąc się o bliźniaki, które w stosunku do łabędzi zaczęły zachowywać się zdecydowanie za bardzo agresywnie, przez co rozumiem rzucanie w ptaki kamieniami i głośne syczenie w ich stronę, skróciliśmy nasz wyjazd. Uciekając przed rozwścieżonymi ptakami, popędziliśmy do samochodu.

Wracaliśmy się trzy razy. Raz po czapkę, raz po koszyk, ostatni raz po Antosia, który został, kiedy wracaliśmy po koszyk. Więcej powrotów nie przewidziano.

No. Może z wyjątkiem tego, podczas którego na postoju zostawiliśmy Łukasza. Ale czy to takie znów istotne?

**Słońce** obudziło mnie skoro świt. Dzieciaki spały w najlepsze, więc zasiadłam do śniadania w samotności, właściwie jak codziennie. Odkąd przyjechaliśmy na wieś, nasze posiłki, które spożywamy wspólnie, to obiad i kolacja, śniadanie gdzieś umyka. Może to dlatego, że ja jakoś nieregularnie śpiam? Muszę nad tym dłużej pomyśleć...

Niestety, przy stole nie znalazłam na to chwili czasu, bo po paru minutach dołączył do mnie tatuś. Zdążyłam go tylko zapytać, czy się wyspał, ale niestety, na wspólne śniadanko nie mieliśmy co liczyć, bo Agatka sprowadziła na dół bliźniaki. Zaraz rozpoczęło się marudzenie, rzucanie grzankami i finalnie rozlanie mleka z płatkami kukurydzianymi przez Antoninę. Niezawodna Michalina, która widać za sprawę honorową postawiła sobie niedopuszczenie mnie do robienia czegokolwiek, czuwała nad całą sytuacją i krzątała się wokół to ze ścierką, to zabierając brudne talerze. Skąd moi rodzice ją wytrzasnęli?

Na koniec przyjemną, rodzinną atmosferę dopełniła moja mama, która ogłosiła mi, że nauczycielka z Oddziału Przedszkolnego w Sosenkach jest w ciąży i idzie na urlop macierzyński od września, więc dziś po południu JA, podkreślam JA udaję się (nawet nie powinnam się udać, tylko UDAJĘ się) do dyrekcji, żeby zakręcić się dobrze w sprawie zastępstwa póki czas.

Właściwie, to gdyby nie ton, którym matka tę homilię wygłosiła, byłabym jej wdzięczna, bo jak już wspomniałam, z pisania wyżyć się nie da i w mojej obecnej sytuacji, kiedy na głowie mam pięć osób do wyżywienia, powinnam rozejrzeć się chociaż za tymczasowo stałą pracą (piękny oksymoron, piękny!).

Ucieszona tą wiadomością i faktem, że może chociaż jedna rzecz w paśmie tych nieszczęść w końcu mi się uda, odprawiłam dzieciaki do ogrodu, a sama poszłam na górę ucharakteryzować się na rasową panią pedagog, bo w moim obecnym stanie jedyna praca, o którą mogłabym się ubiegać, to śmieciarz. A może nawet i nie to.

Kiedy rozważałam, co na siebie włożyć, zadzwonił telefon. Spoglądając na wyświetlacz, doszłam do wniosku, że tym razem muszę odebrać, bo dzwoniła Kaśka, wobec której mam dług

wdzięczności. Przecież to jej zwała się podczas rozdania świadectw na głowę trójka moich dzieci.

– Kasieńka! – powitałam ją radośnie.

– Iwonka, jak dobrze, że odebrałaś! Słuchaj, jesteś moją ostatnią deską ratunku!

Deską to ja nie jestem, wypraszam sobie. Może nie mam za dużo tam, gdzie by się przydało, ale deski nie dam z siebie zrobić. Ale przecież tego Kaśce nie powiem.

– Mów, co tam się urodziło.

– Urodzić to się nie urodziło. Zalało tylko...

– Kogo zalało? I co to w ogóle znaczy: zalało?

– Iwona, skąd ty się urwałaś? Podłogę mi zalało. Właściwie nie samo się, bo sąsiadka z góry. Wyobraź sobie, zostawili syna i pojechali na weekend. Synuś wyszedł sobie z domu, a woda się lała i lała...

– Gdzie lała?

– U niego w łazience, bo kurka nie zakręcił, tylko wyszedł.

– No masz... a co to ma wspólnego z twoją łazienką?

– Że mi zalało!

– Aaaaaaaa...

– No wiesz, tyle tej wody było, że przeleciało przez sufit. Cały sufit do remontu i to nie tylko w łazience, bo w kuchni też. Marek obiecał się tym zająć, ale chwilowo nie mam co ze sobą zrobić, bo mi tu pół chałupy wyburzą...

– Rozumiem...

– Wiem, tak głupio mi cię prosić, bo ty masz przecież tam już tyle ludzi na tej swojej wsi, ale naprawdę jesteś moją ostatnią deską ratunku...

– Przyjeżdżaj! – zawyrokowałam.

– Iwonka, kochana jesteś! Wiedziałam, że na ciebie zawsze można liczyć... Jak tam się do ciebie dostać? Oczywiście zapłacę...

I w ten oto sposób udzieliłam Kasieńce instrukcji, jak do mnie dotrzeć i poinformowałam, że chętnie po nią wyjedziemy na stację. Tym razem z pewnością zabiorę Jarusia, nie ojca, bo jeśli zgubimy auto, to on chociaż będzie pamiętał, żeby alarm kradzieżowy odwołać! No, ale ja tu z Kaśką gadu-gadu, a przecież wybieram się do przedszkola.

Ubrana przyzwoicie (strój spotkał się z aprobatą matki i córek, a także Antosia, który zapewnił mnie, że wyglądam wręcz malowniczo), udałam się do przedszkola. Spacer po Sosenkach dobrze mi zrobił i kiedy tylko dotarłam do budynku szkoły, byłam zrelaksowana i gotowa do boju.

Pech chciał, że znalazłam się w szkole, kiedy żywego ducha na korytarzu nie było, co nie ułatwiło mi odnalezienia gabinetu dyrekcji. Swoją drogą, sporo się w tej szkole pozmieniało, odkąd ja tu chodziłam, nie ma co. Pięknie wymalowane korytarze, schody jakby troszeczkę przesunęli... No nie wiem, może mi się tak tylko wydaje przez te basenowe szafki.

Kiedy cała i zdrowa, na szczęście, bo mało nie spadłam ze schodów, zapukałam lekko do gabinetu dyrekcji i znalazłam się w beżowym, przytulnym pomieszczeniu, powitała mnie czarnowłosa sekretarka, na moje oko w zbyt krótkiej spódnicy, która kazała mi czekać, bo dyrektor musiał na moment wyskoczyć do gminy, ale zaraz wróci. Zaoferowałam, że poczekam na korytarzu, ale sekretarka już parzyła kawę, więc mój pomysł upadł na starcie.

Tak oto spędziłam ponad czterdzieści minut, słuchając, jak trajkocze czarnowłosa piękność. Może nie było to takie złe, bo dowiedziałam się wielu istotnych szczegółów z życia szkoły. Na przykład, że sprzątaczką bez rozwodu żyje już z trzecim facetem, a jej dzieci tułają się po wsi, kiedy matka wyprawia w domu dzikie harce, a wuefista właśnie wyszedł ze szpitala, w którym leżał, bo na wuefie dostał perforacji wyrostka.

Kiedy już miałam wychodzić, bo przecież nie mam całego dnia, żeby siedzieć i plotkować z sekretarką, łaskawie zjawił się dyrektor. Właściwie na dyrektora nie wyglądał. Wróć... nie właściwie. On na dyrektora wcale a wcale nie wyglądał. Wpadł do gabinetu w krótkich spodenkach i hawajskiej koszuli rozpiętej do połowy mostka.

– Pani do mnie? – zapytał, zdejmując z nosa ciemne okulary i lustrując mnie od stóp do

głów. Co to w ogóle za maniery, ja się pytam?

– Tak – skinęłam głową.

– Bardzo się cieszę – uśmiechnął się tak jakoś zbyt szeroko.

– Pani Janko, kawusię poprosimy. A panią zapraszam do mnie... – Pchnął drzwi prowadzące do jego właściwego gabinetu.

– Ja za kawę dziękuję.

Sekretarka puściła mi tylko oczko i zabrała się za parzenie kawy. Ja natomiast znalazłam się sam na sam z dyrektorem. Ile on mógł mieć lat? Ze dwadzieścia pięć? Trzydziestki bym mu nie dała.

– Proszę usiąść – zachęcił mnie, nie przestając się uśmiechać.

– Dziękuję – powiedziałam grzecznie i zrobiłam krok do przodu.

– Co panią do mnie sprowadza? Chyba nie jest pani matką żadnego z dzieciaków, pamiętałbym. Mam pamięć do twarzy. – Uśmiechnął się, tym razem jakoś tak dziwnie.

– Nie, nie. Przychodzę w sprawie pracy... – wyprowadziłam go z błędu.

– Aaa, to niedobrze. Niestety nie mamy wolnych etatów. – Dyrektor podniósł się i ruszył ściskać mi rękę. Chyba nie wyrzuci mnie za drzwi?

– Mi chodzi o zastępstwo. Słyszałam, że jedna z przedszkolank idzie na urlop macierzyński...

– O! – Dyrektor rozpromienił się natychmiast. – I pani? Byłaby pani chętna?

– Naturalnie – pokiwałam twierdząco głową.

– Wie pani, tak ciężko teraz znaleźć kogoś, na taki krótki okres... Z nieba mi pani spada, pani...

– Przepraszam, nawet się nie przedstawiłam. Iwona....

– To bez znaczenia. Jest pani przyjęta!

Szalenie z tego dyrektora.

– Tak po prostu? Bez CV? Bez rozmowy wstępnej? – zdziwiłam się.

– To tylko formalności. – Dyrektor machnął ręką, nachylając się ku mnie dość jednoznacznie. Co jak co, ale takie szelmowskie uśmieszki to ja znam aż za dobrze. Był stanowczo zbyt blisko. – Przecież nie tylko to się liczy... – spojrzał na mnie znacząco. O co mu do licha chodzi? Że niby ze mną takie numery?! No to chyba jakaś kpina.

– Przepraszam bardzo, co w takim razie się liczy? – Wstałam gwałtownie. Nie będzie mi tu dyrektor składał, kurczę blade, propozycji!

– Nie tak nerwowo, pani Iwonko... – Dyrektor też wstał i zaczął się do mnie niebezpiecznie przysuwać. – Przecież rozmawiamy o pracy...

– Za taką rozmowę o pracę, to ja bardzo dziękuję! – rzuciłam mu tylko i ruszyłam ku drzwiom, mijając jego zdezorientowane spojrzenie. – I niech pan wie, że cała rozmowa była nagrywana i już za kilka dni trafi do kuratorium! – dodałam złowrogo i trzasnęłam drzwiami, mijając sekretarkę, która właśnie nalewała do filiżanek kawę.

– Do widzenia! – rzuciłam jej, wychodząc. O tak to ja ze sobą pogrywać nie dam! To co z tego, że blefowałam z tym nagraniem. Niech się dyrektor hamuje!

W nieciekawym nastroju, zła do granic możliwości, ruszyłam ku willi rodziców. O mały włos nie zaczęłam płakać, ale jestem przecież twardzielką, nie będę wylewała łez przez dyrektora, o proszę, co za znajome określenie, bawidamka! No tego tylko brakowało, żebym zaprzepaściła jedyną szansę na zdobycie chociażby chwilowej pracy od września i to właśnie wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebuję! Jak ja utrzymam dzieci plus wnuka, który przyjdzie na świat za parę miesięcy?

Od wpadnięcia w skrajnie pesymistyczne myśli (kolejny już raz od dawna) uratował mnie tatuś, który jechał właśnie po kiełbasę na grilla. Zaraz, to już ta pora? A, rzeczywiście. Straciłam przez to wszystko poczucie czasu.

Tatuś, gdy tylko mnie zobaczył, natychmiast chciał zawracać i porozmawiać z dyrektorem inaczej, to jest – pięścią, ale stwierdziłam, że dosyć mam rozrywek na dziś i pięść, zwłaszcza cierpiącego na choroby serca tatusia, nie jest tu konieczna. Na szczęście zrozumiał, co miałam na

myśli i stroniąc od analiz psychologicznych, nie naciskał, tylko w milczeniu dowiózł mnie do domu, za co byłam mu wdzięczna i to z całego serca.

Gdy tylko wysiadłam, powitała mnie mama z informacją, że przyjechała do mnie jakaś pani z walizką. To pewnie Kaśka, pomyślałam. Ale zaraz... Kaśka dzwoniła dziś rano i miała przyjechać nocnym pociągiem pojutrze. To znaczy, że Kaśka nie może być Kaśką... to znaczy, kim może być? Nie spodziewałam się tu żadnych gości, szczególnie kobiet z walizką. Moją jedyną przyjaciółką w mieście była Kaśka, a skoro to nie ona, to kto?

Ruszyłam więc do ogrodu, a tatuś po drodze skręcił do garażu po węgiel na grilla.

– Dzień dobry – rzuciła mi, wstając od stołu kobieta, której z daleka nie rozpoznałam.

– Dzień dobry – odpowiedziałam i dopiero kiedy podeszłam bliżej, stanęłam jak wryta.

– Wiem, nie spodziewała się mnie tu pani...

No choroba jasna. Czy ja mam omamy?

– Oczywiście, że się pani tu nie spodziewałam. Co pani tu robi?!

– Czy mogłybyśmy nie rozmawiać przy dzieciach?

Słucham?!

– Naturalnie. Przejdźmy do drugiej części ogrodu – powiedziałam, zauważając jej zapuchnięte od płaczu oczy i wychodzący spod makijażu, zielony jak kupa naszej schorowanej kotki, wielki siniak.

– Ja przepraszam bardzo, nie powinnam... – powiedziała, rozklejając się na dobre, kiedy usiadłyśmy. Nie dość, że wkurzył mnie dyrektor to jeszcze ta tutaj.

– Rzeczywiście, nie powinna była pani. Spodziewałam się, że skoro raczyła pani zniszczyć mi rodzinę, to raczej zachowa pani na tyle honoru, żeby nie pokazywać mi się na oczy... – No wiem, nie wypadłam na zbyt miłą, ale miła być dla niej nie musiałam! To oczywiście wywołało tylko prawdziwy potok łez.

– Pani nie rozumie... On mi tyle obiecywał, a kiedy przyszło co do czego, kopnął, za przeproszeniem, w dupę i zostawił...

– I przyjechała pani z tym do mnie, bo?

– Bo jestem w ciąży... – lawina łez.

Słucham?! Jeszcze jedna?! Zaniemówiłam.

– Nie rozumiem, jak to odnosi się do mnie...

– Zostawił mnie z tym samą. Powiedział, że dzieciaka to on nie brał pod uwagę, ma już czwórkę i piąte mu niepotrzebne, zwłaszcza teraz, kiedy odzyskał wolność...

– A to dupek! – ryknęłam i mój świat zawirował kolejny raz. I to ja jestem wyrodną matką, tak? To na mnie nasyła się policję i straszy sądami, kiedy ciężarną bezkarnie można wystawić za drzwi! Krew we mnie zawrzała na samą myśl o tym, jak to bawidamek troszczy się o dzieci, które przecież są dla niego w tym momencie wartością samą w sobie nadrzędną!

– No przecież. A ja jestem sama. Rodziców nie mam. Rodzeństwa nie mam. Pani zawsze była dla mnie taka dobra. Ja nie mam co ze sobą zrobić...

Matko kochana. Co ona plecie? Właściwie zanim się nad tym dobrze zastanowiłam, już pocieszałam płaczącą Adelę, która wyła mi w ramię.

– Nie trzeba płakać pani Adelko. Naturalnie, że pani pomogę. Niech pani nie płacze...

Kiedy po jakichś dziesięciu minutach Adela się uspokoiła, wróciłyśmy do reszty, która zamierzała właśnie grillować w najlepsze. Łukasz rozkładał właśnie na kratki pieczone kiełbaski, a Agatka z Magdą kroili składniki na sałatkę. Mama, ucieszona, że ma kolejny organizm, w dodatku ciężarny, do wyżywienia strasznie się przejęła, bo im więcej ludzi, tym weselej i natychmiast poleciała do Michaliny, której to nakazała szykować pokój. Oczywiście wyściskała mnie przy tym tak samo jak Adelę, szepcząc mi do ucha, że od zawsze wiedziała, że dobrze mnie wychowała i docenia moje dobre serce. Ja to właściwie powinnam zacząć te swoje dzikie serce jakoś powstrzymywać, bo niedługo to w tym naszym domu się ludzie nie pomieszczą, jeśli będę przygarniała ich z taką częstotliwością!

W każdym razie nie teraz. Teraz zajmę się jedzeniem, na które miałam większą ochotę niż na cokolwiek innego. Nie dość, że dyrektor doprowadził mnie do frustracji, to jeszcze ta mi się na



głowę zwała i właściwie winić jej nie mam za co, ze względu na to, że ciężarnych nie ma co dręczyć. Czy nawet wyładować nie mogłabym się raz jak normalny człowiek? Kto to słyszał, żeby pod swój dach przygarniać niedoszłe kochanki męża i to w niespełna dwa miesiące po rozstaniu, kiedy to udało mi się w końcu wyjść z przewlekłej depresji, klinicznej, jak sądzę, bo ponoć sama przechodzi!

Podeszłam więc do Łukasza, który rozpromienił się na mój widok, bo krojenie kiełbasy i grillowanie raczej nie należało do jego ulubionych obowiązków.

– Daj to synu – powiedziałam i zabrałam mu nóż, którym pastwił się nad biednym, martwym zwierzęciem zamienionym w średniej jakości kiełbasiany wyrób.

– Zaczyna się chmurzyć. – Magda podeszła do nas, zerkając na ciemniejące niebo.

– Burzowe?

– Myślę, że burzowe.

– Niedobrze... Strasznie burzy nie lubię.

– Żywioł jak żywioł. Ale za to jaka poezja, kiedy niebo przeszywają błyskawice! – zachwycił się Łukasz, chcąc zaimponować Magdzie. Rycerz się znalazł. Szkoda, że najczęściej nachodzi go na wszystkie te odważne słowa w jej towarzystwie!

– Mamo, umiem jeździć, popatrz! – krzyknął Antoś, który jechał rowerkiem w naszą stronę.

Oczywiście rower to pojęcie względne w tym wypadku, bo pojazd zamiast dwóch kół miał cztery. W każdym razie rozpierała mnie duma, kiedy patrzyłam na sunącego w naszą stronę Antosia i przez myśl by mi nie przeszło, że moje dziecko nie umie hamować. Katastrofa była nieunikniona. Zapatrzona w synusia jak w obrazek, z dumą patrzyłam, jak z całą prędkością i przerażeniem wymalowanym na tej swojej pyzatej buźce wjeżdża w grilla. Nikt nie zdążył uchronić Antosia od wypadku i już za moment rozległ się pisk dziecka.

Z racji tego, że mnie kompletnie sparaliżowało, ku Antosiewi pierwszy rzucił się tatuś, a za nim Łukasz, Magda, Agatka, mamusia, która przyleciała, gdy tylko usłyszała pisk, następnie Antonina, dwa psy (one raczej ku kiełbaskom się rzuciły, nie ku Antosiewi), kot i na samym końcu Adela. Ta chyba nie za bardzo wiedziała, jak powinna się zachować ze względu na swój status społeczny, który niestety skazywałyby ją na wyobcowanie, gdyby nie moja wspaniałomyślność.

Kiedy Antoś, uratowany szczęśliwie, został obejrzany przeze mnie ze wszystkich stron, a grill ponownie postawiony, wśród domowników zaczęło się pojękiwanie, że są głodni. Tatuś ponownie ruszył do garażu po węgiel, Michalina po kiełbaski do kuchni, a ja zaproponowałam wszystkim przegryzkę w postaci surówki, co spotkało się z aprobatą. Kiedy osiem osób zasiadło przy stole, a ja z Łukaszem znów zajęliśmy się grillowaniem, nikt nawet nie przypuszczał, że na sałatce chwilowo się skończy, bo zacznie padać.

Ale niestety zaczęło, kiełbaski nie dostały szansy, aby się usmażyć, a my, czyli cały tłum, chwyciliśmy każdy co się da, i biegiem ruszyliśmy ku drzwiom wejściowym do domu, aby tam dokończyć kolację. A na kolację były kiełbaski. Nie z grilla, ale z patelni, co dla wygłodniałego towarzystwa było prawdziwym rarytasem.

Kiedy kolacja dobiegła końca, każdy, nie wyłączając Adeli, która chciała odpocząć po podróży, udał się do siebie. Ja do salonu, ponieważ nadgorliwa Michalina nie dała mi nawet przyjemności poznoszenia wszystkiego ze stołu.

– Mamo, chyba nie ma prądu! – krzyknęła Agatka, wychylając się ze schodów, kiedy trawiąc w ciszy wydarzenia dzisiejszego dnia, popijałam herbatkę z dodatkiem melisy.

– Nie ma prądu? – Podeszłam do stojącej w rogu lampy i pstryknęłam przełącznikiem. Rzeczywiście, chyba nie ma.

– Faktycznie, nie ma! – odkrzyknęłam w stronę schodów.

– I co teraz?

– Może pójdziemy spać, bo dziadkowie już chrapią, a ja nie wiem, gdzie są świece.

– No spoko. Dobranoc!

– Dobranoc! – odkrzyknęłam i zarzuciłam na kolana leżący na fotelu koc.

I tak to właśnie wszystko wygląda. Zwała mi się na głowę kochanka męża, podwała się do mnie dyrektor-casanowa, co, gdyby nie chwilowa awersja do mężczyzn, uznać bym mogła przecież

za komplement. Lipiec się kończy, siedlisko na Mazurach moknie teraz samotne, a ja tkwię tutaj sama jak kołek i piję meliskę, siedząc pod kocykiem jak własna matka. Świat zaczyna chyba stawać na głowie.

A może to ja nie umiem spojrzeć na niego w jasnych barwach?

No bo właściwie czym tu się martwić. Dzieciaki zdrowe, mamy dach nad głową, kiedy za oknem pada, maluchy niedługo będą miały nowe rodzeństwo (Adela) i bratanicę (Magda). Nowe dzieci to nowe kłopoty, ale przecież też nadmiar radości! Spędzamy ostatnio razem z dziećmi więcej chwil niż kiedykolwiek wcześniej, a pieniądze z wydawnictwa poratowały mój budżet jeszcze na jakiś czas.

Westchnęłam cicho. Może to i lepiej, że wszystko wygląda, jak wygląda?

*Śniło mi się* dziś, że jestem lekka jak piórko i niczym baletnica wiruję sobie beztrąsko wśród traw na jednej z łąk rozciągających się za Sosenkami. Wiatr błogo szarpał moją szyfonową sukienką, która wirowała wśród moich nadzwyczaj szczupełnych kostek, a całej sielance uroku dodawał śpiew ptaków i zapach polnych kwiatów przyjemnie drażniący nozdrza. Jeśli kiedykolwiek miałabym znaleźć się w raju, to ten raj z pewnością właśnie tak by wyglądał. Pozbawiony całkowicie trosk i odciażający psychikę zmęczonego życiem człowieka. No dobrze, może zmęczonej dziećmi matki. Właściwie na jedno wychodzi.

Lawirując sobie wśród traw, czułam powoli, jak wracam do rzeczywistości i za kilka minut faktycznie przebudziłam się. Zrobiłam to w momencie, gdy niespotykane męski księżę brał mnie w ramiona i porywał do tańca. Majestatycznego tańca wśród wzgórz i krzewów dzikiej róży.

Księciem okazał się Łukaszek, może nieco mniej męski od mojego sennego kochasia, za to dużo bardziej żywy. Trząchał mną za ramiona, wyrывая z mojej wspaniałej sielanki, mamrocząc przy tym, że mogłabym się już obudzić. Całkowicie ocknęłam się dopiero wtedy, gdy zagroził, że obleje mnie zimną wodą, jeśli nie raczę otworzyć oczu i skończyć z tym wylegiwaniem się w najlepsze, podczas gdy na dole rozgrywa się prawdziwy rodzinny dramat.

– O co chodzi? – zapytałam, patrząc na niego sennie i usiadłam na łóżku, naciągając kołdrę pod samą szyję.

– Dziadek z babcią kłóć się od rana! – powiedział do mnie pretensyjnym tonem.

– Pani Halina obwieściła właśnie, że się wyprowadza i poszła do garderoby pakować swoje rzeczy – roztrzepana Magda, stojąca w drzwiach mojej sypialni owinięta w różowy szlafrok, pomogła Łukaszkowi w tłumaczeniach. Policzki miała widocznie zaróżowione. Ciężko mi było jednak ocenić, czy z emocji czy po prostu z przegrzania, bo dzień zapowiadali wyjątkowo ciepły.

– Jak to się wyprowadza? – jej słowa jakby ożywiły mnie i natychmiast postawiły na nogi. No, może znów nie tak natychmiast, ponieważ wstawanie i łapanie równowagi trochę mi zajęło czasu. W końcu udało mi się jednak wygramolić z łóżka i dzięki pomocy Łukasza, który usłużnie podsunął mi kapcie i podał szlafrok, jako tako zebrałam się do ratowania małżeństwa rodziców.

– O co im poszło? – zapytałam Magdę, bo Łukasz z pewnością coś by przekreślił albo zaczął gubić się w zeznaniach. Jednak kobieta kobietę lepiej zrozumie, dlatego też postawiłam tym razem na Magdę.

– Pan Henryk naprawiał dziś rano samochód, bo coś było nie tak z akumulatorem.

Stwierdził, że dość ma tego wszystkiego i kolejny raz nie pojedzie do mechanika. Pani Halina miała na ten temat odmienne zdanie, czego nie omieszkała zademonstrować, wyzywając pana Henryka od najgorszych i kazała mu jechać do mechanika i to już. Trochę się kłócili, właściwie to pani Halina krzyczała, a pan Henryk słuchał. Co tam pan Henryk! Pół wsi słyszało, a sąsiedzi to normalnie do płotów podchodzili, wyciągając szyje i swoje zdradzieckie uszy, żeby usłyszeć jak najwięcej! No ale jako tako udało im się w końcu dojść do porozumienia i pan Henryk zaproponował dobrodusznie, właściwie trochę nie mając innego wyjścia, że pojedzie do warsztatu i zostawi tam auto. Wyraził się dosłownie tak: Zrobię wszystko, żeby nie słuchać tych jęków. Zamknął maskę, zdjął rękawice i poszedł do łazienki myć pełne smaru ręce. Pani Halina poszła w tym czasie do kuchni, pech chciał, że weszła do łazienki, gdy pan Henryk skończył już się myć i zauważyła na

umywalce płamę po smarze, którą widocznie pan przegapił, płucząc po sobie umywalkę. Wybiegła za nim na podwórko i zaczęła wrzeszczeć, że jest brudas i ma natychmiast wrócić to posprzątać, bo ani ona, ani Michalina nie są jego służącymi. Pan Henryk, zdenerwowany sprawą z samochodem i najwidoczniej mając już dość pokrzykiwania żony, odpowiedział jej pod nosem, że nie po to ma babę, żeby samemu sprzątać. No i wtedy właśnie miarka się przebrała. Starsza pani cisnęła ścierą o ziemię i stwierdziła, że ona z takim dziadem mieszkać nie będzie. Popłakała się i trzaskając drzwiami pobiegła do sypialni się pakować. Powiedziała jeszcze tylko, że wyjeżdża i nie myślała, że doczeka jakiegokolwiek wdzięczności za tyle lat małżeństwa, ale chociaż minimum jakiegoś szacunku, który jej się po prostu należy – opowiedziała szczegółowo Magda, a ja wiedziałam już, że pędem muszę lecieć do matki i powstrzymać ją, zanim na dobre się gdzieś wyprowadzi. Jak moja rodzina to zniesie, gdy jej zabraknie?!

– Aha! – Łukaszek, który słuchał opowieści Madzi z takim samym zainteresowaniem jak ja, przypomniał sobie coś: – Babcia powiedziała jeszcze w szale wściekłości na dziadka, że ona rozumie samobójców. Więc może by jej psychologa, mamó, załatwić, bo jeszcze gotowa sobie coś na tym wygnaniu zrobić?!

No tego już było za wiele. Moja matka, takie rzeczy?! Tu nie ma co gadać, tu trzeba ją ratować, zanim zrobi największy błąd swojego życia. A wiadomo, co takiej kobiecie w krytycznym okresie może do głowy strzelić. Wiadomo?!

Nie zważając na dalsze komentarze Łukasza i Magdy, zawiązałam pasek od szlafroka ciaśniej, związałam włosy i pobiegłam korytarzem wprost do garderoby, w której matka zalewając się łzami, pakowała kolejne ubrania do sportowej torby Łukasza, mamrocząc przy tym pod nosem, że nigdy nie myślała, że po latach małżeństwa spotka ją taka poniewierka i wygnanie. Na które, notabene, sama się skazała, ale wolałam jej tego nie uświadamiać. Stałam więc potulnie w drzwiach do garderoby i starałam się jakoś z nią dojść do porozumienia. Oczywiście liczyłam na to, że uda mi się przekonać ją, żeby została. Nadzieja jednak okazała się w tym wypadku przysłowiową matką głupich.

– I ty Iwona po jego stronie?! – zapytała zasmarkana matka, patrząc na mnie z wyrzutem.

No tak, zdecydowanie lepiej byłoby się w ten ich konflikt nie wtrącać i z pewnością w młodości tak właśnie bym postąpiła, ale kurczę blade, moje dzieci cierpią patrząc na cyrk, w domu dwie ciężarne, których nie można denerwować, a ona mi tu odstawia takie rzeczy i to z samego rana!

– Mamo, dobrze wiesz, że nie jestem po niczyjej stronie. Po prostu martwię się o ciebie. Do kogo ty się właściwie chcesz wyprowadzić? – zapytałam łagodnie, nie chcąc zaostrzać i tak nerwowej atmosfery.

– Ja nikogo o łaskę prosić nie będę! – wykrzyknęła matka, zamykając torbę, na której wylądował jeszcze stary koc zwinięty byle jak. Mogłaby go chociaż złożyć!

– To co chcesz zrobić?!

– Do siajera się wyprowadzę, dopóki ojciec nie zmadrzeje, a że on nie dorośnie nigdy, nie wrócę tu i już. Tam mi będzie lepiej niż pod jednym dachem z tym fałszywym niewdzięcznikiem! – powiedziała i pędem ruszyła do siajera znajdującego się na podwórku.

Gwoli wyjaśnienia, dla tych mało zorientowanych, siajer to nieduży murowany budynek na naszym podwórku, który służy właściwie jako składzik, ale przy okazji pełni różne inne funkcje. Znajduje się w nim masa starych rupieci, mebli, sprzętów AGD i tym podobnych. Nie ma w nim prądu, a przez brudne okna, których od lat nikt nie mył, wpada niewiele światła. Za dnia można w nim jeszcze jako tako funkcjonować, ale wieczorami kręci się tam masa myszy i innych szkodników. Generalnie to nie do końca fajne miejsce.

Ze smutkiem patrzyłam więc, stojąc na ganku i popijając kawę, którą wspaniałomyślnie przygotowała mi Michalina, jak moja matka wyrzuca stamtąd niepotrzebne graty i sprząta swój nowy domek. Było mi jej szkoda, ale wiedziałam, że nie powinnam ingerować w ich konflikt, ponieważ i mnie się wtedy dostanie. Słuchałam więc trzaskania drzwiami, gdy matka latała między siajerelem a domem, wynosząc do niego coraz to nowe sprzęty.

Chyba najbardziej zdziwił mnie fakt, że zabrała jeden z czajników elektrycznych jako posag

do swojego nowego mieszkania. Na co jej ten czajnik, skoro tam nie ma prądu?!

Nie mając ochoty spędzić całego dnia na obserwowaniu i pilnowaniu mojej rozchwianej emocjonalnie matki, zaprzęgam do tego Magdę i Łukasza, nakazując im siedzieć na dworze i informować mnie, gdyby babcia zaczęła zachowywać się jakoś podejrzanie. Właściwie sama nie wiedziałam, jak bardziej podejrzanie niż teraz mogłaby się zachowywać, ale musiałam napisać dziś choć kilka stron, co wspaniale się złożyło jeśli chodzi o pracę Jarusia, bo ten miał dziś zmianę aż do dwudziestej, nie będzie mi miał więc kto przeszkadzać.

Powierzając zatem bliźniaki Agatce, która dziś wyjątkowo szwędała się po domu cierpiąc na brak zajęcia, zaszyłam się w sypialni i zabrałam za pisanie. Muszę przyznać, że szło mi to wyjątkowo gładko i naprawdę wciągnęłam się tego popołudnia w kreowanie życia bohaterów. Godzina za godziną sypały się kolejne słowa, a mnie, och cud nad cudy, nikt nie przeszkadzał. Do czasu.

Do czasu aż wrócił od mechanika ojciec i zorientował się, że matki rzeczywiście nie ma w domu i tym razem nie rzuciła słów na wiatr, faktycznie się wyprowadzając. Przyszedł do mnie do sypialni z naprawdę przynęcioną miną i zaczął mi się tłumaczyć, że nie chciał jej urazić i tego smaru na umywalce naprawdę nie zauważył, bo dobrze wie, jaka to ona jest przewrażliwiona na punkcie porządku.

Oczywiście nie omieszkłam poinformować tatusia, że nie ma co się obwiniać, bo mama jest paranoiczką i pewnie za jakiś czas jej przejdzie. W dodatku pocieszyłam go, mówiąc, że nie wyprowadziła się daleko, bo postanowiła zamieszkać na jakiś czas w sjaerze, więc będziemy mogli mieć na nią oko, dzięki czemu nic sobie nie zrobi.

Ale ojciec, jak był zdołowany, tak i do wieczora pozostał. Humoru nie poprawił mu nawet spacer, na który zabrał bliźniaki po kolacji, ani zimne piwo prosto z lodówki, które Michalina po obiedzie mu podała. Zadręczał nas wszystkich natomiast pytaniami, czy babcia już się do nas odzywa, bo znaczyłoby to, że choć trochę jej przeszło i jest progres na drodze do jej powrotu do domu. Musieliśmy go jednak rozczarowywać praktycznie co chwilę, ponieważ matka jak zaszyła się w sjaerze, gdy wyrzuciła z niego wszystkie zbędne według niej graty, tak przez większość popołudnia po prostu z niego nie wyszła.

Wieczorem przydreptała do mnie pogadać Adela wraz z naręczem słodyczy dla moich głodomorów. Z racji tego, że wszyscy byli już dobrze po kolacji, pozwoliłam im napchać się łakociami do woli. Dopiero później zaczęłam się martwić tym, że właściwie na noc to bliźniaki jeść cukru zbyt wiele nie powinny, ponieważ odbija im wtedy istna szajba i za nic nie można zapędzić ich do łóżek. Na końcu stwierdziłam jednak, że opiekunek dla dzieci to ja mam tutaj do wyboru i koloru. Przestałam się więc przejmować.

Adela skutecznie odciągnęła myśli większości naszej rodziny od konfliktu między moimi rodzicami, serwując nam trochę relaksu. Poza torbą słodyczy przyniosła bowiem projektor i urządziliśmy sobie w salonie prawdziwy seans filmowy. Oglądaliśmy *Króla lwa*, który wydał się idealnym wyborem zaspokajającym gusta wszystkich domowników. Dzieciaki poznośli więc do salonu swoje kołdry i poduszki, a po wykąpaniu bliźniaków rozpoczęliśmy prawdziwy wieczór filmowy. Oczywiście przyjemniej byłoby, gdyby na zewnątrz i w pomieszczeniu panowała kompletna ciemność, ale jakoś poradziłam sobie z tym, opuszczając rolety, a na karnisze dodatkowo zawieszając ciemne koce.

Michalina z tej okazji przygotowała nam dwie wielkie michy popcornu i poszła spać. Stwierdziła, że ona na takie polowe warunki to już jest za stara i życząc nam dobrej zabawy, zniknęła w swoim pokoju.

Wśród ochów i achów dzieciarni, ich przyciszonych szeptów i przepychanek rozległy się w końcu pierwsze takty piosenki zapowiadającej film. Na ich dźwięk od razu zapanowała cisza. Antonina przestała trącać zadziornie braciszka, Agata odłożyła telefon, a Magda wtuliła się bardziej w ramię siedzącego obok Łukasza sączącego colę.

Film trwał i trwał, minuty leciały, a bliźniakom zaczęły się kleić oczy. W końcu ich ociężałe powieczki na dobre się zamknęły, więc Agata po kolei odniosła ich do sypialni. Nas natomiast z błęgiego nastroju wyrwało uciążliwe pukanie do drzwi. Co ja mówię, prawdziwe walenie!

– Co to? – Łukasz zerwał się i ruszył ku korytarzowi. Zawtórowała mu oczywiście Magda i ja. Pewnie zrobiłaby to również Agata, ale ona na jakiś czas zniknęła na górze z bliźniakami.

– Nie mam pojęcia. Kto mógłby coś od nas chcieć o tej porze?!

– Może coś się stało u sąsiadów albo gdzieś... – powiedziała Magda.

– Złych zamiarów nikt nie powinien mieć. Okolica jest naprawdę spokojna. – Łukasz starał się mnie jakoś uspokoić. Właściwie to miał przecież rację; co mogłoby się dzieć tu na końcu świata w Sosenkach?

– Dobra, otwieram – powiedział po męsku Łukasz, chcąc zahamować uporczywe dobijanie się do drzwi. Odsunęliśmy się z Magdą gotowe do ucieczki, gdyby był to krwio pijca z siekierą żądny naszych głów. Matko, co ja bredzę?!

Łukasz przekręcił klucz w drzwiach i otworzył je na oścież. Stała za nimi moja matka. Widocznie zapomniała czegoś podczas swojej dzisiejszej wyprowadzki.

– Zapomnieliście o pani Halinie, zamykając dom na noc? – zapytała zdziwiona Magda, widząc moją matkę stojącą na progu.

– Ona się przecież wyprowadziła i powiedziała, że nie wraca – odpowiedział jej Łukasz, gryząc się w język pod naporem wzroku mojej mamy, którym z całą pewnością mogłaby zabić, gdyby tylko chciała.

– Jednak wróciłam – obwieściła wszem i wobec matka, wieszając swój sweterek na wieszaku obok innych nakryć. – Gdzie ojciec? – zapytała jak gdyby nigdy nic.

– Chyba ogląda jakiś mecz na górze – odpowiedziałam jej po chwili konsternacji. Już mu wybaczyła? Dobra jest!

– No i świetnie. Zrób mi jakąś herbatę Iwona, a nie tak stoisz jakbyś ducha zobaczyła. Zmarzłam trochę i jestem głodna. W lodówce jest salceson, możesz zrobić mi też jakieś kanapki – powiedziała swoim ulubionym władczyim tonem i powędrowała na górę do ojca.

Ja, Łukasz i Magda poszliśmy do kuchni, z tym że Łukaszek zgubił się gdzieś po drodze. Zostałyśmy więc same, a ja wbiłam wzrok w sufit, nasłuchując krzyków, świadczących o tym, że ojciec potrzebuje naszej pomocy. Nic takiego jednak nie nastąpiło, więc po pięciu minutach skupiłam się w końcu na robieniu kanapek dla marnotrawnej matki.

Gdy tylko zaniiosłam jej wymarzoną strawę, zamknęłam dokładnie drzwi, na wypadek, gdyby ktoś w nocy zapragnął iść w ślady mojej matki i zacząć się do nich dobijać, po czym ruszyłam do salonu, aby uprzątnąć bałagan pozostawiony po naszym wieczornym seansie.

Po wyzbieraniu z kanapy popcornu i wyrzuceniu puszek po coli poszłam do łazienki, a potem położyłam się spać wyjątkowo zadowolona. To by było na tyle, jeśli chodzi o wyprowadzki mojej matki.

Chociaż siajer na tej awanturze zyskał. W końcu pozbyliśmy się połowy niepotrzebnych gratów, których od lat nikt nie chciał wyrzucić.

No i było w nim tak czysto jak nigdy!

**Rano** obudził mnie budzik, grający melodyjkę, do której nie sposób przywyknąć. Przezornie nastawiłam go wczoraj, pamiętając, że dziś przyjeżdża moja stęskniona Kaśka, którą zalało. Nie no, nie Kaśkę zalało, tylko jej sufit! Myślę jakoś niewyraźnie, co ze mną?! Może to ta poranna pora tak na mnie działa? Tu w Sosenkach kompletnie odwykłam od wczesnego wstawania, które w mieście było dla mnie codziennością. Jednak ta ucieczka od bawidamka miała też swoje plusy!

Trzeba jechać po Kaśkę!

Pospiesznie wstałam więc z łóżka i wsunęłam stopy w wychłodzone kapcie. Sięgnęłam po laptop i zanim zaczęłam na dobre dzień, na wszelki wypadek sprawdziłam pocztę. Na szczęście nie czekał na mnie mail od wydawcy przypominającego o upływającym terminie, w którym mam oddać książkę. Moje ciśnienie nie podskoczyło więc do góry, jak to stało się zaledwie kilka dni temu. Odetchnęłam z ulgą.

Zdażyłam się tylko umyć i ubrać w jedną z sukienek, które robiły się powoli nieco bardziej ciasnawe niż zwykle, gdy do mojego pokoju zapukał Łukasz i bez pytania wepchnął do środka

swoją głowę.

– Mamo? – usłyszałam jego głos, gdy drzwi się zamknęły.

– Wejdz, wejdz. Maluję się w łazience... Co tam synku? – zapytałam go znad lustra, nakładając na twarz kolejną dawkę podkładu mineralnego, przywiezionego jeszcze z miasta. Swoją drogą to kupiłam go na niezłej promocji, a on sam był niezwykle wydajny!

– Chodzi o to, że miałbym do ciebie sprawę – powiedział Łukaszek, trochę zakłopotany.

– Wal – zachęciłam go do zwierzeń, może nieco mało zgrabnie.

– Bo wiesz... Magda...

– Wysłówże się dziecko, bo się trochę śpieszę – powiedziałam, pudrując sobie twarz, strojąc przy tym dziwne miny.

– No więc Magda ma problem z ubraniami! – wypalił w końcu, a na jego twarzy pojawiła się ulga.

A więc o to chodzi. No ale faktycznie, w tym stanie może już mieć. W końcu dziecko ma już... o matko! Dziecko ma prawie cztery miesiące!!! Coraz większymi krokami zbliża się ta moja rola babci. Swoją drogą to nieuniknione. Ale może bycie babcią będzie miało swoje dobre strony? Przecież kobiety z wózkami od razu wyglądają młodziej, a ja nie mam jeszcze nawet czterdziestki. Ło, czterdziestki! Ja nawet jeszcze trzydziestu ośmiu nie mam, o co ja więc właściwie się tutaj martwię?

– No rozumiem – powiedziałam, odkładając pędzelek do pudru na miejsce.

– I wiesz, ja kompletnie się na tym nie znam, ale może byś ją zabrała na jakieś zakupy... Jej tak głupio się do ciebie w tej kwestii odezwać, ale ja widzę, że ona się już z tym źle czuje. Już się w żadne spodnie prawie nie mieści i to w dodatku te luźniejsze! – stwierdził Łukaszek, dokonując tym samym wielkiego odkrycia! No tak, Madzia i jej te wiecznie obcisłe rurki. Czego to się nie robi dla mody, wbijając w te przylegające spodnie, w których przysiadu zrobić to już się kompletnie nie da. Dobra, przyznam się bez bicia. Wiem, bo próbowałam kiedyś w przymierzalni i w połowie siadu czułam, jak zaczyna coś pękać. Oczywiście musiałam potem kupić te spodnie. Na szczęście zmieściła się w nie jedna z moich byłych koleżanek z pracy, z którą mimo upływu tych kilkunastu lat nadal utrzymywałam dobry kontakt.

– Magda śpi? – zapytałam, gdy skończyłam się malować i odeszłam od lustra.

– Śpi, ale co to ma do rzeczy?

– To obudź, bo zaraz jadę do miasta po ciocię Kasię na stację, to Magdę wezmę do jakiejś galerii... Wątpię, żeby potem chciało mi się to załatwiać i specjalnie w tym celu jechać do miasta kilkadziesiąt kilometrów. Albo teraz albo wcale – powiedziałam do Łukasza dość żartobliwie.

– Mamo, jesteś kochana! – wykrzyknął rozpromieniony i zarzucił mi ręce na szyję, całując przy tym moje świeżo umalowane policzki.

– I obudź Agatę. Niech bliźniaki doprowadzi do stanu używalności. Im też przydadzą się jakieś ubrania na lato, w tym pośpiechu niewiele im spakowałam, a one rosną jak na drożdżach – dodałam z uśmiechem, gdy udało mi się już wyswobodzić z jego długich ramion, którymi otoczył mnie niczym ośmiornica. Za kim on jest taki wysoki?!

– Jasne – zgodził się tylko i rzucił ku drzwiom, żeby poinformować o wszystkim Madzię. Ach ta miłość!

– Właściwie jak chcesz jechać, to też możesz się zebrać...

– Nie, ja dziękuję za zakupy w waszym gronie. Już ja wiem, jak to będzie wyglądało! Bezsensowne snucie się po centrum handlowym. Zostanę w domu. Może trawę pokoszę, albo coś...

– No, jak wolisz – powiedziałam, bo właściwie potrafiłam wyobrazić go sobie ze spuszczonego nosem łączącego z nami po sklepach i nudzącego się jak mops.

– To lecę po dziewczyny. Dzięki mam, jesteś wielka. – Cmoknął mnie jeszcze raz w policzki i wyleciał jak strzała ten mój amarek. Co ja bym zrobiła bez tych dzieci? Chyba bym się zanudziła na śmierć.

Sam wyjazd trwał trochę dłużej niż przewidywałam jeszcze wczoraj, gdyż nie pomyślałam nawet przez chwilę, że może mi towarzyszyć ktoś więcej oprócz spikera radiowego. Przejornie uprzedziłam więc Katarzynę, że mogę się spóźnić, a ona o nic nie powinna się martwić, tylko

poczekać w razie czego na ławce na parkingu. Katarzyna wielkodusznie się zgodziła. Zapakowałam więc wszystkich do auta, razem z koszem jedzenia i picia.

– Mamo, mogę zabrać misia? – zapytała Antonina swoim uroczym, niewinnym głosikiem, kiedy właśnie odpaliłam silnik.

– Musisz? – zapytałam, w myślach znając już odpowiedź.

– Muszę bo będzie smutny! – powiedziała, robiąc do tego naprawdę smutną minę. Jej wielkie oczy niemalże zaszkliły się łzami.

– Agatka, leć z nią po misia – odparłam i odchyliłam głowę do tyłu.

Wyłączyłam silnik.

– Mamo, a ja też mogę? – zapytał Antoś, kiedy Agatka z Antoniną się oddaliły.

– Nie mogłeś wcześniej kochanie? – zapytałam go, odwracając głowę do tyłu.

– Nie pomyślałem o tym...

– Madzia, pójdiesz z nim? – zapytałam Magdę, ponieważ wcale nie uśmiechało mi się biegać teraz do domu i szukać jego zabawki.

– Oczywiście, chodź mały... – zgodziła się Madzia i chwytając Antosia za rękę, ruszyli na poszukiwania misia, którego ten chciał usilnie ze sobą zabrać.

Finalnie w samochodzie znalazły się cztery misie, jedna lalka i dwa plastikowe samochodziki.

– Więcej pasażerów nie przewiduję! – powiedziałam, przekręcając kluczyk w stacyjce i ruszyłam do przodu, zanim bliźniakom przypomniał się, że czegoś jeszcze nie zabrały. A uwierzcie mi, że się im przypomniało i to zaraz gdy wyjechałam z podwórka!

Dotarliśmy na dworzec spóźnieni około 20 minut, ale Katarzyna nie miała mi tego bardzo za złe. Nie miała mi za złe także tego, że postanowiłam po nieprzespanej nocy zabrać ją do centrum handlowego i wcześniej o tym nie poinformować. To się nazywa prawdziwa przyjaciółka!

Przyjechaliśmy więc do galerii, która może nie imponowała wielkością, ale za to była jedyną w okolicy. Zaparkowaliśmy auto w podziemnym parkingu i ruszyliśmy na wyprawę, bo w tyle osób nie można mówić o normalnych zakupach. Gdy tylko weszliśmy na piętro, na którym znajdowały się sklepy odzieżowe, od razu udzielił nam się klimat zakupowego szaleństwa i pośpiech pędzących dookoła nas zakupowiczów.

– Mamo, to może na trochę się rozdzielimy, co? – zaproponowała Agatka. Właściwie to miała rację. Im mniej nas będzie, tym ciężiej się zgubić.

– No dobra. Macie tu pieniądze... – powiedziałam, sięgając do portfela. – Ale Aga, to dla Magdy. Większość oczywiście – dodałam łaskawie, bo znam przecież moją córkę i jej uporczywą skłonność do robienia zakupów.

– To co, za dwie godziny przy wyjściu? – zaproponowała tym razem uśmiechnięta Magda.

– Umowa stoi – zgodziłam się. – No, tylko żeby te zakupy były w miarę przyzwoite, bo następnym razem wyślę z wami babcię! Rozumiemy się? – pogroziłam im palcem na odchodne, mając jednak świadomość tego, że nic głupiego i nieodpowiedniego nie kupią.

– Jasna sprawa – odrzyknęły mi, już pędząc do sklepów.

– To co, do dziecięcego – zawyrokowałam i wraz z Kaśką, która po drodze referowała mi całą jej aktualną życiową sytuację, i z bliźniakami, które zdawały się w ogóle nie zwracać na mnie uwagi, ruszyliśmy na podbój sklepów. Przyznam szczerze, że przepychanie się między pędzącymi ludźmi z dwójką małych dzieci wcale nie było takie łatwe, jakie mogłoby się wydawać!

– A tutaj – zatrzymałam się chwilę przy punkcie informacyjnym – macie się zgłosić, gdybyście się, odpukać, zgubili. Zapamiętacie? – spojrzałam na ich twarze.

Nie zapamiętały. Nie pytajcie. Po takim stażu bycia matką potrafiłam wyczytać z ich oczu, że myślały w tym czasie o słodyczach, zabawkach albo o czymkolwiek innym, a moje słowa zupełnie olały. No trudno. Miałam tylko nadzieję, że w tej sytuacji po prostu się nie zgubią.

I faktycznie, nie zgubiły się. W sklepie wykazywały takie samo zainteresowanie jak ja i Katarzyna, to znaczy zachwycały się dosłownie wszystkim, co było śliczne, kolorowe i w rozmiarze dziecięcym. To niesprawiedliwe, że jest tyle cudownych ubranek dla dzieci, a ja muszę ograniczyć się tylko do kilku koszulek, spódniczek, spodenek czy sukienek. To po prostu nie

fair!

Bliźniaki były grzeczne do czasu, niestety. W końcu zakupy zaczęły ich nudzić, więc rozpoczęły się dzikie harce po sklepie. Nauczyłam się nie zwracać na to najmniejszej uwagi, bo dzieci zawsze przy wyjściu do mnie wracały, więc i tym razem je zignorowałam. Zajęłam się natomiast, razem z Katarzyną oczywiście, oglądaniem ubranek dla mojej przyszłej wnusi albo wnusia. Swoją drogą można by Magdę popchnąć do lekarza... muszę o tym pomyśleć, jak będę miała chwilę. Albo właściwie w ogóle pomyśleć, bo chwili to pewnie nie będę miała...

Ale mniejsza z tym. Przez dobre kilkanaście minut stałam jak urzeczona w dziale dla noworodków, oglądając kolejne śpioszki, koszulki czy maleńkie buciki. Z racji tego, że naprawdę nie mogłam się oprzeć, kupiłam śliczne śpioszki, które nadają się zarówno dla chłopca, jak i dziewczynki i dwie maleńkie koszuleczki, które wręcz krzyczały do mnie: kup mnie!

Kiedy stwierdziłam, że najrozsądniej będzie wyjść ze sklepu, aby nie przepuścić tu całych oszczędności, popchnęłam wypełniony po brzegi wózek do kasy, po drodze rozglądając się za dziećmi, których niestety nigdzie nie było. Kiedy kasjerka, nieświadoma tego, że właśnie rozgrywa się mój prywatny dramat (to znaczy ZGUBIŁAM DZIECI), wykonywała swoje obowiązki z kamienną twarzą, ja wychylałam się na wszystkie strony z myślą, że zaraz do mnie przybiegną. Nie przybiegły... Już miałam zacząć czołgać się pod szafkami w ich poszukiwaniu, kiedy z głośników w całej galerii ryknął głos Antosia.

– Mamusiu, czekamy na punkcie informacyjnym. Tak jak powiedziałaś: zgubiliśmy się. I głos Antoniny.

– Przyjdź po nas!

No i poszłam. Nie wiecie nawet, jak bardzo było mi wstyd, kiedy rozmawiałam z uroczą panią w punkcie informacyjnym, tłumacząc jej, że to moje dzieci.

– Chcieliśmy tylko sprawdzić, czy mówiłaś prawdę, że jak się zgubimy, to możemy tu przyjść.

No to, choroba jasna, sprawdziliście!

Oczywiście nasze zakupy skończyły się przed planowanym czasem, gdyż głosy bliźniaków ściągnęły do punktu także dziewczyny, którym tak samo jak nam natychmiast odechciało się dalszego chodzenia po sklepach. Zmęczeni, ale szczęśliwi, że nikomu nic się nie stało, zabraliśmy Katarzynę do Sosenek, gdzie już czekała na nas reszta rodziny, Adela i obiad.

**Po obiedzie** niespodziewanie zjawił się u nas Jaruś. Przyjechał jeszcze w mundurze, bo wpadł do mnie prosto po pracy. Właściwie okazało się, że nawet nie tyle wpadł do mnie, co po mnie. To z kolei spotkało się z aprobatą rodziny, a u mnie wywołało uśmiech zaskoczenia.. Wszyscy nagle szczerze zapragnęli ode mnie odpocząć i zrobić coś dla mnie. Mamusia dodała, że chociaż głośno nie chciała o tym wspominać, to ostatnio wyglądam na zdecydowanie za bardzo zmęczoną i powinnam zażyć chwili relaksu. No, ale skoro ja i Jaruś znów idziemy na spontaniczną randkę, to już wspomnieć może.

Trochę miałam wyrzuty sumienia, że zostawiam dopiero co przywiezioną do Sosenek Kaśkę, ale szybko minęły, bo Kaśka świetnie się dogadała z Adelą. Miały nawet w planach popołudniowe wyjście na przechadzkę, bo tatuś, to jest mój tatuś, Henryk, opowiedział im trochę o historii Sosenek, malowniczych krajobrazach, a że one nie mają większych planów na popołudnie, to chętnie się przejdą.

Dzieciaki zaś rozbiegły się każde w swoją stronę. Bliźniaki do ogrodu, młodzież na górę, żeby zaprezentować Łukaszowi zakupione skarby. Nie mogłam się doczekać, kiedy pokażę dziewczynom ubrania dla wnusia bądź wnuczki, więc zaniósłam je na górę jeszcze przed wyjściem z Jarkiem. Piskom i zachwytem nie było końca. Magda się nam popłakała, rzuciła mi na szyję i wydusiła tylko, że nigdy nie myślała, że okażę się taka wspaniała i kocha mnie bardziej niż matkę. Rozczuliła mnie tym niemożliwie, więc i ja rzuciłam jej kilka sentymentalnych słów i poczułam się naprawdę potrzebna. Właściwie przy moich dzieciach to uczucie towarzyszy mi cały czas, ale teraz znacznie się nasiliło.



Musiałam jednak oderwać się od Magdowych łez, ponieważ na dole czekał na mnie już Jaruś i jego tajemnicze popołudnie, którym postanowił kolejny raz spontanicznie mnie uraczyć. Nie umiałam tego potraktować jako prawdziwej randki, ale nie ukrywam, że sama myśl wyrwania się z domu rodziców chociaż na moment zadziałała na mnie jak marchewka na osła. Towarzystwo Jarusia również było dość ciekawą opcją. Ostatnio rozmawiało nam się przecież naprawdę dobrze. Można powiedzieć, że traktowałam go jak taką męską przyjaciółkę z Sosenek.

Przebrałam się więc migusiem w swój ulubiony kostium, pociągnęłam maskarą rzęsy, co trochę mnie rozśmieszyło (przecież nie wiadomo, gdzie on zapragnie mnie zabrać, wypada się jednak wystroić) i zeszłam na dół. Przyznam, że niemalże pławiąc się w spojrzeniu Jarusia, wsiadłam do karety mojego Romea. Zapięłam pas, gniotąc przy tym lekko moje dopiero co wyprasowane ubranie i ruszyliśmy w nieznaną tą niesamowitą kareta, w której żywe koniki zastępowały konie mechaniczne. Ale nie ma co narzekać, wszystko jest lepsze, byleby tylko nie musieć iść pieszo!

– Nie spodziewaj się zbyt dużych ekscesów dzisiejszego wieczoru – uprzedził Jaruś już na samym początku naszego wspólnego wieczoru.

– Ależ wcale się nie spodziewam. Chętnie przystanę chociażby na piwo na pomoście. Całkiem mi się ostatnim razem podobało, a każda matka marzy nieraz o popołudniu bez dzieci – powiedziałam zupełnie szczerze, podczas gdy Jaruś skupiony był na prowadzeniu auta.

– Mi też, ale bez przesady. Może nie zamierzam cię zabrać do pięciogwiazdkowej restauracji, ale coś tam wymyśliłem. Nie chcę, żebyś pomyślała, że jestem nudny.

– Wiesz, pierwsze wrażenie ciężko zatrzeć... – odpowiedziałam, zachowując kamienną twarz.

– Słucham? – zapytał oburzony, a usta uniosły się mu w łagodnym uśmiechu.

– No wiesz, że jesteś nudny... – brnęłam w tę jakże inteligentną dyskusję, udając niczym niezrażoną.

– O ty!

Zapanowała chwila ciszy. Tak, tak. Zabrakło mi ciętej odpowiedzi, przyznając.

– Naprawdę pomyślałaś, że jestem nudny? – Jaruś zrobił smutne oczka i spojrzał na mnie niewinnie.

– A jeśli odpowiem, że tak?

– Zrobi mi się co najmniej smutno – powiedział i teatralnie spuścił głowę.

– To w takim razie tak nie powiem. Nie chcę, żeby przeze mnie zrobiło ci się smutno – powiedziałam i uśmiechnęłam się pod nosem, rozpychając wygodnie w fotelu. Na tyle, na ile oczywiście sytuacja mi pozwalała.

Jaruś od razu się rozpromienił. Jego twarz mimo zmęczenia po całym dniu pracy nabrała, jakby to powiedzieć... blasku?

– A ty? Jakie było twoje pierwsze wrażenie, kiedy zobaczyłeś mnie po latach? – zapytałam ciekawa.

– Że nic się nie zmieniłaś i będziesz świetną żoną – powiedział Jaruś bez zastanowienia.

– Słucham? – nie mogłam ukryć zdziwienia. Jaką żoną?! JA?!

– No wiesz, miła dziewczyna z sąsiedztwa na pewno spodoba się rodzicom jako żona.

– A tobie? Chciałabym podkreślić, że większość życia spędziłam w mieście! – No tak, jemu chodziło przecież o to udawanie! Odetchnęłam z ulgą.

– A mi spodoba się nawet miła dziewczyna z miasta. Właściwie już się spodobała. – Jaruś błysnął idealnymi zębami. No normalnie uderzył mnie jego uśmiech! I już chyba przestał mnie złościć.

Po tej krótkiej samochodowej wymianie zdań otoczonej łagodnymi dźwiękami muzyki z radia dojechaliśmy w końcu pod dom Jarusia. Trochę szkoda mi było wysiadać z jego auta, ale nie kazałam się długo prosić, ponieważ oznajmił mi, że ma plany i nie zamierza z nich rezygnować na rzecz siedzenia w samochodzie. Zgoda. Uległam.

Wpadliśmy na momencik do domu Jarusia, żeby ten mógł zmienić mundur na coś wygodniejszego. W tym czasie ja usiadłam na kanapie w salonie i przyglądałam się jego kolekcji

książek, która, muszę przyznać, robiła wrażenie. Poza klasykami literatury dostrzegłam też wielu współczesnych twórców, po ich książki sama dość chętnie sięgałam. Aż ciężko było mi uwierzyć, że Jarus czyta, i to takie książki. No, no. Nie posądzałam go o potajemną miłość do literatury!

Jarus tymczasem wdział jeansy, koszulkę i obwieścił, że możemy wychodzić, odrywając mnie tym samym od książek, co często właściwie graniczy z cudem i niewielu się to udaje. Szczerze mówiąc, nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyśmy zostali tutaj, ale ze mnie zrobiła się ostatnio straszna domatorka i trzeba przyzwyczajania przełamywać.

A więc zgoda. Jak to dzieci nazwały – randka...

Jarus zabrał mnie do miłej knajpki z ogromnym tarasem, z którego rozciągał się widok na rzekę. Choć uwielbiałam widok na nią z jego pomostu, ten też nie pozostawiał wiele do życzenia. Był praktycznie idealny!

Na trawie przy tarasie zaplanowano parkiet z podestem dla zespołu, który przygrywał nam do kolacji, a później do tańca, ponieważ Jarus był człowiekiem aktywnym i kiedy tylko zjedliśmy, ruszył w tany. Oczywiście ze mną. Właściwie to tańczył całkiem niezłe ten mój Jarus i wywijaliśmy sobie przez dobrych kilka piosenek.

Niestety lata już nie te, a tym bardziej nie ta moja kondycja, więc na paru piosenkach się skończyło, ku wielkiemu rozczarowaniu mojego roztańczonego partnera. Proponowałam mu, żeby potańczył może z jakąś inną panią, ale oburzył się wtedy nie na żarty. Właściwie to nie wiem, czym go tak bardzo uraziłam!

Wróciliśmy więc do stolika, zamówiliśmy jeszcze po kieliszku wina, pogawędziliśmy sobie o wszystkim i o niczym, czule patrząc w oczy, i nadszedł czas, żeby wracać. Oczywiście wracać do Jarusia, bo do domu to jeszcze może nie. Skoro raz na jakiś czas mam okazję wyrwać się od dzieciaków, to powinnam z tego przyzwyczajenia skorzystać, choć, jak znam moją matkę, z pewnością będzie miała na ten temat zupełnie inne zdanie.

Wróciliśmy więc do domu Jarusia, żeby odbyć „porandkowy” spacer nad rzeką, ponieważ noc była jeszcze młoda. Mogłam wsłuchać się w szum wody i kompletnie wyłączyć. Czułam się coraz bardziej pogodzona ze swoim życiowym położeniem. Kiedy Jarus oddał mi bluzę, żeby nie zżarły mnie komary, poczułam się jak nastolatka. Gdyby tylko nie te fałdki na brzuchu, cellulit i rozstępy!

Z pełnego zadumy i relaksu nastroju wyrwał mnie mój telefon, którego drażniącego dzwonka nie szło niestety zignorować.

– Iwonka? – rozległ się głos Kaśki po drugiej stronie.

– Coś w domu? Tylko nie mów, że znów włamanie...

– Włamanie? Gdzie włamanie! Słuchaj, wybrałyśmy się na ten spacer, jak nam twój tata doradził i chyba zablądziłyśmy, bo wydaje mi się, że chodzimy w kółko już od dobrych paru godzin. Adela na twarz już pada, zmęczona jak nie wiem. Nie mam pojęcia co robić...

– Gdzie dokładnie jesteście? – zapytałam, martwiąc się nie na żarty!

– W lesie przy jakiejś kapliczce. Taki krzyż przy drodze. Cały w czerwonych wstążkach. Wiesz, gdzie to jest? – Katarzyna bliska była łez, z tego co zorientowałam się po jej drżącym głose.

Opisałam Jarusowi punkt, w którym znajdowały się dziewczyny. Wiedział, gdzie musimy ruszyć z odsieczą po nasze zagubione turystki.

– Zaraz będziemy! – poinformowałam Kaśkę, którą widocznie ta informacja bardzo ucieszyła, bo słyszałam jej oddech ulgi i radosny okrzyk Adeli. Moje życie rodzinne, właściwie w tym wypadku towarzyskie, nie da mi zaznać ani chwili spokoju...

Dziewczyny odnalazłyśmy po jakichś dwudziestu minutach jazdy samochodem. Gdzie one skubane tyle wędrowały? Jak nic w domu dostanie się tatusiowi, że mi ciężarnym każe po lasach ganiać. Ma szczęście, że to nie Magda, bo za mojego wnuka, czy wnusię, to bym go chyba zżarła! W każdym razie obie zagubione miały się nie tak źle, jak się spodziewałam i mogliśmy z Jarusiem odetchnąć z ulgą.

Trajkotały nam w samochodzie jak nawiedzone o tym, jak to na początku zafascynowane były krajobrazami, aż zaczęło się ściemniać, a drogi powrotnej nie było widać. Już same nie wiedziały, czy zablądziły czy idą dobrze, więc zadzwoniły do mnie kiedy czwarty raz mijały tę

samą kapliczkę. Następnym razem to chyba zapakuję im kompas! Albo lepiej... wyłączę telefon, kiedy będę szła na randkę! A w ogóle, to jak jeszcze ktoś mi się zgubi, to zainwestuję w jakieś chipy naprowadzające!

Cóż, muszę jednak powiedzieć, że do „randki” nic nie mam, bo okazała się całkiem przyjemna. Właściwie zakończyła się też całkiem miło, bo Jaruś odprowadził mnie pod same drzwi, a kiedy tylko dziewczyny zniknęły, stwierdził, że gdyby był młodszy o kilkanaście lat, to pewnie pocałowałby mnie czule na dobranoc i czekał pod nimi dopóki nie wejdem do środka, co spotkało się z moim wybuchem śmiechu.

– Twój tata pewnie dałby mi medal za to, że tak o ciebie dbam – zażartował Jaruś, robiąc krok do tyłu i posyłając mi promienny uśmiech.

– Dziękuję za miły wieczór. Wiem, że moja mama potrafi być przekonująca, ale nawet jeśli to był wypad na siłę, to dobrze się bawiłam. – Postanowiłam zachować się jak prawdziwa dama.

– Twoja mama właściwie nie musiała długo mnie przekonywać. – Jaruś się zaśmiał i zerknął mi w oczy. – Wiesz, wypadałoby od czasu do czasu spotkać się z żoną – dodał po chwili.

– Jaką tam żoną, było, minęło. Jak moja matka wpadnie następnym razem na taki pomysł, to ja się z nią rozmówię... – zaczęłam się płatać a moją twarz zalał rumieniec.

– Oj, daj spokój Iwonka, jestem duży, umiem być asertywny. Czasem. – Jaruś się uśmiechnął. – Prawda jest taka, że też miałem ochotę w końcu spędzić inaczej wieczór niż przed telewizorem. I bardzo mi przyjemnie, że mogłem spędzić go z tobą – dodał, mniej ironicznie.

– Jeszcze raz dzięki – posłałam mu szczery uśmiech.

– Iwona... – szepnęła, kiedy zrobiłam krok ku drzwiom wejściowym.

– Tak?

– Czy dasz się namówić na jeszcze jedną randkę, tym razem z jakimś przyjemniejszym zakończeniem niż błądzenie po lesie? – zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

– Jarek... ja przecież...

– Wiem, wiem. Niedawno rozstałaś się z mężem. Ale to tylko przyjacielski wypad, nie mam ochoty cię gwałcić czy coś...

– No skoro tak... – parsknęłam śmiechem. On by muchy nie skrzywdził, a co dopiero chciał kogoś gwałcić!

– Powinienem powiedzieć teraz, że w takim razie zadzwonię? – błysnął swoimi białymi zębami.

– Chyba tak.

– W takim razie zadzwonię. Dobrej nocy – powiedział, po czym zbiegł z werandy i wsiadł do auta.

Muszę przyznać, że trochę się ociągałam z tym wchodzeniem, bo smutno mi było zostawiać za sobą beztroski wieczór, ale cóż, zbliżała się godzina policyjna, a nie chciałam, żeby alarm zaczął wyc ani dostać od Michaliny czymś ciężkim w głowę. Jariusia narażać też nie chciałam, więc posłałam mu długi uśmiech i w końcu weszłam do środka. Przez okno patrzyłam, jak odjeżdża. No podoba mi się ten Jaruś, muszę to przyznać! Oczywiście po przyjacielsku! Bo zaraz każdy sobie Bóg wie co dopowie.

**Nadszedł** deszczowy, ponury sierpniowy dzień, który już od wczesnych godzin porannych przyprawiał mnie o zawrót głowy. Musiałam popracować, ponieważ moi bohaterowie od dobrych kilkudziesięciu godzin stali w miejscu, co było wręcz karygodne. Bo jak to możliwe, żeby po „i że cię nie opuszczę” nie mogło wydarzyć się nic a nic?

Rozpocząć ten dzień miałam oczywiście od filiżanki kawy, gdy jeszcze wszyscy spali, ale nawet to nie dane mi było w spokoju. Kiedy tylko zeszłam na dół przed siódmą, w dodatku w wakacje, zastałam tam rozwiązującą krzyżówki matkę.

– Cześć mamoo! – powiedziałam do niej, ziewając. – Co tak siedzisz tu sama od rana? Stało się coś? – zapytałam, gdy ta zachowując się zupełnie nie jak ona, nie odpowiedziała żywo na moje przywitanie. Właściwie nie wykonała nawet zapraszającego do stołu gestu, jak to miała

w zwyczaj. Spuściła nos na kwintę i wbiła wzrok w naszą kwiecistą ceratę, która wcale nie była obiektem nader interesującym.

– Tak sobie myślę... – westchnęła, podpierając głowę dłonią. Łokieć oparła o stół.

W tej sytuacji pozostało mi tylko jedno. Powłóczęc nogami, podeszłam do czajnika, z którego wydobywała się jeszcze para i zalałam kawę w filiżance. Posłodziwszy aromatyczną esencję, odsunęłam taboret stojący przy stole i usiadłam obok matki. Wbiłam w nią wyczekujące spojrzenie, mieszając kawę.

Zero reakcji, tylko wzdych za wzdychem. No co jest?!

– Mamo, stało się coś? – zapytałam jeszcze raz, tym razem bardziej żywo, lecz nadal spokojnie. Zero ziewania.

– Och córcia, córcia... młoda jesteś, to nie zrozumiesz – powiedziała tylko, nie podnosząc nawet wzroku znad stołu.

Czyli wszystko jasne. Mama po prostu ma kryzys, a wszystko przez zmianę pogody i ciśnienia. Deszcz i chlapa nie służą optymizmowi, a już szczególnie komuś tak podatnemu na rozchwianie emocjonalne jak moja matka. Za dnia twarda i wojująca ze światem, ale gdy coś przeskoczy w jej głowie, która ostatnio jakoś bardziej posiwiła, prawdziwa rozlazła klucha.

– Jeśli mi nie powiesz, to na pewno nie zrozumie – powiedziałam, bo wiedziałam, że ktoś musi jej wysłuchać. Jeśli nie ja, to ojciec, a jemu wolałam tego oszczędzić. Ostatnio skacze mu ciśnienie i lepiej go po prostu na jakiś czas zostawić w spokoju.

– Bo ty za młoda jesteś – powiedziała w końcu matka. – Ładna jesteś, chłopcy za tobą latają. Dzieci masz jeszcze małe. Takie bliźniaki na przykład. Życie przed tobą córcia, a mnie co zostało. Umrzeć sobie w samotności...

– Jakie umrzeć i jakie w samotności, mamo? Cały dom pełen ludzi, a ty nie jesteś ani stara, ani schorowana. Co ty wygadujesz?

– Ja swoje wiem. Ojciec już dawno przestał na mnie zwracać uwagę. Niedługo to z szafą w przedpokoju mnie pomyli. W dodatku prababcią będę, czy ty to rozumiesz?! Ja wiem, powinnam się cieszyć z wnuków, że udane, że Łukaszek sobie życie układa. Ale jak w takiej sytuacji, kiedy życie mi się ze wszystkich stron wali?! – Matka westchnęła na zakończenie teatralnie i zmieniła rękę podpierającą głowę.

– Łukaszek po prostu szybko się o dziecko z Magdą postarał! To nie świadczy o twoim wieku, mamo. Już za kilka miesięcy będziesz z wózkiem po wsi mogła biegać, a wiesz przecież, że nic tak jak małe dziecko nie odmładza!

Matka uśmiechnęła się lekko na tę myśl, ale nie chciała dać tego po sobie poznać. Wiedziała, że nic nie działa na nią bardziej niż komplementy, dlatego postanowiłam sobie nie folgować i iść na całość.

– A tata, drugiej takiej w życiu nie znajdzie, więc też mi tu nie wygaduj! Zadbana jesteś, patrzysz w niego jak w obrazek mimo tej jego powiększającej się łysiny. W domu mu sprzątasz, dziecko odchowane. Druga wasza młodość mamo, nie możesz powiedzieć, że nie! – patrzyłam na nią wyczekująco, aż jej usta rzeczywiście drgnęły w górę.

– Może i masz rację, córcia. Ostatnio rzeczywiście jakby mówi do mnie czulej...

Oczywiście nie przyznałam jej się, że mówi czulej, bo ma ochotę jechać z kolegami nad jezioro na ryby na dwa dni. Mama nie musi tego w tym momencie wiedzieć, a tym bardziej dowiadywać się ode mnie takich rzeczy. Zresztą, moim obowiązkiem jest dochować tajemnicy, a tata powiedział mi to w sekrecie. Nie i już. Ja sekretów nie zdradzam!

Matka co prawda nadal załamana, poszła męczyć ojca, cokolwiek to znaczy, bo rzeczywiście mówi do niej czule i tę drugą młodością to ją przekonałam. Ja tymczasem zabrałam ze sobą kawę na górę (oj tak, nie powinnam jej pić na pusty żołądek) i otworzyłam laptop.

Zakamuflowałam się z nim w swoim łóżku. Nigdzie tak dobrze mi się nie pisało jak schowanej w mięciutkiej pościeli grzejącej przyjemnie stopy. Różni twórcy mają swoje rytuały. Jedni muszą mieć nogi w wodzie, inni wachają jabłka, jeszcze inni piszą przy muzyce dudniącej z każdej strony. Ja musiałam mieć stopy schowane pod kołdrą, nawet jeśli ludzie uznaliby mnie przez to za dziwaczkę.

Ale mimo chęci zdania wcale mi się nie kleiły. Mój bohater właściwie robił krok do przodu tylko po to, żeby zaraz się cofnąć. Albo w ogóle kręcił się w kółko jakoś chaotycznie i bez sensu. Istny dramat, a właściwie jego brak, bo gdybym to chociaż dramat mogła napisać, kiedy mam blokadę twórczą, to by było dobrze!

Z opresji wybawiło mnie pukanie do drzwi sypialni. Właściwie w innej sytuacji wściekłabym się i wyrzuciła interesanta, puszczając mu przy tym niezłą wiązanekę, ale z mojego pisania chwilowo mało wychodziło, a ja sama miałam ochotę na pogawędkę. Tym większa była moja radość, gdy do sypialni wsunęła głowę Katarzyna, pytając cicho, czy nie przeszkadza. Po zapewnieniu, że absolutnie nie, zdecydowała się wejść do środka. Przyznam szczerze, że jej kapcie zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Futerkowe króliczki ze sterzącymi uszami i różowymi noskami. Muszę jej koniecznie powiedzieć, żeby nie wyciągała ich czasem przy Antoninie!

– Iwonka, bo ja muszę ci coś powiedzieć – stwierdziła bez większych ceregieli, stojąc zaraz przy drzwiach. Zaproponowałam jej, żeby usiadła na łóżku, ale odmówiła, mówiąc, że to sprawa wymagająca szybkiej interwencji i siadać nie ma co.

– Wal! – powiedziałam, zamykając laptopa trzymanego do tej pory na kolanach.

– Chodzi o Agatkę.

– Tak? – spojrzałam na nią z zainteresowaniem. No przecież chodzi o moje dziecko, nie ma się co dziwić, że tak zareagowałam!

– Nie myśl sobie, że ja podsłuchuję, ale szłam do łazienki, a ona w pokoju z Magdą siedziały i rozmawiały.

Spojrzałam na Kasię pytająco.

– O seksie. Ja wiem – zaczęła się tłumaczyć Kasia – normalna sprawa, nic takiego, ale wywnioskowałam, że Agatka chce to zrobić z jakimś chłopakiem i wypytywała Magdę, jak to było i...

SŁUCHAM?! No tego już przecież za wiele. Odrzuciłam gwałtownie laptop i kołdrę, po czym zerwałam się na równe nogi. Jeśli ona pyta Magdę, a Magda jest w ciąży, to co z niej za ekspertka? Zresztą co ja tu wygaduję, tu trzeba zapobiegać! Ruszyłam ku drzwiom, ale przystopowała mnie Katarzyna.

– Nie rób awantury. Chodźmy na palcach pod ich pokój, to może dowiemy się czegoś więcej – powiedziała konspiracyjnym szeptem moja przyjaciółka. No dobrze, zgodziłam się, choć emocje we mnie szalały. Tu trzeba NATYCHMIAST zapobiegać!

Tak jak mówiła Katarzyna, drzwi do pokoju Agaty były uchylone, a ze środka dobiegały głosy Agatki i Magdy.

– Bo wiesz – mówiła ta pierwsza. – Zastanawiam się, czy to będzie jakoś szczególnie bolało?

– E, za pierwszym razem tak. I paprze się potem kilka dni, przynajmniej u mnie. Ale za drugim chyba już wiesz, czego się spodziewać i nie jest tak tragicznie – odpowiedziała jej Magda, a ja mało co nie zemdlałam, słysząc te słowa. Przecież Agatka jest jeszcze dzieckiem!

– Ciekawe, co on na to powie.. – znów dał się słyszeć głos Agaty. Matko, ona to chciała dla chłopaka zrobić, tak się poświęcić, a on na pewno nie jest jej wart. Muszę jej powiedzieć, że nikt nie zasługuje na takie poświęcenie i tak się serca chłopaka nie kupuje... normalnie krew mnie zalewała, gdy tego słuchałam.

– Pewnie mu się spodoba, skoro takie lubi. Co może powiedzieć – odparła Magda.

Odeszłam od drzwi, nie chcąc dalej tego wszystkiego słuchać. Moje matczyne serce po prostu nie wytrzymało. Moja córka, której nie dopilnowałam, zadała się z jakimś pozeraczem niewinnych dziewcząt. Skoro on takie lubi, to niejednej już pewnie w głowie namącił, a potem porzucił... Nie no, Agata nie może być taka głupia, powinnam z nią porozmawiać. Powiedzieć jej, że nie tędy droga...

Przerażona kiwnęłam głową Kasi, że może iść, bo ja sprawę załatwię i wycofałam się do sypialni. Ciężko opadłam na łóżko i schowałam twarz w dłoniach. No po prostu w głowie mi się to nie mieści, że Agata może być tak nieodpowiedzialna. Ja wszystko rozumiem, te jej zakochania ciągną się i ciągną, ale przecież zawsze były nieszkodliwe... matko kochana, ale jak ja powinnam

z nią o tym porozmawiać?!

Już sięgałam po laptop, aby wpisać jakieś hasło w stylu „rozmowy z córkami o seksie” albo podobne, równie prozaiczne i głupie, kiedy znów rozległo się pukanie do moich drzwi.

– Proszę! – odpowiedziałam, odkładając ponownie laptop. Tym razem do pokoju wsunęła się głowa Agatki. Czułam się jak nieprzygotowana do lekcji nauczycielka, która musi zacząć mówić, gdy właściwie nie wie co. No istny dramat!

– Mogę? – zapytała cicho. Kiwnęłam jej twierdząco głową, a ona zamknęła za sobą drzwi.

– Wiesz mamo, bo ja cię chciałam właściwie o coś zapytać – powiedziała po chwili ciszy. Zaczęło się, ratunku!!!

– O co? – zapytałam, udając niewiniątko. Nie zdążyłam wymyślić na tę chwilę żadnej lepszej strategii.

– Bo wiesz, poznałam takiego chłopaka... – zaczęła niepewnie, zawijając sobie kosmyk włosów na palec. – No generalnie on jest bardzo spoko. Trochę starszy, jeździ na motorze. Ale nie skóra, fura i komóra, nie. On jest bardzo mądry i dobrze się uczy, i w ogóle jest fajny. Tutaj mieszka, w tej wsi co Jaruś...

Dziecko kochane, jakaś ty naiwna – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos. Serce mi łamało to dziecko po prostu na żywca. Może powinnam się wcześniej napić, żeby się trochę znieczulić?!

– No i on ma masę kolczyków i tak się zastanawiałam, czy nie pozwoliłabyś mi zrobić sobie drugiej dziurki w uchu. Rozmawiałam o tym przed chwilą z Magdą, bo ona ma i mówi, że za drugim razem to już boli mniej i się mniej paprze...

SŁUCHAM?

– To co myślisz? – zapytała ponownie Agatka, nie widząc żadnej mojej reakcji.

– Zastanowię się nad tym – powiedziałam po chwili, gdy odzyskałam mowę.

– Dzięki – powiedziała uszczęśliwiona i wybiegła z mojej sypialni w skowronkach.

No to by było na tyle, jeśli chodzi o życie seksualne mojej córki. A ja głupia i naiwna posądzałam ją o najgorsze. Ona chciała tylko niewinny kolczyk w uchu... Chyba zostanę mistrzynią nieporozumień, jak Boga kocham, chyba tak!

Oczywiście nie omieszkałam podzielić się moją radością, że Agatka zachowa swoją niewinność jeszcze przez jakiś czas, z Katarzyną, winną całego tego zamieszania. Ona tak jak ja odetchnęła z ulgą, zapowiadając, że lepiej dmuchać na zimne i przygotować się do takiej sytuacji, bo może mieć miejsce w przyszłości. Właściwie zgodziłam się z nią i wspomniane wcześniej hasło i tak wieczorem wpiszę do wyszukiwarki, ale no, nawet nie macie pojęcia, jak mi ulżyło.

Z pisania w takiej sytuacji nici. Uczucie ulgi, przynajmniej w moim wypadku, nie sprzyja wcale wzrostowi kreatywności, zresztą tak samo jak duże emocje, dlatego postanowiłam zajrzeć na moment do śpiących bliźniaków.

Z ich pokoju wyrwała mnie jednak matka, informująca z należytą grzecznością, że przyjechał „mój gach” i mam zejść na dół. Chodziło jej o Jariusia, w ramach wyjaśnienia. Oczywiście był to argument skutecznie odrywający mnie od śpiących spokojnie dzieci, dlatego posłusznie powędrowałam na dół, przywitać się z Jariusiem. No proszę, parę dni temu obiecał zadzwonić, a tu po rycersku zjawia się osobiście. Nie będę ukrywała, że to całkiem miłe.

Po krótkiej pogawędce przy kawie i ciastku, które jak zawsze niemalże zwałało z nóg za sprawą wspaniałej Michaliny, Jaruś oznajmił, że musi jechać do miasta coś załatwić u kolegi, ale wpadł po to, żeby zaproponować mi wspólny wieczór. Właściwie to miałam ochotę popracować, ale skoro pofatygował się, żeby zaprosić mnie osobiście, to przecież nie wypadało odmówić. No i się zgodziłam.

Jaruś zaproponował mi właściwie, że mogłabym jechać z nim już teraz, bo on chce tylko pomóc koledze w sex shopie, ale dość miałam wrażeń na tle seksualnym dzisiejszego dnia, który na dobre jeszcze się nie zaczął, a wchodzenie z takim Jariusiem do sklepu tej branży byłoby dla wielu plotkarzy dość jednoznaczne. Ja mam jeszcze małe dzieci i wolę, żeby nie dotarły do nich wieści, fałszywe rzecz jasna, że ich matka prowadzi się z facetem po takich miejscach i robi z siebie kurtyzanę. Podziękowałam więc grzecznie Jariusiowi i umówiłam się z nim na wieczór.

No ale niedobrze, w tej sytuacji dziś znów sobie nie popiszę. Westchnęłam tylko. Mimo że przywykłam do życia na garnuszku rodziców, a raczej łasce i niełasce matki, nie do końca się z tym pogodziłam. Najwyżej nie będziemy mieli z czego żyć i wtedy nie wiem. Znajdę sobie sponsora, który nas utrzyma za pewne usługi, świadczone co drugi wieczór. Dobra, wiem. Głupia opcja, ale tak jakoś wpisała mi się w temat dzisiejszych wydarzeń...

– *Mamo*, bo wiesz, miałabym do ciebie taką prośbę – powiedziała bez ogródek Agatka, siadając obok mnie przy kuchennym stole, gdy obierałam ziemniaki do dzisiejszego obiadu.

– Słucham cię dziecko – odpowiedziałam, wrzucając kolejnego do garnka z wodą, chlapiąc przy tym na stół. – Ale najpierw wytrzyj to, dobra? – wskazałam jej dopiero co rozchlapaną wodę. Skoro czegoś chce, to musi być miła, żeby to osiągnąć. A skoro musi być miła, to co mi szkodzi ją trochę wykorzystać?

Agatka posłusznie starła wodę ze stołu, wyrzuciła papierowy ręcznik do kosza i usiadła ponownie na swoim krześle.

– No więc mów – powiedziałam, wyjmując z wiaderka kolejnego ziemniaka.

– Chodzi o to, że podoba mi się ostatnio pewien chłopak... – zaczęła niepewnie, wbijając wzrok w stół.

– Nie da się ukryć, skoro znikasz na całe dni, a od telefonu znów praktycznie się nie odrywasz. No i ostatnia sprawa z kolczykiem, nie pamiętasz? – skwitowałam jej oczywiste wyznanie.

– No dobra, dobra. A tak na marginesie, to co z tym kolczykiem, co? Miałaś się zastanowić. Podjęłaś już decyzję? – zapytała, pełna nadziei, wbijając we mnie te swoje wymalowane ślepia.

– Przemyślałam sprawę i myślę, że nie ma mowy. Nie pozwolę ci się oszpecać. Jeden to jeden, wszyscy mają, ale dwa to przesada. Nikt cię w przyszłości do żadnej pracy z czymś takim nie przyjmie, więc zapomnij – powiedziałam do niej zdecydowanym tonem, spodziewając się wybuchu złości i rozpacz. Ona jednak zaskoczyła mnie zwyczajnym wzruszeniem ramion. Matko kochana, co się ostatnio dzieje z tym moim dzieckiem?! Może wiejskie powietrze tak na nią wpływa, co?

– Dobra, mniejsza o kolczyk. Nieważne. No więc widzisz... – wróciła do poprzedniego tematu Agatka. – Chodzi o to, że zaprosiłam go dzisiaj do nas. Wiesz, chcielibyśmy pooglądać jakiś film, a mi tak głupio do niego jechać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko? – spojrzała na mnie pytająco.

– Nie mam. O której przyjedzie?

– Po obiedzie, żeby nie robić problemu.

– No dobrze, fajnie. Chętnie go poznam – powiedziałam, widząc rozanielony wzrok Agatki.

– Ale wiesz, nie magluj go za bardzo, jak przyjedzie, OK? – zapytała profilaktycznie. Czy ja wyglądam na straszną potworę, chcąc pożreć każdego amanta zbliżającego się do mojej córki?

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– No, żeby nie było jak wtedy z Leonem, pamiętasz?

– Córcia, to nie moja wina, że chłopak przyjechał do ciebie w za krótkich spodniach, w dodatku bardziej obcisłych niż twoje. Nie spodobał mi się i już – powiedziałam, chcąc się bronić. Już samo wspomnienie wypacykowanego Leona z pasemkami koloru blond wzbudzało we mnie falę mdłości.

– Dobra, dobra. Tak tylko mówię – powiedziała Agatka, wstając od stołu.

Do kuchni wbiegł Antoś, zanim udało jej się wyjść.

– Mamo, mamo. Wymyśliłem sobie nowe imię! – krzyczał z daleka, odziany w swoją nową pelerynę Supermana, którą sprezentował mu dziadek podczas ostatniej wyprawy na zakupy.

– No świetnie synku, czyli jak mamy się teraz do ciebie zwracać? – zapytałam, żywo zainteresowana jego genialnym pomysłem, kończąc obierać ziemniaki.

– Dupoś! – ogłosił dumnie Antoś, okręcając się dookoła i machając swoimi rączkami.

– JAK?!

– No dupoś! Prawie Antoś, ale inaczej – pospieszył mi z wyjaśnieniami niewinny synek,

robiąc przy tym rozanieloną minę.

Stojąca w drzwiach Agatka wybuchnęła śmiechem i wyszła.

– Nie podoba wam się? – zapytał Antoś, a w jego oczach pojawiły się łzy.

– Oj kochanie, świetny pomysł z wymyślaniem nowego imienia – postanowiłam pedagogicznie załagodzić sytuację. – Ale może wymyśliłbyś jakieś ładniejsze? Dupoś to nie jest zbyt ładny wyraz. Chcesz mieć takie brzydkie imię?

Moje słowa widać podziały na Antosia, bo zastanowił się głośno i pobiegł do pokoju wymyślać sobie nowe imię, które byłoby ładniejsze. Jak dla mnie, to niech zmienia imię nawet codziennie, ale niech chociaż nazywa się przyzwoicie, a nie wulgarnie. Swoją drogą, muszę dociec, kto go takiego słownictwa nauczył!

Obiad zjedliśmy w miłej atmosferze, przekrzykując się tradycyjnie i śmiejąc. Oczywiście ze zmywaniem musiałam poradzić sobie tylko razem z Michaliną, bo reszta od razu po ostatnim kęsie się gdzieś ulotniła. Taka magia, po prostu!

Akurat zdążyliśmy włożyć wszystko do zmywarki i wytrzeć ręce, gdy do kuchni wpadła Agatka z radosnym: już jest, już jest! Kazała mi się ogarnąć i poprawić włosy, i boso wybiegła na dwór po swojego wyczekiwanego gościa, którego już po chwili przyprowadziła do salonu, żeby mógł poznać naszą rodzinę.

– Dzień dobry pani – powiedział młody chłopak, grzecznie podając mi rękę. Przyznam, że jego kultura gryzła się trochę z wizerunkiem, ale mniejsza o to. Nie osądzajmy ludzi po tym, jak wyglądają. Czy ubrany od góry do dołu w same skóry chłopak od razu musi być taki zły? Buzię miał całkiem miłą i nie wyglądał groźnie. No, może nie podobał mi się tylko ten jego kolczyk, ale w dzisiejszych czasach mogło to być coś gorszego, na przykład wytatuowane pół ciała, więc przymknęłam na to oko.

– Mamo, to jest Melchior. Melek, to moja mama – przedstawiła nas sobie Agatka.

Że jak on ma na imię? Chyba nie dosłyszałam.

– Witaj... e..? – zająknęłam się, patrząc na niego wyczekująco.

– No Melchior mammo, przygłuchłaś? – Agatka spiorunowała mnie wzrokiem.

– Tak, tak. Cześć Melchiorze, miło cię poznać – powiedziałam do niego, czerwieniąc się ze wstydu. Widać nie uszło to jego spojrzeniu, bo uśmiechnął się do mnie lekko.

– Niech się pani nie krępuje, już przyzwyczailem się, że ludzie dziwnie reagują. No ale imię ciężko zmienić – powiedział z uśmiechem i razem z Agatką zasiedli do stołu.

Rozmawialiśmy sobie o wszystkim i o niczym. Staralam się nie przepytować go za bardzo, żeby potem nie nasłuchiwać się od Agatki Bóg wie czego, a ta to dopiero umie trajkotać i jak zacznie, to ciężko jej skończyć.

Dowiedziałam się więc, że Melek pochodzi z Jaszczurek, a jego tatę to nawet kojarzyłam ze szkoły średniej, choć nie pamiętałam za bardzo, jak miał na imię. No i generalnie, że jest maturzystą i ma naprawdę ambitne plany. Ktoś z jego wyglądem chcący iść na medycynę to naprawdę fenomen.

No tak! Znów wracamy do kwestii stereotypów. Niby to jestem kobietą wyzwoloną, a jednak prowincjonalnym myśleniem aż zionie z moich szarych komórek!

Piliśmy sobie więc dalej, gdy nagle do pokoju wpadł Antoś obwieszczający wszystkim, że wymyślił sobie imię. Na początku trochę się wystraszył Melchiora i nie chciał do nas podejść, ale po kilku minutach przekonał się.

– No kochanie, przedstaw się Melchiorowi – powiedziałam, wyciągając do niego rękę na zachętę. – Powiedz chłopcu, jak masz na imię – uśmiechnęłam się do niego, naiwnie licząc, że wyjawi swoje prawdziwe imię.

– Pamperos! – wykrzyknął Antoś i zwał do pokoju zawstydzony. Melchior uśmiechnął się przy tym, a Agatka mało co nie zabiła mnie wzrokiem. No co, nie moja wina, że Antoś ma dziś dzień eksperymentowania z imieniem!

– Antoś. On ma na imię Antoś – powiedziała Agatka, a ja w myślach podziękowałam Bogu za to, że Antek wymyślił sobie mniej wulgarnie imię od poprzedniego. Ale dlaczego od razu pamperos? No tego chyba nie mam co rozważać, bo nie zrozumiem.



W następnej kolejności do salonu wpadł Łukasz, chcący zabrać z kuchni coś do jedzenia dla Madzi. Gdy tylko zobaczył nowego kolegę Agatki, natychmiast zmienił jednak tor wędrówki i podszedł do stołu, wyciągając rękę do Melchiora.

– Cześć. Łukasz jestem – powiedział, podając mu dłoń. Chłopak potrząsnął nią solidnie.

– Melchior – przedstawił się. Na twarzy Łukasza pojawił się uśmiech.

– A tak serio? – zapytał rozbawiony. Kątem oka zobaczyłam, że Agatka niemalże wychodzi z siebie i staje obok.

– Melchior. Mam na imię Melchior – powiedział tamten. Widać reakcje ludzi stały się dla niego już codziennością i przywykł do niezręcznych sytuacji.

– Bez jaj! – wykrzyknął Łukasz. – Pokaż dowód! – zaproponował nieprzekonany.

– Łukasz, ogarnij! – wrzasnęła na niego Agatka. – On ma na imię Melchior. Melo. Melek. MELCHIOR!!!

Mój najstarszy spojrział na nią zszokowany jej reakcją, a następnie posłał skonsternowane spojrzenie chłopakowi.

– Sorry sorry! – powiedział do Agatki, a następnie zwrócił się do Melchiora. – Wybacz stary, po prostu myślałem, że to jakaś ksywa – powiedział pojednawczo i klepnął go w ramię.

– Zdążyłem się już przyzwyczaić – odrzekł chłopak, śmiejąc się, po czym spojrział na Agatkę, która zrezygnowana, paląc się ze wstydu, ukryła twarz w dłoniach.

– Wiesz co Melo, chodźmy na górę – odezwała się po chwili milczenia. – Mam dużą rodzinę, aż strach pomyśleć, co oni jeszcze wymyślą – dodała i pociągnęła go za rękę na górę do swojej sypialni.

– No mamo, skąd mogłem wiedzieć? – zaczął tłumaczyć się Łukasz, gdy zniknęli nam z pola widzenia.

– Nie martw się synku, ja zareagowałam podobnie – uspokoiłam go. – Ale może uprzedźmy resztę rodziny i domowników, jak ma na imię, bo Agatka nerwicy dostanie, a nam gotowa głowy pourywać w tym swoim stanie! – dodałam, po czym wstałam od stołu i ruszyłam na poszukiwania matki. Tak. Ona mogłaby tu najbardziej, jak to mówi młodzież, odwalić, dlatego wołałam uprzedzić ją zawczasu. Lepiej nie denerwować Agatki, która w gniewie robiła się nieobliczalna, a moja matka miała naprawdę niewyparzony język. Ich starcie mogłoby być normalnie jak spotkanie się dwóch skrajnych żywiołów. Nie wiadomo, kto by z tej akcji wyszedł żywy, a kogo musielibyśmy wynosić!

*Wieczorne* pojawienie się Jarusia nieco oderwało mnie od problemów rodzinnych i sfrustrowanej Agatki, która miała dziś widocznie dzień zachowywania się jak jej babcia, czytaj: zrzędzenia. Po ucałowaniu bliźniaków przed wyjściem, którymi, z wiadomych względów, zaoferowała się zaopeczkować Magda, uprzedziłam tatę, żeby wyłączył alarm, ponieważ planuję dziś wrócić do domu nieco później niż o dziesiątej, co spotkało się z lodowatym wzrokiem mamy.

– No pewnie, rób z siebie kurtyzanę. Niech cała wieś wie, że się prowadzasz z drugim, gdy sprawa z pierwszym jeszcze nie została rozwiązana.

– Co masz na myśli mamo? Jarek to tylko przyjaciel, nic nas nie łączy.

– Żebyś później tylko nie przylatywała do mnie z płaczem, jak się w sklepie na swój temat nasłuchasz. – Założyła rękę na biodro i przyjęła agresywną pozę.

– O ile wiem, to ty sama zorganizowałaś moją „randkę” z Jarkiem. O proszę, udawanie jego żony też! A jak ja mam ochotę po prostu wyjść wieczorem na kolację z przyjacielem, to stwarzasz wymyślony problem.

– To co innego. I nie odszczekuj mi się młoda damo! – ruszyła do ataku mamusia.

– Chyba coś ci się pomyliło mamo. Nie mam już kilkunastu lat, jak Agatka. Jarek to tylko przyjaciel, a ja nie mam ani ochoty, ani obowiązku tłumaczyć ci się z tego, z kim wychodzę i gdzie.

– Dopóki u mnie mieszkasz...

– Nie mieszkałabym, gdybyś nie sabotowała każdego mojego pomysłu znalezienia mieszkania – weszłam jej w słowo i zarzuciłam na ramię torebkę. Ta dyskusja traciła sens z minuty na minutę.

– Nie musiałybyś, gdybyś wcześniej nie wyszła za tego...

– Dość mam! Nie mam zamiaru tego słuchać – warknęłam na nią i wyszłam na zewnątrz.

Świeże, rześkie powietrze chłodnego, sierpniowego wieczoru od razu omiotło moją twarz i napełniło płuca.

Odetchnęłam ciężko. To właśnie dlatego nie do końca podobało mi się mieszkanie w Sosenkach. Ach, gdyby tylko udało mi się skończyć nową książkę, a dyrektor szkoły nie był tanim podrywaczem. Westchnęłam, gdy przed oczami mojej wyobraźni znów pojawił się widok utęsknionego siedliska na Mazurach. Gdyby życie mogło być prostsze...

– Coś nie tak? – zapytał Jaruś, gdy podeszłam do drzwi auta, które szarmancko przede mną otworzył.

– Wszystko w porządku – uśmiechnęłam się niemrawo.

– No przecież widzę.

– Powiem to tak: mama.

– No i to słowo wszystko wyjaśnia – mruknął Jaruś, po czym wpuścił mnie do środka i zamknął drzwi. – Mam nadzieję, że uda mi się poprawić ci dziś humor – dodał, gdy i on wszedł do środka.

Odpowiedziałam mu uśmiechem.

– Mam nadzieję, że lubisz spaghetti – powiedział, gdy ruszyliśmy autem w stronę Jaszczurek.

– Dość ambitne danie, trzeba przyznać – odpowiedziałam, zapinając pas.

– Nie miałem czasu zrobić zakupów – wyszczerzył się do mnie i dał kierunek, żeby skręcić.

– Jak chcesz, to włącz radio – zaproponował.

Dojechaliśmy do Jarkowej posesji po kilkunastu minutach słuchania muzyki, po czym wbiegliśmy do jego domu, uciekając przed kroplami deszczu, które z chwili na chwilę stawały się coraz cięższe.

– Deszczowy sierpień nam się trafił, co? – zaśmiał się Jaruś, kiedy dotarliśmy mokrzy do wejściowych drzwi jego domu.

– Nie da się ukryć. Leje jak z cebra – odpowiedziałam, zerkając na swoją mokrą koszulkę, a następnie na przemoczonego Jarka, przekręcającego klucz w drzwiach.

– Zaraz znajdę ci coś suchego – powiedział z troską, zdejmując buty i wchodząc do środka.

– Możesz skorzystać z łazienki – zaproponował, odkładając klucze.

Łazienka Jarusia, tak samo jak i poprzednio, wysprzątana była na błysk. Miałam dwa pomysły, dlaczego tak się działo – albo on tu nie był, albo jest maniakiem latania po domu ze szmatą. Po chwili namysłu stwierdziłam jednak, że oba tropy są błędne. Jaruś nie mieszka z gromadą dzieci, tak jak ja. Najzwyczajniej w świecie nie ma mu kto brudzić!

– Powieszę ci na klamce suchą koszulkę – krzyknął Jarek, stojąc pod drzwiami.

– Dzięki! – odpowiedziałam i odczekałam moment, zanim wychyliłam się po ubranie.

Z kuchni dobiegł mnie odgłos brzęczącego szkła, gdy wciągałam przez głowę pasiastą bluzkę Jarusia i sięgałam po suszarkę, wiszącą na wieszaczku, aby wysuszyć głowę. Zmyłam też z twarzy resztkę makijażu, który, niestety, wykonałam dziś niewodoodporną maskarą. Cóż, mój błąd.

Obrzucając ostatni raz wzrokiem swoje odbicie w lustrze, stwierdziłam, że wyglądam co najmniej źle. Podkrążone oczy i blada cera pomimo lipcowych upałów. No cóż. Facetowi bym się pewnie tak nie pokazała. Ale Jarek to Jarek.

– Zaczyna ładnie pachnieć! – rzuciłam, wchodząc do kuchni bosa i w jego wielkiej koszulce, która zakrywała mi prawie całe uda.

– A ty zaczynasz w końcu wyglądać jak człowiek – odwzajemnił mi się uśmiechem i pociągnął wzrokiem po moim ciele. – Powinnaś częściej odsłaniać nogi – dodał, wracając do garnka, w którym bulgotała woda na makaron. Nie będę ukrywała, że połechtał tym miło moje ego.

– Pomóc ci w czymś? – zapytałam, podchodząc do niego bliżej.

– Rozumiem, że w kuchni nie usiedzisz ani chwili spokojnie?

– Czwórka dzieci, nie ma nawet takiej opcji.

– No dobrze, możesz zająć się sosem. Pokrój pomidory – powiedział zrezygnowany i włożył

mi do ręki nóż, po czym wrzucił do garnka makaron.

– Miękki czy al dente? – zapytał, gdy ja zajęłam się pomidorami.

– Miękki – odpowiedziałam bez namysłu.

– Dobra odpowiedź! – pochwalił mnie i nastawił minutnik. – Może rozpalę w kominku, skoro pogoda postanowiła nie rozpieszczać nas dziś letnią temperaturą. Co ty na to?

– Skoro ci się chce.

– Nie chce, ale tak będzie miło, a nie chciałbym, żebyś przeziębila się, siedząc nie do końca sucha i trzęsąc się podczas kolacji.

– Masz bazylię? – zapytałam, gdy ruszył do salonu, żeby zająć się kominkiem.

– Na oknie! – krzyknął, a potem włożył do kominka cztery kawałki drewna i rozpałił.

Sos bulgotał wesoło, a makaron kończył się gotować, gdy Jaruś wrócił do kuchni. Stałam pochylona nad jego kuchenką i pilnowałam kolacji.

– Czerwone talerze? – zapytał, otwierając szafkę nad blatem.

– Zaskakujesz mnie. Masz taką zastawę? – odpowiedziałam mało elokwentnie i spojrzałam w jego kierunku, robiąc wielkie oczy.

– Na co dzień raczej z niej nie korzystam – zaczął się usprawiedliwiać, po czym odcedził makaron i wyłożył go na talerze, na co powędrował sos i listki świeżej bazylii.

– Pyszne – pochwaliłam nasze wspólnie przyrządzone danie, kiedy jedliśmy je, siedząc naprzeciwko siebie przy stole w salonie, gdy ogień trzaskał w kominku. W pomieszczeniu było raczej szaro, a do naszych uszu dobiegał odgłos rozbijających się o szyby kropli deszczu. Nic nie działało na mnie bardziej kojąco, niż taka muzyka.

– W końcu to moje popisowe danie! – Jaruś błysnął swoim uśmiechem, po czym upił łyk wina.

– Ej, czy nie masz zamiaru dziś jeszcze prowadzić? – zapytałam, zaniepokojona.

– Spokojnie, Iwona. Jestem policjantem, to tylko kilka łyków wina, poza tym, zanim noc nas złapie, zdąży wyparować! – roześmiał się i odstawił kieliszek.

– Mam nadzieję! – odpowiedziałam mu, nieco spokojniejsza i dokończyliśmy jedzenie w miłej atmosferze.

– Chciałem zabrać cię dziś na koncert w pobliskim miasteczku, ale pogoda pokrzyżowała mi plany. Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli zostaniemy tutaj i po prostu pogadamy? – zapytał Jarek, zbierając talerze ze stołu.

– Nie, skąd. Możemy posiedzieć przy kominku i porobić na szydełku.

– Cieszę się, że ci się ten pomysł podoba – uśmiechnął się i wyszedł do kuchni, a ja podeszłam do regału z książkami i zaczęłam przeglądać jego zbiory.

– Czyżbyś była ukrytą fanką północnych kryminałów? – Jaruś przyłapał mnie z książką Nessera w ręku.

– Nieraz zdarzy mi się, owszem, ale zwykle czytam lżejsze powieści. Głównie obyczajówki – odpowiedziałam, odkładając książkę.

– Usiądziemy? – Jarek wskazał sofę i chwycił ze stołu mój kieliszek wina.

– Chętnie. Pod warunkiem, że będziemy rozmawiać o literaturze! – zgodziłam się i klapnęłam na sofę obok Jarusia, tak że siedziałam teraz twarzą do kominka. Przyjemne ciepło bijące od ognia musnęło moją twarz i odsłonięte nogi. W pewnym momencie zrobiło mi się tak błogo, że nawet nie zorientowałam się, kiedy moja głowa znalazła się na Jarkowym ramieniu, a w pomieszczeniu zapanowała kompletna cisza, przerywana tylko przez trzaski buzującego w kominku ognia.

– Zaraz zasnę – wyszeptalam półprzycieśnie, rozkoszując się ciszą dookoła. – Wierz mi lub nie, ale cisza jest dla mnie tak rzadką delikacją, że nie wiem, jak mam z niej korzystać – powiedziała, podciągając kolana do siebie.

– W takim razie musisz wpadać do mnie częściej – szepnął Jaruś i odwrócił twarz w moją stronę. Spojrzałam na niego dokładnie w tym samym momencie. Trwaliśmy moment w tym zawieszaniu i głowę bym dała, że myślał w tym momencie o tym, żeby...

– Jaką muzykę lubisz? – zapytałam, odsuwając się od niego, tak jakbym nagle się ocknęła.

– Różną – Jarek odchrząknął. – Głównie rock, ale nie jestem wybredny. Nie mam ulubionego zespołu, jeśli o to pytasz. Jestem zwykłym, nudnym facetem bez wyrobionego gustu muzycznego.

Spojrzałam na niego z ukosa.

– Droczyś się ze mną?

– Ja? – spojrzał mi w oczy, a po jego twarzy przebiegł cień uśmiechu. – Gdzieżbym śmiał!

– Mógłbyś chcieć mnie jakoś rozbawić, bo podobno jestem starą matką, której życie mało wychodzi.

– Nie mów tak – powiedział, już zupełnie poważnie, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

– Założę się, że mówisz to każdej dziewczynie! – roześmiałam się, chcąc rozluźnić atmosferę. Pewnie tak zachowałyby się Iwonka sprzed lat.

– No cóż – westchnął. – Może i mówię, ale niekoniecznie serio. – Przeciągnął wzrokiem po moich ustach i skupił się na oczach.

Roześmiałam się zmieszana.

– Nie jestem pewna, czy to dobrze.

– No to już chyba twój problem.

– Czyżby? – zapytałam rozbawiona, unosząc brew.

– Myślę, że mnie lubisz, ale jeszcze tego nie wiesz – powiedział po chwili milczenia.

– Lubię cię, nie będę tego ukrywać – uśmiechnęłam się, niepewna, czy droczy się czy mówi serio. – Ale to nie zmienia faktu, że formalnie wciąż jestem mężatką z czwórką dzieci. Nawet, jeśli w trakcie rozwodu.

– Szanuję twoje granice – powiedział tylko Jaruś i podniósł się z sofy. – Ale nie będę ukrywał, że odkąd zostałam moją żoną, mam ochotę cię pocałować – dodał i puścił mi oczko, czym, skubany, wprowadził mnie w prawdziwe osłupienie.

– Chcesz herbaty, czy będziesz piła wino? – zapytał, wychodząc do kuchni.

– Poproszę herbatkę. Z cytrynką – odpowiedziałam mu i spojrzałam w ogień, zaskoczona tym, co przed chwilą zaszło. Jaruś krzątał się po kuchni, z której dolatywały do mnie przeróżne odgłosy. Wrócił do mnie dopiero po kilku minutach, niosąc na bambusowej tacy dwie parujące herbaty.

– Proszę. – Postawił jedną z nich przede mną, gdy nadal nieruchomo patrzyłam w ogień. Jego bliskość wymieszana z wypowiedzianymi wcześniej słowami działała na mnie co najmniej oszałamiająco.

– O czym myślisz? – zagadnął mnie jakby nigdy nic, gdy przez chwilę milczałam.

– Też mam ochotę cię pocałować, ale to nie zmienia faktu, że nie mogę. Chyba jeszcze za wcześnie. Za bardzo cenię twoje towarzystwo, żeby zepsuć to nierozsądną decyzją podjętą w przypływie złości, bezsilności albo czegośkolwiek. – Nerwowo przełknęłam ślinę i zmusiłam się, by spojrzeć mu prosto w oczy. Przyjaźń?

Jaruś patrzył na mnie przez chwilę, błędząc wzrokiem po mojej twarzy, aż w końcu odchrząknął i powiedział miękko:

– Przynajmniej stawiasz sprawę jasno – uśmiechnął się do mnie, a jego dłoń znalazła się na mojej dłoni. Jego palce były szorstkie i ciepłe. Idealne.

– Nie mam wyboru – powiedziałam, siłąc się, by zabrać dłoń, czego finalnie jednak nie zrobiłam.

– W takim razie przyjaźń. – Poglądził mnie lekko po rękę.

Odetchnęłam z ulgą.

– Będę na ciebie czekał – dodał po chwili, a ja myślałam, że rozplnę się na tej jego kanapie jak... nie wiem co.

Odjęło mi mowę.

Po powrocie do Sosenek nie mogłam zasnąć. To głupie, ale chyba za sprawą jego twarzy, która pojawiała się tuż przy mojej, gdy tylko próbowałam zamknąć oczy, kręcąc się w łóżku.

„Jeszcze z jednym nie skończyłaś, a z drugim zaczynasz!” – wracały do mnie popołudniowe

słowa matki. Nie, na pewno nie miała racji. Jaruś to tylko przyjaciel. Tak jest od dzieciństwa i na pewno zostanie. Może i ma ochotę mnie pocałować, ale to nie znaczy, że ja jestem na to gotowa! Jeszcze nawet się nie rozwiodłam!

Poza tym... mam dzieci. I jestem przed czterdziestką. Kto by chciał całować się z kimś takim?

*Moi rodzice* któregoś sierpniowego rana obwieścili wszem i wobec, że wyjeżdżają, aby przeżywać swoją drugą młodość z dala od domu. Widać mama do serca wzięła sobie naszą niedawną rozmowę i to, co jej powiedziałam, ale może to i dobrze, bo zdecydowanie im się to należy. Byleby tylko grzecznie mi było, na tym wyjeździe, bo z tą młodością to nigdy do końca nie wiadomo!

Przykro im było, że tak bez uprzedzenia, ale przecież zostawiają dom pod dobrą opieką całkiem sporej liczby ludzi, więc robią to ze spokojnym sumieniem. A wyjeżdżają do Międzyzdrojów, podróż już mają zaplanowaną. Na miejscu już czekają na nich znajomi, więc sprzeciwu nie przyjmują. Nie omieszkali też dodać, że o zgodę nikogo nie pytają, lecz po prostu informują.

– Mamo, na pewno wszystko zabraliście?

– Tak córeczko, planowaliśmy ten wyjazd od dawna.

– Może daj torby, przejrzę jeszcze...

– Iwonka, idź mi stąd! Nie jestem dzieckiem, a traktujesz mnie co najmniej, jakbym była noworodkiem. Tyle razy sama się pakowałam, a nawet ciebie pakowałam, o czym muszę ci najwidoczniej przypomnieć. Nie potrzebuję tutaj twojego wtrącania się. Zajmij się lepiej dziećmi.

– Dobra, dobra – burknęłam i odsunęłam się od pakującej bagaże do auta matki.

– Iwonka, chodź, pokażę ci coś... – Tato chwycił mnie za łokieć, kiedy szłam sprawdzić, co u bliźniaków. – Wiesz, pomyślałem, że na czas wyjazdu możecie przesunąć sobie godzinę, o której włącza się alarm. Jesteście młodzi i tak dalej... Nie to co my, pokolenie schodzące.

Jak ja tego tatę Kocham! Jaruś, który od ostatniej randki był u nas w domu znacznie częściej, będzie mógł spokojnie wychodzić później, a i dzieciaki się ucieszą, bo będą mogły dłużej posiedzieć na dworze, a nie tylko na tarasie.

Po krótkim przeszkoleniu, gdzie alarm włączać, wyłączać, przesuwać i tak dalej, czułam się co najmniej skołowana. zaproponowałam więc, że pomimo chęci nie będę się do niego zbliżać, a alarm został przesunięty na godzinę 24. No. I bardzo dobrze.

Rodzice, po wycalowaniu wszystkich naraz i każdego z osobna, pomachali nam z odjeżdżającego auta, które już za chwilę zniknęło z naszego pola widzenia. Zdani na siebie oddelegowaliśmy się każdy do swoich zadań, ponieważ Michalina z okazji wyjazdu rodziców dostała wolne. Mnie przypadła chwalebna rola pani domu, z racji tego, że to przecież czasowo mój dom, i zabrałam się za obiad, a po obraniu dwóch misek ziemniaków – do smażenia całej masy kotletów. Już nie pamiętam, kiedy gotowałam dla takiej liczby osób!

Nie mogę powiedzieć, że w kuchni cierpiałam na samotność. Poza grającym radiem pomagały mi bowiem, to znaczy siedziały przy stole, na blacie i generalnie wszędzie, gdzie im przyszło do głowy, wszystkie kobiety, będące oprócz mnie w domu, to znaczy Adela, Katarzyna, Agatka, Magda oraz Antonina, która dziś też poczuła się kobietą i nie schodziła z kolan Katarzyny.

Kiedy tylko ziemniaki wylądowały w garnku, do naszego kuchennego towarzystwa dołączył też Jaruś, który, muszę przyznać, nie wyglądał zbyt wyraźnie. Z taką obstawą w kuchni zupełnie nie mogłam skupić się na gotowaniu. Żadna z nich nie odstępowała mnie nawet na krok, co zaczynało być coraz bardziej uciążliwe. Dopiero kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, wszystkie panie rzuciły się w tamtą stronę, żeby sprawdzić, kogo to niesie do nas o tak nietypowej porze.

Jeśli chociaż przez moment łudziłam się, że w tym czasie spokojnie porozmawiam z Jariuszem o jego niewyraźnym wyglądzie, to myliłam się najzupełniej, bo gdy tylko drzwi zostały otwarte, do kuchni wpadła Agatka.

– Mamo, do ciebie?

– Do mnie? Nie spodziewam się nikogo – powiedziałam, wycierając ręce w fartuszek, który od paru chwil wisiał na mojej szyi. – Powiedz, że nie ma mnie w domu.

– Za późno. Ciotka już powiedziała, że jesteś.

– A kto przyszedł, tak właściwie?

– A nie wiem – wzruszyła ramionami Agatka. – W sumie żadna z nas nie wie, ale facet wygląda na niezłą osobowość.

No proszę. Rodziców nie ma, to już ciągnie do mnie facetów.

– To może ja pójde – zaoferował się chętnie Jaruś.

– No nie wiem. Ten pan przyszedł z kwiatami...

Z kwiatami? Matko kochana, a ja tak wyglądam...

– Mam pomysł – znów Jaruś. – Może zamiast panikować, po prostu chodźmy zobaczyć, co też Iwona ma za gościa.

Generalnie pomysł wydał nam się całkiem życiowy i poszliśmy. Gość znalazł się już w salonie w otoczeniu pilnie lustrujących go wzrokiem kobiet. Siedział tyłem, więc w pierwszej chwili go nie rozpoznałam, ale kiedy tylko mój wzrok padł na hawajską koszulę... Matko kochana, dyrektor przyszedł napastować mnie w domu! W dodatku z kwiatami!

Jaruś też wydedukował, kim jest nasz, a właściwie mój gość i gotów był z miejsca wyrzucić go za drzwi, gdyby nie moje uspokajające spojrzenie, którym starałam się wyrazić: spokojnie, przecież nie jestem z nim sama. No bo faktycznie, przy takiej liczbie osób raczej nie zbliży się do mnie bardziej niż to konieczne. Tym bardziej że Jaruś stał mężnie obok mnie gotów w każdej chwili przystąpić do mojej obrony, to jest, w tym wypadku, ataku.

– O, witam panią, Iwonko... – Dyrektor wstał, gdy tylko mnie zobaczył. – Dla pani – uśmiechnął się i wręczył mi kwiaty.

– Dziękuję – nie odwzajemniłam niestety jego uśmiechu. – Co pana do mnie sprowadza? Jeśli tak jak ostatnio zechce pan wyjaśniać mi, jakie ma pan poglądy na temat spraw służbowych...

– Gdzie tam poglądy! – wszedł mi w słowo dyrektor, nie spuszczać wzroku z prężącego się obok mnie Jarusia.

– Mam nadzieję...

– Przyszedłem tylko zapytać, czy nadal jest pani zainteresowana tym zastępstwem...

– Słucham?

– Wie pani, może zbyt wylewny byłem ostatnio...

– Wylewny. Akurat. Nie nazwałabym tego wylewnością w żadnym wypadku – prychnęłam oburzona na samą myśl o tamtej pamiętnej rozmowie.

– Iwona, chyba nie zamierzasz... – szepnął do mnie Jaruś.

– Rzeczywiście. Przydałaby się panu powściągliwość, zwłaszcza w kontaktach z pracownikami – o tak, nie zamierzałam: FOLGOWAĆ SOBIE!

– Pani Iwonko, gwarantuję, że to się nie powtórzy... – dukał dyrektor jak młody uczeń, wpatrując się w swoje jakże interesujące buty.

– Wie pan, nie pamiętam, żebyśmy przeszli na ty. – W towarzystwie poczułam się jakoś pewniej.

– Tak, oczywiście... No to. Hm. Jak będzie? – odchrząknął, patrząc na mnie spode łba.

– Przemyślę pana propozycję – odparłam dobrodusznie.

W sumie jakaś praca to by mi się może przydała. A nawet bardzo, biorąc pod uwagę moją twórczą niemoc.

– Cieszę się bardzo! Jeśli się pani zastanowi, zapraszam do mnie. Omówimy warunki umowy i kto wie, może od razu ją podpiszemy.

– Oczywiście.

– A ta cała sprawa z tym kuratorium... Niech pani nie bierze do siebie tego, co ostatnio zaszło. Ze mnie jest porządny człowiek.

– Ostatnio sama się o tym przekonałam. Niemalże na własnej skórze! – odpowiedziałam, zerkając kątem oka na rozbawionego Jarusia.

– Na co te nerwy... – Dyrektor wydał mi się trochę zakłopotany.

– To może ja odprowadzę pana do drzwi... – zaoferował Jaruś.

Niepotrzebnie.

Dyrektor wyszedł sam, a ja zostałam z bukietem kwiatów i pytającymi spojrzeniami domowników. Tylko Jaruś nie wyglądał na zaskoczonego, ponieważ jako jedyny z towarzystwa o wszystkim wiedział.

– Bardzo miły ten dyrektor, że tak do ciebie z kwiatami... – wyrwało się Katarzynie. Gdyby tylko wiedziała...

– Ale mamo, jakaś taka oschła dla niego byłaś, a on taki przyjemny – dodała Agatka.

– A dajcie spokój – machnęłam na nie ręką. Jakoś nie za bardzo miałam ochotę na tłumaczenia, więc oddaliłam się do kuchni, zostawiając wszystkie kobieciny. Nawet w drodze do kuchni słyszałam, jak litują się nad biednym dyrektorem. Właściwie nie taki on biedny, skoro każdej wpadł w oko.

Zresztą... biedny czy nie, pomyślałam, ale skoro my się mamy na tym choć minimalnie wzbogacić, to niech będzie. Uśmiechnęłam się pod nosem. Siedlisko, jesteśmy coraz bliżej!

– I co, masz zamiar przyjąć tę pracę? – zapytał Jaruś, gdy znaleźliśmy się sam na sam w kuchni.

– Nie wiem – odpowiedziałam mu zgodnie z prawdą. – Potrzebuję kasy, ale nie wiem, czy mam ochotę na współpracę z takim... baranem.

– Aha.

– Mogę cię o coś zapytać? – zapytałam Jarusia tym razem ja.

– Jasne – zgodził się dość mechanicznie.

– Jakiś taki... niewyraźny dzisiaj jesteś. Stało się coś?

– Remont – powiedział patetycznie. I co, tylko tyle?

– Remont? Nic nie wspominałeś o remoncie. – Nie zamierzałam odpuścić tematu.

– A wiesz, jakoś tak spontanicznie to wyszło.

– Ale poważny remont? – Oj, jestem męczycielką, nie ma co!

– Nie. Wiesz jak to jest, nieraz trzeba odmalować i tak dalej.

Tajemniczy jakiś ten Jaruś mi się zrobił.

– Jakbyś miał problem ze spaniem...

– Tak? – ożywił się jakby na moje słowa.

– Znaczący, nie chodzi mi o to, że nie mógłbyś zasnąć, ale gdyby robotnicy nie dawali ci spać, to... – trochę mi się język zaplątał, przyznaję.

Nerwowo przełknęłam ślinę.

– Zawsze możesz przenocować tutaj. Rodziców nie ma...

–... a myszy harcują – dokończył rozbawiony.

– Oj nie to miałam na myśli! – oburzyłam się. No dobra. Udałam oburzoną.

– Drocę się tylko. – Jaruś otoczył mnie ramieniem. – Jeśli będę miał problemy ze spaniem, to obiecuję, że się do ciebie zgłoszę – dodał ze śmiechem.

– Może znajdę jakieś ziółka na sen albo coś w tym rodzaju – ja też postanowiłam się podroczyć.

– Myślę, że ziółka nie będą potrzebne.

– Tak? – zdziwiłam się i spojrzałam mu w oczy. Zaczynałam chyba lubić go coraz bardziej, za to, że umiał i droczyć się, i poważnie rozmawiać, co w dzisiejszych czasach jest przecież kombinacją cech raczej rzadką.

– A właściwie długo ten remont? – wróciłam do tematu. Ciekawa oczywiście, ile czasu będzie tych ziółek potrzebował, w razie czego.

– Mam nadzieję, że nie – odparł po chwili zastanowienia.

– Aha.

Wydaje mi się, czy coś śmierdzi?

– Iwona? – powiedział cicho Jaruś, przyciskając policzek do mojej głowy.

Ach, jak on zniewalająco pachnie!

– Tak?

– A jak przyjmiesz tę pracę, to znaczy, że zostajecie z dziećmi na dłużej?  
– No... – zastanowiłam się – wtedy pewnie bym została... na dłużej. Z dziećmi – powiedziałam cicho, podnosząc na niego wzrok. Nasze usta znów znalazły się niebezpiecznie blisko.

– A gdybyś nie?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Nie zanoszę na razie, że stąd wyjadę, bo mama raczej wnuków tak szybko stąd nie wypuści – powiedziałam ze śmiechem, odsuwając się od niego.

– Aha...

Jarusz pochylił się do mnie, a ja spojrzałam na niego i właściwie sama nie wiem, czy chciałam dobrze zrobić, ale...

– O matko, pali się! – krzyknęła nagle Agatka. Skąd ona się tu wzięła? W takiej chwili?!

PALI SIĘ? Jak to gdzie? Odkoczyliśmy z Jarusiem od siebie, nie za bardzo wiedząc, co się wokół nas dzieje.

– Mamo rusz się, garnek się pali. Dwa się palą!

– Moje ziemniaki! Zupełnie o nich zapomniałam!

I tak oto obiad przesunął się mniej więcej o półtorej godziny, gdyż oczyszczenie kuchenki, obranie ziemniaków na nowo i zagotowanie ich, tym razem przez tyle czasu, ile powinny były się gotować, trochę potrwało.

Plus całego pożaru był jednak ogromny: dzięki temu opóźnieniu wszyscy sprzątnęli z talerzy co tylko się dało, nawet bliźniaki nie marudziły, tylko grzecznie wsuwały. Dobrze tak czasem przegłodzić towarzystwo. A co!

No i nie skaziłam swojej matczynej reputacji przed dzieckiem... matko kochana, co ja gadam. To przez ten chaos. Zdawało mi się w pewnej chwili, że... a nie. Nieważne. Wcale nie chciałam tego zrobić. Zdecydowanie nie!

*Następne* dwa dni upłynęły mi w miarę spokojnie, co naprawdę wydało mi się zjawiskiem wręcz nadprzyrodzonym, znając tendencję do pakowania się w kłopoty mojej dzieciarni. Fakty jednak świadczyły o spokoju i nijak nie mogłam ich podważyć. Cieszyłam się więc z tego, że mam chwilę oddechu i starałam się czerpać z niej jak najwięcej!

Korzystając z tego, iż Michalina ma urlop, mój wolny czas, który powinnam spędzić na pisaniu (ale niech tam sobie pisanie poczeka, skoro będę mieć pracę), przeznaczyłam na bycie zwariowaną panią domu. Jak to mówią, hulaj dusza, piekła nie ma. Biegałam więc wszędzie ze szmatką do kurzu, pucowałam podłogi, prasowałam. Gotowałam domowe obiady, przypominając sobie w ten sposób o tym, że rozwód z Grzegorzem być może otworzył mi drzwi do rajskiego życia, w którym mam gosposię, a nie sama nią jestem...

Wróć. Chyba muszę coś sprostować. Powinno być: *Następne* dwa dni upłynęły mi w miarę spokojnie. Prawie wyprałam kota i przygarnęłam psa. W dodatku nie było jakiego psa, ale owczarka niemieckiego! I tu zastosuję zapomniany przeze mnie na poprzednich stronach piękny zabieg retrospekcji, który przyszedł mi do głowy właśnie na potrzebę chwili.

A więc było tak... (jeny, czuję się, jak gdybym zaczynała opowiadać bliźniakom bajkę na dobranoc, a nie kolejny rozdział mojego życia. Właściwie jaki tam znów rozdział, po prostu króciutki epizod. Nawet dwa. No, ale żeby nie przedłużać...).

Pranie piętrzyło się w koszach na brudną bieliznę niemilosiernie, więc postanowiłam zająć się tym niezwłocznie. Po zatachaniu na górę wszystkich bieliźniarek i wysypaniu ich zawartości na środek pralni posegregowałam wszystko na kupki. Czarne do czarnego, czerwone do czerwonego. Kolorowe to trochę jak leciało, bo moje dzieci mają dość specyficzne upodobania, jeśli chodzi o kolorystykę tego, co na siebie wkładają. Paski do ręcznego prania...

I kiedy tak prałam i prałam bez opamiętania już trzeci stosik, słuchając przy tym radia, wypożyczonego sobie z kuchni, pech chciał, że skończył mi się proszek. A niech to. Ja, jako przezorna pani domu, z pewnością miałabym pudełeczko na czarną godzinę, ale najwidoczniej IDEALNA Michalina wcale nie była taka idealna, bo po przeszukaniu wszystkich półeczek



w łazience stwierdziłam jednoznacznie: proszku nie ma!

Cóż było robić. Wyjęłam z portfela dwadzieścia złotych i wydarłam się na całe gardło:

– AGATAAAAA!

Agata zjawiała się po pięciu minutach, co i tak, jak na jej tempo, było osiągnięciem wręcz zaskakującym. Czy ja mówiłam już, jak bardzo moje dzieci lubią udawać głuchych i tym samym drażnić mnie?

– Pójdiesz do sklepu po proszek do prania. Kup do koloru. Dwa pudełka jakiegoś najtańszego, bo nie wiem, co oni tutaj w tym sklepie mają – zawyrokowałam.

– Mamo, ale ja...

– Nie przyjmuję żadnych protestów, jasne?

– Jestem zajęta! Piszę właśnie na fejsie z Konradem i po prostu...

– Nie przyjmuję żadnych protestów, czy ja nie wyrażam się jasno?! – podniosłam ton, aby wzmocnić wydźwięk mojej odpowiedzi.

Agatka burknęła coś pod nosem, ale finalnie wydusiła:

– Jasne...

I moja niezmiernie zadowolona pociecha ruszyła na podbój jedyne sklepu w Sosenkach, w którym znaleźć można było dosłownie wszystko, od produktów spożywczych, po zabawki, alkohole, aż po chemię! Ja tymczasem wywiesiłam pranie, które właśnie odwirowało się w pralce. Trochę pomagała mi w tym Magda, która siedziała akurat przed domem i zaoferowała pomoc. Rozmawiając więc, zappełniłyśmy ubraniami kolejne sznurki między owocowymi drzewkami w ogrodzie. Zebrałam poprzednie pranie, które pięknie wyschło na słońcu, i wróciłam do domu, a dziecka wysłanego do sklepu jak nie było tak nie ma.

Chwytam więc za telefon, dzwonię, ale co tam! Mogę sobie dzwonić i dzwonić, skoro komórka Agatki buczy na stoliku przy wyjściu. Jak nie potrzeba, to nie rozstaje się z tym paskudztwem nawet na krok, a jak trzeba pomóc biednej matce i raz by się ten telefon przydał, to nie ma! Już ja jej dam, jak wróci. Jeśli wróci, oczywiście! Matko kochana, co ja gadam?! Oczywiście, że wróci, przecież dlaczego miałaby nie...

– Coś taka zdenerwowana? – zapytała mnie przechodząca obok Katarzyna, niosąc w rękę filiżankę z kawą. Właściwie nie niosąc, ale trzymając. Pewnie szła zaszyć się w swoim pokoju z książką lub potowarzyszyć w czymś Adeli, z którą zaprzyjaźniły się tak, że gdybym chciała, to właściwie mogłabym poczuć się zazdrosna.

– Z pół godziny temu wysłałam Agatę po proszek do sklepu, a jak go nie miałam, tak nie mam – powiedziałam do niej bardziej zrezygnowana niż zła, odkładając koszulkę Antosia na jego stosik, przy akompaniamencie muzyki płynącej z radia.

– Jeśli chcesz, możemy z Adelą przejść się zobaczyć, gdzie Agatka zginęła. I tak nie mamy nic do roboty – zaproponowała wielkodusznie Katarzyna.

Chciałam. Moje dwie nowe współlokatorki okazały się nad podziw pomocne i od razu wyruszyły na poszukiwanie zguby. Nie musiałam ich błagać i brać na litość, a nawet zrobiły to od razu, bez ociągania. Czy moje dzieci nie mogłyby chociaż przez chwilę takie być?

Jeśli wykrakałam i tym razem zgubiła się Agata, to jak Boga kocham, pozamykam ich wszystkich w pokojach i będę wypuszczała tylko do łazienki, warując przy tym przy drzwiach, żeby nie zapodziały się gdzieś na korytarzu! Co to ma być? Oni myślą, że ja czas na loterii wygrałam i planuję go przeznaczyć na szukanie ich po wsi?

Uspokoiliłam się tym, iż Adela z Katarzyną są kobietami odpowiedzialnymi i pewnie zaraz razem z Agatką i jej bujną historią o tym, co też przytrafiło się jej po drodze, wrócą.

Ale chyba uspokoiliłam się tym niepotrzebnie, a wręcz na marne, bo nie wracały przez czterdzieści minut. No niech to szlag! Jak raz mam zapał do prania, to nie mogę, bo proszku zabrakło! Rozkładając bezradnie ręce po kolejnym zerknięciu na zegarek, postanowiłam wezwać posiłki. Stałam w drzwiach pralni i wydarłam się na całe gardło:

– ŁUKAAAAAAAAAASZ!!!

Łukasz tak jak i Agatka ociągał się trochę z tym schodzeniem, ale w końcu raczył łaskawie przyjść do mnie, powłócząc nogami.

– Co? – zapytał mój nastolatek z naburmuszoną miną.  
– Jak ty się do matki odzywasz?  
– Kurczę, mów, o co chodzi. Chcesz coś czy nie? Bo jak nie, to idę...  
– Czekaj, czekaj. Nie trzeba się denerwować – starałam się go udobruchać, chociaż aż we mnie bulgotało ze złości. Co ten gówniarz sobie wyobraża, że może mną rządzić?  
– No... – wymamrotał, patrząc na mnie spode łba.  
– Pójdiesz do sklepu. Tam gdzieś po drodze utknęła Agata, Adela i ciotka Kasia. Znajdziesz je, weźmiesz od Agaty pieniądze i kupisz mi w sklepie dwa pudełka proszku do prania. Wiesz, te takie mniejsze. Do koloru. Rozumiesz?

– Rozumiem.  
– Tylko migiem.  
– Jasne...  
– Dokąd ty idziesz? Drzwi są tam – poprawiłam go, gdy skreślił nie w tę stronę, co trzeba.  
– Jenyyyyy! – ryknął mój nastolatek, tym zmutowanym głosem, do którego wciąż nie mogę się przyzwyczać. – Wezmę Magdę, dobrze jej zrobi świeże powietrze. Masz z tym jakiś problem? No jak tego gówniarza potrząchnę...

Ale problemu nie miałam, bo gdybym miała, to najzwyczajniej w świecie nigdzie by nie poszedł, a tak to wziął Magdę i wreszcie wyruszyli. Ja natomiast poświęciłam się czekaniu, które to przerwał mi Jaruś swoim dzwonieniem do drzwi. Po krótkim dzień dobry i zdawkowym buziaczku w policzek Jaruś oznajmił, rozsiadając się przy kuchennym stole:

– Nie uwierzysz, co widziałem po drodze!  
– Zaskocz mnie – uśmiechnęłam się zachęcająco. Albo tak chciałam się uśmiechnąć, bo sama nie wiem, co mi z tego zachęcenia wyszło.  
– Całą, no właściwie to nie całą, ale większość twojej rodziny siedzącą na rowie. Wiesz, tam przy drodze do sklepu naprzeciwko domu Matyjasików. Macie nową grę czy piknik jakiś? Czuję się urażony tym, że nie zostałem zaproszony! – zaśmiał się, zakładając ręce na znak oburzenia.  
– No masz! A ja ich po proszek do prania wysłałam. Możemy tam podjechać? – wbiłam w Jarusia błagalny, zrozpaczony wzrok.

– Moja wersja zdarzeń wydawała mi się lepsza – jęknął Jaruś, ale podchwytując moje spojrzenie, ochocho się zgodził:  
– Jasne.

Podjechaliśmy. Właściwie chwilę to trwało, bo musiałam zabrać ze sobą bliźniaki. Skoro cała moja rodzina siedziała beztrudnie na rowie, to kto miałby się nimi zająć?!

– Nie wysiadaj mamó! – krzyknęła Agata, gdy tylko otworzyłam drzwi, kiedy znaleźliśmy się już na miejscu zbrodni. Uchyliłam więc posłusznie okno.  
– Co wy tu robicie? Co z moim proszkiem? – domagałam się odpowiedzi, wbijając wzrok w siedzącą najbliżej mnie Agatę.

– Kiedy szłam do sklepu, zobaczyłam w rowie psa. Podeszłam, pogłaskałam. Wiesz, jak to ja... I kiedy tylko chciałam odejść, zaczął na mnie warczeć – zaczęła Agata. – Bałam się ruszyć, bo wiadomo, do czego obcy pies jest zdolny? No to usiadłam tutaj, on położył się obok i zasnął, ale co się ruszyłam, to warczał. Za jakiś czas zobaczyłam ciocię Kasię i Adelę, które szły w moim kierunku. Ucieszyłam się, że może one mnie uwolnią...

– Ale pies najwidoczniej i nas potraktował jak stado, bo nam też nie dał odejść – dokończyła Adela.

– No a resztę historii już potrafisz wydedukować – dodał Łukasz.

– Możecie nas jakoś uratować?

Ha, ha, ha. Moja rodzina została psim stadem. Ratujcie mnie, bo się posikam. Wybaczcie, ale w odpowiedzi na ich relację najzwyczajniej w świecie wybuchnęłam gromkim śmiechem, a zawtórowały mi bliźniaki, siedzące z tyłu w fotelikach.

– Nie śmiej się mamó, to poważna sprawa! – zaczęła strofować mnie Agata. – Robię się już głodna.

– Jarek, co począć? – powiedziałam, łapiąc oddech i przenosząc wzrok na uśmiechającego

się Jarusia. Co on sobie biedny musiał o tej naszej rodzinie pomyśleć!

– Nie wiem. Nie wiadomo, czy ten pies jest niebezpieczny czy tylko tak straszy...

– Na moje oko jest nieobliczalny – wtrącił Łukasz. Z pewnością miał rację.

– No to nie wiem. Może przywieziemy mu jakieś jedzenie, pewnie jest wygłodzony, bo nie wygląda na czyjegoś. Kiedy zacznie jeść, wy zdążycie wpakować się do wozu... – spojrzałam na niego dziwnie. – No wybacz Iwona, na psach to ja się nie znam i lepszego pomysłu mieć nie będę. Albo bierzesz co jest, albo myśl!

Pomysł Jarusia przeszedł. Zostawiliśmy więc całe psie stado tam, gdzie siedziało, a sami podjechaliśmy do sklepu. Na szczęście na stanie mieli i upragniony przeze mnie proszek i jakieś odpady mięsne, które wzięliśmy dla psa. Jaruś miał rację. Gdy tylko pies poczuł wyrzucone z auta mięso, zostawił swoje stado (jednak górę biorą pierwotne instynkty), które natychmiast wpadło do Jarusiowego samochodu, upychając się dziwnym cudem z tyłu. Gdyby złapała nas wtedy policja, to mandat byłby jak nic, a może i pokazaliby nas w telewizji. Jarusiowy samochód dzięki naszej rodzinie przeszedł szybki test pakowności, który notabene zdał pozytywnie, bo doliczyć trzeba jeszcze foteliki bliźniaków!

Nie przewidzieliśmy jednak jednego: pies chwycił w zęby mięso i ruszył pędem za swoim stadem, gdy tylko Jaruś odjechał kawałek do przodu. Uparte bydle nie chciało stracić emocjonalnej więzi z towarzyszami, która wytworzyła się, gdy przebywali razem.

I tym właśnie sposobem zdobyliśmy nowego psa, na łańcuch niestety, bo nie wiadomo, za kogo ten dzikus uzna moje yorkshire terriery. Albo one jego, bo z tymi chojrakami to nigdy nic nie wiadomo!

Kiedy psie stado mogło w spokoju zacząć się poruszać, nie licząc się z konsekwencjami, ja wróciłam do prania. Wzdychając ciężko po całym dniu wrażeń, wepchnęłam do pralki tym razem zielone, wsypałam proszku, wcisnęłam guzik i zamknęłam pralkę. Na całe szczęście odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy nie zostawiłam telefonu na parapecie, jak to nieraz miałam w zwyczaju, bo pralka zaczęła wypełniać się wodą, a ze środka wystawał wystraszony łeppek Feli. Co ona robi w pralce?!

– Jareeeeeeeek! – wrzasnęłam, stając jak wryta. Co ja mam robić, co ja mam robić?!

– Co się stało? – Jaruś zaferowany wpadł do łazienki.

– Zamknęłam w pralce kota, co teraz? – dałam radę wydusić z siebie przerażona. – Jak mogłabym utopić własnego kota? Co ze mnie za matka...

– Spokojnie, Iwonka... – Jaruś mnie pocieszał, dotykając czule mojego ramienia. Aż dreszcz mnie przeszedł, od tego jego dotyku!

Jaruś, jak na rasowego bohatera przystało, doskonale wiedział, który guzik jest guzikiem do otwierania awaryjnego i gdy tylko drzwiczki pralki się otworzyły, na podłogę wyskoczyła przerażona Fela, a za nią wylało się parę litrów wody. Sprzątanie trochę potrwało, a mi odechciało się prania na jakiś czas. Na szczęście dzieciakom spodobała się zabawa w suszenie kota suszarką, dzięki czemu Fela nie wyziębiła się ani nie wpakowała ociekająca wodą nigdzie na kanapę. Na podłodze za to znalazła się jej kolejna kupa, którą oczywiście trzeba było sprzątnąć.

Kiedy wraca ta Michalina?!

**Jaruś** zaczął ostatnio wyglądać coraz gorzej. Strasznie się ten remont u niego przedłuża, a on marnieje mi w oczach. Ma blade policzki, które niedługo to mu się chyba zapadną, i ogromne wory pod oczami. Przyznam, że podoba mi się wtedy, ale zdecydowanie nie wygląda zbyt korzystnie. Jeszcze parę dni, a z romantyka zrobi się prawdziwa anorektyczna sierota z oczami na zapalki. Przecież nie mogę do tego dopuścić! Może tak by go trochę podkarmić czy coś... Mam gdzieś w apteczce jeszcze jakieś witaminy, ogólnorozwojowe, jak to zwykłam mawiać.

– Słuchaj Jarek, tak nie może być! – zaatakowałam go przy pierwszej możliwej okazji, gdy siedzieliśmy sami na ławce przed domem, patrząc, jak Łukasz kosi trawę.

– Ale jak Iwonko? – zapytał, zupełnie nie wiedząc, o co mi chodzi.

– Wyglądasz przez ten remont jak cień człowieka. Coraz chudszy się robisz, niewyspany

jesteś. Ja czytałam o tym kiedyś, że przez to można mieć problemy z koncentracją i takie inne... Jak ty chcesz przestępców łapać, całkowicie o sobie nie dbając, co? Chcesz czy nie chcesz, sypiasz u mnie!

– Daj spokój. – Jaruś się uśmiechnął. – Mało to masz ludzi na utrzymaniu? Jeszcze brakuje tylko tego, żebym ja ci się na głowę zwałił. Wiem, że słyniesz w okolicy ze swojej gościnności, ale Iwonko, mam gdzie spać, na głowę mi się nie leje i wszystko jest w jak najlepszym porządku, naprawdę... – Och, jak on się słodko tłumaczył!

– I tak bywasz tu codziennie, a w myśl hasła mojej mamy: im więcej tym weselej – nie dawałam za wygraną. – Jeśli chcesz, żebym przez ciebie była smutna, to proszę bardzo, ale ja nie godzę się na to, żebyś w takim stanie pałętał mi się po domu i straszył bliźniaki... – dodałam, robiąc minę co najmniej kobiety przygaszonej.

Ten argument podziałał na Jarusia i już tego samego popołudnia zjawił się u mnie z torbą z najpotrzebniejszymi rzeczami. Były to ubrania, kosmetyki, a co najzabawniejsze, maleńki jasiek i pompowany materac w salonie. Aż się zaśmiałam na widok tego ostatniego.

Ciekawe, czy Jaruś chrapie, bo ja przecież tak! Bawidamek nieraz zwracał mi na to uwagę, ale nigdy nie brałam tego na serio!

Nie. Nie chrapię. Zapytany Jaruś wszystkiemu zaprzeczył, błyszcząc przy tym swoim idealnym uśmiechem, a przez moją głowę przebiegła myśl, że nachyliła się nade mną, całując mnie namiętnie, na poparcie swojej hipotezy. Mało się nie zachwiałam od tego uderzenia gorąca, dlatego ewakuowałam się, dość niegrzecznie, wiem, z jego towarzystwa i zajrzałam do dzieci, a potem zabrałam się za przygotowywanie jedzenia.

Coraz gorzej zaczynało działać na mnie mieszkanie z rodzicami. Zaczynałam powoli zachowywać się jak własna matka!

– Jarek pomieszka u nas kilka dni, bo jego remont trochę się przedłuży. Są jakieś ale? – zapytałam przy obiedzie, zaraz po tym, jak Łukasz wylał łyżkę wazową zupy na stół, popchnięty przez żywo gestykującą Antoninę, a przed tym, gdy Antek urządził nam prawdziwe piszczące piekło, bo chciał siku!

– Ja miałam Alę w klasie w przedszkolu. Złamała mi kiedyś kredkę... – powiedziała smutno Antonina, spuszczać wzrok w talerz i wkładając sobie kolejną łyżkę zupy do buzi. Uśmiechnęłam się lekko do Jarusia. Odpowiedział mi tym samym.

– Są jakieś inne ale? – zapytałam rozbawiona.

– Czemu Tosia zna Alę, a ja nie znam? – Antoś, którego Magda zabrała od stołu, ponieważ najwidoczniej potrzebował drzemki, rozplakał się w odpowiedzi.

Innych Al nie było.

– Hej! – Antonina zagadnęła po obiedzie Jarusia. – Chcesz zobaczyć medale naszego kota? – zapytała, biorąc go za rękę i wbiła w niego swój błagalny wzrok. Jaruś spojrzał to na mnie, to na nią, po czym uśmiechnął się i zgodził się.

– Przyniesiesz je tutaj? – zapytał, a ja aż odłożyłam ścierkę na blat, ciekawa, co też moja córunia właśnie wymyśliła.

– Nie! Musisz iść ze mną. – Pociągnęła go za rękę. – Bo chcę ci też pokazać, gdzie wczoraj narzygał! – rzuciła triumfalnie, a ja zaśmiałam się cicho i powędrowałam za nimi z rolką papieru toaletowego w rękę, żeby od razu sprzątnąć tę niespodziankę.

Jaruś, który dzielnie odbył rozmowę z Antoniną, po wszystkim rzucił się na łóżko w mojej sypialni i zasnął jak głaz. Nakryłam go więc ciepłym kocem, leżącym na fotelu w mojej sypialni i przymknęłam drzwi, chcąc ograniczyć dopływ bodźców z zewnątrz. Strasznie on ostatnio niedospany, więc nie przeszkadzałam mu za bardzo, bo też i nie miałam jak, ponieważ już za chwilę rozległo się gardłowe:

– Mamooooo!

Chcąc nie chcąc, żeby nie narazić Jarusia na stresy, lecz pozwolić mu na spokojny sen, zesłam na dół.

– Pani do ciebie. Właściwie do babci, ale powiedziałam, że nie ma, więc ona do ciebie.

– Dzień dobry, nazywam się Oryl Janina. Jestem wiceprzewodniczącą Koła Gospodyń

Wiejskich w Sosenkach. Nie ma przewodniczącej?

No proszę, jak to moja mamusia się ustawiła.

– Przykro mi, ale nie ma – odpowiedziałam z uśmiechem starszej pani, którą widocznie ta odpowiedź nieco zdołowała.

– Wie pani, bo my mamy dziś ważne zebranie...

– Rozumiem, ale nie mam jak pani pomóc. Mamusia w Międzyzdrojach.

Starsza pani spochmurniała, aby za moment trysnąć energią.

– To może pani by przyszła? Co? W końcu córka pani przewodniczącej to prawie przewodnicząca...

– Ale... – starałam się zaprotestować, co jednak od razu skazane było na niepowodzenie.

– To co, na piętnastą?

– Na piętnastą. A, przepraszam, gdzie?

– A, w domu kultury kochana, w domu kultury. Chcesz, to przyjdziemy po ciebie wszystkie przed i...

– Dziękuję, trafię – przerwałam szybko starszej pani, grzecznie tłumacząc, że nie mam teraz czasu na pogawędki, ponieważ jestem potrzebna dzieciom. Na szczęście zrozumiała i po odprowadzeniu do furki wreszcie skończyła trajkotać, jak bardzo się cieszy.

I po co ja się na wszystko zgadzam?! – plułam sobie w myślach w twarz, wracając do domu, po zamknięciu furki za panią Oryl Janiną. No ale z drugiej strony nie miałam serca odmówić tej poczciwej starowince, która widać ledwie na nogach się trzymała, a przeszła taki kawał drogi tylko po to, żeby zaprosić mnie na spotkanie... Serce, chorobo ty! Zamiast być cicho, to ono nadal mi życie ustawia! I to wedle czyich, kurczę, zachcianek?

Nie miałam czasu dłużej zastanawiać się nad pobudkami moich irracjonalnych zachcianek, bo piętnasta zbliżała się wielkimi krokami i musiałam się przebrać. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie włożyć na tę okazję jakiejś szykownej garsonki, ale ostatecznie zdecydowałam się na proste jeansy zwężane u dołu i białą koszulkę. Zwiewną oczywiście, żeby zatuszować mój brzusek, powiększający się wraz z wiekiem.

Przed wyjściem ucałowałam śpiącego jak suseł Jarusia, bliźniaki, którymi i tak całe dnie zajmowała się Magda i Łukasz w ramach wdrażania w program bycia rodzicami, i wyszłam. Zebranie miało się odbyć w domu kultury, który jak na złość znajdował się na drugim końcu wsi. A mogłam założyć buty na płaskiej podeszwie, a nie szpilki, żeby dodać sobie klasy. Szłam więc, zginając nogi w kolanach coraz niżej i naprawdę niewiele mi brakowało, żebym zaczęła iść w kucki.

Właśnie przez to na spotkanie dotarłam spóźniona, bogatsza o dwa pęcherze na piętach i jeden na małym palcu lewej nogi. Kiedy tylko weszłam do niedużej sali, wszystkie głowy jak na komendę odwróciły się w moją stronę, buzie zamilkły, a ja w tej sytuacji zdołałam wydusić tylko:

– Dzień dobry!

Po czym zasiadłam za stołem, na którym stały talerze z pyszną szarlotką i filiżanki.

– Kawy, herbaty? – zapytała nieduża blondyneczka, wstając od stołu.

– Herbaty poproszę.

– Słodzi?

– Łyzeczkę.

– Pani to córka Haliny, co? Na długo pani do nas do Sosenek zjechała? – zapytała jakaś starsza pani, siedząca obok blondyneczki, której wzrokowo nie kojarzyłam.

– Tak, to ja – uśmiechnęłam się łagodnie. – Szczerze mówiąc, jeszcze sama nie wiem. Dostałam etat w oddziale przedszkolnym, więc na rok na pewno.

– Ano słyszałyśmy, słyszałyśmy, że dzieciaki nową nauczycielkę będą miały! – wtrąciła jakaś pani z pomarańczowymi włosami. – I że nauczycielka z dyrektorem się po wsi prowadzi, też słyszałyśmy! – rzuciła mi miło, choć odebrałam to jako cios.

– Oj da pani spokój, pani Morejko – przystopowała ją blondyneczka, stawiając przede mną talerzyk i cukier. – Nie nasza sprawa, kto się z kim prowadzi!

Już miałam podziękować jej za obronę, gdy znów odezwała się pomarańczowa.

– Nasza nie nasza, ale nie dość, że policjant to jeszcze i dyrektor. Namąci taka w głowach chłopom, potem wyjedzie, a my bez policji i szkolnej dyrekcji... – dodała, patrząc na mnie oskarżycielsko i rozparła się wygodnie w fotelu.

– Ja nikomu w głowach nie mieszam – powiedziałam chyba za cicho, by mnie usłyszała.

– Pani Morejko, da pani spokój – odezwała się znów blondyneczka. – Zaraz chłopcy mają wyjeżdżać przez panią Iwonę! Swoim się pani zajmie, bo całe dni piwsko chła pod sklepem, a nie innych osądza!

Ostatni argument widać zamknął buzię pani Morejko, a także innym paniom. Wszystkim naraz odechciało się plotkować!

– No, skoro jesteśmy w komplecie, to chyba możemy zaczynać. Tak? – Spojrzenie na mnie pani Janiny Oryl.

– Oczywiście – odpowiedziałam z uśmiechem, choć wcale uśmiechać mi się nie chciało.

– Sprawa, jaką powinnyśmy zająć się w pierwszej kolejności, to dobór koloru do pomalowania placu zabaw w centrum wsi, który marnieje w oczach. Pieniądze mamy składowe, a jeśli zabraknie, to każda z nas chętnie się dołoży, prawda?

– Prawda, prawda. – Pokiwały zgromadzone w pomieszczeniu głowy. Wszystkie, oprócz głowy pomarańczowej, która widać miała inne zdanie.

– No to pięknie. Czekam więc na propozycje koloru – dokończyła pani Ela, jak się później dowiedziałam, po czym usiadła.

– Ja proponuję żółty i zielony. Takie wiosenne kolory – zaproponowała pani w kraciastej bluzeczce siedząca na lewo ode mnie.

– Żółty? Gdzie żółty. Przecież zaraz to się zabrudzi i trzeba będzie na nowo malować... – zgasiła ją pani Ela, popijająca kawę brunetka o wyraźnie zaakcentowanych kościach policzkowych.

– W takim razie może fiolet z różowym? Widziałam ostatnio takie żywe odcienie farb w sklepie. Bardzo ładnie by wyglądały – powiedziała blondyneczka z uśmiechem na twarzy.

– Fiolet? No pani Marysiu kochana. A co to za dyskryminacja chłopców? Plac jest dla obu płci, nie można tak! – dodała niska blondyneczka w bluzeczce w kratkę.

– Cóż. W takim razie może coś neutralnego... co powiedziałyby panie na przykład na czerni i czerwieni? Bardzo na czasie kolory, widziałam ostatnio w katalogu farby nawet z brokatem! – zaproponowała pomarańczowa. Skąd one ją wzięły?!

– Nie sędzę. To nie są zbyt dziecięce kolory... – skrytykowała ją blondyneczka, do której już zapalałam sympatią.

– Poza tym zjedzie takie dziecko po czarnym ze dwa razy i już spodenek się nie dopierze... – pani Ela.

Zaraz, zaraz. Czy spędzę całe popołudnie na dyskusji na temat koloru farby na plac zabaw? Upiłam łyk herbaty, a moje myśli odbiegły ku Jarusiowi. Ach, jak mi się miło przy nim sypia ostatnio. Ciekawe właściwie, co oni mu tak długo remontują. A te jego kosmetyki w nieładzie poustawiane pod lustrem w łazience... gdyby tylko mogły stać już zawsze pod moim lustrem, mogłabym wachać jego perfumy, kiedy będę miała na to ochotę.

– Gdyby tylko była pani Halina, ona od razu by zadecydowała... – wyrwał mnie z zamyślenia komentarz pani Eli, pełen goryczy i zawodu.

Wicie co, to jest myśl! Matka z pewnością swoją stanowczością skończyłaby te rozważania bez sensu. Nic dziwnego, że wybrały ją na przewodniczącą, skoro same są takie rozlazłe!

– Przepraszam... – ośmieliłam się wtrącić do dyskusji, a pomarańczowa mało nie zabiła mnie wzrokiem. – Ja mogę do mamy zadzwonić i zapytamy o te kolory, jeśli mają panie takie życzenie – powiedziałam dobrodusznie.

Twarze kobiet od razu się rozpromieniły i zaczęły one potakiwać twierdząco na moją propozycję. Wyglądały jednak na lekko zmieszane moim pomysłem.

– Ale gdzież tam, przecież to kłopot... – zaczęła pani Ela.

– Żaden kłopot. Przecież ja mam do niej darmowe minuty! Przepraszam na moment, zadzwonię do mamusi! – powiedziałam i oddaliłam się od stołu. Przyznam szczerze, że zrobiłam to z ogromną przyjemnością.

Mamusia raczyła odebrać po dwóch sygnałach. Jej ciepły głos mamroczący „słucham” do telefonu od razu przywrócił mi nadzieję na zakończenie tego spotkania przed północą.

– Słuchaj mammo, jestem na spotkaniu jakiegoś koła gospodyń...

– Dałaś się wrobić ty głupia i naiwna...

– Co?

– Zapomniałam cię uprzedzić, żebyś pod żadnym pozorem nie dała się tam zaciągnąć.

Ciebie to one zaraz zagadają. Trzeba im mocnej ręki, czyli mnie, a nie ciepłych kluch, które przyjmują pod nasz dach każdą, pożałuj Boże, sierotę!

Cała moja kochana mamusia.

– Dzięki, że mnie ostrzegłaś.

– A nie ma za co.

– Słuchaj, bo one tu debatują nad kolorami na plac zabaw... – zaczęłam jej tłumaczyć, o co mi chodzi.

– Ile debatują?

– Co?

– Ile czasu już debatują? – dopytywała matka, którą widocznie cała ta sytuacja po prostu bawiła.

– No będzie z dwadzieścia minut – przyznałam jej niechętnie.

– A to słabo, potrafią trzy razy tyle... No, ale powiedz im, że już farby kupiłam i będzie czerwony, żółty i niebieski. Jak będą chciały malować, to powiedz im, niech się wstrzymają do mojego powrotu, a farby schowałam w schowku w spiżarce, tak na marginesie. A teraz muszę kończyć, córcia. Tatusz coś mi się tam drze z daleka. O. I rękami macha... Kończę. Ucałuj dzieciaki, pa pa. – I rozłączyła się, nie czekając na moją reakcję.

Tym sposobem zakończyłam dyskusję koła gospodyń na temat kolorów, czym zyskałam sobie ich dozwonną sympatię. Zaowocowało to tym, że wszystkie odprowadziły mnie do domu. Nawet pomarańczowa, która wcale nie ukrywała niechęci do mnie, poszła ze wszystkimi paniami w korowodzie.

Przyznam szczerze, że blondyneczkę to zdążyłam naprawdę polubić. Okazała się kobietką rzeczową, a przede wszystkim o podobnym spojrzeniu na świat co ja. W dodatku, jak się dowiedziałam, od kilku lat jest żoną mojego byłego kolegi z klasy i chętnie zaprasza nas na kolację. Dopiero co urodziło im się małe dziecko i nie za bardzo mogą wyjść z domu. Zapraszają nas jednak bardzo serdecznie, kiedy tylko będziemy mieli wolny wieczór (ja i Jaruś, rzecz jasna). Z Jarkiem też dobrze się znają, a ostatnio doszły ją słuchy, że podobno chadzamy na randki, czemu przecież nie mogłam zaprzeczyć. Co z tego, że one były w ogromnej mierze aranżowane? W takiej sytuacji nie zostało mi nic innego, jak po prostu przyjąć jej serdeczne zaproszenie i poinformować o nim Jarka.

Gdy cały nasz korowód gospodyń wiejskich dotarł pod mój dom, panie stwierdziły, że nie mogą niestety wejść (niestety, podkreślam), ponieważ zaczynał się właśnie ich serial, ale gdyby mogły, to nie pogardziłyby kawką czy herbatką z tak miłą córką pani Halinki, którą oczywiście serdecznie pozdrawiają. Sama zresztą też powinnam zacząć ten serial oglądać, bo główna bohaterka właśnie jest w przełomowym momencie swojego życia i mam z nią wiele wspólnego. Musiałam oczywiście obiecać, że serial zacznę oglądać.

Właściwie mimo że były okropnymi gadułami i z tego, co się zdążyłam zorientować, uwielbiają robić z igły widły, to nawet polubiłam te gospodynie. Chyba się starzeję, pomyślałam, wchodząc na górę do sypialni, po całym tym zwariowanym dniu.

A może asymiluję się z Sosenkami? A bo ja tam wiem. W każdym razie mam nowe koleżanki, a co! A jedna zgodziła się nawet wziąć ode mnie koty. Wszystkie cztery, bo jednego zostawimy sobie na pamiątkę. W końcu nie każdy kot rodzi się w pociągu.

Jaruś oczywiście zgodził się na wizytę u blondyneczki i wykazał w tej sprawie prawdziwy entuzjazm. Z radością obwieścił mi też, że uśpił już bliźniaki, a młodzież zajęła się sama sobą.

Aha. U Agatki był dziś jakiś przystojniak i powinnam o tym wiedzieć. Może i powinnam, choć właściwie już do nich wszystkich przywykłam. Agata ciągle sprowadza do domu jakichś chłopców. Był już skate w obwisłych spodniach, dresiarz ubierający się tylko w firmówki, który,

jeśli dobrze pamiętam, grał w jakimś klubie sportowym. Amator szachów i matmy, choć ten bywał u nas zdecydowanie krócej od poprzednich. Właściwie to już ich nawet nie pamiętam. Może gdybym spotkała kogoś gdzieś na ulicy to prędzej, ale tak przypomnieć mi sobie byłoby ciężko.

Zresztą, jakie to ma znaczenie? Jak się zaręczy, to zapamiętam jego imię i tyle.

W przypadku Agaty wcześniej naprawdę nie było takiej potrzeby. Moja latorośl miała tendencję do zmieniania chłopców jak rękawiczki, a pomyślcie, ile ona ma lat?! Co będzie, gdy dorośnie?!

Rozmyślenia przerwał mi Jaruś, skradając się do mojej sypialni i oferując kieliszek czerwonego wina. Chyba tylko głupia by z takiej oferty nie skorzystała, nie musiał więc długo mnie przekonywać.

Usiedliśmy więc w oranżerii, delektując się trunkiem i rozmawiając do pierwszej w nocy. Gdy butelka została praktycznie opróżniona, Jaruś wziął mnie na rękę i zaniósł do łóżka. Zasnęłam niemalże od razu. Obudziło mnie dopiero wstające słońce zaglądające do sypialni. Narzuciłam więc na siebie szlafrok i stanęłam w oknie jak zahipnotyzowana. Czy to możliwe, żebym pokochała Sosenki na nowo, mimo braku własnego mieszkania i pani z opieki społecznej, regularnie do nas zaglądającej?

Być może, ale wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w dzieciństwie, gdy naszym szaleństwom tutaj nie było końca. Jakoś tak dojrzałam. Pierwszy raz od dawna poczułam, że mam dom dla siebie, rodziny, a przede wszystkim bezpieczny kąt, z którego nikt mnie nie wyrzuci, mimo humorów matki. A wszystko to z rozwodem w tle i w otoczeniu zwariowanej wiejskiej społeczności. Czy mogłoby być lepiej? I czy to przypadkiem nie za sprawą Jarusia?

**Życie** z Jarusiem u boku w ciągu następnych kilku dni okazało się dużo łatwiejsze i bardziej poręczne niż życie z Jarusiem, który mieszka w sąsiedniej wsi. Przede wszystkim nie trzeba do niego dzwonić zawsze wtedy, kiedy coś się dzieje, bo stale jest na miejscu. Właściwie odkąd Jaruś mieszka u nas, nie ma nawet powodu, żeby po niego dzwonić, bo towarzystwo nieco się uspokoiło.

Młodzież żyje we własnym świecie. Agatka znika wieczorami nie wiadomo gdzie.

Podejrzewam skrycie, że powodem jej późnych spacerów jest jakiś amant, ale jak na razie nic mi o tym nie wiadomo. Magda z Łukaszem właściwie wcale nie wychodzą dalej niż do ogrodu, co jest mi w sumie na rękę, bo Magdzinych krągłości nie da się już niestety niczym wyjaśnić. Zegar tyka!

Bliźniaki są nadzwyczaj spokojne, widocznie służy im wiejskie powietrze, a Katarzyna zaprzyjaźniła się z Adelą i nie mam już wyrzutów sumienia, że ta ostatnia czuje się samotna.

Ja natomiast mam więcej czasu i na pisanie, co cieszy mnie niezmiernie, i dla Jarusia, co z kolei cieszy niezmiernie i mnie, i jego.

Rodzice telefonują coraz rzadziej, bo chcą nacieszyć się Międzyzdrojami jak najwięcej. Nieuchronnie zbliża się ich powrót, nad czym boleją oboje. Ich dom zamienił się teraz niemalże w pensjonat i to dzięki ich córce. Najważniejszy jest jednak fakt, iż Michalina wróciła z urlopu i dom znów jako tako funkcjonuje.

Siedzimy więc sobie z Jarusiem na ławeczce w ogrodzie i popijamy oranżadę, zerkając na szalejące w baseniku bliźniaki, gdy siadają przed nami Katarzyna z Adelą.

– Iwonka, musimy porozmawiać.

Nachylałam się więc do dziewczyn, zostawiając lekko w tyle niezadowolonego Jarusia. Coraz ciężiej mi się od niego odrywać...

– Słucham.

– Już długo siedzimy ci na głowie.

– Obie – dodaje Adela.

– I tak być nie może – kontynuuje Kaśka. – Wracamy do miasta.

– Obie?

– Obie, bo zabieram Adelę ze sobą. Myśmy się tu u ciebie zaprzyjaźniły, mój remont dobiega końca, a Adela nie chce ci robić kłopotu, bo przecież masz swoje, więc podjęliśmy decyzję. Jutro wracamy nocnym!

– Tak po prostu?



– No tłumaczę ci, że nie tak po prostu. Remont dobiega już końca, praca czeka. Nie każdy może pozwolić sobie na takie wakacje jak ty tutaj. Poza tym mąż tęskni i... sama rozumiesz. Pora wracać i już.

Pochmurnieję trochę. Smutno mi bez nich będzie. Ale cóż, życie. Trzeba będzie obu pomóc w pakowaniu, zwłaszcza tej matce brata czy siostry moich dzieci (gubię się sama w tych naszych komplikacjach rodzinnych). A tak mi z nimi dobrze. I pogadać z kim. I bliźniakami miał się kto zająć... No cóż. Ostatnio i tak zrobiło się tu bardzo spokojnie, więc nie dziwię się, że uznały, że mogą mnie zostawić... Chyba łezka mi się w oku zakręci!

Idę więc spać w marnym nastroju u boku Jarusia, który sypia u mnie regularnie. I bardzo dobrze, że sypia, bo mam chociaż na kogo popatrzeć, jak się przebudzę, a nie wbijać wzrok w ścianę. Nie mogę zasnąć. Mam jakieś złe przeczucia i już sama nie wiem, czego one dotyczą. Zasnąć pomaga mi Jaruś, który przygarnia mnie tym swoim męskim ramieniem. Lubię jak pachnie... Liczę: jedna owca, druga owca, trzecia owca...

Obudziłam się koło dziesiątej. Jaruś stał sobie w oknie w tych swoich kraciastych bokserkach, w których miał nawyk sypiać. Uśmiechnął się do mnie, gdy tylko otworzyłam oczy, a ja nieprzytomnie odwzajemniłam mu ten uśmiech. Czy wspominałam już, jakie on ma cudowne, białe zęby?

Po chwili poufałości z Jariuszem zesłaliśmy na dół na śniadanie i nie uwierzycie, co nam przerwało. Dzwonek do drzwi! I to o tej porze?!

– Otworzę – zadeklarowała się Agata, której ostatnio humor poprawił się i to znacznie.

– Pójdę z Agą – dorzuciła Magda i odeszła od stołu.

– Jak Magda, to i ja – kto? No nie kto inny jak Łukaszek, który zgłupiał na punkcie Magdy i dziecka totalnie.

Reszta została przy stole.

– Mamo, chyba mamy problem... – ogłosiła Agatka, wracając do jadalni. Jakaś taka blada?

– Jak problem, to ja to załatwię.

– W bokserkach? – zdążyłam zapytać, a Jaruś wyrwał do przedpokoju, nie zwracając uwagi na strój.

– To chyba nie był najlepszy pomysł – wydusiła Agatka. – Mamo, idź tam lepiej, tylko trochę się zakryj...

– Dziecko drogie, ducha zobaczyłaś?

– Tatę...

SŁUCHAM?!

– Żartujesz.

– No właśnie niezupełnie... – dosłyszałam już zza pleców, bo nawet w powietrzu czuć było awanturę.

– Iwona, co to za facet? – zapytał Jaruś, kiedy tylko zjawiłam się w pokoju. Zignorowałam jego pytanie.

– Co ty tu robisz?

– Przyjechałem do dzieci – rzucił z głupawym uśmieszkiem. – No chyba nie możesz zabronić mi się z nimi widywać. A gdzie dzień dobry kochanie, jak się masz? Nie przywitasz się...

– Daruj sobie – posłałam mu żmijowate spojrzenie.

– Tataaa! – wykrzyknęła Antonina, która właśnie zesła z Katarzyną na dół.

– Widzisz, maluchy tęsknią za ojcem. Pomyślałem, że zrobię im tę przyjemność...

– Nie wierzę.

– A poza tym, wiesz, doszły mnie plotki, że jest u ciebie ktoś dla mnie ważny...

– No tak, do dzieci byś nie przyjechał...

– To jak, jest czy nie ma?

– NIE MA! – wrzasnęła Adela ze schodów.

– No proszę. Ją też tutaj ściągnęłaś, co? Jak zemsta, to zemsta?

– Jaka zemsta, co ty gadasz? Adela sama tutaj przyjechała, bo raczyłeś wyrzucić z domu pannę z dzieckiem! I sterroryzować ją do tego stopnia, że w swoim własnym mieszkaniu nie mogła

wytrzymać.

– Nie twoja sprawa – warknął Grzegorz.

– A właśnie, że mamy! – stanął w mojej obronie Łukasz.

– I ty, synku, przeciwko mnie? – spojrzał ironicznie na Łukasza. – Adela ubieraj się, wychodzimy.

– Nie masz prawa!

– Ubieraj się, mówię.

– Nigdzie z tobą nie pójde.

– No, jeszcze zobaczymy! – Grzegorz zrobił krok do przodu, co spotkało się z nieprzychylną reakcją zarówno Łukasza, jak i Jarka.

– Nie radzę – powiedział przez zęby Jaruś.

– A to kto? Już sobie jakiegoś znalazłaś? Nie myślałem, że tak szybko zapomnisz po tych wszystkich latach...

– Zamknij się! – wrzasnęłam na niego.

– Agata, dzwoń na policję – polecił Jaruś. – Ten pan wtargnął na posesję mimo woli właściciela.

– Nie widzę tu właściciela – zachnął się Grzegorz.

– Jeszcze słowo, a... – Jaruś ruszył ku niemu z bojową miną.

– A co? – Grzegorz widocznie postanowił zgrywać chojraka i prężnie wypiął swoją marną pierś.

No jeszcze mi się pobiją!

Na szczęście Jaruś pomyślał, zanim bezmyślnie dał mu w twarz. Jednak lata w policji nauczyły go powściągliwości. Cofnął się więc od Grzegorza, który wygrażał się aż do przyjazdu policji i otoczył mnie opiekuńczym ramieniem.

Policja przyjechała radiowozem pod nasz dom kilka minut po telefonie. Dwóch panów w mundurach dostojnie wysiadło z auta i dołączyli do nas, od razu pytając, co się stało.

– Jarek, ty znowu tutaj? – zdziwił się ten sam policjant, który był u nas na rzekomym włamaniu z Łukaszką w roli głównej.

– Tak wyszło. – Jaruś się uśmiechnął.

– Więc o co chodzi? – zapytał jeden z policjantów, kiwając do mnie głową.

– Ten pan wtargnął do naszego domu bez zaproszenia – wytłumaczyłam policjantowi.

– Kim pan jest dla tej pani? – zwrócił się do Grzegorza.

– Byłam mężem – odpowiedziałam mu trochę nieproszona, ale jak wiadomo, język mam niewyparzony.

– Aktualnym mężem! – oburzył się Grzegorz.

– Jesteśmy w trakcie rozwodu – wyjaśniłam skołowanym policjantowi.

– Rozumiem, że nie są państwo na pokojowej ścieżce – pokiwał ze zrozumieniem głową.

– W rzeczy samej. Chyba że nasyłanie pomocy społecznej i groźby przez Internet uzna pan za spokój! – rzuciłam Grzegorzowi pełne nienawiści spojrzenie.

– I nie chce pani, aby pan przebywał na terenie jej posesji?

– Nie chcę – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– No to w czym problem, panie kolego? – zwrócił się do Grzegorza, któremu mina nieco zrzędała.

– Ale ja przyjechałem do dzieci. Nie możecie mi zabronić się z nimi widywać! – zaczął protestować. Bo to przecież one są dla niego najważniejsze! Już w to wierzę!

– Rozumiem, że mają państwo oboje pełne prawa rodzicielskie? – zapytał policjant w odpowiedzi na zaczepkę Grzegorza.

– Jak na razie tak...

– Niech go pan nie słucha – wtrąciła Adela. – Wcale nie przyjechał po dzieci, tylko po mnie.

– Po panią? – Policjant się zdziwił, najwidoczniej mało z tego wszystkiego rozumiejąc.

– Tak – potwierdziła sucho Adela.

– Kim pani jest?

– Na imię mi Adela. Jestem w ciąży z tym panem. Jakiś miesiąc temu pobił mnie i wyrzucił z domu, a ja głupia i naiwna nie zgłosiłam tego na policję, tylko od razu przyjechałam do Iwonki... Iwona, przepraszam cię... masz przeze mnie teraz problem – dodała, zwracając się do mnie ze łzami w oczach.

– Daj spokój, już ci mówiłam, że dla mnie to nie problem. – Otoczyłam Adelę ramieniem.

– Jakie to wzruszające... – wtrącił Grzegorz i chyba nie spodobało się to policjantowi, bo zwrócił się do niego raczej niegrzecznie:

– Słuchaj pan. Albo wyjdiesz stąd po dobroci, albo ja cię stąd wyprowadzę, bo te panie najwidoczniej nie życzą sobie twojego towarzystwa.

– A dzieci?

– Prawo stoi po stronie matki! Wyjdzie pan czy pana wyprowadzić?!

– Dobra, dobra. Wyjdę. To znaczy, opuścę teren posesji.

– Poczekamy – dodał drugi policjant, który do tej pory stał cicho.

– Dzięki – szepnął do niego Jaruś, który czuwał nad całą sytuacją.

Antonina z trudem została oderwana od ojca, Grzegorz, wyrażając się, został przez panów policjantów z domu wyprowadzony, a nawet wyprowadzony za bramę. Jeśli ją przekroczy, spowoduje tym samym natychmiastowe pojawienie się panów policjantów. Adelę uspokoiła Katarzyna za pomocą meliski, a mnie Jaruś. Potem zadzwonił do pracy, wytłumaczył, w jakiej znalazł się sytuacji, i dostał wolne. Stwierdził, że ktoś musi czuwać nad naszym bezpieczeństwem i nie może nas zostawić, za co byłam mu naprawdę wdzięczna. Grzegorz tymczasem jak stanął pod bramą, tak pod nią stał, czym działał na nerwy wszystkim domownikom.

Tylko Michalina nie do końca wiedziała, o co chodzi. Czując jednak, że lepiej nie drażnić tematu, częstowała wszystkich to szarlotką, to melisą na uspokojenie i zamiast zająć się domem, zabrała na tył ogrodu bliźniaki, żeby dać wszystkim ochłonąć.

– W porządku? – zapytał Jaruś, wchodząc do sypialni, w której zadekowałam się na dobre, ocierając łzy. Wizyta bawidamka wyprowadziła mnie z równowagi.

– Jasne – odpowiedziałam, siadając na łóżku. Jaruś usiadł obok i otoczył mnie ramieniem.

– Jak Adela?

– Śpi. Katarzyna jej pilnuje. Będą chyba musiały odłożyć wyjazd, bo tamten jak przystanął we wjeździe, tak w nim stoi. Jeszcze gotów za nimi lecieć 60 kilometrów na stację.

– To dobrze. Lubię, jak tu są.

– Też to lubię. I lubię, jak ty jesteś – powiedziałam, a głos załamał mi się i wybuchnęłam krokodylimi łzami.

– Hej, co to za łzy? – Jaruś przytulił mnie mocniej.

– Mam chyba prawo trochę popłakać... – pociągnięcie nosem.

– A gdzie twardzielka, którą znam?

– W takich sytuacjach nie jestem twarda. Chcę już tego rozwodu...

– Myślę, że w tej sytuacji powinniśmy zadzwonić do pana Staszka? Może da się wszystko przyspieszyć?

– Może powinniśmy. Ale wybacz, teraz zupełnie nie mam do tego głowy...

– Rozumiem.

– A co z dziećmi? Jak one sobie radzą?

– Małuchy, nieświadome niczego, szaleją na dworze z Michaliną.

– To dobrze.

– A reszta... chyba stanęła po twojej stronie, bo zamknęli się u Agaty w pokoju i słychać tylko, jak padają stamtąd nie zawsze cenzurowane określenia na twojego byłego męża.

– Nawet tak o nim nie mów.

– Przepraszam... – Jaruś cmoknął mnie w czołko. I chyba siedział ze mną, dopóki nie zasnęłam, bo zasnęłam, ale śniły mi się straszne głupoty...

Kiedy wstałam, robiło się już ciemno, a domownicy rozprawiali w najlepsze, stojąc w oknie.

– Chodź mamu, zobacz co ON zrobił... – rzuciła Agatka, kiedy tylko zesłam na dół.

– Namiot rozbił na tym polu naprzeciwno. Będzie tu nocował?

– Gdzie Jarek? – zapytałam, nie widząc go przy oknie. Pomysły Grzegorza nie obchodziły mnie za bardzo. Niech śpi, gdzie mu się podoba.

– Poszedł usnąć bliźniaki, bo Michalinie ciśnienie skoczyło od tych zabaw, wzięła jakieś proszki i poszła spać.

– To może do niej zajrzę?

– Nie trzeba – odpowiedziała mi Magda. – Już zaglądałam. Pani Michalina śpi w najlepsze. Kiedy te dzieci zrobiły się tak odpowiedzialne? Taka jestem z nich dumna...

– Dobra mamus – powiedział Łukasz. – Idziemy spać. Magda jest padnięta, zresztą my z Agatą też.

– A tak w ogóle, to pamiętaj, że jesteśmy z tobą – dodała Agata, ściskając mnie za ramię.

Cofam wszystkie złe słowa, które na nich powiedziałam! Kochane te moje dzieciaki. Chyba będę musiała w nagrodę jakoś im ten stres zrekompensować. No, ale w każdym razie nie teraz. Czuję się jak na kacu...

I ten Jarus, który zajął się bliźniakami, co wcale nie jest przecież łatwe. Myśli o wszystkim... I tak dzielnie stanął w naszej obronie. Ojej... skąd oni się wszyscy wzięli?

Uspokojona atmosferą w domu, wróciłam do sypialni, w której po pewnym czasie dołączył do mnie Jarus i siedział ze mną, dopóki nie poszłam spać.

– **Babcia!** Dziadek! – Agata rozbudziłaby tymi swoimi piskami cały dom!

Zaraz. Rodzice wrócili? Nakrywając się szlafrokiem, zesłam na dół.

– Kochani... – rzuciłam się, by ich ścisnąć.

– Tęskniliśmy – odrzekła mama.

– Też tęskniliśmy – dołączył się Łukasz.

– Babaaaa! – krzychał Antoś już ze schodów. No proszę. Jak ja wracam do domu, to tak się nie cieszą.

– Chodźcie, chodźcie. Mamy prezenty... – rzucił hasło tatuś, wchodząc do domu.

– Cześć Iwonko – cmoknął mnie w policzek. – Co ty taka niewyspana. Stało się coś?

– Można tak powiedzieć...

– No, ale opowiecie nam później, bo teraz jesteśmy strasznie padnięci. Tyle się jedzie z tych Międzyzdrojów, nie macie pojęcia.

– No to siadajcie i opowiadajcie. Jak było? Jak pogoda, znajomi?

– Super, super było kochani! Następnym razem to musicie z nami jechać. A ileśmy się z ojcem naspacerowali kochani, no nie macie pojęcia. A tamtejsze powietrze... od razu czuć, że inne, zdrowsze. Po prostu wspaniałe wczasy, wspaniałe!

– To cieszę się, że tak jesteście zadowoleni.

– A co u was perełki? Spokój, jak nas nie było?

Nie będę przecież opowiadać o tym, co tu się wyprawiało, bo już więcej w życiu nigdzie nie wyjadą, tylko będą nas pilnować! Jak znam moją matkę, to gotowa uwięzić całą moją rodzinę w jakiejś magicznej wieży bez drzwi. Chyba za dużo ostatnio oglądam z dziećmi bajek...

– Spokój, spokój.

– Radziliście sobie bez Michaliny? – zapytała zatroskana mama. No przecież kiedy jej nie ma, to świat przestaje się kręcić, a my wszyscy stajemy na głowach!

– Jakoś poszło. Tyle kobiet w domu, to co sobie miałyśmy nie poradzić – powiedziałam jej dumnie.

– No, to najważniejsze... Jak ja się za wami stęskniłam... – Mama nie przestawała głaskać biednych bliźniaków, które na biedne wcale nie wyglądały, nie wiem, skąd wziął mi się ten przymiotnik! Bliźniaki były raczej zachwycone, bo prezenty, którymi dziadkowie ich obdarowali, wyglądały na okazałe...

– Iwona, a co to za namiot tam stoi na polu Kwaśniaka? Centralnie w nasz wjazd. Mało na toto nie najechałem! – zapytał ojciec, stawiając kolejne walizki.

– To tatuś! – krzyknął Antoś.

– KTO?

– Grzegorz. Zadzwoń tam po interwencji policji... – powiedziałam jej, chcąc uniknąć niepotrzebnych tłumaczeń dzieci.

– Matko kochana, jakiej interwencji? – przejęła się mamusia.

– No już ja mu pokażę. Halina, gdzie jest siekiera? – uniósł się tatuś, a z tatusem jak się uniesie, to nie ma żartów. Już sama nie wiedziałam, co robić. Przecież on zrobi mu krzywdę! Cham jest, nie powiem... Znaczy, Grzegorz, a nie tatuś, ale żeby go zaraz siekiera?

– Mamo, łap tatę, bo będzie nieszczęście...

Ale chyba było za późno, bo tatuś wyrwał do garażu, złapał siekierę i ruszył przez podjazd w zawrotnym tempie. A za nim mama, ja, Adela, Katarzyna, dzieciaki, a na końcu Jarus, którego widać obudziliśmy. Tatuś działał jak w amoku. Pruł prosto na namiot Grzegorza, który spał sobie zapewne niczego nieświadomy.

– Zabiję go, no jak nic tego drania zabiję! Nie dość, że mi rodzinę z chałupy wyrzuca, dziewczynę bałamuci, to jeszcze ma czelność tu przyjeżdżać! Jak go urządę, to nie będzie czego zbierać!

– Henryk, zaczekaj!

– Nic nie będę czekać. Zabiję gnoja!

Grzegorza chyba obudziły krzyki i nasza przedziwna procesja za ojcem (którą zdecydowanie można nazwać żałobną, bo zanosilo się na awanturę stulecia), gdyż wyrwał z namiotu i zaczął biec przed siebie ile sił w nogach. Mój tatuś, który w szale nie widział nic poza namiotem, napadł na niego z siekierą, to znaczy na namiot, bo Grzegorz uciekł i już za chwilę w powietrzu fruwały kolorowe strzępy materiału.

– Gdzie on jest? Zabiję go. Dawajcie go tutaj! – krzyczał tatuś, operując siekierą.

– Matko kochana, Iwona zrób coś, bo jak nic już ma stan przedzawałowy. Z jego ciśnieniem... – płakała matka, patrząc na ojca furiata.

– Mamo, ale co ja poradzę...

– Cokolwiek Iwonka, cokolwiek... Proszę, ratuj ojca!

Ojca to wcale nie trzeba było ratować, raczej samochód Grzegorza, bo jak do niego się tatuś dorwie, to z długów do końca życia nie wyjdziemy! No, ale na szczęście tatuś wyładował się na namiocie ku uldze wszystkich zgromadzonych. Ciśnienie rzeczywiście mu skoczyło, więc procesyjnie odprowadziliśmy go do domu, gdzie przespał większą część popołudnia w fotelu, pojękując cicho, że on gnoja zabije!

Grzegorz natomiast wrócił po rzeczy dopiero wieczorem, zebrał wszystko i czym prędzej wsiadł do samochodu i odjechał, najwidoczniej bojąc się mojego nieobliczalnego tatusia, który, tak na marginesie, nigdy Grzegorza nie lubił. Nam natomiast poprawiły się humory, które po wczorajszym wieczorze mieliśmy marne. Jak to dobrze, kiedy cała rodzinka jest w komplecie. Od razu robi się weselej...

– **Wychodzę!** – krzyknęłam z przedpokoju jednego z ostatnich sierpniowych poranków, po czym bez zastanowienia wciągnęłam na nogi czarne pantofelki, świeżo zakupione w pobliskim centrum handlowym.

Chwyciłam stojącą na komódce czarną torebkę i ostatni raz kontrolnie spojrzałam w lustro. Złociste włosy okalały moją buzię, a w ich gąszczu tonęły czarne okulary – całkiem względne podróbki Diora, które z kolei parę dni temu kupiłam na bazarku w sąsiedniej wsi.

– Wszystko byłoby fajnie, gdyby nie te całe odrosty – westchnęłam, patrząc na swoje odbicie. No cóż, jeśli dziś uda się wszystko załatwić, w najbliższym czasie stać mnie będzie na farbowanie.

Chociaż nie, na fryzjera to z pewnością i tak stać mnie nie będzie. Zdzierają w okolicy jak mogą, kto to słyszał, żeby brać za głupie farbowanie tyle kasy! Nie zostaje nic innego jak tylko kupić farbę w drogerii i poprosić matkę o umalowanie. A potem jak zwykle wypijemy sobie po kieliszku czerwonego wina i zatracimy poczucie czasu, pogrążając się w ploteczkach. A to że

Hubertowa znów w ciąży, chociaż w jej wieku to już nie wypada, albo Henia z koła gospodyń wiejskich się znów rządzi, chociaż szefową jest Halina i nie ma co gadać. A włosy jak zawsze wyjdą za bardzo blade albo niebieskie. Cóż, mimo wszystko, ta druga opcja, oszczędniejsza, i tak wydała się dużo bardziej korzystna.

– Gotowa jesteś? – zapytałam Antoninę, która poszła jeszcze do pokoju po ulubioną lalkę. Tak się złożyło, że nie miał jej dziś kto zabrać do dentysty. Jarus w pracy, matka miała migrenę, a ojca prosić nie warto, bo jemu to muchę szkoda by było pod opieką zostawić. Na rozmowę o pracę musiałam więc zabrać dziecko.

Po prostu świetnie! Dyrektor szkoły z pewnością się ucieszy. Ale zaraz, czy nie ma to też swoich plusów? Może wtedy wiejski amant przystopuje ze swoimi zalotami. O tak. Dziecko to dobry pomysł w tej sytuacji!

Dobrze, że Antonina nie była w takich sytuacjach dzieckiem bardzo problematycznym, bo inaczej wyszłaby z tego niezła katastrofa. Choć w domu szalała ile wlezie i niemalże wchodziła na głowę domownikom, trzeba przyznać, że udało mi się wyprowadzić ją na ludzi, jeśli chodzi o spotkania towarzyskie. Zostawię ją chwilę w aucie albo na korytarzu, załatwi co trzeba i podjedzie z dzieckiem do dentysty. Chociaż może w aucie to nie, bo jeszcze mnie oskarżą o to, że chcę dziecko zadusić. Ostatnio trąbią o tym w telewizji, że jakieś zgony...

Oczywiście dzięki Antoninie wyjdę na kobietę jak najbardziej zorganizowaną i odpowiedzialną, radzącą sobie z godzeniem obowiązków domowych i pracy, a kto nie chciałby zatrudnić kogoś takiego?

– Tak mamusiu – odpowiedziała grzecznie Tośka, ukazując się w drzwiach. Mój wzrok od razu padł na umorusaną czekoladą buzię i zaplamioną różową sukienkę.

– Tocha, na litość boską... – wymamrotałam, rozkładając ręce. – Idź do łazienki, umyj buzię, natychmiast! – dodałam złowrogim tonem i posłałam córeczce pełne rozczarowania spojrzenie.

Mała uśmiechnęła się niewinnie w odpowiedzi, a zza drzwi wychynęła brudna twarz Antosia. Skwitowałam to jedynie złowrogim spojrzeniem i postanowiłam jednak zachować święty spokój. Ruszyłam do pokoju małej po czystą sukienkę. Niech Agata umyje tego brudasę, zanim załatwi kanapę w salonie!

– Chodź tu do mnie – powiedziałam, gdy po chwili znalazła się razem z czystą, cytrynową sukienką w łazience, w której Antonina posłusznie kończyła wycierać buzię w ręcznik. Dość sprawnie przebrałam wymyte, choć ociągające się dziecko i zrobiłam krok ku pralce, żeby od razu wrzucić do niej sukienkę. Pech chciał, że pod stopą wyczułam coś mokrego i miękkiego. TYLKO NIE TO. NIE DZISIAJ!

– Mamusiu, chyba wdepnęłaś w kocią kupkę! – powiedziała cichutko i spokojnie Tosia, jak gdyby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. Widocznie Felka ma znowu problemy z żołądkiem.

– Widzę...

Szybkim ruchem ściągnęłam pokryte kocimi odchodami nowe pantofelki i wrzuciłam je do wanny. Pędem ruszyłam do przedpokoju i wygrzebałam z szafki stare pantofle. No trudno. Najwyżej wyjdę na ubogą matkę, która nawet na rozmowę o pracę przychodzi w przetartych butach, w dodatku pozbawionych fleków.

– Antonina! – krzyknęłam, gdy stare pantofle były już na nogach. – Tosia, pospiesz się! – powtórzyłam, gdy moje zawołanie zostało totalnie zignorowane przez córkę. Przy czwórce dzieci trochę już do tego przywykłam, ale ich udawanie głuchych jak pień ostatnio jakoś bardziej mnie irytowało. Może to początki menopauzy czy coś? Nie wiem, właściwie to ostatnio mam uderzenia gorąca, ale żeby to w moim wieku?

– Już mam, już jestem – powiedziała Tosia, stając za moimi plecami.

Kątem oka dostrzegłam wielką brązową plamę na czystej sukience córki. COŚ TY JUŻ Z NIĄ ZROBIŁA?!?! Tak, kolejny raz zakląłam w myślach, po czym posłałam małej najbardziej złowrogie spojrzenie, na jakie mogłam się zdobyć.

– Przecież przed chwilą założyłam ci czystą sukienkę. Co ty już z nią zrobiłaś?! – rzuciłam

do niej, może nieco za głośno, bo mała spojrzała na mnie przerażona. Z pokoju znów wychylił się ubrudzony Antoś. Zrobiło mi się słabo, gdy zobaczyłam brudne od czekolady ręce na białej futrynie. Michalina nas zabije. Gorzej. Zrobi to moja matka!

– Chciałam posprzątać tę kupę, żeby nikt w nią już nie wdepnął... Zawsze mówiłaś, że trzeba sprzątać, więc chciałam cię wyręczyć mamo, ty tak się dziś spieszysz. Nie miałabyś na to czasu, więc pomyślałam, że zrobię to za ciebie. Jesteś mi wdzięczna? – Antonina zamrugła jasnymi rzęsami, a jej oczka rozpierała duma.

– Bardzo kochanie... – Cóż, w tej sytuacji nie miałam serca krzyżeć na tak pomocne dziecko. – Ale teraz chodź, musimy się przebrać...

– Agata! – krzyknęłam jeszcze w przestrzeń, poprawiając kosmyk włosów, który opadł mi na spoconą z nerwów twarz, nad którą tyle czasu dziś pracowałam. – Umyj Antosia! Cały salon jest już w czekoladzie. Babcia się wkurzy!

Po kolejnej zmianie garderoby przez Tosię w końcu udało nam się wyjść na dwór. Kontrolny rzut oka na zegarek. Czterdzieści minut do rozmowy. Jest jeszcze czas. Zdążę.

Na podwórzu ojciec naprawiał moje nowe auto. Kupił mi je kilka dni temu, z czego jednak nie robiłam sensacji, ponieważ nie było się czym chwalić. Samochód był używany, stary, obdrapany a na dodatek kupiony za pieniądze rodziców. Sami widzicie. Nie było o czym mówić. Zresztą teraz też by nie było, gdyby nie to, że ojciec po raz setny kłął pochylony nad maską, grzebiąc coś i pojękując. Jego przyprószone siwizną włosy z dnia na dzień stawały się coraz rzadsze i rzadsze. Niedługo utworzy mu się na czole męska łysinka, a matka znów wpadnie w gadkę na temat tego, że to wszystko od wszechobecnych konserwantów. Iwonka natomiast przytaknie, bo matka zawsze ma rację! Władca Halina, o tak.

– Iwonka! – usłyszałam za sobą, kiedy tylko włożyłam kluczyk w stacyjkę samochodu ojca, który miał mi dziś ze względów technicznych pożyczyć.

– Tak? – odkrzyknęłam, odwracając się w stronę okna. Rozemocjonowana matka machała mi kraciastą, czerwoną ścierą.

– Kup mi trzy kilo karkówki, jak będziesz wracała!

– Trzy kilo? Na co ci aż tyle? – zdziwiłam się, odkrzykując niebezpiecznie wychylającej się z okna matce.

– Mówię przecież, że trzy. Coraz bardziej głucha jesteś! Kup też boczku. Ojciec nie ma co jeść na kolację, zrobiłabym mu skwarków!

– Kupię, kupię – mruknęłam pod nosem i zamknęłam drzwi pożyczonego od ojca auta.

Kątem oka dostrzegłam, jak matka wychyla się, by zerwać jakiś uschnięty listek ze stojącej na parapecie pelargonii. Serce zabiło mi mocniej, gdy matka na moment straciła równowagę i o mały włos nie wypadła z okna, dramatycznie krzycząc przy tym i łapiąc futrynę. Spojrzałam wyczekująco na ojca. Nawet nie drgnął. Tak to już jest w naszej rodzinie, że matka cuduje, a tata ze spokojem to znosi i na odwrót. Nie było sensu rozprawić nad szaleństwami matki. Za nią nawet najszybszy człowiek świata by nie nadążył!

Przez blond głowę przemknęła mi myśl, że o czymś zapomniałam. Ale zaraz, okulary są, torebka też. Kluczyk w stacyjce. Wszystko na miejscu. To tylko jakieś głupie przewrażliwienie. O. Albo stres? Niby to człowiek ma ten dyplom i umiejętności, a jednak niepewność jest, tak jak w sklepie, kiedy przechodzi się przez bariery, wiedząc, że nic się z półek nie wzięło, ale jest ta myśl, że może i zapika?!

Jak to miałam w zwyczaju, najpierw zapięłam pasy, a dopiero potem przekręciłam kluczyk w stacyjce. Nie mogę dziś się spóźnić, to wielki dzień, więc wolałam wyjechać dużo wcześniej. Rzuciłam okiem na zegarek. No, jest całkiem dobrze. Do godziny zero zostało jeszcze sporo czasu. Spokojnie kolejny raz przekręciłam więc kluczyk. Znów nic. Nawet warknięcia.

– Cholera! Co jest?! – zakląłam, ponawiając próbę. Nadal nic. – No pięknie! – rzuciłam głośniejsz niż poprzednio, po czym z całej siły walnęłam ręką w kierownicę. Zapiętkło.

Zła i załamana zarazem wysiadłam z samochodu.

– Tato! Twoje auto nie chce mi zapalić! – powiedziałam pretensjonalnym tonem do stojącego niedaleko ojca.

– Co? – zapytał starszy pan, nie podnosząc głowy znad maski samochodu, w którym grzebał.

– Nie chce mi zapalić!

– No jak ma zapalić, jak akumulator wyjęty! – odpowiedział ojciec jak gdyby nigdy nic.

– Tato, kurczę blade! Jak to akumulator wyjęty. Wiesz przecież, że dziś się spieszę. Trąbię ci o tym od tygodni!

– Co? – Moje słowa jak gdyby nie wywarły żadnego wrażenia na ojcu, który niestrudzenie majsterkował, z dłońmi umazanymi olejem.

– Tato, możesz to na chwilę odłożyć?

– Jasne, jasne. To co się stało? – powiedział, w końcu podnosząc wzrok znad maski.

Łaskawca!

– Włóż mi ten akumulator, bo się spóźnię i do końca życia będziesz miał na sumieniu moje bezrobocie! Mało ci ludu na utrzymaniu?!

– Już, już. Spokojnie kochanie. Idę. Na którą masz tę rozmowę?

– Za godzinę mam tę rozmowę! Tato, mówię do ciebie! Oddaj mi akumulator?

– Co?

– AKUMULATOR!!!

– Już, już córcia. Tylko ręce najpierw umyję...

Normalnie chyba we mnie zakipiało, a para buchnęła mi uszami. Trzasnęłam torebką o ziemię i ukucnęłam, chowając twarz w dłoniach. No zaraz się popłaczę! Jak Boga Kocham. Rozmażę te kreski i tyle z tego będzie! Stracha na wróble to nawet ślepy nie zatrudni!

Ojciec wrócił na podwórko za jakieś dziesięć minut. Widocznie produkował mydło, a wodę czerpał wiadrem ze studni, grzejąc ją potem, żeby była ciepła! W każdym razie ważne, że akumulator wróci na swoje miejsce i nerwy opadną. I z pewnością byłoby tak, gdyby nie fakt, że akumulator, choć wrócił na miejsce, był całkowicie rozładowany. Auto wydało z siebie tylko cichy warkot i majestatycznie zgasło, naigrywając się ze zrozpaczonej, nie wściekłej już, mnie.

– Nie no, to nie może być prawda! – wymamrotałam bliska łez. – Jak ja teraz tam pojedę?! – wbiłam błagalny wzrok w ojca, który tylko wzruszył ramionami.

– Chcesz, to ci rower zdejmę ze strychu.

– Rower? Tato, błagam! Rower? Mam jechać na rozmowę o pracę rowerem? To może konie mi zaprzęgniesz, dla wzmocnienia efektu.

– Jak chcesz, to na pieszo idź! Skoro mój rower ci nie odpowiada... – Ojciec udał oburzonego i odwrócił się na pięcie.

– Zdejmij ten rower – poddałam się i kolejny raz zakląłam pod nosem. Muszę z tym skończyć, bo jeszcze dzieci podłapią i na stałe przylgnie do nich miano źle wychowanych. To by było na tyle, jeśli chodzi o punktualność.

Po kilku minutach wyjeżdżałam z podwórka na czerwonym składaku ojca, znów przez głowę przeszła mi myśl, że o czymś zapomniałam. Może nie wyłączyłam żelazka albo gazu pod czajnikiem? Dumalam, przebierając szybko nogami. Ale gdyby coś, zawsze mogę przecież zadzwonić do matki albo Agaty. Ale czego mogłabym właściwie zapomnieć, skoro praktycznie wszystkim zajmuję się w tym domu Michalina?

– Matko kochana, Tosia! Nie wzięłam dziecka... – wyrwało mi się na głos i gwałtownie skręciłam kierownicą składaka, żeby zawrócić. W rowerze coś zatrzeszczało, zaskrzypiało i już za chwilę do przodu jechała sama kierownica. Ja natomiast majestatycznie leżałam na jezdni z dziwnie wygiętymi nogami razem z ramą i tylnym kółkiem. W rajstopach na kolanach powstały wspaniałe dziury!

– ZA CO?! – mój głośny krzyk przeszył okolicę, a siedzące niedaleko ptaki zerwały się i odfrunęły. Chyba chciały zejść z oczu komuś tak wściekłemu. I dobrze. Niech lecą i nie wracają!

Gdy obolała i zrezygnowana razem z pogniecionymi częściami roweru wróciłam na podwórko, dostrzegłam zadowolonego ojca, który wycierał ręce w przybrudzoną ścierkę. Na jego twarzy gościł dziwny uśmiešek.

– O córcia! – krzyknął na powitanie i z daleka pomachał ręką. – Dobrze, że jednak nie



pojechałaś na tym rowerze za daleko, bo naprawiłem swoje auto. Możesz pożyczyć. – Rzucił do mnie kluczyki. Klucze upadły na ziemię tuż pod moimi nogami, bo nie zamierzałam się ruszyć, aby je złapać. – Nie ma za co – błysnął swoimi białymi zębami i już go nie było. Przeniosłam więc wzrok w stronę niebieskiej, siedmioosobowej mazdy.

– Tak, też się cieszę – burknęłam, rzucając ramę roweru obok samochodu. Naprawdę musiałam się bardzo pilnować, żeby nie kopnąć jej ze złością. – TOCHA! DO AUTA! – ryknęłam ku siedzącej na huśtawce córce i rzuciłam okiem na jej sukienkę. Dzięki Bogu czysta. Odetchnęłam z ulgą. Może jeszcze zdążę, jeśli się pospieszę i dzisiejszego ranka nie będzie już więcej niespodzianek. Dyrektor może i kochliwy, ale gdy spóźnię się za bardzo, nawet miłość nie pomoże, a z pisania w Sosenkach z pewnością nie wyżyję. Najwyżej trochę schudniemy. Może to byłoby i dobre...

– Zapnij pasy, dobrze? – powiedziałam do uśmiechniętej Antoniny, która wpakowała się do fotelika i już po chwili razem z dzieckiem wyjechałam z podwórza. Do rozmowy o pracę zostało 10 minut.

– JAK JEDZIESZ BARANIE!! – krzyknęłam, naciskając klakson... NO DEBIL NO!!! I to w takim momencie!

**Do gabinetu** dyrektora wpadłam równo o czasie. Na szczęście trwały wakacje, więc budynek zdobiły puste korytarze. Zamiast rozwrzeszczanych dzieci, wśród których musiałam się w przeszłości naprawdę przepychać, bliska załamania nerwowego, gdy jeszcze w młodości byłam tu aplikować o pracę. Swoją drogą mogliby tu trochę wyremontować, bo farba odpada im razem z tynkiem.

O tak, doskonale pamiętam, jak w dzieciństwie starszy brat jednej z moich koleżanek, właściwie to całkiem przystojny swojego czasu, przez kilka godzin przekonywał nas zawzięcie, że tynk jest jadalny i dobrze robi na zęby. U nich był wtedy chyba remont i ściany obdarte z tapety straszyły dziurami i odłazącym tynkiem. Co prawda długo nas musiał przekonywać, ale gdy wieczorem zostaliśmy same, bo on przepadł na boisku, Wandzia nachyliła się do mnie i powiedziała, że właściwie to z tym tynkiem mogłybyśmy spróbować. Może by nam się ładniejsze zęby przydały, a to podobno działa tak, że jak wypadną, to robią się lepsze i mocniejsze. Och, a jakie są wtedy białe!

Co było robić? Może brat Wandzi by mnie nie przekonał, ale jak tu nie wierzyć swojej przyjaciółce? Wymknęłyśmy się więc na dwór z remontowanego domu i znalazłyśmy pod płótem jakieś nieduże patyczki. Trochę je pogryzłyśmy, żeby na końcach zrobiły się bardziej płaskie.

Gdy patyczki uległy nieco modyfikacji, zakradłyśmy się do salonu jeszcze raz i zaczęłyśmy się przy wybranej dziurze. Poczekałyśmy chwilę, aż tata Wandzi zniknie nam z zasięgu wzroku i w konspiracji zaczęłyśmy wpychać w dziurę swoje patyczki, wykruszając z niej tynk. Gdy nazbierałyśmy go już spory pojemniczek, co było zajęciem dość pracochłonnym, możecie mi wierzyć, schowałam go pod bluzkę i wybiegłyśmy z Wandzią na dwór. Ukryłyśmy się gdzieś w zaroślach pod płótem. Trochę pogryzły nas komary, ale była to najlepsza kryjówka, jaką wtedy miałyśmy. Nie chciałyśmy z nikim się dzielić cennym, upiększającym surowcem, który został przez nas zdobyty.

Wandzia popatrzyła na mnie porozumiewawczo, wyglądając przez gałęzie drzew i sprawdzając, czy nikt nie idzie. Było czysto i cicho jak makiem zasiał. Wyciągnęłam więc spod koszulki pudełeczko z tynkiem i postawiłam między nami, uważając, żeby nie uronić ani odrobineczki naszego środka upiększającego zęby.

– Zaczynamy? – zapytała niepewnie Wandzia, a na jej twarzy zagościł figlarny uśmieszek. Pamiętam do tej pory jej piegowaty nos i pyzate policzki, w których, gdy się śmiała, robiły się dołeczki. Wszyscy je chwalili, gdy przyjeżdżali do niej w odwiedzinach.

W odpowiedzi kiwnęłam jej porozumiewawczo głową. Ustaliłyśmy, że będziemy brały tynk w palce i wsypywały do buzi po kolei. Z racji tego, że tynk był Wandziny, ona miała prawo zjeść pierwsza. Wzięła więc trochę proszku w dwa palce i wsadziła do buzi. Zachrobotał jej między

zębami, gdy gryzła go, a potem przełknęła.

– I jak? – zapytałam, biorąc tynk w dwa palce.

– Da się zjeść, chociaż w smaku jest trochę mdły. I trochę chrupie, jakby się miało piasek między zębami. No ale poza tym całkiem niezły.

– No to jem! – powiedziałam i wsadziłam tynk do ust. Potem Wandzia i znów ja, a to wszystko aż do momentu, gdy na dnie pudełeczka nie zostało już nic. Najedzone, a przede wszystkim dumne z tego, że udało nam się tak perfekcyjnie zadbać o urodę, wyszliśmy z kryjówki i wróciliśmy do zabawy.

Do tej pory pamiętam, jak niedobrze na żołądku zrobiło mi się, kiedy tylko wróciłam od Wandzi do domu. Mama dawała mi wszystkie możliwe środki, a ja rzygałam jak kot. Pytała co jadłam, co piłam, a ja nie umiałam jej odpowiedzieć, bo co chwila zalewały mnie nowe fale mdłości. Jak się okazało chwilę potem, Wandzia też wymiotowała praktycznie odkąd tylko wyszłam. Widocznie tynk był dla nas zbyt ciężkostrawny, a wapno drażniło żołądek. Żadna z nas jednak się nie przyznała, że to wszystko spowodowane jest zabiegiem upiększającym, a nasze matki uznały to po prostu za wirusówkę i pognały do apteki po lepsze leki. O tak. To były piękne czasy. Właściwie to chyba nigdy matce się nie przyznałam, że przyczyną mojego wymiotowania był wtedy tynk, mający poprawiać zęby. Teraz moje zęby właściwie niczym nie różnią się od innych, ale kto wie, może bez tynku miałabym gorsze?

Dobra, dobra. Sama się z tego śmieję i właściwie nie wiem, dlaczego przypomniało mi się to, kiedy szłam na rozmowę o pracę i podpisanie umowy, bo właściwie tę pracę to już dostałam, gdy straszylam biednego dyrektora kuratorium. Ale z pewnością to wspomnienie sprawiło, że mój stres trochę opadł, a ja przestałam obsesyjnie myśleć o Antoninie, pozostawionej na czas rozmowy na placu zabaw przed szkołą razem z jakąś starszą panią, która przyszła akurat ze swoim wnukiem. Kochana starowinka. Tacy pomocni ludzie nie rodzą się wszędzie, prawda?

W dość rozluźnionym nastroju zapukałam więc do gabinetu dyrektora. Oczywiście w przedpokoju powitała mnie ta miła sekretarka, z którą ostatnio ucięłam sobie pogawędkę. Tym razem jednak nie zaproponowała mi kawy. Obwieściła tylko, że dyrektor czeka na mnie w swoim gabinecie wręcz z niecierpliwością, po czym wstała i osobiście otworzyła mi drzwi prowadzące do paszczy lwa. Jej spódniczka była niebezpiecznie krótka, ale jakoś mnie to nie zdziwiło. Poznałam już za nadto preferencje dyrektora, jeśli chodzi o współpracowników, a ściślej mówiąc – współpracownice.

– O, pani Iwonko! – zawołał dyrektor na mój widok, podnosząc się z obrotowego fotela, na którym siedział, przeglądając coś w swoim laptopie. – Miło panią widzieć! Zapraszam, zapraszam. Może kawy? – skakał przy mnie jak napalony gimnazjalista.

– Dzień dobry – odpowiedziałam mu z uśmiechem. Widać zrozumiał, że mu wybaczyłam jego poprzednie występki i chciał zachowywać się przyzwoicie, bo tym razem zachował stosowną odległość, jeśli chodzi o kontakt ze mną. Przyznam, że trochę mnie to rozbawiło. – Nie, nie. Za kawę dziękuję. Przejdźmy może od razu do rzeczy... – powiedziałam, odkładając torebkę na fotel stojący po drugiej stronie jego biurka.

– Naturalnie, jak pani sobie życzy. Proszę siadać. – Wskazał dłonią na fotel, jak gdybym to ja nie wiedziała sama, że właśnie mam tu usiąść!

– Przyniosłam CV i referencje od poprzednich pracowników... – wybełkotałam, grzebiąc w torebce, a po chwili wyciągnęłam z niej teczkę. Co prawda była różowa, a w centrum widniała podobizna Dzwoneczka, którym Antonina się teraz zachwyciła... Nie zważając na uśmiezek dyrektora, podałam mu teczkę.

– Widzę, że chce pani to załatwić formalnie – powiedział, wyciągając zawartość teczki i przeglądając dokumenty, które się w niej znajdowały.

Pokiwałam mu w odpowiedzi głową. Twierdząco, oczywiście.

– Ale to wszystko zbędne, bo sama pani wie, że spadła mi z nieba, a ja na to zastępstwo nikogo nie mam. Umowę przygotowałam razem z sekretarką. Wydaje mi się, że już bardziej korzystna dla pani być nie może – powiedział, podsuwając mi spięte, zadrukowane kartki. – Oczywiście umowa nie zakłada przedłużenia pracy po zastępstwie, ale prywatnie powiem pani, że

szukam nauczyciela wspomagającego do pierwszej klasy, która w tym roku zapowiada nam się wyjątkowo liczna. Po zastępstwie mogę więc pani zaoferować etat, jeśli oczywiście nie będzie to kolidowało z pani planami na przyszłość... – powiedział, a ja mało z fotela nie spadłam. Jednak ten człowiek znał się na rzeczy i nie owijał w bawełnę. Chyba głupia bym była, gdybym się na to nie zgodziła!

Nasze negocjacje trwały dobre dwadzieścia minut, a gdy umowa została podpisana ku uciesze obu stron, postanowiłam poruszyć z dyrektorem kwestię przepisania do szkoły moich dzieci. Oczywiście bliźniaki były jeszcze za małe, ale w skład Zespołu Szkół w Sosenkach, poza podstawówką i oddziałem przedszkolnym, gdzie miałam objąć posadę, wchodziły jeszcze naprawdę dobre gimnazjum i liceum, a Agatka, jako trzecioklasistka, i przede wszystkim Magda z Łukaszem potrzebowali gdzieś dokończyć edukację. Nie uśmiechało mi się wysyłać ich z powrotem do miasta. Mieli tam przyjaciół i całe swoje życie, ale co by ze mnie była za matka, gdybym dzieci wysłała na tułaczkę, a sama zażywała życia na wsi? W dodatku to świeże powietrze... Co ja bredzę. Oczywiście, że Jaruś. Teraz po prostu nie było nawet opcji, żebym go zostawiła i dzieci mają się z tym pogodzić. Poza tym Agata szybko się zaaklimatyzuje, Łukasz ma Magdę, Magda Łukasza, to im wystarczy! Będą też mieli dziecko, więc już naprawdę ludzi dookoła na ful!

Dyrektor nie miał problemu z załatwieniem miejsc w szkole mojej młodzieży, bo jak sam mówi, w wiejskich szkołach klasy nigdy nie są pełne, a oni cieszą się z każdej duszyczki. Tak, dobrze to wiedziałam i bez jego zapewnień, dlatego nie miałam ku temu żadnych wątpliwości. Poza tym wiejskie szkoły są zdecydowanie lepsze od miejskich, nikt mi nie powie. Tu dziećmiakami nauczyciele się zajmują i traktują ich bardziej indywidualnie niż w tych zatłoczonych molochach. Dzieciakom przyda się trochę zainteresowania i większej dyscypliny.

Oczywiście nie poskapiłam moich refleksji dyrektorowi, do którego, po pierwszym słabym wrażeniu, jakie na mnie wywarł, zapalałam prawdziwą sympatią, bo okazał się facetem rzeczowym, który na pierwszym miejscu stawia dobro dzieciaków i szkoły, a takich ludzi to ze świecą szukać! Dyskutowaliśmy sobie więc w najlepsze, dopóki nie wytrącił nas z dyskusji wrzask dziecka i krzyki.

– Antonina! – powiedziałam niemrawo i zerwałam się z fotela.

– Kto? – zapytał dyrektor, którego wrzask widocznie też zaniepokoił, a nie do końca wiedział, skąd on może dobiegać.

– Moja córka. Zostawiłam ją na placu zabaw pod okiem jakiejś starszej pani! Na pewno coś sobie zrobiła. Ze starszymi ludźmi to nigdy nic nie wiadomo. A może to ta pani zasłabła?! – powiedziałam, mając przed oczami masę czarnych scenariuszy, na których moja córka spada z bujaczki, uderzając głową w kamień, krwawi i traci przytomność, oraz wiele innych, o których nie powinnam pisać, żeby was nie wystraszyć.

W odpowiedzi dyrektor ruszył ku drzwiom, a ja zaraz za nim. Trzeba ratować moje dziecko! Oczywiście zabrałam z gabinetu torebkę, bo wiadomo, zaufanie zaufaniem, ale sekretarki...

Pędziłam za dyrektorem przez szkolny gmach, przebijając swoimi posiniaczonymi po wypadku kolanami. Korytarze niosły stukot moich obcasów we wszystkie strony, dodając dramatyzmu całej sytuacji. Po prostu jak w horrorze!

Wybiegliśmy na dwór, pędząc w stronę placu zabaw. Już niemalże widziałam zwijającą się z bólu Tosię, nad którą znęca się jakiś dryblas z wytatuowaną twarzą, gdy nagle stanęła przede mną żywa Tosia. Co prawda stanąć to ona nie stanęła przede mną, tylko wlała na oponę, ustawioną w rzędzie innych opon, służącą za tor przeszkód. Darła się przy tym wniebogłosy a po policzkach spływały jej kryształowe łzy, wielkości grochu. Starsza pani patrzyła na mnie bezradnie.

– Mamooooo! – pisnęła na mój widok Antosia, ale nie ruszyła ku mnie.

– Tosia! – odpowiedziałam i podbiegłam do niej. Co prawda trochę powolnie, bo obcasy zakopywały mi się w trawie.

– Żaba! Tu jest żaba! – łkała Tosia, wskazując na coś ręką.

– Co jest kochanie? – Ciężko mi było zrozumieć, co mówi w tym jej bełkocie otoczonym pociąganiem nosa.

– Żaba wskoczyła mi na nogę! Zabierz ją stąd! – piszcziała Tosia, a ja w końcu znalazłam się

tuż przy niej i wzięłam na ręce.

– Już dobrze kochanie, jestem! – pocałowałam ją w mokry policzek, a ona przyłgnęła do mnie swoim małym, trzęsącym się ze strachu ciałkiem.

Tuląc ją, odwróciłam się w stronę dyrektora, stojącego niedaleko, który patrzył na mnie wyczekująco, bo niewiele z całej sytuacji rozumiał.

– Tosia boi się żab – powiedziałam do niego, głaszcząc wlepioną we mnie dziewczynkę. – Wskoczyła jej na nogę, dlatego cały ten pisk i płacz – wytłumaczyłam mu, lustrując jego twarz, na której momentalnie odmalowała się ulga.

– Przecież to nie do pomyślenia, żeby to mogło się zdarzyć u nas w szkole! – powiedział innym głosem i puścił mi oczko. Następnie podszedł do nas i udobruchał Antoninę, mówiąc jej, że on się z tą żabą rozliczy i nie ma się co bać. Jako rekompensatę szkód zaoferował nam lody, na co dziecko zgodziło się mimo rozpaczy, a na jej twarzy od razu odmalowała się ulga. Wiedziałam, że sprawa z dentystą jest w tym momencie przegrana, bo nie ma co narażać dziecka na kolejny stres w takim odstępie czasowym. I te lody... każda matka wie, że z czymś takim się nie wygra.

Mała otarła więc łzy swoją pulchną rączką i dała się nawet wziąć na ręce dyrektorowi, który, swoją drogą, ma świetne podejście do dzieci, naprawdę jestem pod wrażeniem! Ja podziękowałam wylewnie niewzruszonej całym zajściem starowince i powędrowałam do szkoły po torebkę, bo dyrektor uparł się i już po chwili prowadził nas do lodziarni mieszczącej się przy parku w Sosenkach. Ignorując moje upominania, że to ja powinnam zapłacić, zafundował mi i Tośce po obfitym pucharku kolorowych lodów z owocami. Oczywiście dziecko zaczęło piszczeć z zachwytu, gdy tylko zobaczyło swoją porcję i zaciągnęło nas siłą do ogródka, który lodziarnia urządziła dla klientów, a w którym nie brakowało atrakcji takich jak wata cukrowa (tak, tak, musiałam jej ją kupić) i dmuchana zjeżdżalnia dla dzieci.

Rekompensujące traumę Antoninie lody zamieniły się więc w moją pogawędkę z dyrektorem, podczas gdy dziecko szalało, biegając z nowo poznanymi koleżankami i piszcząc wniebogłosy.

– Cóż, powinnyśmy chyba się zbierać... – powiedziałam, gdy na mój telefon przysłała kolejna wiadomość od Agatki o treści: MAMO, GDZIE JESTEŚ.

– Tak, tak. Naturalnie – powiedział dyrektor, który, jak się okazało, miał na imię Krzyś. Całkiem chłopięco i uroczo, jak na kogoś, kto zarządza potężną (jak na wiejskie standardy, oczywiście) placówką.

– Dziękuję panu bardzo za lody i rozmowę i...

– Pani Iwonko, nie ma co dziękować. Zawoła pani małą i wracamy do szkoły. Ja mam jeszcze kilka papierków, a pani auto czeka na parkingu.

Posłałam mu w odpowiedzi wdzięczny uśmiech i zawołałam małą, której ciężko było się rozstać z innymi dziećmi. Płaczu uniknęłam tylko dzięki zapewnieniom, że jeszcze tu wrócimy, a dziewczynki też tu wtedy będą.

Spacer z dyrektorem do szkoły okazał się równie miły jak rozmowa, więc po zapakowaniu Tosi do mazdy ojca pożegnałam się z Krzysiem ciepło i wróciłam do domu, w którym, jak się można było spodziewać, czekała już na mnie matka.

– Masz karkówkę? – zapytała już w progu, kiedy nie zdążyłam nawet wejść do środka.

– Jaką karkówkę mam? – Staralam się stać spokojnie, choć czułam się jak przyłapano na złym uczynku dziecko.

– Po wsi się włóczyć z dyrektorem to masz czas, a matce mięsa kupić nie łaska, choć prosiłam...

Matko kochana, skąd ona to wszystko wie?! Przecież dopiero co zdążyłam do domu wrócić, a tu od progu... jej wywiad to chyba przez satelity mnie namierza, bo inaczej to ja nie wiem!

– Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć – odpowiedziałam stanowczo, choć spokojnie. Lwa się nie drażni, tym bardziej przed burzą, ale już po chwili zrozumiałam, że w jej oczach właśnie przyznałam się do jakiejś potwornej zbrodni.

– Jarusiowi w głowie miesza, a na boku już się puszcza! – podsumowała matka, zakładając rękę na rękę i miażdżąc mnie spojrzeniem.

Że kto się puszcza?!

– Z kwiatami pod nasz dom przychodzi, potem się z nim włóczył po wsi, udając rodzinę. Lody, uśmieški, pocałunki.

– Słucham?! – No tego już za wiele!

– Pół wsi już do mnie dzwoniło pytać, co między wami iskrzy!

– Mam nadzieję, że to prawdziwy pożar i dobrze się bawiłaś, plotkując na temat własnego dziecka! – odparowała jej, starając się zachować opanowanie.

– Ty mi tu nie pyskuj. Porozmawiamy o tym później. A teraz, zamiast się włóczyć, weź Antoniego i jedź z nim na pogotowie! – powiedziała, łaskawie wpuszczając mnie do przedpokoju. Nie zdążyłam zapytać, o co chodzi, bo odpowiedź już na mnie czekała.

– Cała twarz mu spuchła, nie mam pojęcia od czego! – powiedziała matka, wpychając mnie do salonu, w którym siedział na kanapie Antoś z czerwoną twarzą. – Chciałam Agatę z nim wysłać albo Łukasza, ale gdzieś przepadli. Ojca nie ma, a ja czekam na sąsiadkę i telefony z pretensjami odbieram! – nie omieszkała sobie odpuścić.

– Antek, co tobie? – zapytałam, łapiąc go w objęcia i już po chwili niosłam go do mazdy ojca. Na pogotowiu przyjęli nas bez kolejki.

– To musi być alergia – poinformował mnie wysoki lekarz pogotowia. – Czy syn jest na coś uczulony? – zapytał, nie odrywając wzroku od twarzy Antosia, która naprawdę wyglądała dość kiepsko.

Nie zdążyłam mu odpowiedzieć, bo rozdzwonił się mój telefon.

– Proszę odebrać – powiedział łaskawie lekarz, a ja posłusznie wyszłam na korytarz.

Dzwoniła Agatka, czego dowiedziałam się po chwili grzebania w torebce, która zdawała się po prostu nie mieć dna. Jak na złość!

– Mamo, mamo! – rozległ się zaaferowany głos Agaty. Jak jeszcze tej coś się dziś stało, to ja się chyba powieszę!

– Słucham?

– Babcia powiedziała mi co z Antosiem! To moja wina...

– Jak to? – przerwałam jej w pół zdania.

– Bo wiesz, znalazłyśmy z Magdą w Internecie taki przepis na domową maseczkę błotną. Stwierdziłyśmy, że można by sobie spróbować zrobić. No i zrobiłyśmy, jak ciebie nie było, a że napatoczył się Antek i nie dawał spokoju, to jemu też nałożyłyśmy.

– Nie rozumiem, jak to ma się do rzeczy? Co było w tej maseczce?!

– Miód... – wydusiła skruszona Agata po chwili.

– Agata, czyś ty na rozum upadła?! – powiedziałam głośno do telefonu i rozłączyłam się, nie dając jej się wytłumaczyć.

– Panie doktorze – powiedziałam, wchodząc do gabinetu, w którym lekarz nadal oglądał Antosia, żywo z nim o czymś dyskutując. – To jest alergia. Jest uczulony na miód, a jego siostra uraczyła go dziś błotną maseczką... – powiedziałam, a lekarz posłał mi pytające spojrzenie.

– Niech pan nie pyta – odrzekłam zrezygnowana.

Wyszłam od lekarza z receptą na silne leki antyalergiczne i zaleceniem, by następnym razem bardziej pilnować dziecka, gdy wiem, że ma alergię pokarmową. Jak gdybym kurczę tego nie wiedziała!

Nie rozumiem, dlaczego ludzie traktują blondynki z góry. Czy ja wyglądam na jakąś mniej inteligentną? No dobra, ciągle wizyty na pogotowiu właściwie mogą świadczyć przeciwko mnie... ale ja nic nie zrobiłam!

**Przy śniadaniu**, które wyjątkowo jadłam tego poranka wyłącznie w towarzystwie Katarzyny i Adeli, stwierdziłyśmy z dziewczynami, że należy nam się w końcu prawdziwy babski wypad do miasta. Ja to ja, ale one już dawno o sobie nie dbały i niemalże zupełnie skapciały mi na tej prowincji, co nie umknęło zarówno oczom moim, jak i ich. No bo ile to można nosić wygodne adidaski zamiast szpilek na zabójczym obcasie i workowate swetry zastępujące obcisłe sukienki

przed kolana? Ja rozumiem, może już wiek swój mamy, ale to nie znaczy, że mężczyznom nie możemy się podobać.

Zresztą kto tu mówi o mężczyznach? Same dla siebie powinnyśmy nieraz się wystroić i podbić swoje ego. W końcu nic kobiecie nie poprawia tak humoru, jak dobrze poczuć się we własnej skórze.

Po tych refleksjach wypowiedzianych głośno przez nas wszystkie, przerywanych wzdychaniem albo wybuchami śmiechu, zdecydowałyśmy, że nie ma co zwlekać i robimy sobie babskie popołudnie i wieczór. Wiecie, tak zwany shopping, następnie jakaś pizza w stylowej włoskiej restauracyjce i dobry film. Właściwie to może i dobrze się złożyło, że dzieciarnia spała, bo ktoś na pewno zgłosiłby się na doczepkę, słysząc o naszych popołudniowych planach. A tak mogłyśmy w ciszy, delektując się filiżanką gorącej kawy i francuskimi rogalikami, misternie ulepionymi wczorajszego wieczoru przez Michalinę, obgadać szczegóły naszego wspólnego wyjazdu.

Po przejrzeniu repertuaru kinowego na dzisiejszy wieczór, ku naszej radości dostrzegłyśmy, że do kin wchodziła akurat głośna babska komedia, w której to główna bohaterka zaczyna na nowo układać swoje życie, co tematycznie spodobało się i mnie, i Adeli, a Katarzyna za bardzo nie miała w tej sytuacji wyjścia i również musiała być na tak. Dałyśmy więc sobie chwilę na podmalowanie się i przemyślenie garderoby, po czym miałyśmy spotkać się przy drzwiach wyjściowych, wymykając się niepostrzeżenie, i nacieszyć się wolnością.

Przeglądając zawartość swojej szafy, zdecydowałam się na amarantową sukienkę idealnie przylegającą do mojej szczupłej niegdyś talii. No, może niegdyś lepiej w takich ubraniach wyglądałam, ale gdy dobrałam do niej delikatne dodatki, może ktoś dałby się nabrać na to, że wcale nie jestem matką czwórki dzieci, a do tego i babcia. No i rozwódką, jeśli już chcemy uściślać.

O umówionej porze zeszałam na dół i już ze schodów rzuciły mi się w oczy złote szpileczki Katarzyny i jej czarna sukienka. Przyznam, że ta to umiała się odwalić! Adela co prawda ze szpilek zrezygnowała i zdecydowała się na płaskie półbutki i stylowe spodnie z podwyższonym stanem. Właściwie to nie widać było po niej ciąży tak wyraźnie, jak po Madzi, ale rozumiałam jej wybór. Z podmalowanymi oczami i różem na policzkach i ona prezentowała się równie dobrze jak Katarzyna.

– No, no, Kaśka – nie mogłam odmówić sobie komentarza, gdy znalazłam się tuż przy nich.  
– Przyznam, że tych butów to naprawdę ci zazdroszczę. A jakie masz w nich nogi!

– Dzięki – Kasia uśmiechnęła się lekko. – Przyznam ci dyskretnie, że ładne to one są jak cholera, ale tak samo jak śliczne, tak i niewygodne. Zawsze kiedy je dłużej noszę, robią mi się odciski, a śliskie są po prostu niemożliwie. Co nie zmienia jednak faktu, że je uwielbiam. Buty marzenie! – powiedziała Katarzyna, ruszając do drzwi.

Razem z Adelą poszłyśmy tuż za nią i po przebrnięciu przez podjazd wpakowałyśmy się do auta. Tym razem nie było problemów z akumulatorem i udało nam się wymknąć z domu niepostrzeżenie, unikając płaczu i zgrzytów zębami bliźniaków oraz pretensjonalnych spojrzeń Agatki, bo Łukasz na zakupy raczej się nie pali. Może i dobrze.

Droga upłynęła nam na rozmowach o nowych kosmetykach wchodzących dopiero na rynek. Ja właściwie byłam bardziej do tyłu niż dziewczyny w tym temacie, ale również co jakiś czas wtrącałam swoje trzy grosze do dyskusji. Pod galerię zajechałyśmy właściwie dużo wcześniej niż zakładałyśmy, ale postanowiłyśmy dodatkowy czas, który nam wypadł, przeznaczyć na wydłużenie shoppingu.

Nawet nie wiecie, jaką radością było chodzenie po sklepach bez tego uporczywego „mamooo!” co pięć minut. Przez moment znów poczułam się jak studentka, a nie jak kura domowa poświęcająca się całkowicie prowadzeniu domu. Taki jeden wypad, a tyle może w kobiecie zmienić!

Chodząc od sklepu do sklepu z powiększającą się coraz bardziej ilością toreb w rękach, wpadłyśmy na uroczą blondyneczkę, która stanęła w mojej obronie podczas ostatniego spotkania koła gospodyń wiejskich, wtedy gdy zaczęła napastować mnie pomarańczowa.

– Iwonka! – machała do mnie już z daleka, gdy tylko ujrzała mnie wychodzącą ze sklepu.

Przyznam szczerze, że dawno nie spotkałam tak serdecznej osoby i z radością sama jej odmachalam, ruszając do niej niemalże biegiem.

– Miło cię widzieć Beatko, co tutaj robisz? – zapytałam, gdy już wycmokałyśmy się jak stare znajome.

– Wiesz, wakacje idą ku końcowi, zaczynam powoli rozglądać się za ubraniami do szkoły dla dzieciaków, bo we wrześniu same wydatki! – powiedziała, unosząc okazałą liczbę toreb, które trzymała już w dłoni.

– Doskonale cię rozumiem. Ja co prawda odwlekam to jak mogę, ale na samą myśl, że czekają mnie zakupy z dzieciarnią po prostu boli mnie głowa! – odpowiedziałam jej ze śmiechem.

Gawędziłyśmy sobie jeszcze przez chwilę, a nasza rozmowa stanęła na tym, że umówiłyśmy się w końcu konkretnie na wcześniej wspomnianą kolację. Beatka poinformowała, że Jaruś doskonale będzie wiedział, jak do nich trafić. Padło na piątkowy wieczór punkt osiemnasta. Taki grill w małym, kameralnym towarzystwie. Oczywiście w tym wypadku zobligowałam się do zrobienia sałatek, bo nie znoszę jeździć na takie imprezy z pustymi rękami. Beatka trochę się wzdrygała przed moim pomysłem, ale w końcu dała się przekonać. Pożegnałyśmy się więc wylewnie, ona poszła w swoją stronę, a ja wróciłam do czekającej niedaleko Katarzyny, która wraz z Adelą oglądała zawzięcie witrynę sklepu jubilerskiego.

– Wiecie co, dziewczyny, ja to muszę wyjść na papierosa – powiedziała Katarzyna, gdy obrzuciłyśmy wzrokiem chyba wszystkie zegarki, które sklep miał w ofercie. Tradycyjnie już stwierdziłyśmy, że w życiu na takie cacka nie będzie nas stać i nie ma co patrzeć na nie dłużej i psuć sobie humoru.

Nie chcąc wypuszczać jej samej, udałyśmy się długim korytarzem galerii na zewnątrz. Na schodach stała już grupka palących, więc Katarzyna bez wahania wyciągnęła papierosa i zaczęła palić.

– Ty się Adelka lepiej odsuń, bo bierne palenie podobno szkodzi gorzej niż czynne, a nie chcemy, by dzidziusiowi coś się stało – powiedziała Katarzyna, wypuszczając kolejną dawkę dymu tytoniowego do atmosfery.

Już chciałam dołączyć do dyskusji i opowiedzieć o badaniach, o których czytałam ostatnio, ale rozdzwonił się mój telefon. Oczywiście za nic nie mogłam odnaleźć go w mojej torebce. Dlaczego to zawsze tak jest, że im mniejsza, tym bardziej wszystko w niej przepada?! Ostatnio przez dobrych dziesięć minut szukałam kluczyków do samochodu, stercząc przed nim z torbami pełnymi zakupów, bez parasola, podczas gdy niemiłosiernie lało. Przechodzący obok mnie wtedy ludzie z litością patrzyli na moje poczynania, a starszy pan skwitował wszystko stwierdzeniem, że można się tego było spodziewać tylko po blondynce. Na szczęście klucze znalazłam i mogłam wsiąść do auta. Co prawda komfort jazdy był co najmniej ujemny, ponieważ w butach chlupała mi woda, a ja byłam przemoczona do suchej nitki, ale radość z odnalezienia kluczyków była niemalże tak samo wielka jak teraz, gdy w końcu udało mi się wyjąć komórkę spośród wszystkich śmieci.

Tak na marginesie, skąd w mojej torebce wziął się bucik Antosia?!

– Dzwoni Jarek – powiedziała, patrząc na wyświetlacz i już chciałam nacisnąć słuchawkę, gdy szarpnęła mnie za ramię Katarzyna. – Co ty! Nie odbieraj. Mamy babski wypad, facet może poczekać!

– Ale może to coś ważnego? – zapytałam, a telefon dzwonił i dzwonił. Ja chcę z nim porozmawiać mimo babskiego wypadu, nie rozumiecie!

– Kasia ma rację – wtrąciła Adela. – Powinnaś na chwilę oderwać się od domu i dzieci. Poczuć się wolna i niezależna.

– Święte słowa, święte słowa! – powiedziała Kasia i gotowa była wyrwać mi z ręki telefon. Po drugim nieodebranych połączeniu te żmije zmusiły mnie, żebym na dobre wyłączyła go na czas naszego szaleństwa. Uległam ich naciskom. Wyłączony telefon trafił do torebki Katarzyny, tak na wszelki wypadek, gdybym ukradkiem chciała z niego skorzystać i skontaktować się ze światem.

Katarzyna spaliła do końca papierosa, wrzuciła go do kosza na śmieci, poprawiła włosy i ruszyła pierwsza do obrotowych drzwi jedynej w okolicy galerii. Może i dobrze się stało, że poszła pierwsza, bo gdy tylko postawiła swoją stopę w przepięknym buciku na obcasie na

błyszczącej podłodze, upadła (bez wdzięku i należytej gracji, niestety) do przodu na brzuch i utknęła w obrotowych drzwiach. Piekielna maszyna atakująca naszą koleżankę nie zamierzała odpuścić. Gniotła ją w bok drzwiami, które usilnie chciały się dalej przekręcić, nie zważając na leżącą na ziemi przeszkodę. Dramatyczne próby podniesienia się przez Kaśkę, a właściwie jakiegokolwiek ruchu, bo o wstaniu właściwie nie można było mówić, kończyły się tylko jeszcze większym zakleszczeniem drzwi.

– Pomóżcie mi! – krzyknęła zrozpaczona Katarzyna. Ale na pomoc właściwie nie miała co liczyć, bo ja i Adela niemalże sikałyśmy ze śmiechu, stojąc przed drzwiami i patrząc na nieporadną Kaśkę.

Gdy jej błagania zaczęły docierać do naszych komórek mieszczących się gdzieś w okolicach kory czołowej, otarliśmy w końcu leżące po policzkach łzy i starałyśmy się jakoś jej pomóc. Złapałyśmy ją więc za wystające z drzwi nogi, a właściwie stopę i to bez złotego bucika, który wpadł do następnej przegrody drzwi. Nasze zmagania mające na celu uwolnienie poszkodowanej z paszczy potwora przynosiły jednak odwrotny skutek do zamierzonego, ponieważ drzwi obracały się tylko w jedną stronę, a my ciągnęłyśmy nie w tę co trzeba.

Takim więc sposobem Katarzyna leżała w drzwiach wystawiona na zgryźliwe komentarze i śmiechy przechodniów, a my kompletnie nie wiedziałyśmy, jak jej pomóc. Wszelkie jej jęki i prośby były ignorowane przez stojących po drugiej stronie ludzi, którzy nie chcieli robić z siebie pośmiewiska. Że niby co, my byłyśmy jakieś gorsze?!

Jak to w bajkach bywa, z opresji uratował nas dopiero król, co prawda tym razem pod postacią zbudowanego ochroniarza, mającego w barach tyle, co szafa trzydrzwiowa. Łysiejący już pan przybiegł do nas czym prędzej, obserwując w komputerku nasze rozpaczliwe poczynania i lamenty oraz widząc kolejkę ludzi chcących wyjść z galerii. Właściwie bardziej sprowadziło go to drugie, a nie cierpienia uwięzionej kobiety, ale zaproponował nam pomoc.

Widząc, że pomoc może jedynie od tamtej strony barykady, obiegł budynek dookoła i wyciągnął za ręce Katarzynę, rozpaczliwie jęczącą z bólu i narzekającą na gnieciony przez drzwi bok. Gdy już naszej królowie w złotych pantofelkach udało się stanąć na nogi i doszła do siebie, zorientowała się, że nie ma przy sobie torebki. Ochroniarz natomiast rycersko rozgonił śmiejące się bez litości towarzystwo, a chłopaka, który ośmielił się nagrać wszystko komórką, postraszył konsekwencjami prawnymi i zmusił do usunięcia filmu. Prawdziwy wybawca nie uszedł nam bez wylewnych podziękowań i zapewnień o dozgonnej wdzięczności. Gdy tylko odszedł kawałek, Katarzyna powróciła do sprawy torebki, która przepadła jak kamień w wodę.

– Na pewno ktoś ją ukradł! – powiedziała, o mały włos nie zanosząc się łzami.

– Nikt nie mógł jej ukraść, bo w niej był mój telefon! – powiedziałam rozpaczliwie i już chciałam pędzić ponownie do ochroniarza, który przed chwilą wybawił naszą damę z opresji.

Mojemu pomysłowi zagroziła jednak drogę Adelka, która zauważyła, że torebka kręci się w obrotowych drzwiach. Widocznie musiała tam zostać, gdy Katarzyna ratowana była przez mundurowego, a w stresie o niej zapomnieliśmy.

– Jak ją teraz wyciągniemy? – powiedziała załamana Katarzyna. – Ja na następne kilka lat mam dość obrotowych drzwi i nie ma nawet opcji, żebym tam po nią zanurkowała kolejny raz, robiąc z siebie kretynkę.

W odpowiedzi na jej pytanie westchnęłam.

– Dobra, przecież tam jest mój telefon, a ciężarna Adela nie będzie się kręcić w obrotowych drzwiach jak na karuzeli – zgodziłam się rycersko, zacerpnęłam powietrza i przez następnych kilka minut wskakiwałam do obrotowych drzwi pochylona, chcąc wyciągnąć z niej torebkę. No dobra, w tym momencie można było pomyśleć o mnie, że jestem typową blondynką, ale w końcu udało mi się tego dokonać, choć nie liczyłam, za którym razem. Ja zgromadziłam wokół siebie co prawda dużo mniejszą widownię niż zalewająca się łzami Katarzyna, ale znaleźli się tacy, którzy stali w miejscu i zanosili się śmiechem.

Banda debili. Jakby nie można się było w drzwiach poganiać z torebką!

Gdy już odzyskałyśmy naszą zgubę ku radości Katarzyny, udałyśmy się w końcu na upragniony film, który na szczęście nie rozczarował nas tak bardzo i stanowił choć jeden miły



akcent tego wieczoru, bo do kompromitacji w galerii handlowej swoje trzy grosze dołożyła moja matka, gdy tylko wieczorem wróciliśmy do domu.

– Co ty sobie wyobrażasz, że ile masz lat?! – rzuciła do mnie już od progu, kompletnie ignorując Katarzynę i Adelę.

Postanowiłam nie odpowiadać mojej matce, żeby nie zaognić sytuacji.

– Dzieci masz małe, a się włóczysz po wsi, w dodatku ubrana jak kurtyzana! Antoś rzyga i ma biegunkę od południa, no ale ciebie to nie obchodzi, matko od siedmiu boleści, bo dziećmi krasnoludki się zajmą! Jaruś pół dnia do ciebie wydzwania, żeby cię ściągnąć do domu. Od czego ty masz telefon!

– Mamo daj spokój, jestem dorosła, a dzieci mam praktycznie też dorosłe i bliźniakami miał się kto zająć, nie wyrzucaj mi tu od nieodpowiedzialnych. Poza tym siedzę w domu i haruję całe dnie! Mam prawo wyjść z ludźmi raz na jakiś czas i tobie nic do tego.

– Dopóki mieszkasz pod moim dachem, to wiele mi do tego! – powiedziała matka, rozkładając ręce. To argument, który najbardziej denerwował mnie w młodości i doskonale o tym wiedziała. Ja jednak nie dałam jej tej satysfakcji i nie weszłam z nią w dyskusję. Przybierając pozę totalnie nieresponsywnej, zdjęłam powoli buty, po czym milutko zapytałam ją, gdzie jest Antoś.

Z wielką ulgą poczłapałam na górę do Agatki, która zajmowała się chorym braciszkiem.

– Pewnie to jakaś wirusówka – powiedziała, gdy zaczęłam prowadzić rutynowe śledztwo na temat tego, co dziecko dziś jadło, po czym ulotniła się do siebie.

Takim oto sposobem po moim babskim wypadzie nie dość, że mi się oberwało, to zostałam brutalnie upomniana i przypomniano mi, co znaczy macierzyństwo. Potem nie spałam pół nocy, siedząc przy wymiotującym Antosiu.

To na wypadek, gdyby kolejny raz zachciało mi się samotnych wypadów bez dzieci. Gdyby moja matka miała taką moc, z pewnością mogłabym stwierdzić, że zrobiła to wszystko specjalnie!

**Wymioty** i biegunka męczyły Antosia całą noc i praktycznie cały ranek, więc przed kolacją u Beaty, na którą mieliśmy wybrać się z Jariuszem dzisiejszego dnia, nie czułam się najlepiej. Na szczęście pomoc zjawiała się już z samego rana, w postaci mojego bohatera. Nie zajechał tym razem na rumaku, ale podrzucili go koledzy prosto po pracy. Żeby Jaruś nie musiał gotować się w mundurze, przebrał się w mojej sypialni, a potem rycersko zmienił mnie przy łóżku chorego Antoniego.

Przyznam, że byłam mu naprawdę wdzięczna, ponieważ nie chciałam do tego fatygować ciężarnej Magdy ani Adeli, żeby czasem się czymś nie zaraziły, a Agatka przepadła bezpowrotnie ze swoim nowym chłopcem i obwieściła z samego rana, że wróci wieczorem i możemy nie czekać z obiadem.

Właściwie nie mieliśmy nawet tego czekania na nią w planach, bo wyznaję zasadę, że w jej wieku jeśli nie chce się jeść, to po prostu się nie je, ale powstrzymałam się od komentarza na ten temat, widząc jej rozpromienioną twarz. Nie darowałam sobie jednak podniesienia głosu, gdy wyciągnęła moją najlepszą szminkę z zamiarem pomalowania sobie ust na krwistą czerwień. Co to nie moja panno! Ja lafiryndy nie pozwolę ci z siebie robić i co wolno matce, to nie Agatce. Amen.

Poza tym jak znam życie, to oddałaby mi szminkę w oplakany stan, a ja nie po to płacę za jej kosmetyki, których ona wcale sobie nie odmawia, żeby potem grzebała w moich. Popłakała, pokrzyczała, ale w końcu darowała sobie wzbudzanie we mnie skrajnych uczuć od złości przez litość do rozpacz i przepadła z tym swoim Romeo, obiecując, że zdąży wrócić przed naszym wyjściem i zająć się wieczorem bliźniakami. No to ja rozumiem!

Kiedy Jaruś zajmował się z czułością chorym Antosiem, a przy tym Antoniną, ja postanowiłam choć chwilę się przespać. Zaciągnęłam więc zasłony w pokoju i nakryłam się kocem. Przyznam, że musiałam być totalnie wymęczona, ponieważ gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, od razu zapadłam w błogi sen.

Nie mam pojęcia, ile dokładnie spałam, ale obudził mnie dopiero Jaruś, lekko szturchając

mnie w ramię i czule szepcząc moje imię. Takie pobudki to ja rozumiem, dlatego nie ociągałam się długo z otwieraniem oczu. I gdy tylko zdołałam tego dokonać, ukazał mi się mój bohater w całej okazałości, błyskając przy tym swoimi zniewalającymi, śnieżnobiałymi zębami. Chyba nie przestanę mu ich zazdrościć!

– Iwonka, obudź się! – mówił, nachylając się nade mną delikatnie. – Mamy godzinę do wyjścia. Pomyślałam, że będziesz chciała się odświeżyć i ogarnąć – powiedział wspaniałomyślnie, gdy dotarło do niego, że już się obudziłam.

W odpowiedzi uśmiechnęłam się, a on szarmancko pocałował mnie w czoło. Normalnie mało co nie zasnęłam ponownie z nadzieją, że zrobi to drugi raz, gdy będzie chciał znów mnie obudzić.

– Jak czuje się Antek? – zapytałam, gdy udało mi się już usiąść na łóżku. Wbiłam w niego nieprzytomny jeszcze wzrok i starałam się ułożyć jakoś roztrzepane włosy.

– Lepiej. Nie wymiotuje już, ale podałam mu jeszcze kolejną dawkę leków.

– Zjadł coś? – zapytałam, mocując się z wsuwką, która nijak nie chciała wyjść z moich włosów. Uczepiła się ich normalnie jak rzep psiego ogona!

– Zjadł pół paczki chrupek kukurydzianych. Pił całkiem dużo, udało mi się go nawet przekonać do szklanki wody z elektrolitami – powiedział Jaruś dumnie. Musicie wiedzieć, że miał się czym chwalić, ponieważ dokonał praktycznie niemożliwego. Wpychanie w Antosia leków jest jak pchanie słonia w dziurkę od igły. W nagrodę obdarzyłam więc Jarusia wdzięcznym uśmiechem. Najwdzięczniejszym!

Gdy udało mi się już wygramolić z łóżka, powłócząc nogami nisko po ziemi, zajrzałam do Antosia, który spał teraz w najlepsze. Nie chcąc go budzić, przymknęłam lekko drzwi. Ku mojej wielkiej radości Antonina urzędowała bezpiecznie w kuchni z Michaliną, która zatrudniła ją jako pomoc w pieczeniu domowych, maślanych ciasteczek. Serce mało co nie wyskoczyło mi z piersi, gdy patrzyłam na umorusaną mąką Antoninę śmiejącą się i wycinającą z ciasta coraz to bardziej wymyślne kształty. Po prostu idylla!

Michalina zgodziła się wykąpać Antosię, gdy już skończą się bawić, co odebrało mi ostatni z obowiązków, który wyznaczyłam sobie na dziś wieczór. Co prawda mogłaby to z powodzeniem zrobić Agatka, ale Michalina uparła się i już, a ja nie za bardzo miałam siłę i czas z nią dyskutować. Wzięłam więc szybki prysznic i nałożyłam makijaż. Zdecydowałam się dziś na błękity na powiekach, pasujące idealnie do mojej bladoniebieskiej sukienki, którą Jaruś wybrał spośród wiszących w szafie kreacji. Do tego wszystkiego beżowe pantofelki i torebka, i powiem wam, że prezentowałam się w tym stroju całkiem przyzwoicie!

Jaruś nie chcąc być gorszy, założył błękitną koszulę do jeansów, co idealnie podkreśliło jego świeżą opaleniznę.

Gdy tylko do domu wróciła Agatka, rozchichotana po spotkaniu ze swoim motocyklistą, zaczęliśmy z Jariuszem zbierać się do wyjścia. Po ucałowaniu Antosia, który zjadał się już herbatnikami, co świadczyło o tym, że czuje się znacznie lepiej, oraz Antoniny, która radośnie pluskała się w wannie, gawędząc przy tym z Michaliną, wyszliśmy na podjazd i skierowaliśmy się do samochodu. Mazda czekała na nas przed garażem.

Do Beatki i jej męża, który miał na imię Marek, o czym poinformował mnie po drodze Jaruś, przyjechaliśmy pięć minut po szóstej. Zaparkowaliśmy przed ich domem, który okazał się nowo pobudowanym budynkiem otoczonym przez dopiero co powstający ogród. Mojej uwadze nie uszły wszędzie walające się zabawki, które świadczyły o tym, że w domu pomieszkuje spora gromadka dzieci. Może bliźniaki mogłyby się z nimi zaprzyjaźnić? Kto wie!

Gdy tylko weszliśmy na podwórko, od razu zapaliły się wszechobecne lampki reagujące na ruch. Przyznam szczerze, że można się ich naprawdę wystraszyć, gdy nagle wszystko zostaje oświetlone, podczas gdy człowiek wcale się tego nie spodziewa! Można to traktować jako alarm antywłamaniowy, naprawdę, bo nawet Jaruś wzdrygnął się, gdy lampki rozbłysły wokół nas!

Śmiejąc się w głos z naszych słabych nerwów, zmierzaliśmy objęci w stronę ganku, na którym czekał już na nas Marek dopalający papierosa. Jaruś przedstawił mnie swojemu koledze, pogawędziliśmy chwilę i gdy tylko mężczyzna wypalił do końca, zostaliśmy zaproszeni do środka.

Po przekroczeniu progu ich przytulnego domku od razu przywitały nas piski i wyłaniająca się zza futryny drzwi maleńka blond główka obsypana kręconymi loczkami. Jak się okazało, była to czteroletnia Marysia, która urządziła prawdziwą popisówkę, krzycząc i biegając pomiędzy naszymi nogami oraz ciągnąc nas, byśmy obejrzeliby jej lalki.

Na szczęście Beata w porę wyszła z kuchni i ukróciła jej szaleństwo, nim dziewczynka zniosła do salonu niemalże wszystkie swoje zabawki. Odprowadzona do pokoju razem ze starszą córeczką, dwunastoletnią Emilką, zajęła się układaniem puzzli, a potem wpadła się tylko z nami pożegnać i powiedzieć dobranoc, gdy nadeszła pora spania.

Beata okazała się prawdziwą panią domu, ponieważ gdy tylko wyszliśmy na taras, na którym rozpalono grilla, okazało się, że wszystko było już gotowe. Odebrała od nas tylko sałatki, odstawiła je na stół i już mogliśmy zabrać się za wcinanie pyszności, które przyszykowała. Przyznam, że lepiej doprawionej karkówki to chyba nigdy w życiu nie jadłam!

– To mięsko jest naprawdę pyszne! – powiedziałam, nakładając na talerz kolejny kawałek oraz porządną łychę surówki. – Musisz koniecznie powiedzieć mi, jak je doprawiasz, bo moje wypada znacznie bardziej!

– Nic trudnego! – powiedziała skromnie Beatka, po czym upiła łyk stojącego przed nią soku. – Sekret tkwi w musztardzie. Zresztą napiszę ci wszystko potem na kartce, to sobie wypróbujesz!

Panowie dyskutowali zażarcie o samochodach, o których my nie miałyśmy bladego pojęcia.

– Długo tutaj mieszkacie? – zapytałam ją, zerkając na nieduży domek.

– Dwa lata, ale wiesz jak to jest. Marek ciągle w rozjazdach, właściwie nie ma go więcej niż jest, nie ma kto tego wszystkiego dokończyć. A jak jest, to wolę, żeby spędzał czas z dziećmi niż zabierał się za robotę, bo te maluchy to niedługo zupełnie zapomną, jak ich ojciec wygląda!

– Znam to doskonale. Ja sama urodziłam Łukasza, gdy mój były mąż był w wojsku.

Pamiętam do tej pory sytuację, kiedy zabrałam go na zakupy, a on nie miał nawet dwóch lat i wyrwał mi się w sklepie, bo zobaczył mężczyznę w mundurze jedzącego obiad z jakąś kobietą, krzycząc do niego tato, tato! Ale przyznam, że mina tej dziewczyny była naprawdę bezcenna! Musiałam jej się srogo tłumaczyć, żeby uwierzyła w niewinność swojego mężczyzny, u którego spodni wisiał i wył głośno Łukaszek.

Beatka odpowiedziała mi radosnym śmiechem. Przerwał go dopiero Jaruś, który poinformował, że musi skorzystać z łazienki i oddalił się na chwilę.

– To co Iwonka, na długo tutaj zostajesz? – zagał Marek, upijając łyk piwa.

– Właściwie przyjechałam nie mając planów, ale dostałam niedawno pracę w tutejszej szkole. Na początku na zastępstwo, a potem jako nauczyciel wspomagający, więc na rok na pewno.

– Chce ci się do miasta z powrotem wracać? U nas to spokój, nie to co tam! – powiedział Marek, zapalając świeczkę na komary, którą postawiła przed nim Beatka.

– Uwierz, że do wszystkiego można się przyzwyczaić! Po pewnym czasie, gdy wracasz na wieś, to nawet spać nie możesz, bo zdaje ci się, że za cicho, tak jesteś przesiąknięty tym wielkomięskim hałasem – powiedziałam, upijając łyk soku. – No ale wiadomo, dzieciaki powinny mieć stały kąpiel, a ja sama do miasta na razie nie chcę wracać, chyba że z pracą będzie tu ciężko i będę musiała – dokończyłam, a gdy wypowiadałam ostatnie słowa, wrócił do nas Jaruś.

– O, skoro Jarek wrócił, to ja skoczę do łazienki – powiedział Marek i odszedł od stołu. Beatka natomiast dołąła nam wszystkim picia.

– Co mnie ominęło? – zapytał Jaruś, opierając łokcie o stół.

– A tak sobie rozmawialiśmy z twoją Iwonką o tym, jakie ma plany na przyszłość. Nie wiedziałam, że ma wykształcenie pedagogiczne i będzie pracować u nas w szkole! – powiedziała Beatka, siadając z powrotem na miejsce.

– Dyrektor się zmienił, to w końcu ktoś szansę młodym daje! Ale to dobrze, bo dzieciaków u nas w wioskach ostatnio więcej, a zająć się nie ma nimi kto. Nauczyciele się przydadzą, to może coś w końcu mu z tą świetlicą wypali, bo ja osobiście mam już dość jeżdżenia na interwencje do rodziców i robienia im wykładów, że są kompletnie nieodpowiedzialni, zostawiając maluchy same w domu po szkole nawet i do ciemnej nocy.

– No ale dziwisz się, Jarek? Jak w okolicy o pracę ciężko, to ludzie się każdej łapią, byleby tylko parę groszy wpadło. Jak nie ma babci czy dziadka przy domu, to z kim ten dzieciak zostanie?

Musiałam w duchu przyznać jej rację. Sama ostatnio byłam świadkiem, kiedy wracałam do domu ze sklepu, a policja zabierała ojca do więzienia. Matka za granicą w pracy, babcia w kurniku pracuje od rana do nocy, a kto się takim dzieckiem zaopiekuje? Policjant biegał od domu do domu, prosząc sąsiadów, żeby się dzieckiem zajmowali po szkole, dopóki ojca nie wypuszczą. No proszę, czy to normalne?!

– No, dlatego jakby on kogoś przyjął na tę świetlicę, to i dla nas problem byłyby mniejszy!

– powiedział Jaruś, a gdy tylko skończył, do stołu wrócił Marek.

Dyskusja po powrocie mężczyzny zesłała na nieco lżejsze tematy, bo podobno Kraśniak kupił sobie ostatnio krowę, a kupował ją w takim upojeniu alkoholowym, że zamiast jałówki ma młodego byka i po sądach chce teraz latać, żeby sprawę odkręcić.

– Przepraszam, ale muszę jeszcze raz do toalety. – Jaruś za kilka minut znów wstał od stołu.

– Za dużo piwa to i potem takie skutki – skwitowała jego odejście Beatka. Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, bo Marek zerwał się nagle od stołu i popędził w stronę domu.

– A temu ciekawe co! – powiedziała Beatka, patrząc na biegnącego do domu Marka.

– Może sobie o czymś przypomniał?

– Ach Iwonka, z tymi chłopami gorzej niż z dziećmi! – zaśmiała się tylko i upiła kolejny łyk soku.

Jaruś wrócił do nas za kilka chwil, oznajmiając, że powinniśmy już się chyba zbierać. Spojrzałam na niego spode łba. Tak krótko?! Czy on nie rozumie, że mnie rzadko kiedy udaje się wyrwać z domu i chcę się tym chociaż trochę nacieszyć?!

– Młoda godzina, dzieci małych nie macie, to i spieszyć się nie ma dokąd – Beatka uratowała mnie takim stwierdzeniem. Jarusiowi widać zrobiło się głupio, bo usiadł z powrotem do stołu, ale minę miał nietęgą. Po chwili wrócił do nas Marek i oznajmił, że czas chyba kończyć tę imprezę, bo robi się późno.

– No chyba żartujesz! – naskoczyła na niego Beatka. – Zresztą, jak chcecie to sobie kończyć, my tu z Iwonką jeszcze posiedzimy! – powiedziała po męsku i posłała mężowi piorunujące spojrzenie.

– Beata zlituj się, takie mam rozwolnienie, że tu nawet chwili nie wysiedzę, po co robić z siebie pośmiewisko? – powiedział Marek, gdy ta znów zaczęła go pouczać.

– Co ty Marek? Ty też? – Jarek wstał nagle i zaśmiał się głośno.

No tak, to by tłumaczyło te ich wizyty w łazience!

Co było robić. W takiej sytuacji, nie chcąc narażać Jarusia i Marka na pośmiewisko i skazywać na posiedzenia w łazience, pomogłam Beatce sprzątnąć ze stołu i zaczęłyśmy się żegnać.

– No widzisz Iwonka, jak raz mamy okazję się spotkać, to chłopcy nam wszystko psują biegunką! – zaśmiała się blondyneczka, ściskając mnie na pożegnanie tuż przy furtce.

– Antek u mnie chory, Jarek musiał się od niego zarazić, bo dziś parę godzin przy nim siedział – powiedziałam jej z uśmiechem. Stałyśmy sobie razem z nią pod bramą, bo Jaruś musiał pilnie jeszcze raz skorzystać z toalety, ponieważ bał się, że nie wytrzyma podróży do domu.

– U mnie Maryśka całą noc dziś wymiotowała, więc Marek pewnie też musiał od niej coś złapać. Ale popatrz, nas nie wzięło! Jednak prawdę mówią, że złego licha nie bierze! – skomentowała i obie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Choć chciałybyśmy sobie jeszcze pogawędzić, wymieniliśmy się tylko numerami telefonów na przyszłość, ponieważ zjawił się Jaruś, a ja zobligowałam się do prowadzenia samochodu. Po zapewnieniach, że odwiedzę ich jeszcze z bliźniakami, bo Beatka ruszać się za bardzo z domu nie chciała z kilkumiesięcznym dzieckiem, mającym tendencję do łapania wszystkich zakażeń jamy ustnej. Potrafiłam to zrozumieć, bo sama byłam matką, dlatego jeszcze raz uściśniłam ją serdecznie i w końcu się pożegnałyśmy. Marek co prawda nie pokazał się, żeby powiedzieć do widzenia, ale w jego sytuacji było to zrozumiałe i zostało wybaczone.

Zapakowałam więc bladego Jarusia do auta i bezpiecznie dowiozłam do naszego domu

w Sosenkach, w którym powitała mnie prawdziwa epidemia. Już na progu dowiedziałam się, że Michalina i Agatka okupowały łazienki.

Na szczęście u nas w domu były aż cztery i Jaruś spokojnie mógł zająć swoją, pozostawiając jedną do publicznego użytku dla pozostałych. Gdy nawiedziłam już wszystkich chorych i oceniłam na spokojnie ich stan zdrowia, zepchnęłam Adelę i Magdę na dół do salonu, żeby tam dziś spały, z dala od ognisk wirusa, których teraz miałam w domu aż cztery! Łukasz też skazał się na spanie na dole w warunkach polowych, bo, jak stwierdził, nie zamierza chorować, ponieważ potrzebny jest Magdzie. No cóż. Rola pielęgniarki tradycyjnie już spadła na mnie. Aż dziwne, że ja zawsze przy nich wszystkich skaczę, a sama nie choruję!

Czy naprawdę jestem taka zła, że mnie licho nie bierze?! Zaśmiałam się, idąc do kuchni, by znaleźć w apteczce węgiel i rozrobić im saszetki z elektrolitami, żeby przypadkiem cała trójka mi się nie odwodniła, bo dopiero będę miała problem, jak mi połowę domowników położą do szpitala!

Miałam mieć szalony wieczór, to i mam! Na szczęście Antosia trzymało tylko półtora dnia, więc i im wszystkim niedługo przejdzie. W przeciwnym razie chyba bym się zajeżdżała na śmierć, czuwając na zmianę przy ich łózkach. Jedno małe dziecko to dziecko, ale trójka dorosłych? No błagam...

**Mając** dość ekscesów związanych z chorowaniem sporej grupy naszych domowników, postanowiłam następnego dnia zostać w domu. Wielkimi krokami zbliżał się wrzesień, a ja od kilku dni w planach miałam zadzwonić do wydawcy i oznajmić mu z radością, że książka jest już na ukończeniu i nie musi się martwić. Zostało mi właściwie tylko poprawienie kilku rozdziałów i śmiało mogłam mu je wysłać. Wiadomość ta podziałała na mnie właściwie od razu, ponieważ moje oszczędności kurczyły się z każdym momentem naszych zwariowanych wakacji, a zaraz będzie trzeba wyprawiać dzieci do szkoły.

Pieniądze z książki oznaczałyby też pieniądze na siedlisko, a to oznaczałoby, że... byłabym chyba najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, bo ono zaczynało mi się już śnić po nocach i wołać. No bo co z tego, że układało mi się w Sosenkach, skoro matka truła mi przy każdej możliwej okazji, a sąsiadki donosiły jej o wszystkim jak głupie? Życie tutaj miało na pewno wiele plusów, ale przywykłam do tego, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach albo rozmawia przez telefon, bo kiedy moja matka zaczyna lamentować do słuchawki, mogę się najzwyczajniej rozłączyć. A tu? No wybaczcie, ale takiej opcji nie mam. Chyba że schowam się w łazience. Albo siajerze... Ale to i tak nie to samo. Moja matka chce rządzić całym moim życiem, na co ja nie mogłam sobie na tym etapie pozwolić.

Rozumiecie przecież... marzy mi się prywatność. Prawdziwa niezależność. Życie na własny koszt i...

Ale wracając do rzeczy:

Wydawca przyjął informację o moim literackim sukcesie z prawdziwą ulgą i zaproponował zaliczkę od razu, gdy prześlę mu gotowy tekst. O tak, oczywiście satysfakcjonowało mnie to potwornie i dodało potężnego kopa do dalszej pracy. Siedziałam więc od rana w swojej sypialni i stukalam w klawiaturę laptopa z zabójczą niemalże prędkością. Przerwy robiłam sobie tylko na dostarczanie suchego prowiantu i napojów mojemu nie do końca zdrowemu jeszcze towarzystwu.

Cieszyłam się też chwilą spokoju. Nawet nie wiecie, o ile lepiej pisze się, gdy z pokoju nie dobiegają wyzwiska kłócących się właśnie Agatki czy Łukasza albo głośna muzyka, którą mój nastoletni syn starał się zagłuszać swoje rozszalałe nerwy. W takich warunkach to i kawa smakuje inaczej. Jakoś tak lepiej i w spokoju chociaż można ją wypić.

– Mamooo! – rozległo się nagle głośne wołanie Antosia, które wyrwało mnie z błęgiego stanu spowodowanego wszechogarniającą ciszą. No nic. Nie można zapominać o tym, że jest się matką nawet w pracy. Poza tym to tylko jedno wołanie dzisiejszego popołudnia. Całkowity bilans zysków i strat nadal jest więc zdecydowanie na plusie.

– Pędzę kochanie! – odrzyknęłam mu i odstawiając laptop na szafkę, wyszłam na korytarz. Antosia znalazłam w jego pokoju, kiedy to siedział na łóżku i zanosił się płaczem. Możecie mi

wierzyć lub nie, ale ich łyzy zawsze mnie tak samo wzruszają.

– Co się stało? – Uklękłam przy jego łóżeczku i czule pogładziłam po małej główce, ocierając przy tym spływające po policzkach łyzy.

– Nie mogę wstać! – powiedział mój biedny chłopiec i objął mnie za szyję rączkami.

– Jak to nie możesz wstać? Boli cię coś? – zapytałam go łagodnie.

– Nie! – Antoś rozplakał się na dobre.

– No to o co chodzi, kochanie?

– Po prostu nie mogę wstać, moje spodnie się przyczepiły do łóżka! – wydusił z siebie, a ja ledwie go zrozumiałam.

– Kochanie, ale jak to się przyczepiły? – zapytałam, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc.

– Po prostu!

– Pokaż, mamusia zobaczy co z tymi spodniami nie tak. Spróbuj wstać – powiedziałam do niego, ciekawa co tym razem wymyślił. Antoś ruszył się do przodu, ale faktycznie, jego spodnie u prawej nogi nie chciały oderwać się od prześcieradła, na którym siedział.

– Wiesz co syneczku, może po prostu wyjdź ze spodni i wtedy mamusia zobaczy, co tam się zaczepiło, dobrze? – zaproponowałam i pomogłam maluchowi wysunąć nogi ze spodni. Trochę się opierał, nie chcąc rozstawać się z ubrankiem, ale gdy tylko udało mi się go wyswobodzić z uwięzi, od razu rzucił się ku zabawkom, zostawiając mnie z tajemniczym zjawiskiem.

Powoli podniosłam spodnie do góry, aby moim oczom ukazał się rząd, a raczej kłębowisko czerwonych nitek łączących materiał z prześcieradłem, a co więcej, po części i materacem. Ktoś musiał przyszyć Antosia do łóżka! No niech ja ich tylko wszystkich dorwę, za takie żarty to dostaną przynajmniej po tygodniu szlabanu!!!

Już miałam zerwać się na równe nogi, żeby urządzić mojej młodzieży prawdziwą awanturę, gdy Antoś przyszedł do mnie i obwieścił, że uczył się dziś szyć tak jak pani Michalina. Rozłożyłam bezradnie ręce, słysząc jego śmiałe wyznanie.

Następne kilka minut poświęciłam na odpruwanie spodni Antosia od łóżka. A jeszcze następne na szukanie igły, która przepadła gdzieś w kłębowisku pościeli na jego łóżku. Przecież musiałam ją znaleźć, żeby wieczorem się na nią nie położył!

Pomógł mi w tym Łukasz, który wpadł na pomysł, żeby szukać jej magnesem. Przyniósł więc jeden z lodówek i dobre kilka minut jeździł nim nad łóżkiem i wokół pościeli Antosia. Igła szczęśliwie się znalazła!

Kiedy tylko poszukiwania narzędzia zbrodni dobiegły końca, postanowiłam moje zszargane nerwy ukoić kolejną już dziś filiżanką kawy. Zeszłam radośnie na dół do kuchni, gdzie siedziała Katarzyna i rozwiązywała krzyżówki. Przerwałam jej to zajęcie i zaciągnęłam do ogrodu na ploteczki, aby odpocząć chwilę od mojej ferajny. Katarzyna obwieściła mi, że mąż tym razem stanowczo domaga się jej powrotu do domu, a ona nie może nałogowo mnie we wszystkim wspierać, bo ma też swoje życie. Smutno mi się zrobiło, gdy tylko to usłyszałam, ponieważ przyzwyczaiałam się już do jej obecności w Sosenkach. Kto mi będzie wsparciem w całym tym zamieszaniu, które mam tu każdego dnia?!

Na szczęście Katarzyna w porę zahamowała mój wybuch rozpacz, informując mnie, że jeszcze kilka dni na pewno u mnie spędzi i nie powinnam się jeszcze niepokoić. Cóż. Jakoś będzie trzeba sobie radzić bez niej. Mam chociaż kilka dni, żeby się z tym pogodzić.

Pogawędkę przy kawie przerwało nam pojawienie się roznegliżowanej Antoniny, która zanosila się płaczem niemalże tak jak Antek jakiś czas temu. Spojrzałam na jej zaczerwienione plecki i tradycyjnie już zapytałam, o co chodzi, biorąc ją na kolanka. Chciałam też poprawić jej poszarpane, spocone włosy, mokre również od łez, ale za nic w świecie nie chciała pozwolić mi ich dotknąć.

– Mamusiu, bo wszystko mnie swędzi! – powiedziała, zanosząc się płaczem.

– Ale od czego cię swędzi? Weź rączki, obejrzę twoje plecy – powiedziałam, odwracając ją tyłem do siebie.

– Może ma jakieś uczulenie? – podsunęła zaniepokojona Kasia.

– Antonina w porównaniu z Antosiem nie jest alergiczką. Na szczęście – pospieszyłam jej z wyjaśnieniami, ale plecy dziewczynki były naprawdę podrażnione i zaczerwienione.

– Wiesz co, choć ze mną do łazienki, przetrę ci to jakimś wacikiem z tonikiem i zobaczymy, czy to coś pomoże – powiedziałam do Tośki, która nie przestawała płakać ani na chwilę. Był to jedyny pomysł, który przyszedł mi w tej chwili do głowy.

Wzięłam więc małą na ręce i pomaszerowałam z nią do łazienki przy mojej sypialni, w której trzymałam kosmetyki. Zdecydowałam się na tonik hipoalergiczny, co do którego miałam pewność, że nie zaoigni sytuacji, a może choć trochę złagodzi podrażnienie. Ubieranie Tosi w bluzkę chwilowo sobie darowałam. Na wszelki wypadek nasmarowane jeszcze kremem nivea dziecko położyłam do łóżka i przytuliłam, a ona już po chwili zasnęła ze zmęczenia. Może do wieczora jej przejdzie.

Gdy miałam już pewność, że Antonina na dobre zasnęła, zesłam na dół do Katarzyny. Dopiliśmy herbatę, a ja poszłam do kuchni umyć kubki. Powitał mnie w niej widok godny najlepszego salonu fryzjerskiego. Tuż przed zlewem walały się pościnane włosy, a na środku leżały nożyczki. Już jeden rzut oka pozwolił mi ocenić, do kogo owe pasma należały. Nic dziwnego, że Antosia podrażniła sobie plecy, skoro obcinała włosy i wszystkie jej na nie spadały.

Chcąc wyrzucić je do kosza, otworzyłam szafkę pod zlewem z zamiarem wyjęcia z niej łopatki i maleńkiej szczotki. Tam odkryłam jeszcze jedno narzędzie zbrodni – moją okrągłą szczotkę do układania włosów z nawiniętym na nią całym puklem Tosiowych loków. No tak, musiała czesać się, a gdy włosy wkręciły jej się w szczotkę na dobre, po prostu je obcięła. To zdecydowanie wyjaśniałoby również, dlaczego nie dała mi dotknąć swoich włosów, gdy przyszła na taras.

Cóż. Westchnęłam tylko głośno, zbierając z podłogi kolejne włosy, które Tosia obcięła w swoim szale twórczym. Czeka nas jutro wizyta u fryzjera.

Sprzątanie zajęło mi kilka minut. Pierwotnie miałam zamiar wrócić do pisania, jednak po wszystkich przejściach, które zaserwowały mi dziś bliźniaki, nie byłam w stanie zebrać myśli i niczego sensownego napisać. Zajrzałam więc do moich chorych, którzy czuli się już znacznie lepiej i okupowali telewizor w salonie, wcinając chrupki, a następnie odwiedziłam Magdę i Łukasza. Oni z kolei oglądali film, ale na laptopie. Postanowiłam żadnemu z nich nie przeszkadzać i zdecydowałam się na gorący prysznic, ponieważ kąpiel wydała mi się zbyt czasochłonna, a trzeba jeszcze przygotować kolację, skoro Michalina nie czuje się jeszcze najlepiej.

Gdy poszłam do swojej sypialni zabrać rzeczy potrzebne mi do spryszczenia się, po drodze usłyszałam już krzyki bliźniaków, które widać wróciły już do formy po swoich dzisiejszych wyczynach i bawiły się w najlepsze kolejką otrzymaną od dziadków podczas tamtej Gwiazdki. Zadowolona weszłam więc do łazienki i mało nie wrzasnęłam z przerażenia. W brodziku i na płytkach widniały niemalże kałuże krwi. Ktoś tu kogoś zabił!!! Ale kto i kogo? Zaglądałam przed chwilą do wszystkich i domownicy czuli się dobrze. Matko kochana, a może ktoś sobie coś zrobił i mi o tym nie powiedział?! Ale kto mógłby myszkować w mojej łazience? Niemalże umierałam z przerażenia, gdy dostrzegłam rzuconą w kąt łazienki maszynkę do depilacji. Aha! Mamy winowajczynię. Tylko która goliła sobie nogi w mojej łazience, w dodatku MOJĄ maszynką?

Wyszłam z łazienki szybkim krokiem i skierowałam się do salonu. Niestety, żadna z pań nie przyznała się do winy. No tak, została więc Adela i Magda. Szczerze wątpiłam, żeby zrobiła to Adela, ale dla pewności zapytałam i ją. Niestety. I ten trop był mylny.

Załamana, że nie ma winowajcy, postanowiłam puścić tę sprawę płazem i wróciłam do łazienki, żeby zmyć krwiste ślady z podłogi i armatury, a następnie na spokojnie wziąć w końcu upragniony prysznic. Klęcząc na zimnej podłodze, szorowałam kafelki, nie chcąc pozostawić na nich najmniejszych nawet śladów. Tak, przyznaję. Mam fioła na punkcie czystości łazienki, a brudna umywalka brzydzi mnie jak nic innego na tym świecie.

Sprzątanie pochłonęło mnie do tego stopnia, że umyłam nie tylko kafelki, ale też całą kabinę prysznicową, umywalkę, sedes, a nawet okno. Firanek nie zmieniałam, bo nie wiedziałam, gdzie Michalina je trzyma, a nie chciałam zawracać jej głowy. Niech sobie kobiecina odpocznie, skoro ma ku temu okazję. Firanki mogą poczekać.

Gdy uwinęłam się już z całym tym sprzątaniami, spojrzałam z podziwem na łazienkę. No. Sama przed sobą musiałam przyznać, że odwaliłam kawał roboty. Od razu przyjemniej było się kąpać w czystym pomieszczeniu, w którym unosił się kwiatowy zapach środków czystości.

Po kąpieli postanowiłam urządzić sobie prawdziwe spa. Nałożyłam na twarz maskę, której próbkę dostałam podczas ostatniej wizyty w drogerii i owijając się ręcznikiem, zaczęłam malować paznokcie. Było mi naprawdę przyjemnie do momentu, do którego do mojej łazienki nie wpadła rozemocjonowana matka.

– Iwona, co się stało Anosi?! – krzyczała już od progu, ciągnąc za sobą przerażone dziecko.

– Nie rozumiem mamo – spojrzałam na nią pytająco, zakręcając lakier do paznokci.

Notabene był krwistoczerwony!

– A! Już wiem. Chodzi ci o jej włosy! – wykrzyknęłam po chwili radośnie, jak gdybym dokonała co najmniej odkrycia nowego kontynentu. – O to nie musisz się martwić mamo. Ja ją jutro zabiorę do fryzjera i jej wszystko pięknie tam wyrównają. Nikt nie zauważy, że połowę z nich twórczo sobie wycięła.

Moja matka spojrzała na mnie zaniepokojona. Z jej miny wyczytałam, że nie ma pojęcia, o czym do niej mówię.

– No to o co ci chodzi? – zapytałam, poddając się, bo nie chciało mi się wchodzić w tłumaczenia, czego dokonało dziś po południu moje dziecko.

– Wracam do domu z zakupów z ojcem, rozpakowuję spokojnie torby. Kiedy już wszystko trafiło na miejsce, zabrałam batoniki, które kupiłam dla bliźniaków. Wchodzę do ich pokoju, a tam siedzi zakrwawiona Antonina i bawi się z Antkiem kolejką. Mogłabyś mi to jakoś wytłumaczyć? – powiedziała z wyrzutem moja matka, wskazując mi na pocięte nogi Tosi.

– No tak... – stwierdziłam zrezygnowana.

– Bo wiesz babciu, ja się bawiłam w mamusię! – powiedziała dumnie Tośka, wyrwijając się w końcu babci i dumnie podwijając do góry poplamioną krwią spódniczkę, odsłaniając pokiereszowane nóżki.

Matka nadal niewiele rozumiała z całej tej sytuacji i domagała się wyjaśnień.

– Nogi sobie goliła moją maszynką do depilacji. Dopiero co znalazłam maszynkę w łazience – powiedziałam jej spokojnie, zabierając Antoninie brudną spódniczkę, po czym odłożyłam ją do prania.

– Dziecko kochane! – Moja matka wyrzuciła ręce w górę, przejmując się zdarzeniem nie na żarty. – Ale to trzeba wszystko zaraz oczyścić, żeby ci się zakażenie nie wdało! – zaczęła lamentować nad Tosią, zupełnie ignorując moje zapewnienia, że dziecku nic nie będzie. Matka uparła się jednak, zabrała małą do kuchni i wyciągnęła z apteczki wodę utlenioną. Oczywiście obmywanie ran naszej kalece spadło na mnie, ponieważ gdy tylko babcia połała ją wodą, zaczęła piszczeć i pozwoliła dotknąć się tylko mnie.

Spędziłam więc wieczór na obklejaniu ran Antoniny kolorowymi plasterkami. Gdyby ktoś teraz ją zobaczył, z pewnością pomyślałby sobie, że najzwyczajniej w świecie jest bita. Może i dobrze się więc złożyło, że moja córka wpadła na ten pomysł dopiero w Sosenkach, a nie w mieście, bo tam od razu ktoś nasłabłby na mnie policję albo opiekę społeczną, a tutaj dziecko się kilka dni potrzyma w domu i będzie po krzyku. Nie musi przecież na wieś wychodzić!

Gdy tylko skończyłam opatrywać Antoninę, niezwłocznie przygotowałam bliźniakom ciepłe kakao i kanapki, po czym wykąpałam i położyłam spać. Kiedy śpią, niczego nie zbroją, mam nadzieję. A przynajmniej łudziłam się tym, kładąc się wieczorem do łóżka zmęczona po całodobowym szaleństwie dzisiejszego dnia. Przed snem wyobrażałam sobie natomiast siedlisko. Ach, maro ty moja. Coraz bliżej!

**Pewnego** sierpniowego, chłodnego wieczoru, wiedząc, że wakacje zbliżają się ku końcowi, a i rozwód jest coraz bliżej, Katarzyna postanowiła zabrać mnie na zwierzenia i wypytać o stan emocjonalny. Pożyczyłyśmy więc wielką mazdę ojca i zostawiając dzieciaki pod dobrą opieką coraz bardziej ciężarnej Magdy i coraz bardziej uciążliwej (w moim odczuciu) babci, wybrałyśmy



się do maleńkiej, przytulnej kawiarni w sąsiednim miasteczku.

– Ale tu pięknie! – zachwyciła się Katarzyna, gdy weszłyśmy do środka i zadomowiłyśmy się przy jednym z maleńkich, okrągłych stolików, na którym stała jedna, samotna świeczka i jeden, samotny, tłący się płomyczek.

Gdyby wizyta ta miała miejsce ze trzy miesiące temu, z pewnością jego widok rozczuliłby mnie i sprowokował do refleksji, że wiele mamy wspólnego. W obecnej sytuacji jednak niemalże zaśmiałam się w myślach – ach płomyczku, tak bym nieraz chciała być taka samotna jak ty, gdy wokół mnie tyle głośnych domowników i ich problemów!

– Co pijemy? – zapytała Katarzyna, gdy młoda kelnerka w czarnym fartuszkach podeszła do nas i przyniosła nam stylowe menu.

– Czekoladę z bitą śmietaną i kardamonem! – zawyrokowałam, nawet nie zaglądając w kartę. Od lat był to mój ulubiony przysmak niezależnie od pory roku, a z racji tego, że wieczór był chłodny i zbierało się na deszcz, utwierdziłam się w tym, że jest to jak najlepszy wybór.

– W takim razie poproszę to samo. – Katarzyna uśmiechnęła się do kelnerki. – I wielki kawał szarlotki. Iwonka? – spojrzała na mnie pytająco.

– Nie mam chyba wyjścia. Szarlotka dwa razy – dodałam, a kelnerka posłusznie zapisała w notesiku i zniknęła, zostawiając nas same.

– Ale klimacik, co? – zagadnęłam Katarzynę.

– Aha, pięknie tu jest, po prostu pięknie! Idealnie na takie szare, wietrzne wieczory jak dzisiejszy! Ale nie myśl, że zagadasz mnie wywodami o wystroju wnętrza. Zaciągnęłam cię tu, bo od jakichś dwóch miesięcy zastanawiam się, co też jest między tobą, a Jareczkiem... – Katarzyna puściła do mnie oczko, po czym pochyliła się do przodu, dając mi tym do zrozumienia, że nie umkną jej żadne szczegóły.

– Oj Kaśka, a co ma być! – zaśmiałam się, sama nie wiedząc co myślę. – Przyjaźnimy się, ot co. I chociaż matka swata mnie z nim jak może, a dzieciaki wtórują, to raczej jeszcze nie w głowie mi miłosne ekscesy.

– No ale chyba z Grzegorzem już sobie poradziłaś? – przeszła do spytek Katarzyna, która, notabene, idealnie nadawałaby się do roli prokuratora.

– Nie narzekam. Od pewnego czasu nie myślę o nim nawet odrobinę. Prawie trzy miesiące to wystarczająco dużo, żeby przejść od rozpaczki przez nienawiść do obojętności. Skrzywdził mnie ten dupiek, ale niech sobie wiedzie szczęśliwe życie gdzie indziej i u boku kogoś innego. Nie to nie, trzeba znać swoją wartość.

– Święte słowa kochana, święte słowa. Ale jak cię wtedy zastałam w mieszkaniu w tej kompletnej rozsypce, to naprawdę widziałam twoją przyszłość czarnymi niemi szyć.

– Na szczęście okres załamania mam już kompletnie zażegnany. Teraz muszę skupić się na zyskanej nowo pracy...

– I przystojnym dyrektorze! – wciąła mi się Katarzyna.

– Kaśka! No proszę cię. Może i jest przystojny, ale...

– No nie mów, że ani przez chwilę nie pomyślałaś, że fajnie byłoby pocieszyć się kimś takim jak on. – Katarzyna zaśmiała się.

– A wyobraź sobie, że jakoś nie wychodzę z założenia, że klin klinem i wolę...

– No tak, tak – ach, jaka ona dziś niegrzeczna! Zdania dokończyć człowiekowi nie da, nawet jakby chciał! – Ale taki Jaruś to co innego...

– A żebyś wiedziała, że co innego! – tym razem to ja wciąłam jej się w słowo. – To świetny, stary przyjaciel.

– Czekolada i szarlotki, proszę bardzo. – Kelnerka podeszła do stolika i postawiła przed nami ciepłutkie smakołyki, jakich, dla odmiany od ciągłych lodów, naprawdę byłyśmy bardzo spragnione. No dobrze, ja byłam. Ale Katarzyna patrzyła na nie takim wzrokiem, jak gdyby podzielała moje chęci w stu procentach.

– To co z tym Jariuszem? – nie dawała mi spokoju, zając się szarlotką i wymachując małym widelczykiem w moją stronę.

– Przyjaźnimy się.

– Aha, już ja wierzę w takie przyjaźnie. Za dobrze cię znam, Iwona. Nie umiesz ukryć, że masz ochotę rzucić się na niego mimo całej afery z bawidamkiem.

– Wydaje ci się – zaśmiałam się nerwowo. Miałam na to ochotę?

– Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że ani przez moment nie myślałaś o tym, jak to przyjemnie byłoby go pocałować. No proszę, już. – Nieustępliwa Kaśka wbiła we mnie swoje świdrujące oczka.

– No dobrze, przyznaję – poddałam się w końcu, a ona od razu mi przyklasnęła i rozpromieniła się wielkim uśmiechem.

– Wiedziałam!

– Ale nie zrobię tego, bo...

– Bo jestem głupia? No wybaczone, ale innego wyjaśnienia nie widzę!

– Bo przyjaźni nie można narażać na takie rzeczy, a ja nie zamierzam tracić fajnego mężczyzny, bo zachciało mi się romansu. Moje życie erotyczne ostatnio i tak było ubogie, więc nie mam wielkiego parcia i potrafię się pohamować, uwierz mi! – zaśmiałam się i wsadziłam do ust kolejny kawałek szarlotki, który od dłuższej chwili trzymałam na widelczyku przed sobą.

– No ale podoba ci się – męczyła dalej.

– Oj Kaśka! Powiedziałaś ci, że tak, co jeszcze chcesz usłyszeć, co?! – Rzuciłam jej pełne wyrzutu spojrzenie, które zamknęło jej usta na resztę wieczoru, jeśli chodzi o kwestię mnie i Jarusia, która właściwie nie istniała.

Oj, no dobrze. Istniała, ale wolałam, żeby pozostała na etapie, na którym była obecnie, to znaczy przyjaźni. Ona w przeciwieństwie do innego typu relacji, jak się ostatnio przekonałam, nie była chwilowa ani ulotna. Przyjaciel nie spłodzi ci dzieci i nie wyrzuci za drzwi. Zresztą nieważne. Jarek to Jarek. I kropka. Za dobry człowiek, żeby się z nim wiązać. Chociaż te jego całusne usta... DOŚĆ!!!

– **Mamusiu**, mam dla ciebie dwie informacje. – Antos tuż po kąpielach przydreptał do mnie, zostawiając za sobą mokre ślady.

– Słucham cię synku – powiedziałam do niego i przymknęłam lekko laptop, ciekawa, co też tym razem wymyślił.

– Kąpaliśmy się z Antosiem i wiesz... nalała mi się woda do oka. Antosia podała mi ręcznik, ale wpadł nam do wody.

– No masz ci los. I co? – westchnęłam. Czyli będzie sprzątanie. Z tych ich kąpielów nigdy nie wynikało nic dobrego.

– I podała mi drugi, ale też wpadł – dodał niewinnie bliźniak.

– Jaka w takim razie jest ta dobra informacja? – zapytałam bezradnie, patrząc na niego podejrzliwie.

– Że trzeci został suchy i mogłem przyjść ci powiedzieć, żebyś zaniósła ręcznik Tosi, bo ona nie ma się w co wytrzeć – odpowiedział mi jak prawdziwy dyplomata, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Jeśli ja kiedyś przez nich nie zgłupieję i mnie nie zamkną, to naprawdę będzie cud nie z tej ziemi!

Zrezygnowana, musiałam więc odłożyć laptop i powlec się do garderoby po suchy ręcznik. A Agata miała ich przecież pilnować!!!

**Nastał** w końcu wrzesień, który powitał nas wszystkich ciepłymi, jeszcze letnimi promieniami słońca. Przyroda ani śmiała rwać się ku zimie i właściwie na zewnątrz nic się nie zmieniło. Może jedynie mój stan ducha zaczął wyłapywać jesienną chandrę, bo zbliżający się rozwód tłamsił każdy cień optymizmu zakradający się pod moje stopy. I kiedy rano zadzwonił pan Staszek, że termin rozprawy rozwodowej, miejmy nadzieję pierwszej i ostatniej, szczęśliwie został przyspieszony, na co istotny wpływ miały ostatnie wydarzenia związane z napaścią Grzegorza na

nasz mir domowy, byłam bliska płaczu.

Bardzo się bałam.

Prawnik zaoferował, że pojedzie na nią razem ze mną, na co ja chętnie się zgodziłam, ponieważ w ten sposób raczej nie dam sprowokować się Grzegorzowi, a nie miałam doświadczenia w takich sprawach i z pewnością lepiej będę się czuła, gdy ktoś obeznany dotrzyma mi towarzystwa.

Jaruś, gdy tylko zjawił się u nas na śniadaniu, też chciał jechać, ale odmówiłam. Lepiej, żeby ktoś został tutaj i nadzorował całe towarzystwo, które jak wiadomo ma ogromną tendencję do gubienia się, palenia na słońcu, płaczu, krzyku i tym podobnych, a nikt lepiej niż Jaruś tego nie robi, co do tego nie miałam wątpliwości. Jednak policjant to policjant.

I choć wiadomości te podniosły stan mojego ducha o kilka centymetrów, zaraz upadł ponownie, a to wszystko za sprawą pani Tereski, która zadzwoniła, żeby obwieścić mi, że siedlisko zostało dziś oficjalnie sprzedane, a ona pragnie mnie o tym uczciwie poinformować.

Zakłęłam pod nosem w tym samym momencie, w którym się rozłączyła i załamana opadłam na łóżko. ZACZĘŁO MI SIĘ COŚ W KOŃCU UDAWAĆ! DLACZEGO?

– Ale ty się Iwona nie martw. – Matka przyłapała mnie na wycieraniu łez. – Widocznie tak miało być, że zostaniesz tu w Sosenkach po rozwodzie, z nami pomieszkasz. Dzieciaki pochodzą do szkoły, a dom jak dom, zarobisz, trochę czasu upłynie, to się w nowym zakochasz i sobie kupisz! Nie rozpaczaj, życie ci się na nowo zaczyna układać, nabierać kształtu, a ty wycie odstawiasz z byle powodu! – starała się mnie udobruchać. Jak zwykle SKUTECZNIE!

Po mamusi wpadł do mojej sypialni Jaruś, który nie na żarty przeraził się moim stanem psychicznym tuż przed rozwodem.

– Oj nie martw się Iwona, przecież tutaj nie jest źle...

– Ty nic nie rozumiesz! – wrzasnęłam na niego i spuściłam wzrok, ponownie padając na łóżko. – To nie chodzi o to, że mi tu źle, ale że to siedlisko trzymało mnie ostatnio przy życiu bardziej niż dzieci. Oczywiście mogę teraz wyjść na wyrodną matkę, ale dla niego chciałam pisać i pracować, i... – Zaczęłam drzeć, gdy moim ciałem wstrząsnął kolejny szloch.

Jaruś podszedł do mnie i przytulił, lekko gładząc po plecach.

– To nie jest tak, że nie rozumiem...

– Chciałam mieć nowe własne miejsce w świecie. Zakończyć formalnie to nieudane małżeństwo i mieć gdzie uciec przed światem. Mieć coś swojego i stałego, czego nikt nie będzie w stanie mi odebrać.

– Cii... – szepnął Jaruś, po czym przytulił policzek do mojej głowy. – Jesteś fantastyczną kobietą, tego nikt ci nie odbierze, a twoje sny o siedlisku na pewno się spełnią. Zasługujesz na to. Po prostu nie może być inaczej.

Na te słowa, jak na zawołanie, załkałam znowu. Ach, pewnie. To dlatego wszystko jest nie tak, bo jestem taką fantastyczną kobietą. I to właśnie dlatego zaraz się rozwiodę. I odbiorą mi dzieci. To wszystko przez to. Przez tę moją „fantastyczność”.

Kiedy ochłonęłam w końcu i zaczęłam pakować się pod czujnym okiem Jarusia, który jakoś bardzo przejął się moim stanem ducha po utracie niedoszłego mieszkania, i wkładałam do torby bluzkę za bluzką, ktoś zapukał do drzwi mojej sypialni i za chwilę wpadły Katarzyna z Adelą.

– Iwonka, jedziemy z tobą! – rzuciła ta pierwsza, siadając na moim łóżku.

– Jak to jedzicie ze mną? – zapytałam zdumiona, wkładając do torby parę jeansów, które właśnie trzymałam w ręce. Co to wszystko miało znaczyć?!

– Adela w charakterze świadka, a ja, żeby zapewnić ci nocleg – pospieszyła z wyjaśnieniami Katarzyna.

– Daj spokój, głupio mi zwać ci się na głowę w takiej sytuacji... – zaczęłam protestować, ale ta weszła mi w słowo.

– Jakie głupio? Jakie głupio? A ja ile u ciebie siedzę? Właściwie to ja muszę do twoich rodziców... trzeba się przecież rozliczyć, bo wyjdę na darmozjada! – powiedziała, zrywając się z łóżka błyskawicznie i kierując ku drzwiom. Jak zawsze nie dała mi nawet zaprotestować, tyle z niej pożytku!

– Czekaj Kaśka, idę z tobą! – Adela, której ostatnio brzusek nieco się zaokrąglił, popędziła za nią. – Też tu przecież nieodpłatnie nie siedziałam. Za jedzenie chociaż, za prąd trzeba zwrócić!

I jak wpadły, tak wypadły. Ja tymczasem zostałam wybawiona przez Jarusia od szarpania się z niesforenym suwakiem kolejnej komory w torbie, do której chciałam upchnąć piętżące się na szafce obok łóżka kosmetyki, a co przez nerwy wychodziło mi dość słabo.

– Daj to, w końcu od czego masz faceta... – powiedział, wyszarpując mi torbę z ręki.

Ostatnio przywykłam do samodzielnego rozwiązywania swoich problemów, więc muszę przyznać, że było to dla mnie sytuacją właściwie nową.

– Mam faceta? – uniosłam brwi i spojrzałam na niego wymownie.

– No, przez ostatnie dni tak mi się zdawało. A co, gardzisz? – podbił paleczkę Jaruś, mocując się z suwakiem, a następnie zerkając na mnie.

– Spruczuj słowo facet – puściłam mu oczko.

– No już nie bądź taka wyrywna. Jak nie, to nie, bez łaski... – powiedział i udał oburzonego. Już się bałam, że zaraz skieruje się do drzwi i uniesie honorem!

– Oj dobra, dobra. Żartowałam przecież. Całkiem podoba mi się myśl, że mam faceta – powiedziałam, przechodząc przez łóżko na jego stronę i tuląc się do niego.

– No, ja myślę. Bez tego nie puściłbym cię samej na spotkanie z byłym mężem. A wiadomo, może ci się jeszcze odwidzi...

– Głupku. – Strzeliłam go w ramię.

– Za co to? – Jaruś się skrzywił.

– Tak profilaktycznie, żebyś pamiętał, że mi się nie odwidzi – powiedziałam, uśmiechając się lekko.

– No dobrze. Może będę pamiętał...

I już nasze usta miały znaleźć się niebezpiecznie blisko i teraz naprawdę byłam pewna, że tego chcę, gdy... rozległo się głośnie puk, puk do drzwi sypialni. Chwilę czułości szlag trafił, ale przez tyle czasu w tym szaleństwie zdążyłam do tego przywyknąć. Jaruś najwidoczniej też, bo uśmiechnął się, odsuwając nieco ode mnie.

– Proszę – powiedziałam, śmiejąc się.

A to dopiero komitet pożegnalny! W drzwiach pojawiła się cała moja gromadka na czele z bliźniakami, które wsuwały czekoladę, nie zważając przy tym na to, że wkładają do ust nie tylko łakocie, ale i papierki.

– Chcieliśmy ci mamó powiedzieć, że jak coś to pamiętaj, że jesteśmy z tobą i nawet jak tacie się ubzdura, że może nas ci zabrać, to się nie damy! – powiedziała Agata i popędziła do mnie, żeby mocno mnie przytulić. Oczywiście odwzajemniłam jej uścisk, bo zrobiło mi się strasznie ciepło na serduszku dzięki tej gromadce.

– Kochani, nie sądzę, żeby to było konieczne... – powiedziałam, gdy wyswobodziłam się z objęć mojej blond piękności.

– Ale wiesz, tak po prostu informujemy, jakie mamy stanowisko w tej sprawie. Gdybyś zwątpiła...

– Uwierzcie mi, że nie zwątpię – powiedziałam, widząc błysk w oku Jarusia.

– I pokaż temu... to znaczy, tacie – ugryzł się w język Łukaszek – że z nami się nie zadziera. Więzy krwi więzami krwi, ale jak ktoś jest du... znaczy, złym człowiekiem – śmiech na sali! – to nawet to się nie liczy!

Oczywiście podziękowałam mojej ferajnie za wsparcie i pomoc i w nagrodę zaprosiliśmy ich wszystkich z Jarusiem na lody do lodziarni w Sosenkach. Śmiechom i przekrzykiwaniu się przy stoliku nie było końca, a ja czułam w końcu ogromne wsparcie, którego naprawdę było mi w tej sytuacji trzeba.

Gdy lody zostały skonsumowane, a bliźniaki ściągnięte z dmuchanej zjeżdżalni, procesyjnie udaliśmy się z powrotem do domu, w którym czekała mama z Michaliną i całą resztą, od razu zapraszając nas do stołu. Jedynie bliźniaki zostały zwolnione z tego obowiązku i oddelegowane do piaskownicy, ponieważ ich brzuszki napełnione lodami nie pomieściłyby już ani grama jakiegokolwiek posiłku.

I w takim oto bojowym nastroju następnego dnia pojechałam z panem Staszkiem i dziewczynami na pociąg, a następnie do mieszkania Katarzyny, gdzie rzeczywiście remont dobiegał końca, a jeszcze później na salę rozpraw z Adelą i panem Staszkiem. Adelą tak dla pewności, że gdyby coś nie szło po mojej myśli, to przecież nie zaszkodzi... Tak się stresowałam tym rozwodem, że przed salą rozpraw ze trzy razy pytałam Adelę, na co czekamy i jak się nazywam. Nie wiem, skąd mi się ten stres bierze! W najmniej odpowiednim momencie, kurczę pieczone!

Sama myśl o tym, że znajduję się w sądzie, tak ważnej instytucji, z którą nie ma żartów, sprawiała, że czułam mdłości i zawroty głowy. Muszę chyba kupić jakąś książkę o tym, jak radzić sobie ze stresem, bo niedługo kompletnie zwariuję!

Na szczęście denerwowałam się zupełnie niepotrzebnie, ponieważ Grzegorz, potocznie nazywany przeze mnie bawidamkiem, na sali nie był już taki wyrywny jak w Sosenkach i siedział cicho, potakując jedynie pani sędzinie. (Ale sobie zrymowałam, no proszę. A ja rymów wybitnie nie lubię, bo jakoś tak psują mi zawsze nastrój...).

Sprawa z dziećmi też została rozwiązana po mojej myśli, bo pani z opieki społecznej stanęła po naszej stronie. I dzięki Bogu, chyba powinnam kupić jej czekoladki za pominięcie szczegółów o częstych wizytach na pogotowiu, obcych facetach w moim domu i wyjeździe na Mazury, podczas którego zostawiłam dzieci same.

Bawidamek dostał dwa weekendy w miesiącu i dwa tygodnie wakacji, co zostało zaaprobowane przez obie strony, bo bawidamka jednak do dzieci aż tak nie ciągnęło. Zresztą wątpię, żeby on do Sosenek chciał się tak często fatygować. Po pierwsze dlatego, że pieniędzy mu będzie szkoda, bo to jednak kawał drogi, a po drugie, nie wydaje mi się, żeby miał ochotę na tak częste spotkania z moim ojcem.

Uszczęśliwiona, już jako ROZWÓDKA (ojej, jak to pięknie brzmi!) zadzwoniłam do Agatki, zaraz po wyjściu z sali rozpraw, żeby ją o wszystkim poinformować. Agatka od razu włączyła tryb głośnomówiący, żeby całe towarzystwo zostało wtajemniczone w szczegóły rozprawy. Kiedy ucichły wszystkie ochy, achy i zachwyty, dostałam informację, że mam wracać jak najprędzej, najlepiej nocnym, bo zamiast uroczystej kolacji w planach jest uroczyste śniadanie, nad którym Michalina już zaczęła pracować.

Moja prośba, aby na stację wyjechał po mnie nie tatuś, tylko Jaruś, została rozpatrzona korzystnie. Wróciłam więc po bagaże do Kaśki, pożegnałam się z obiema dziewczynami bardzo serdecznie, bo nawet z Adelą, do której, muszę przyznać, początkowo zbytnią sympatią nie pałałam, całkiem się zżyłam. Po obietnicy, że będziemy telefonować i mailować musiałam się ostatecznie pożegnać, gdyż czekał na mnie pan Staszek, który razem ze mną wracał nocnym.

Jechało nam się całkiem przyjemnie. Tym razem bez kocich porodów ani wybuchów śmiechu, co było całkiem miłą odmianą tego, kiedy ostatni raz z miasta wyjeżdżałam. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów nikt mnie podczas podróży nie skompromitował i nie zwracał uwagi wszystkich ludzi znajdujących się dookoła!

Pan Staszek namawiał mnie, żebym chociaż chwilkę się przespała, ale jakoś nie mogłam zmrużyć oka podekscytowana, że jestem już wolna i zastanawiając się, jak tę informację przyjmie Jaruś. Swoją drogą trzeba coś zrobić z tym jego remontem. Najlepiej niech wprowadzi się do mnie, bo szkoda mi biedaka jak tak kursuje wte i wewte...

Dotarliśmy punktualnie, na peronie czekał na mnie Jaruś z ogromnym bukietem kwiatów. Przyznam się, że aż się zaczerwieniłam, bo w życiu takiego nie dostałam, tym bardziej publicznie... Lubię tego Jarusia Romantyka. Czarusia też lubię. W ogóle ci wszyscy Jarusie jakoś tak fajnie się dopełniają i składają w całość...

Żaden samochód na szczęście nie został skradziony (ha, ha, ha) i do Sosenek dojechaliśmy bez niespodzianek. No, może trochę tylko irytowali nas kierowcy wpychający się na trzeciego albo rowerzyści wyjeżdżający na środek jezdni bez uprzedniego rozejrzenia się! Ale muszę przyznać, że trochę pusto było w samochodzie bez gromadki dzieci, maskotek i zwierząt. Taka ze mnie sentymentalistka, ale kilkadziesiąt godzin bez zwariowanej rodzinki na głowie robi jednak swoje, nie ma co ukrywać.

Dojechaliśmy do domu idealnie na śniadanie, na którym powitały nas okrzyki, oklaski i wylana herbata (Antonina). Michalina naprawdę przygotowała z okazji mojego powrotu prawdziwą ucztę! Półmiski z wędlinami i serami. Kilka sałatek, świeżuchne pieczywo kuszące nozdrza. I moje ulubione masło nawet się znalazło! Po prostu łożka się w oku kręci, naprawdę!

Trochę brakowało mi przy stole Kasi i Adeli, ale ich powrót do własnego życia był nieunikniony, niestety. Mają swoje rodziny, swoje problemy. Każda zasługuje na nowy start tak samo jak ja. Miałam tylko nadzieję, że pobyt w Sosenkach dobrze im zrobił i wróciły pełne nowych sił i energii.

Po śniadaniu Jaruś oznajmił, że ma dla mnie niespodziankę. Właściwie to powiedział, że ma niespodziankę dla wszystkich, ale pokaże ją najpierw mnie, a później reszcie rodziny, bo ja mam w tej sprawie decydujący głos. Zgodziliśmy się na taki układ i już za chwilę jechałam Jarusiowym autem hen przed siebie, śpiewając z nim wniebogłosy wakacyjne piosenki płynące z głośników. Niesamowicie jechało mi się z nim drogami wijącymi się wśród pozbawionych plonów zbóż i alei przeróżnych drzew, rozciągających się nad naszymi głowami. Pierwsze liście zaczynały już żółknąć, zapowiadając zbliżającą się wczesną jesień. Trochę zrobiło mi się z tego powodu sentymentalnie. Myślałam sobie całą drogę, po co ja marnowałam życie z Grzegorzem, mając tu na miejscu, w Sosenkach, mężczyznę mojego życia? No dobrze, może z bawidamkiem musieliśmy na świat wydać nasze niesamowite dzieci, ale cieszę się, że odnalazłam Jarusia i odkryłam go na nowo. Tej radości nic nie jest w stanie mi dziś przyćmić!

Po kilkunastu minutach spokojnej jazdy, którą zakłóciła nam jedynie wiewiórka, chcąca sprytnie przelecieć między dwoma autami na drugą stronę drogi, co udało jej się tylko dlatego, że Jaruś ma dobry refleks i czujne oko, zatrzymaliśmy się na poboczu.

– A co ty robisz? – zapytałam zdziwiona i zerknęłam w jego stronę.

– Żeby niespodzianki stało się zadość, musisz się na coś zgodzić – powiedział tajemniczo i odpiął pas.

– No nie mów, że proponujesz mi seks na poboczu! – zaśmiałam się lekko zaniepokojona.

– Biorąc pod uwagę fakt, że od kilku miesięcy nie dane jest mi nawet cię pocałować, to raczej się z tym wstrzymam. Chciałbym zawiązać ci jednak oczy na dalszą część jazdy. Zgadzasz się?

No co, miałam się nie zgodzić, jednak dar przekonywania to on ma, a tajemnice to ja lubię! Przez resztę drogi myślałam o dniu, w którym przywiózł mnie do siebie w roli swojej udawanej żony.

– Daleko jeszcze? – zapytałam, kręcąc się niecierpliwie w fotelu, gdy droga dłużyła się i dłużyła, a samochód zaczął skakać na jakichś przeraźliwych wybojach.

– No, jesteśmy – oznajmił w końcu Jaruś po chwilach tajemniczej, chodź słodkiej udreki.

– Poważnie? – zaśmiałam się i sięgnęłam, by ściągnąć z oczu opaskę.

– Jeszcze nie! – Jaruś chwycił mnie za nadgarstek, nim ściągnęłam chustkę z twarzy. – Nie psuj!

– Dobrze, no dobrze – mruknęłam i pozwoliłam mu pomóc wygramolić mi się z auta, po czym posłusznie podreptałam za nim kilka kroków. Moją twarz owiało wilgotne powietrze, a przez głowę przemknęła pełna niedowierzania myśl.

– Już – szepnął mi do ucha Jaruś, kiedy ustawił mnie tak, jak chciał i powoli ściągnął mi chustkę z oczu. Miękki materiał opadł mi na ramiona, a ja zaniemówiłam, widząc przed sobą... tak, właśnie to, na co czekałam tyle czasu.

– Zapraszam do środka. – Jaruś pchnął przede mną drzwi dość szarmanckim gestem, kiedy ja przeżywałam szok.

– Ale jak to... – zdołałam tylko wydusić, patrząc na niego wielkimi oczami.

– Oj wychodź, nie marudź! – Popchnął mnie lekko do środka.

No i weszłam. Rzuciłam okiem przez ramię na pomost nad jeziorem, następnie na dom... – Zapraszam. – Jaruś pchnął przede mną kolejne drzwi, a moim oczom ukazał się trochę krzywo rozwieszony transparent: „Witaj w siedlisku!” i kilka balonów wiszących obok niego.

– Ale, ale... jak to? Przecież wczoraj ktoś je kupił... – powiedziałam zaskoczona, wbijając

w niego wzrok. Jaruś uśmiechnął się, pocałował mnie w czoło, a ja byłam totalnie skołowana. To wszystko nie chciało pomieścić się w mojej farbowanej blond głowie.

– Ciiicho! – Jaruś mnie uciszył i pociągnął za sobą.

Zajrzałam do środka. Ojeju, jak tu pięknie! Jak słonecznie! A te meble... Wnętrze było niezwykle jasne, a delikatne żółcie idealnie współgrały ze światłem, wpadającym do środka przez przesłonięte roletą okno. Nie mogłam oderwać się od wspaniałej narzuty na kanapie i idealnie dobranych mebelków. Oczami wyobraźni widziałam już wszystkie nasze książki poustawiane na regale i paprotki na parapecie, które moja córka wprost uwielbia.

Zaraz, zaraz.

– Jarek, coś ty... – nie zdołałam wydusić z siebie nic więcej, nie odrywając wzroku od pokoiku, który ukazał się przed chwilą moim oczom.

– Nic nie mów. – Jaruś znów mnie uciszył.

Gdy już napiłam wzrok widokiem wspaniałego pokoju dla mojej nastoletniej córki, pociągnął mnie za sobą.

– Tu będzie pokój bliźniaków... – powiedział, otwierając drzwi do gościnnej sypialni.

Pojawiło się przede mną kolejne piękne, słoneczne wnętrze, tym razem skąpane w żywych zieleniach. Pod oknem stały dwa maleńkie łóżeczka, przeznaczone dla bliźniaków. Czy ja śnię, czy już za jakiś czas będą z nich wystawać ich maleńkie stópki, którym nigdy nie mogłam się oprzeć?! I te wszystkie edukacyjne zabawki, maleńkie mebelki, kuchenki i warsztat naprawczy dla Antosia. Przecież oni nie będą stąd chcieli wychodzić. Istny dziecięcy raj! Stałam jak urzeczona, mówię wam. Ja oniemiałam z zachwytu, a co powiedzą same bliźniaki?

Szok odbierał mi mowę i zdolność samodzielnego myślenia, gdy moim oczom ukazała się niewielka kuchnia. Mały, ale praktyczny aneks kuchenny sąsiadował z okrągłym stolikiem i krzeselkami.

– A tu urządziłem mieszkancko dla młodych. Mają oddzielną łazienkę i kuchnię z pokojem. Przydadzą się dwa, kiedy już pojawi się dziecko, ale architektka i tak przerabiała wszystko jak mogła. Najwyżej któreś z nich będzie nocować w kuchni, ale co tam. Ważne, że będą mieli swój pierwszy wspólny kąt – powiedział, otaczając mnie ramieniem. Myślę, że on doskonale wiedział, ile to wszystko dla mnie znaczy, ale nie dawał po sobie tego poznać. Ja natomiast nie mogłam wyjść z szoku! Moje wyśnione Mazury! Moje siedlisko!

Czy można być w ogóle szczęśliwszym człowiekiem niż ja w tym momencie?!

– Jarek... – po prostu mnie zatkało, gdy obrzucałam wzrokiem te przepięknie pomalowane ściany i meble. Ich łazienka, co prawda dużo mniejsza od naszej, była urządzona równie praktycznie jak nasza, a błękitne kafelki, które Jaruś wybrał na ściany, naprawdę mnie zachwyciły. No i ich pokój, urządzony na styl salonu, w który sprytnie wstawiono już maleńkie łóżeczko dla dziecka. To wszystko po prostu nie mieściło się w mojej głowie. Było nierealne. Zbyt idealne. Po prostu...

– Prosiłem, nic nie mów – upomniał mnie Jaruś kolejny raz. – A teraz najważniejsze... – powiedział tajemniczo i złapał mnie za ramię. – Wybacz, że tak latamy po tych pokojach... – Znów pociągnął mnie za rękę, zachowując się przy tym jednak niezwykle delikatnie.

Gdy znaleźliśmy się na górze, Jaruś pchnął lekko drzwi do sypialni. Wnętrze wypełniło się jakimś innym powietrzem. Jakby... naszym.

– Twoja sypialnia... – powiedział niemalże z namaszczeniem, a przez chwilę zdawało mi się, że jego głos lekko drgnął. Otaczając mnie ramieniem, patrzył w przestrzeń, podczas gdy ja lustrowałam niesamowite wnętrze odnowionej sypialni.

Bił od niej niesamowity spokój. Wszystko utrzymane było w tonacji beżowo-błękitnej, a w kolorystykę idealnie wkomponowały się jabłoniowe meble rodem z najpiękniejszego katalogu wnętrz. Na podwójnym łóżku stojącym w centrum pokoju piętrzył się stos mięciutkich poduszek, które wprost wołały, by się do nich przytulić, a niebieski dywan prosił, by zanurzyć w nim stopy. Po prostu zamarłam na myśl, że mogłabym z nim tu sypiać. Co tam sypiać. Mogłabym tu pisać, całować się z nim do upadłego i dzielić wszystkimi codziennymi sprawami!

– Trochę się tu zmieniło, odkąd byłam ostatnim razem... – dałam radę wydusić tylko tyle,

wybaczcie. Żadnych wzniosłych mów tam nie było.

– Podoba ci się? – zapytał, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że prawdziwie mnie oczarował.

– Podoba to mało powiedziane... – wykrztusiłam, patrząc na niego nieprzytomnie.

Wydawało mi się, że gram w bajce albo filmie. Niech mnie ktoś uszczypnie!

– To dobrze, bo chciałbym, żebyś spędziła tu ze mną resztę życia.

Słucham? Mój świat zawirował nagle feerią barw. Setkami, tysiącami odcieni, a może nawet i więcej!

– To oświadczyń? – zapytałam, a głos grzął mi w gardle.

– Nie! Nie! – Jaruś zaczął się tłumaczyć. – Ja mam swoją sypialnię, nie martw się. Nie chcę ci niczego narzucać. Ja wiem, wypaliłem z tym siedliskiem, ale tak bardzo o nim marzyłaś... Ja właściwie nie byłem związany ze swoim domem, postanowiłem go sprzedać, żeby zbierać pieniądze na to siedlisko, a stąd mam nawet bliżej do pracy i pomyślałem... Kurczę Iwona, głupio wyszło – płatał się. – Może ty wcale nie życzysz sobie dzielić ze mną domu i przestrzeni... miałem czekać, a zamiast tego... nawaliłem – łypnął na mnie przerażonym wzrokiem.

– Ktoś musi w końcu zamknąć te twoje całusne usta! – zaśmiałam się do niego i odwróciłam twarz w jego stronę, tak, że staliśmy teraz ciałem w ciało, twarzą w twarz. Jaruś uśmiechnął się tylko, a przerażenie na jego twarzy ustąpiło miejsca pragnieniu. Zrobił krok bliżej i ujął moją twarz w dłonie. Nasze piersi otarły się o siebie, gdy zmrużyłam oczy i poczułam na wargach jego przyspieszony oddech, a potem jego usta. Ciepłe i miękkie. Takie, o jakich marzyłam przez kilka ostatnich dni. Wyczekane.

– To znaczy tak? – zapytał, gdy odsunęliśmy się od siebie zszokowani i przytłoczeni siłą tych wszystkich nowych doznań.

– Słucham? – zapytałam oszołomiona nie mniej niż on.

– To znaczy, że zgadzasz się tu zamieszkać? – spytał jeszcze raz, nieco mniej pewnie.

– Tak – szepnęłam, po czym wtuliłam się w jego ramię.

A po chwili, wciąż spokojnie dodałam:

– Ale nie rób sobie jeszcze wielkiej nadziei, dobrze? Przepraszam, ale ja nie jestem jeszcze chyba w stanie... – zaczęłam mówić, a do oczu napłynęły mi łzy.

– No tego to się nie spodziewałem. Będziesz płakać w takim momencie – wydusił tylko, zanim nasze usta znów znalazły się niebezpiecznie blisko. – Nigdzie nam się nie spieszy. Mamy czas – szepnął, a potem pocałował mnie jeszcze raz. I jeszcze.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp+S39ObhlwFWYKaxx9EXo6XTBROFR6GXYb



## EPILOG

*I tak oto ja*, Agatka, Łukasz plus Magda, bliźniaki, Fela z kociakiem, dwa psy rasy yorkshire i stadny owczarek znaleźliśmy nowy dom. Zrobiliśmy to o wiele szybciej, niż sobie wyobrażałam, ale myślę, że to naprawdę dobra decyzja. W dodatku decyzja przyszłościowa i to bardzo! Jarus z siedliska będzie miał o wiele bliżej do pracy, ja do mamusi wciąż blisko, ale jednak trochę dalej (jeśli rozumiecie co mam na myśli), a do szkoły w Sosenkach wcale nie taki kawał drogi i będzie można spokojnie dojeżdżać.

– Jak bardzo ci się podoba? – zapytał Jarus wyrwijąc mnie ze słodkiego oszołomienia.

– Bardzo! – klasnęłam w dłonie. – Ale jedna sprawa nie daje mi spokoju. Kiedy ty to wszystko dla mnie kupiłeś?! Przecież o sprzedaży siedliska pani Tereska poinformowała mnie zaledwie kilka dni temu...

Jarus zabawnie wywrócił oczami.

– No przecież, że nie wyremontowały tego krasnoludki i nie zrobiły tego w kilka dni!

Pomysł powstał jakiś czas temu, a pani Tereska została moją sojuszniczką.

– Nie rozumiem – popatrzyłam na tego swojego amanta, mrugając rzęsami jak nawiedzona.

– To miała być niespodzianka! Pani Tereska miała mnie kryć. Pomagała mi zrobić z tego prawdziwą tajemnicę.

– O ty wstręciuchu! – roześmiałam się, szturchając Jarusia w ramię. – Okłamywałeś mnie!

– W dobrym celu – popatrzył na mnie niewinnie.

– No dobrze, dobrze – poddałam się po chwili milczenia. – Ratuje cię to, że kłamałeś w dobrej sprawie.

– Nie kłamałem! – oburzył się Jarus.

– Nie mówiłeś mi prawdy.

– Gdybyś zapytała, to bym powiedział! To nie jest kłamstwo.

– Jest.

– Nie jest.

– Ja wiem swoje! – szłam w zaparte.

– No ale przyznaj, przez to małe niedopowiedzenie jesteś teraz bardzo szczęśliwa. – Jarus popatrzył na mnie z ukosa.

Parsknęłam śmiechem, widząc tę jego minę.

– No dobrze, dobrze! – Wyrzuciłam w końcu w górę ręce. – Jestem chyba najszczęśliwsza na świecie! – krzyknęłam i zaczęłam śmiać się jak opętana, podczas gdy Jarus stał tylko i patrzył na mnie jak na głupią.

Może myślał sobie, że zmieniam się w swoją własną matkę i myślał, jak by się tu jeszcze z tego „biznesu” wycofać?

Spędziliśmy z Jarusiem w siedlisku jeszcze jakiś czas, bym mogła spokojnie obejrzeć każde wnętrze. Potem chwilę się poprzytulaliśmy i niemalże siłą wepchnął mnie do auta, żebyśmy mogli wrócić do Sosenek i poinformować o całej niespodziance naszą łobuzerię.

Dzieciaki były zachwycone tak samo jak ja, a może nawet bardziej. Magda i Łukasz rozpyłwali się z zachwytu, bo nie spodziewali się, że będą mieli prawdziwy, własny kąpiel.

Dziewczyna miała łzy w oczach, gdy wodziła dłonią po blacie kuchennym w ich własnym mieszkanku i ciągle powtarzała, że nie może w to uwierzyć i chyba śni!

Agatka zafascynowana była kolorami i wzorami w pokoju. Od razu zaczęła snuć plany,

jakie dekoracje musimy kupić, a bliźniaki, gdy tylko wpadły do sypialni i dorwały się do zabawek, aż do wieczora z niej nie wyszły, przekrzykując się tylko i popiskując.

Jedynie mamusia nie była zadowolona, ale mam nadzieję, że i ona w końcu przeboleje, że ja to siedlisko po prostu pokochałam i już.

Ja i Jaruś natomiast wymknęliśmy się na pomost i zanurzyliśmy stopy w wodzie zupełnie jak za dawnych lat, kiedy to nie trzeba było martwić się o korzonki. Oparłam głowę na jego ramieniu, a on ujął moje dłonie w swoje ręce. I tak trwając sobie w zupełnej ciszy, wsłuchując się w szum wody, patrzyliśmy na rozpalone tysiącami barw zachodzące słońce chowające się powoli za horyzont. Choć kończył się jeden z najwspanialszych dni mojego życia, dobrze wiedziałam, że był on jedynie wstępem do nowego etapu, jeszcze bardziej wspaniałego niż poprzedni.

Kilka łez pociekło mi po policzku, ale udało mi się skutecznie ukryć je przed Jarusiem. Prawdziwe łązy szczęścia, które wywołał najwspanialszy nowy start, jaki mogłam sobie tylko wymarzyć.

No. I tym sposobem mogę w końcu powiedzieć: siedzę właśnie u boku nowego (po stokroć lepszego) mężczyzny, w nowym domu, bogatsza o nowe doświadczenia, a na dodatek niedługo zostanę babcią!

Właściwie, to zakończę inaczej:

Mam 37 lat, nadal jestem farbowaną blondynką i ZACZĘŁAM nowe życie!  
(Zważcie, jakiej pięknej użyłam kłamry kompozycyjnej.)

HAPPY END!

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp+S39ObhlwFWYKaxx9EXo6XTBROFR6GXYb

## **Podziękowania**

Chciałabym podziękować kilku osobom, którym dedykuję tę książkę, a które są dla mnie niezmiernie ważne i w pewien sposób przyczyniły się do tego, że mogłam (i mogę) pisać i spełniać swoje marzenia. Cóż, bez większych wstępów i cukrowania przejdę do rzeczy.

Przede wszystkim dedykuję ten utwór moim rodzicom, którzy może nie zawsze wierzyli w to, że piszę dobrze, ale zawsze przy mnie byli, cieszyli się moimi sukcesami i pocieszali po porażkach. I to przecież z ich mieszanki genotypów powstałam ja! Kocham was!

Po drugie Tobie, Kasiu, byłaś pierwszą osobą, która poznała akcję utworu, pierwsza się z niej śmiałaś i skomentowałaś ją słowem: świetne (choć teraz powiedziałabyś sweet). To Ty pierwsza dowiedziałaś się też o tym, że planuję spełnić swoje marzenie, kocham Cię bardzo, jesteś świetna w utrzymywaniu tajemnic!

Mojemu braciszкови, chociaż chwilowo jest zbuntowanym piętnastolatkiem, ale on też jest częścią naszej rodziny i bez niego to nie byłoby to samo!

Marlence, za to, że od zawsze czyta te wszystkie wypociny, które napiszę, i nie krytykuje, tylko chwali i wspiera. (Choć czasem współczuję jej, że musi to wszystko znosić). Dziękuję, że jesteś, Menciu, bo to Ty od zawsze jesteś moim największym wsparciem w robieniu tego, co kocham!

Całemu zespołowi wydawnictwa Czwarta Strona, za wiarę w mój tekst i ogrom pracy, jaki w niego włożono.

Cóż, a na końcu dziękuję całej mojej rodzinie, tej bliższej i dalszej, oraz przyjaciołom. To wy wszyscy byliście inspiracją, żeby powstało to, co powstało. Nikt tak jak wy nie dostarcza tylu śmiechogennych historii, jesteście najwspanialsii. Poza tym, nie mogłam sobie wymarzyć lepszych czytelników i pierwszych recenzentów od was!

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp+S39ObhlwFWYKaxx9EXo6XTBROFR6GXYb

Polecamy również:

***Małgorzata Mroczkowska***

***ANGIELSKIE LATO***

Życie pełne jest niespodziewanych zbiegów okoliczności...

Anna wyjechała z Polski dwadzieścia lat temu. Mieszka w Londynie. Ma męża Anglika, przy boku którego prowadzi spokojne, ustatkowane życie. Pewnego dnia odbiera telefon od dawnej przyjaciółki z Krakowa szukającej wakacyjnej pracy dla swojego syna. Wojtek właśnie dostał się na uniwersytet i chce zarobić na studia. Anna postanawia zatrudnić chłopaka do pomocy w remoncie starego domu odziedziczonego przez jej męża. I choć Wojtek przylatuje do Anglii razem ze swoją dziewczyną, życie napisze dla całej trójki zupełnie inny, zaskakujący scenariusz.

*Angielskie lato* to przepiękna i wzruszająca opowieść o skrywanych tęsknotach i niespodziankach, które oferuje nam los.

W dalszej części znajdziecie Państwo

fragment publikacji.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp+S39ObhlwFWYKaxx9EXo6XTBROFR6GXYb





MAŁGORZATA  
MROCZKOWSKA

---

ANGIELSKIE  
LATO

---

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp+S39ObhlwFWYKaxx9EXo6XTBROFR6GXYb



**„Angielskie lato”**  
**Małgorzata Mroczkowska**

– Musisz do niej zadzwonić, słyszysz?

Głos Waltera wyrwał ją z drzemki, ale czyż można drzemać, stojąc? Patrzyła przez okno na morze, które w końcu uspokoiło się, ochłonęło, choć w powietrzu czuć było jeszcze napięcie ostatnich godzin.

Dopiero teraz zauważyła, że jej dłonie zaciśnięte były wokół firanki, której trzymała się kurczowo, do bólu.

– Anno, czy ty mnie słuchasz?

– Słucham... słyszę. – Spojrzała na niego oczyma mokrymi od łez.

Walter podszedł do niej i zaczął powoli uwalniać jej palce, jeden po drugim. Uniósł do ust lodowatą dłoń Anny i pocałował.

– Przecież ktoś musi jej o tym powiedzieć. Chyba nie chcesz, żeby dowiedziała się o wszystkim od policji.

– O Boże...

Zamknęła oczy. Znowu zobaczyła skałę i jamę ukrytą na wschodnim wybrzeżu, rozgrzaną wspomnieniami, które wciąż były gorące, pulsowały pod powiekami niczym świeże łyż. Fale rozbijające się z krzykiem o białe kamienie rozrzucone przez sztorm, który przyszedł nocą, i koc, na którym wcześniej leżała, a także plecy Wojtka, poranione piaskiem, który delikatnie wbijał się w skórę. Dotykała jego ramion, gładkich i młodych.

– Chcesz? Opowiem ci o moim kocie.

– Nie wiedziałam, że masz kota.

– Miałem. Wiele lat temu.

– No i co z tym kotem?

– Nie lubił, kiedy wiało. Nasze mieszkanie w Krakowie leży na wzgórzu, i tam zawsze wieje. Kiedy przyplątał się do nas, kiedy z nami zamieszkał, nie mieliśmy pojęcia, że nie lubi wiatru.

– To jak się dowiedzieliście? – zapytała, całując go w ramię.

– Zawsze, kiedy za oknem mocno wiało, chował się pod kanapę w salonie albo pod łóżko i udawał, że go nie ma. Nie lubił, żeby tam do niego zaglądać. Pewnego dnia pojechaliliśmy w góry, do naszego letniego domku...

– Zabraliście go ze sobą?

Skinął głową.

– To było dziwne lato. Pogoda zmieniła się nagle, ze słońca zrobiła się burza z deszczem i wiatrem.

– I on wam uciekł?

– Najpierw myśleliśmy, że schował się, jak zwykle. Szukaliśmy go cały dzień, wołaliśmy. Ale nie wrócił, jakby rozpułnął się w powietrzu. Przepadł.

– To było nierozsądne – oceniła. – Zabierać miejskiego kota na odludzie.

– Odnalazł się dopiero w następne wakacje.

– Jak to?

– Pewnego dnia stanął w progu kuchni, zamiauczał, po czym podszedł do mnie i jak gdyby nigdy nic otarł się o moje nogi.

– I co? Zabraliście go z powrotem do domu?

– Wybrał wiejskie życie. Odszedł od nas, ale wrócił się pożegnać, pokazać, że żyje. To miłe.

Co prawda, zrobił to tylko raz, tamtego dnia, ale mimo wszystko to było miłe. Nigdy później już go nie widziałem.

Usiadła na kocu.

– Po co mówisz mi o tym właśnie teraz?

Pocałował ją w usta i przeprosił.

Dlaczego teraz przypomniła sobie akurat tę historię? Wspomnienie tamtego dnia było żywe i bardzo świeże, jakby rozmowa wydarzyła się przed chwilą. Anna zastanawiała się, dlaczego nasza pamięć w tak okrutny sposób okazuje swoje przywiązanie do chwil, o których wolelibyśmy zapomnieć. Przecież nie powinna teraz myśleć o nim w ten sposób. Przecież to, co mogło trwać wiecznie, miało nie nastąpić już nigdy.

